

Sarah - Kate Lynch

NA DOMIAR
ZŁEGO

Wszystkim tym, którym zdarzyło się mieć zły dzień.
Albo tydzień. Albo miesiąc.

W chwili, gdy Whiffy O'Farrell cisnął wiktoriańskim nocnikiem w lustro z okresu regencji, powinnam już była wiedzieć, że moje dni pośród antyków są policzone. A właściwie, mówiąc precyzyjniej, moje godziny.

To, jeśli nie inne rzeczy, naprawdę powinnam była przewidzieć.

Osobiście nie miałam nic przeciwko biednemu Whiffy'emu (Ang. - śmierdzący (wszystkie przypisy od tłumaczki)). Nie pachniał zbyt świeżo, stąd przezwisko, ale jak na kogoś mieszkającego na ulicy miał naprawdę całkiem niezłe maniery. Lepsze niż większość ludzi, którzy nie mieszkają na ulicy. Ilekroć przychodził do naszego sklepu w zachodniej części Londynu - mniej więcej co dwa tygodnie, żeby popatrzeć na zegarki z dewizkami - zawsze z wdziękiem przyjmował filiżankę herbaty i słodką przekąskę, jaką akurat miałam do zaoferowania.

Zapewne istniała możliwość, że inni właściciele sklepów z antykami regularnie częstowali go herbatą i ciastem, więc dokładnie tego samego oczekiwał i od nas. Wydaje mi się to jednak wątpliwe, ponieważ żaden inny sklep z antykami, do którego kiedykolwiek zajrzałam, nie oferował ludziom poczęstunku. My traktowałyśmy w ten sposób wszystkich klientów (czy odwiedzających, bo większość raczej się zaliczała do tych drugich). Uważałam, że na tym polegała nasza odmienność, to nas odróżniało od niezliczonej ilości tego typu sklepów w mieście, prawie identycznych, i nie widziałam powodu, by pomijać Whiffy'ego tylko dlatego, że zazwyczaj żywił się tym, co znalazł w śmieciach.

Niejeden raz widziałam, jak w poszukiwaniu resztek jedzenia rozgrzebywał zawartość wielkiego czarnego pojemnika na końcu Formosa Street, za rogiem, niedaleko sklepu. Tymi samymi grubymi palcami, którymi wyciągał

niedojedzone kanapki, trzymał filiżankę z cieniutkiej chińskiej porcelany, popijając ze mną herbatę. Zastanawiałam się czasem, co sprawiło, że znalazł się w takim położeniu. Może miał gdzieś żonę, która nie mogła zrozumieć, dlaczego pewnego dnia wyszedł po zakupy i nigdy nie wrócił? Córkę, która mijając go w autobusie, odwracała głowę w drugą stronę? Syna, który nie chciał mieć własnych dzieci, ponieważ jego ojciec skończył jako bezdomny?

Z pewnością był kloszardem, co do tego nie miałam wątpliwości, ale trzymał się pewnie na nogach i choć były od niego różne zapachy (a zapewniam, że stanowiły bogaty koktajl), nigdy nie poczułam wśród nich alkoholu. Nie pił, tego byłam pewna, ale czasami zdarzało mu się mamrotać coś niewyraźnie, kiedy oglądał dewizki i breloczki. W takich wypadkach moja współpracowniczka Charlotte sykała głośno „pst, pst” i wyprowadzała go na ulicę, odwracając przy tym twarz, żeby nie wdychać smrodliwych wyziewów. Następnie pędziła do maleńkiej toalety na zapleczu i myła ręce z gorliwością, która wydawała mi się przesadna.

- Słowo daję, Florence - mówiła do mnie karcącym tonem, szorując palce niemal do krwi organicznym mydłem L'Occitane. - Musisz go zapraszać? To sklep z antykami, nie garkuchnia dla ubogich.

Jednak kiedy nie było Charlotte, pozwalałam Whiffy'emu zostać. Było w nim coś, co trącało czułą strunę w moim sercu (zbyt łatwo rezonującą, jak stwierdził kiedyś mój mąż Harry, wprawdzie z sympatią, ale później musiałam sprawdzić to pojęcie w słowniku, by się upewnić, że ma pozytywne znaczenie).

Whiffy patrzył na mnie z taką wdzięcznością, podnosząc elegancko na widelczyku kęs biszkopta do prawie bezzębnych ust, że nie mogłam się powstrzymać i posyłałam mu uśmiech zachęty. Następnie, dopiwszy herbatę, ocierał skołtunioną

brodę brudną chusteczką i skinąwszy głową, z uznaniem opuszczał sklep - a zapach świadczący o zamieszkiwaniu na ławce w Maida Vale jeszcze przez chwilę unosił się za nim w powietrzu.

Cóż, znam ludzi, którzy mają wytworne domy i pachną najlepszymi francuskimi perfumami, lecz nie ocierają kącików ust po jedzeniu i nie kiwają głową z uznaniem dla dobrego biskopka. Jeśli zaś jesteś osobą, która zadała sobie trud i upiekła to ciasto, z pewnością trudno ci uważać ich za ulepionych z lepszej gliny niż Whiffy O'Farrell.

Niestety, tamtego dnia, kiedy nieszczęsny staruszek stracił panowanie nad sobą i rzucił nocnikiem, Charlotte akurat znajdowała się w sklepie. Mieścił się on przy Warwick Place w części Maida Vale zwanej Małą Wenecją. Byłyśmy obie właścicielkami tego interesu (trochę niepewnego, jak teraz sądzę) od prawie dziesięciu lat; pomysł zrodził się po wielu butelkach czerwonego bułgarskiego wina wypitych do kolacji z naszymi mężami, którzy w owym czasie byli młodszymi wspólnikami w tej samej firmie prawniczej w City.

Mąż Charlotte, Martin, wkrótce został pełnoprawnym wspólnikiem w tej firmie i oboje szybko pięli się w górę. Harry natomiast porzucił prawo na rzecz pisania nieznanających wydawcy powieści i szybko obsuwaliśmy się w dół. Mimo to byliśmy szczęśliwi. Albo tak mi się przynajmniej wydawało.

Teraz doskonale rozumiem - a zapewne powinnam była to dostrzec rok lub dwa lata wcześniej - że kiedy Charlotte i ja założyłyśmy Drake Dowling Antiques w latach dziewięćdziesiątych, obie znajdowałyśmy się niewątpliwie na tej samej trajektorii. Jednak wówczas gdy Whiffy zaatakował lustrzaną taflę, zmierzałyśmy już w zupełnie różnych kierunkach.

Nadal kochałam nasz sklep tak jak dawniej, ponieważ pełno w nim było różnych opowieści i historii innych osób. Tak właśnie postrzegałam antyki, to przede wszystkim dlatego mnie interesowały. To miejsce stanowiło skarbiec reliktyw przeszłości obcych ludzi, anonimową kolekcję okruchów minionego czasu. Byłyśmy kustoszami tych skarbów, tak to widziałam, odnawiałyśmy je i chroniłyśmy dopóki ktoś inny nie zabrał ich i nie poniósł w przyszłość. Ci inni też zawsze mieli do opowiedzenia jakieś historie, a nikt nie lubił ich słuchać tak, jak ja.

Tak naprawdę lubiłam te opowieści bardziej niż same antyki, jakkolwiek miałam wielką słabość do pięknej chińskiej porcelany, którą tak ostrożnie trzymał w brudnych palcach Whiffy, kiedy do nas zaglądał. Kochałam ją za delikatność, kolor, urodę i trwałość, ale nade wszystko uwielbiałam komplety do herbaty; te wszystkie dzbanki, filiżanki, spodeczki, dzbanuszki na mleko i starodawne cukierniczki.

Jednak w miarę rozrastania się naszego wspólnego przedsięwzięcia, Charlotte nabierała przekonania, że z tych drobnych przedmiotów nie ma zysku, że powinniśmy się skupić na większych sprzętach i cenniejszych starociach, by móc „rozwinąć interes” i „wejść na bardziej dochodowy rynek”.

Krótko mówiąc, Charlotte chciała więcej zarabiać. Nie do końca potrafiłam to zrozumieć, jeśli mam być szczerą, bo jeśli ktoś potrzebował więcej pieniędzy, to raczej my, ja i Harry. Charlotte i Martin mieli ich już mnóstwo; mieszkali w pięknie wyposażonym i nieskazitelnie utrzymanym domu w Hampstead, jeździli range roverem i kabrioletem audi, posyłali swoje trzy wspaniałe córki do drogich prywatnych szkół i ubierali się wyłącznie w ciuchy od Nicole Farni i Paula Smitha.

Harry i ja posiadaliśmy piękny, choć popadający w ruinę dom w Małej Wenecji, który tygodniami nie widywał odkurzacza, jeździliśmy starym zmęczonym golfem albo autobusem, posłaliśmy naszego jedyne go syna do miejscowego ogólniaka i wkładaliśmy na siebie cokolwiek, co nam wpadło w ręce, jeśli tylko nie rozłaziło się w szwach i nie było poplamione czekoladą.

To nie znaczy, że narzekam. Zawsze uważałam, że my z Harrym nie potrzebujemy więcej pieniędzy. Mieliśmy siebie, Monty'ego i nasz cudowny, choć niszczący dom w Małej Wenecji (okolicy entuzjastycznie nazwanej tak ze względu na dwa, słownie dwa, łączące się szlaki wodne). Przez te dwadzieścia lat, kiedy do nas należał, ceny nieruchomości w Londynie wzrosły niebotycznie, tak więc stał się wart fortunę, ale nawet mi się nie śniło go sprzedawać. Znaczył dla mnie tak wiele. To był mój własny, osobisty okruch przeszłości, wiążący mnie z ukochaną babcią, która zostawiła mi swój dom w spadku.

Tak czy inaczej, Charlotte już od jakiegoś czasu przed incydem z Whiffym O'Farrellem odnosiła się do mnie dość oschle, ponieważ nie mogłam - albo nie chciałam, według niej - wyłożyć trzydziestu tysięcy funtów na wyprawę do Francji w celu zakupu pewnej ilości większych stylowych sprzętów, aby „rozwinąć interes”.

Po pierwsze, nie lubiłam podróżować, a po drugie i ostatnie podobały mi się angielskie antyki. Niech sobie wszyscy inni sprzedają kute żeliwne krzesła ogrodowe, szafy podziurawione przez korniki i ospowate żardyniery. Słowo daję, od jakiegoś czasu nie dało się przejść przez Portobello czy obok straganów na Church Street, nie widząc wokół siebie kawałka Prowansji. Według mnie, jeśli chce się zobaczyć kawałek Prowansji, należy tam pojechać, a nie ciąć ją na plasterki i zapychać nimi Londyn. Tak naprawdę nawet

porcelana z Limoges niespecjalnie mnie interesowała i powiedziałam o tym Charlotte (albo miałam zamiar jej powiedzieć).

Tak czy inaczej, stosunki między nami znacznie się ochłodziły od czasu, gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy o tych trzydziestu tysiącach funtów. Była to dla mnie trudna rozmowa, ponieważ Charlotte wiedziała, że nie mam takich pieniędzy. Zresztą, nawet gdybym cudem znalazła jakieś trzydzieści tysięcy funtów leżące pod sofą albo ukryte między cegłami za kominkiem, przeznaczyłabym je na urządzenie nowej łazienki w domu i zrobiłabym coś z kuchnią, która była naprawdę bardzo antyczna, choć nie w tym pozytywnym sensie.

Tak więc tamtego dnia Whiffy i ja siedzieliśmy sobie przy filiżance herbaty Irish Breakfast i wyjątkowo obfitej porcji ciasta z owocami, kiedy pojawiła się w sklepie Charlotte. Temperatura natychmiast gwałtownie spadła. Nawet dzwonek nad drzwiami - którego ona nienawidziła, a ja go uwielbiałam - zabrzmiał jakoś ponuro, obwieszczając jej nadejście. A zazwyczaj dzwięczał tak radośnie. W wieku trzydziestu dziewięciu lat (byliśmy rówieśnikami) Charlotte wyglądała bardzo pięknie, ale odkąd odkryła botoks, trudniej było odczytać z jej twarzy, w jakim jest nastroju. Dawniej wchodziła z zaciśniętymi ustami i zmarszczonym czołem i od razu wiedziałam, że będą kłopoty. A ostatnio zaskakiwała mnie swoimi wybuchami złości, ponieważ jej twarz pozostawała gładka i nieporuszona.

- Co, u diabła, on tu robi? - rzuciła nieuprzejmie, przechodząc szybko obok gablot ze sztuczną biżuterią i wieczorowymi torebkami haftowanymi koralikami, zwąchawszy - dosłownie - obecność Whiffy'ego.

Na dźwięk jej głosu Whiffy znieruchomiał, podnosząc filiżankę do ust, i wbił wzrok w ścianę za ladą.

- Właśnie pijemy sobie herbatę - zaszcebiotałam, próbując ukryć zakłopotanie wywołane niestosownym pytaniem Charlotte.

- Pozbądź się go natychmiast, bo cuchnie jak rynsztok - warknęła moja współpracowniczka.

Whiffy siedział skamieniały, a ja czułam, jak płoną mi policzki. Choć nie znosiłam kłótni, nie zdołałam utrzymać języka za zębami.

- On tu siedzi, Charlotte - odrzekłam cicho. - I nie jest głuchy. - Tego akurat nie wiedziałam na pewno. - Przepraszam - zwróciłam się do niego, na wypadek gdyby jednak nie był głuchy.

- Nie obchodzi mnie, czy jest głuchy, czy ślepy, czy jest samym Jezusem Chrystusem, Florence. Po prostu go stąd usuń. Ty i ci twoi podopieczni! Na litość boską, to śmieszne!

Jej złość całkowicie mnie zaskoczyła. Co innego okazać niezadowolony i chłód, a co innego się wściekać.

- Podopieczni? - powtórzyłam.

- Prowadzimy sklep z antykami - odparła, a jej głos zabrzmiał jak szczenięcie. - Próbowałam ci to już wcześniej tłumaczyć, ale ty po prostu nie chcesz zrozumieć. To jest cholerny interes, Florence. Chcemy, żeby ludzie przychodzili do nas i kupowali antyki, a nie przesiadywali tu całymi dniami, popijając herbatę i chwając twój najnowszy wypiek.

Popatrzyła z pogardą na mój najnowszy wypiek. Była bardzo szczupła i raczej nie jadała słodczy. Wolała jedzenie bez lukru, co nas od siebie różniło.

W tym momencie dzwonek u drzwi zadzwonił ponownie (mogę zapewnić, że zdecydowanie mniej ponuro) i do środka weszła Marguerite, kolejna nie tyle stała klientka, ile osoba odwiedzająca. Marguerite także nie obchodziły duże bezcenne sprzęty, które by „rozkreśliły interes”. W istocie nie interesowały jej nawet dzbanki na herbatę, cukierniczki czy

dzbanuszki na mleko, ale uwielbiała filiżanki jeszcze bardziej niż ja i przychodziła co dwa tygodnie sprawdzić, czy mamy coś nowego.

- Dzień dobry, Florence - powiedziała. - Jest coś nowego dla mnie? Chyba mam ochotę na jakiś drobiazg z Royal Grafion.

- Są tam, obok wyrobów Wedgwooda - powiedziałam z uśmiechem, wskazując miejsce. Starłam się nie pokazywać po sobie złości na Charlotte. - Zaledwie wczoraj przyszedł serwis do herbaty w cudowny fioletowy wzór.

Następnie odwróciłam się z powrotem do mojej współpracownicy i ścisząc głos, jak tylko się dało, oświadczyłam:

- Piekę ciasta w domu. Robię to, bo lubię. A herbatę sama kupuję, więc nic cię nie kosztuje.

- Ale my nie prowadzimy cukierni, Florence - odparła Charlotte takim samym tonem, jak poprzednio. - Obudź się i poczytaj trochę o ekonomii. Możesz piec ciasta dla rozrywki lub towarzystwa albo z jakiegoś innego powodu, ale ja chcę być traktowana poważnie jako kobieta interesu zajmująca się handlem antykami. Rozumiesz? Nie, oczywiście, że nie rozumiesz. - A ty - odwróciła się do Whiffy'ego, który nadal siedział jak wmurowany, i wyjęła mu z ręki filiżankę ze spodkiem (Royal Albert), krzywiąc się, że musi podejść aż tak blisko - wracaj na ulicę, gdzie twoje miejsce, stary brudasie.

Zachowywała się skandalicznie i nie mogłam puścić jej tego płazem. Jednak zanim zdążyłam zaprotestować, rozpętało się prawdziwe piekło. Zaczęło się, kiedy Charlotte szturchnęła Whiffy'ego łokciem, jak przypuszczam dlatego, by go nie dotknąć gołymi palcami. To go wytrąciło z równowagi i sprawiło, że dostrzegł swoje odbicie we wspomnianym wcześniej lustrze z okresu regencji, wiszącym tuż za mną, nieco po lewej stronie. Widok najwyraźniej przeraził Whiffy'ego. Może nie wiedział, ile ma we włosach papieru

toaletowego... w każdym razie otworzył usta w strasliwym bezgłośnym krzyku, a potem chwycił najbliższy stojący przedmiot, ów nocnik, i cisnął nim w swoje odbicie.

Hałas był niewiarygodny - lustro się rozprysło, rama pękła, nocnik rozpadł się na kawałki, a do tego Charlotte wrzeszczała histerycznie, że zadzwoni po policję. Starłam się ją uspokoić, i szybko złapałam szczotkę i śmietniczkę, żeby zebrać okruchy lustra i skorupy nocnika, podczas gdy Marguerite, niech ją Bóg błogosławi, zdołała jakoś wyprowadzić Whiffy'ego za drzwi, nim jeszcze Charlotte sięgnęła po telefon.

Dwie minuty później w sklepie znów zapanowała grobowa cisza, którą zakłócał jedynie dobiegający z daleka włączony alarm samochodowy, a ja stałam naprzeciw mojej poblądłej współpracownicy.

- Nie mogę tak dużej, Florence - odezwała się Charlotte głuchym głosem. - Przepraszam, że mówię ci to w taki sposób, ale chodziło mi to po głowie od dawna. Myślę, że byłoby najlepiej, gdybyś odeszła.

- Gdybym odeszła? O czym ty mówisz? - Zaczęłam się śmiać, wprawdzie nerwowo, ale Charlotte mi nie zawtórowała. Zamiast tego przeszła mnie stalowym spojrzeniem; jej perfekcyjnie umalowane usta były ściągnięte bardziej niż zwykle.

- Wyrzucasz mnie, Charlotte? Nie możesz tego zrobić. Jesteśmy współpracownikami!

- Współpracownikami? Ja chcę kupować i sprzedawać antyki dla zysku, a tobie całkowicie wystarcza siedzenie i picie herbaty z miejscowymi lumpami i każdym, kto wejdzie z ulicy. Przez ciebie mam związane ręce, Florence, naprawdę. Prawda jest taka, że nie obchodzi cię zysk, trendy, zaopatrzenie, a mnie owszem. Bardzo mnie obchodzi. Nie

chcę być twoją współniczką. Chcę się wycofać. Nie, przepraszam, odwrotnie. Chcę, żebyś to ty się wycofała.

Trudno mi wyrazić, jaka byłam zaskoczona, nie mówiąc już o poczuciu krzywdy. Po pierwsze, byłyśmy z Charlotte przyjaciółkami, bliskimi przyjaciółkami, można powiedzieć. Nie spotykałyśmy się towarzysko tak często jak dawniej, bo Martin ciągle pracował. A nawet kiedy nie pracował, nie bardzo dogadywali się z Harrym, odkąd mój mąż przestał być prawnikiem i zdecydował się zostać pisarzem. Ale byłam matką chrzestną ich średniej córki Abigail, którą kochałam. Zakładałam też, że Charlotte docenia moje podejście do klientów. To nie należało do jej mocnych stron. Ona знаła się na kupowaniu antyków, obrocie towarami. Kierowała się zyskiem. Ja nie, dla mnie najważniejsi byli klienci. A bez klientów niczego byśmy nie sprzedały, ani dużego, ani małego. Czyż to nie znaczyło, że jesteśmy dobrymi współniczkami? Nie znaczyło, że dobrze dzielimy się obowiązkami?

Najwidoczniej nie. Według Charlotte praca była nierówno rozłożona, zbyt wiele spoczywało na jej barkach, a do tego irytował ją mój fatalny zwyczaj pieczenia ciast. Dodała, że obecnie większość transakcji kupna i sprzedaży antyków odbywa się przez Internet, o czym sama bym wiedziała, gdybym wykazała choć odrobinę zainteresowania. Jako współniczka uważała, że moje walory stały się właściwie zbędne. Całkiem zbędne, mówiąc wprost.

Dlatego zaraz po tym, jak Whiffy O'Farrell rzucił wiktoriańskim nocnikiem w lustro z okresu regencji, Charlotte zaproponowała, że da mi trzydzieści tysięcy funtów, żebym odeszła i zostawiła ją w spokoju.

I choć byłam na to zupełnie nieprzygotowana, nie miałam żadnych innych perspektyw i nie czułam się w żaden sposób prawnie zobowiązana, żeby to zrobić, przyjąłam te pieniądze.

Whiffy O'Farrell:

Ludzie myślą, że jeśli wyglądasz w pewien określony sposób lub pachniesz w określony sposób czy też chodzisz w określony sposób lub mówisz w określony sposób albo nie mówisz w określony sposób, albo leżysz na ławce w parku i bawisz się puszczaniem bąków w słońcu, a może powinno być w Słońcu, to nic sobą nie reprezentujesz, ale się mylą. Nie wiem dokładnie, kim byłem i dlaczego teraz tu jestem ani skąd mam tyle brudu pod paznokciami, nie potrafię znaleźć żadnej odpowiedzi na miliony pytań, które tłuką mi się po głowie. Ale wiem parę rzeczy. Wiem, że był dom i były w nim dzieci i ja mogłem być jednym z nich i że był stary człowiek i zegarek z dewizką i mogę zobaczyć ich wszystkich oddzielnie, ale kiedy próbuję połączyć ich w grupę, rozpierzchają się i muszę zaczynać od nowa.

Czasami wydaje mi się, że wiem o przeszłości więcej niż inni, ale wcale nie czuję się dzięki temu lepiej. A czasami nie wiem w ogóle nic i jest mi z tym dokładnie tak samo.

W sklepie z antykami na Warwick Place mieli zegarki z dewizkami i przez długi czas chodziłem tam i oglądałem je na wystawie, dopóki pewnego dnia ciemnowłosa kobieta, która tam pracuje, nie wyszła i nie zapytała mnie, czy nie miałbym ochoty na filiżankę herbaty i kawałek ciasta. Minęło chyba dużo czasu, odkąd ktoś mnie o to pytał, więc nic nie odpowiedziałem, bo straciłem rezon, ale i tak wszedłem do środka i po tym, jak już przyjrzałem się zegarkom, napiłem się tej herbaty i zjadłem trochę ciasta, bardzo dobrego. Ciemnowłosa nie zadawała mi żadnych pytań ani nic, tylko mówiła coś na temat filiżanek do herbaty, a potem wzięła się do odkurzania.

Większość ludzi uważa, że jestem niewidzialny, więc sam też jestem skłonny tak myśleć, ale ta ciemnowłosa pani ze

sklepu z antykami mnie dostrzegą, co było bardzo miłe i zdarzyło się kilka razy. Zawsze dostawałem herbatę i ciasto albo herbatniki, a raz nawet coś kokosowego, co się kruszyło i nie smakowało mi aż tak bardzo, ale to nie znaczy, że nie było dobre, tylko nie aż tak dobre, jak inne ciasta.

Ostatnim razem, jak byłem w sklepie z antykami, zjadłem trochę ciasta z owocami, które też było smaczne, potem jednak ta blondynka, która też tam pracuje, zaczęła krzyczeć i mnie popychać, a ja nie lubię, jak ludzie na mnie krzyczą i mnie popychają. To nie jest przyjemne.

Przykro mi z powodu tej ciemnowłosej pani, bo przestała bywać w sklepie z antykami, chociaż w pewnym sensie to dobrze, bo taka miła kobieta nie powinna musieć pracować z kimś takim, jak ta blondynka.

Taka miła kobieta powinna po prostu robić herbatę i piec ciasta.

Przez jakiś czas wróciłem do oglądania zegarków z dewizkami przez szybę, ale teraz już nie mają ich w tym sklepie. Tylko wielkie kredensy i stoły, które wyglądają jak zrobione przez mnichów.

W mojej rodzinie nieszczęścia zwykle chodzą trójkami. Zawsze tak było.

- Och, Florence, chyba w to nie wierzysz! - wykrzyknął Harry, kiedy przedstawiłam mu tę teorię.

Według niego różne rzeczy, złe czy wręcz przeciwnie, zdarzają się wtedy, kiedy się zdarzają, z najrozmaitszych powodów, i nie mogą być łączone w grupy tylko po to, żeby pasować do moich wyobrażeń. Według Harry'ego złe rzeczy mogły chodzić parami, piątkami lub dziesiątkami.

- A nawet pojedynczo, Floss. Wszystko zależy od tego, kiedy zaczniesz je liczyć i kiedy skończysz.

Oczywiście, ma prawo do własnego zdania, ale po prawie czterdziestu latach spędzonych na tej planecie wiem, że moje osobiste tragedie posiadają rytm, który doskonale rozumiem.

Weźmy choćby taki przykład: w ciągu zaledwie jednego straszego miesiąca tuż po moich szesnastych urodzinach nasz kot został przejechany przez pijanego rowerzystę, papużka otworzyła sobie dziobem drzwi klatki i uciekła, a żółw, który mieszkał w głębi ogrodu od 1972 roku, przeprowadził się na sąsiednią posesję i nie chciał wrócić.

Wkrótce potem powaliła mnie wyjątkowo ciężka grypa, następnie dostałam ospy wietrznej, a skończyło się na zapaleniu wyrostka.

Ledwie doszłam, do siebie po tej serii chorób, w ciągu dwóch tygodni straciłam troje z moich dziadków.

Domowe zwierzęta, zdrowie, dziadkowie; czasami nawet trójki chodziły trójkami.

Dlatego kiedy zostałam wyrzucona z pracy, w której teoretycznie sama byłam swoją szefową, co każdy musiał uznać za nieszczęście, natychmiast doszłam do wniosku, że to dopiero pierwsza z trzech koszmarnych niespodzianek.

Pytanie brzmiało, jaka będzie następna?

Prawie natychmiast pojawiła się - i mogła to być druga naprawdę fatalna spośród złych rzeczy - pędząca biała furgonetka (czy w ogóle bywają jakieś inne?). Wyszłam ze sklepu z czekiem od Charlotte w dłoni trochę otumaniona i patrząc na drugą stronę ulicy, myślałam o tym, jak bardzo nie chce mi się wracać do pustego domu. Harry wyjechał na warsztaty twórczego pisania do Aldeburgha, a nasz dziewiętnastoletni syn Monty przebywał w Australii, spędzając tam na różnych miłych zajęciach rok przerwy w edukacji, który, dzięki Bogu, wkrótce miał dobiec końca. Jeszcze nigdy aż tak bardzo nie tęskniłam za Montym.

W domu czekał tylko Sparky, najsmutniejszy terier na świecie. Gdybyśmy wiedzieli, że nie ma w sobie ani jednej, choćby najdrobniejszej iskiejki wesołości, mogliśmy nazwać go inaczej, ale Monty zawsze chciał psa o imieniu Sparky (Ang. pełen werwy.), więc w końcu ustąpiliśmy i nabyliśmy tego zwierzęcia, Sparky'ego, jak się okazało, o charakterze zupełnie niepasującym do imienia. Najwidoczniej w wieku szczenięcym przydarzyło mu się coś strasznie smutnego, ponieważ był Kłapouchym psiego świata; oczy miał jak dwa oceany rozpaczy, a brwi permanentnie ściągnięte troską. Jeśli ktoś miał ochotę trochę się nad sobą poużalać, Sparky stanowił idealne towarzystwo, ponieważ wprost uwielbiał się przytulać, tak by można było wypłakać wszystkie żale w jego miękkie szare futro. Natomiast jeśli straciło się chęć do życia i potrzebowało otuchy, by przetrwać najgorsze, raczej nie należało patrzeć na pysk Sparky'ego.

To wszystko musiało mi chodzić po głowie, kiedy bezmyślnie weszłam na jezdnię, którą pędziła biała furgonetka. Auto z przeraźliwym piskiem hamulców zatoczyło łuk na jezdni, omijając mnie dosłownie o włos. Kierowca wyładował złość, wciskając klakson; zwolnił na ułamek

sekundy, po czym znów ruszył pełnym gazem, a z okien po obu stronach wyleciał strumień najgorszych przekleństw.

Cofnęłam się na chodnik, serce waliło mi o żebra, w piersi brakło tchu. Nie byłam w stanie zastanowić się, co robić. Wiedziałam tylko tyle, że nie chcę, by Charlotte wyszła ze sklepu - który jeszcze przed paroma minutami należał w połowie do mnie - i zobaczyła mnie kurczowo uczeponą latarni ulicznej, głośno łapiącą powietrze i zlaną potem. Nie było w tym ani krzty dostojeństwa.

Kiedy do mojej świadomości stopniowo dotarły dźwięki żwawej melodii śpiewanej przez dziewczęcy zespół, a zaraz potem poczułam zapach świeżo nalanego piwa, odwróciłam głowę i zajrzałam w otarte drzwi pubu Warwick Castle, znajdującego się tuż obok naszego sklepu. Postanowiłam odzyskać tam swoją godność, choć domyślałam się, że puby niezupełnie do tego służą.

Lekko drżącym głosem zamówiłam u wytatuowanego barmana dzin z tonikiem, jednocześnie starając się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z siedzącym obok pijakiem w średnim wieku, mocno wstawionym mimo południowej pory.

Chwyciwszy swojego drinka, przeszłam do niewielkiej słonecznej wnęki przy głównym barze. Ku swemu zaskoczeniu pod lustrzaną reklamą piwa Pale & Burton ujrzałam Marguerite.

Siedziała przy małym stoliku zastawionym dzbankiem z herbatą i dwiema filiżankami. Nawet nie wiedziałam, że w pubie Warwick Castle można zamówić herbatę. Z całą pewnością nigdy nie widziałam, by ktoś spośród rozgadanego tłumu wylewającego się na chodnik w letnie niedziele w porze lunchu popijał herbatę. Z tego, co wiem, klienci woleli rozprawiać o przegranych meczach piłki nożnej, wychylając kolejne kufle jasnego piwa.

Marguerite pomachała, jakby czekała na mnie, więc nie pozostawało mi nic innego, tylko do niej podejść.

- O mało nie zostałam przejechana przez furgonetkę - oznajmiłam, drżącą ręką odsuwając sobie krzesło. - Słowo daję, cała się trzęsę. Mam okropny dzień. Bardzo mi przykro z powodu tego, co zaszło w sklepie i bardzo ci dziękuję za wyprowadzenie Whiffy'ego. Tak na niego mówimy, na tego gościa, który rzucił nocnikiem. Właściwie teraz przyszło mi do głowy, że to nieładnie tak go nazywać, ale nigdy nie powiedział, jak ma na imię, co nie znaczy, że go nie pytałam. No i naprawdę nie pachnie najładniej. Poza tym Sinead, nasza cudowna pani od sprzątanania - a właściwie dziewczyna - uznała, że wyglądał jak pan O'Farrell, który mieszkał naprzeciwko niej, kiedy była mała. Niemniej jednak... Tak, sklep. Słuchaj, Marguerite, będziesz musiała wybaczyć Charlotte, ona nie zawsze jest taka. Po prostu ostatnio żyje w wielkim napięciu. Oczywiście, to jej nie daje prawa... No cóż, tak czy inaczej okazuje się, że to nie ma znaczenia. Ja już nie... My już nie. Tak. Cóż. Nigdy tu nie zaglądałam... Ładnie tu, prawda? Zatem na razie mamy jedną złą rzecz.

Gadałam zupełnie bzdury. Zdarzało mi się to czasami w chwilach wyjątkowego zdenerwowania, ale widziałam, że Marguerite wcale się tym nie przejmuje. Po prostu podsunęła w moją stronę jedną z filiżanek.

- Dla ciebie - powiedziała z uśmiechem.

- Dla mnie? - Zaczęłam protestować, jednak nie chciała słuchać, więc odstawiłam swojego drinka i pociągnęłam łyk herbaty. Tak naprawdę nie lubię dzinu z tonikiem i widząc przed sobą herbatę, nagle nabrałam na nią wielkiej ochoty. Następnie opowiedziałam, już nieco spokojniej, o tym, co zaszło między mną a Charlotte, kiedy Marguerite i Whiffy opuścili już sklep. Ze wstydem muszę przyznać, że trochę się nawet rozkleiłam. Pewnie przez ten incydent z furgonetką, a

może dlatego, że czułam się wyrzucona z pracy. Wszystko to wydawało się takie obrzydliwe. Dlaczego Charlotte w ten sposób mnie potraktowała? Czemu jej na to pozwoliłam? I dlaczego kierowcy furgonetek nie zachowywali prędkości czterdziestu kilometrów na godzinę na wąskich uliczkach?

Nie znałam zbyt dobrze Marguerite i kiedy tak gadałam, nagle do mnie dotarło, że ta kobieta jakoś dziwnie się zachowuje, czego wcześniej nigdy nie zauważyłam. Kiedy opowiedziałam jej o moich zgryzotach, uśmiechnęła się z taką miną, jakby była w transie. Następnie wzięła moją filiżankę, zanim zdążyłam dopić herbatę do końca, zamieszała resztkę bursztynowego płynu, kołyszając naczyniem, i wylała na talerzyk. Cierpiałam katusze, ale rzecz jasna, uprzejmość nie pozwalała mi nic powiedzieć. Nic na ten temat, bo nie miałam żadnych oporów przed dalszym paplaniem o antykach, karierach, mężach, synach, wysokościach czesnego na uczelniach i rachunkach za prąd.

- Wiesz, Florence... - Marguerite położyła mi dłoń na ramieniu, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. - Muszę ci powiedzieć, że to będzie najlepsza rzecz, jaka ci się kiedykolwiek przydarzyła!

- Słucham?

Wierciła się na krześle, aż drząc z podniecenia, które wydawało się zupełnie nie na miejscu. Nie wyglądała na narkomankę, lecz tego nigdy nie można być pewnym.

Widząc moją minę, w widoczny sposób przywołała się do porządku.

- Popatrz, to wszystko jest w twoich fusach - powiedziała i znów objawiając gorączkowe ożywienie, pokazała mi wnętrze filiżanki z fusami poprzyklejanymi do porcelany. - Oczywiście nie jest to najlepsza filiżanka do wrózenia, wolałabym bardziej smukłą i niezbyt bogato zdobioną. Te

fioletowe, które mi pokazywałaś, świetnie by się nadawały. Ale na razie ta wystarczy.

- Wróżysz z fusów? - spytałam, starając się ukryć niedowierzanie.

- Owszem - potwierdziła. - To moja mała tajemnica. Prawdę mówiąc, już w sklepie dostrzegłam oznaki zmian w twoich fusach, ale nie miałam okazji przyjrzeć się im z tak bliska. Z fusów większości ludzi da się wyczytać zmiany w takiej czy innej formie, w twoim jednak wypadku chodzi o duże zmiany, a dziś już wiem dokładnie jakie.

- Wiesz?! - Wyjąkałam zbyt zaskoczona, żeby dopuścić do głosu sceptycyzm.

- Wiem. - Była tak zadowolona z siebie, że jej stan mi się udzielił, mimo że ta kobieta zapewne oszalała i należało ją zamknąć. Nie wyglądała jednak na szaloną. Przeciwnie, zawsze sprawiała wrażenie cudownie poukładanej. Nawet kiedy była w ciąży z bliźniaczkami, wyglądała jak supermodelka. Tego dnia dziewczynki zapewne zostały w domu z nianią, a Marguerite wyglądała równie olśniewająco jak zwykle. Długie jasne włosy opadały jej na ramiona luźnymi puklami; miała na sobie różowy lniany płaszczyk, a pod nim zwiewną sukienkę w kwiaty. Wyglądała na mniej szaloną niż ja. I była zdecydowanie lepiej ubrana.

- Co dokładnie widzisz? - spytałam, opierając się na tych spostrzeżeniach. - Widzisz, jak Charlotte wylewa mnie z pracy?

- Cóż, niezupełnie. Zobacz, pokażę ci. - Przesunęła filizankę z powrotem w moją stronę i wskazała na jedną z herbacianych grudek. - To jest dom - powiedziała, a ja w duchu przyznałam, że grudka ma prostokątny kształt i nie można całkiem wykluczyć, że przypomina dom. - Wysoki dom, może dwupiętrowy - ciągnęła. - Często widuję zwyczajne domy, lecz ten jest szczególny. Po obu stronach

rosną ogromne drzewa. Są też nietypowo wysokie drzwi, widzisz, sięgają prawie do drugiego piętra? - Przekreśliła lekko filiżanką. - Dom i drzwi to jedno, ale spójrz tutaj, Florence. Widzisz młotek?

Kiedy zmrużyłam mocno oczy prawie mi się udało. Przytaknęłam, na co ona znów obróciła filiżankę.

- A tutaj... och, to takie podniecające, Florence... tu jest imbryk, widzisz dzióbek? Widać bardzo wyraźnie. A obok, zauważyłaś różę?

Dzióbek to może jeszcze udałoby mi się dojrzeć, ale róża przekraczała moje możliwości. Prawdę mówiąc, przestałam nawet widzieć młotek. Miałam wrażenie, że to bardzo dużo rzeczy jak na jedną filiżankę.

- I co to wszystko oznacza? - zapytałam Marguerite.

- Oto, co oznacza: mamy dom, twój dom, jak sądzę. Na zewnątrz rośnie duże drzewo albo w pobliżu jest las i niedaleko stamtąd do jeziora... nie, to się nie zgadza, bo przecież mieszkasz w Londynie, prawda? Nie może być lasu ani jeziora. Masz w pobliżu jakiś zbiornik wodny? Nie, pewnie nie. - Spojrzała z namysłem przez otwarte drzwi pubu, ponad stertą beczek z winem i donicami z żywoczerwonym geranium obok wejścia; jej śliczne rysy wykrzywił grymas niezadowolenia. - Właściwie to wygląda całkiem jak tamten dom - powiedziała, wskazując na drugą stronę ulicy. - Ten z wielkimi jesionami na podwórku i wspaniałym drzewem od frontu. Dziwne. Grand Junction, połączenie obu kanałów jest gdzieś niedaleko, prawda? Hmm, może mi się coś poplątało.

- Ale ja właśnie tutaj mieszkam, Marguerite - przyznałam speszona.

- Co masz na myśli? Gdzie?

- W tamtym domu po drugiej stronie ulicy.

- Naprawdę?

- Owszem. Właśnie tam.

- Z jesionami na podwórku i tym innym drzewem od frontu?

- Nazywa się bożodrzew - wyjaśniłam. - Pokochałam to drzewo, odkąd babcia powiedziała mi, jaką nosi nazwę. Uznałyśmy to za niesamowicie romantyczne, że takie drzewo rośnie tuż przed progiem jej... a obecnie mojego domu.

- A niech mnie! - wykrzyknęła Marguerite. - Cudownie!

- Cóż, nie ma się czym zbytnio zachwycać, bo jeżeli w ciągu następnych pięciu minut nie znajdę innej pracy, zamieszka tam ktoś inny, a ja i moja niczego niepodejrzewająca rodzina wylądujemy w przytułku dla ubogich i będziemy jeść wodnistą zupę - odrzekłam, mając jednakowoż nadzieję, że takie przytułki już nie istnieją, a jeśli nawet, to wyżywienie znacząco się w nich poprawiło od czasów Olivera Twista.

- Nie bądź niemądra - skarciła mnie Marguerite, choć nie wydawało mi się, żebym to ja była tą niemądrą.

Ostatecznie to ona wróżyła z fusów. To, że wybrała mój dom, było trochę przerażające, o ile wcześniej nie wiedziała, że właśnie tam mieszkam. Nie mogłam sobie jednak przypomnieć, żebym jej kiedykolwiek o tym wspominała. Rzadko mówiłam ludziom, gdzie mieszkam, ponieważ zakładali, że jesteśmy bogaci, i zapraszali nas do różnych miejsc, do których nie mogłam iść, bo nie miałam w co się ubrać.

- W takim razie mów dalej - powiedziałam nagle zachęcona.

- Cóż, w świetle tego, co się stało - podjęła - według mnie fusy mówią, że drzwi do antyków zamknęły się dla ciebie. Florence, ale to nie ma znaczenia, bo nigdy nie miałaś do tego serca.

Od dawna tak mi się wydawało, lecz z czasem jakbym o tym zapomniała, choć pewnie właśnie to miała na myśli

Charlotte. Harry zawsze mi powtarzał, że nie jestem typem osoby, która realizuje w życiu jakieś ambicje. Prawda była taka, że zadowalała mnie praca w sklepie, do którego musiałam tylko przejść przez ulicę, więc nigdy nie brałam pod uwagę, że mogłabym robić coś innego. I co w tym złego? Zadowolenie z życia to i tak więcej, niż większość ludzi jest w stanie osiągnąć.

- Twoje serce wydaje się podobne do mojego - mówiła Marguerite. - Jest oddane herbacie. Drzwi, które teraz się dla ciebie otwierają, to drzwi imbryka. Nie, nie patrz tak, Florence. Zaraz to wszystko nabierze sensu.

Cóż, lubiłam się napić herbaty jak każdy, może nawet bardziej, bo interesowały mnie filiżanki, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, jakie drzwi mógłby przede mną otworzyć imbryk, żebym chciała przez nie przejść.

- Młotek odgrywa tu istotną rolę - ciągnęła Marguerite - ponieważ oznacza siłę, ale może też oznaczać budowanie. W połączeniu z domem, nietypowo wielkimi drzwiami i imbrykiem... Wiesz, co według mnie będziesz robić?

- Proszę, mów śmiało - ponagliłam. Może czekała mnie przyszłość w rozbijaniu imbryków.

- Myślę, że zamienisz ten dom po drugiej stronie ulicy, z wielkimi jesionami i bożym drzewkiem, we własną herbaciarnię, Florence. Myślę, że odnajdziesz swoją drogę, podając ludziom herbatę i ciasto, co już dotąd świetnie ci wychodziło. Tyle że nigdy nie uważałaś tego za pracę.

Cóż, może nie miałam serca do antyków i może rzeczywiście lubiłam herbatę i ciasto, ale żeby robić z tego życiową karierę? I to na własnym podwórku, że tak powiem? To było szaleństwo, nawet ja to widziałam, a mogłam być pewna, że Harry z Montym się ze mną zgodzą. A Sparky może uniesie brew ze zdziwienia.

- Tylko jedno mnie zastanawia - powiedziała z zadumą Marguerite, nim zdążyłam wyrazić swe wątpliwości. - Róża. Zasadniczo róże odnoszą się do serca, co w kontekście kariery może oznaczać pójscie za głosem serca. Mam jednak bardzo mocne poczucie, że w tym przypadku róża oznacza różę. Czy róże mają dla ciebie jakieś szczególne znaczenie, Florence? Jesteś ogrodniczką?

Nie, nie byłam. Nie udawało mi się utrzymać przy życiu fikusa i nigdy w życiu nie wyhodowałam róży. Nie przypominam sobie nawet, czy kiedykolwiek mi jakąś ofiarowano. Róże nie miały dla mnie żadnego szczególnego znaczenia. Absolutnie żadnego.

Już miałam to powiedzieć Marguerite, gdy nagle poczułam dziwne mrowienie, zapowiedź, że zaraz coś się zdarzy. Zaczęło się od palców u nóg, stopniowo objęło nogi, tułów, potem ramiona, a skończyło w głowie pod oczami, wlepionymi w dom stojący po drugiej stronie ulicy.

Mogłam nie umieć powiedzieć, do czego nie mam serca, ale dobrze wiedziałam, gdzie jest moje serce: w tym domu. Spędziłam w nim najszcześniejsze chwile dzieciństwa. Wychowałam w nim ukochanego syna Monty'ego, patrzyłam, jak wyrasta na najlepszego chłopca, jakiego może sobie życzyć każda matka, ale moje serce tkwiło w tym domu na długo przed Harrym czy Montym.

W końcu to tutaj mieszkała uwielbiana przeze mnie babcia, która kochała mnie tak bardzo, że zostawiła mi go w spadku.

Na imię miała, oczywiście, Rose.

Marguerite:

Mówiono mi, że jestem ostatnią osobą, po której można by się spodziewać, że wróży z fusów, a tu proszę.

Moja matka miała ten dar od zawsze, jej matka także, i najwidoczniej matka matki również. Wcale nie jesteśmy podobne do Cyganek, czego ludzie zdają się oczekiwać, chociaż pamiętam, że mama miała kiedyś spódnicę o cygańskim wzorze. Oczywiście spódnica pochodziła z kolekcji Yvesa St Laurenta i kosztowała fortunę.

Tim, mój mąż, wywraca oczami, ilekroć widzi, jak zaglądam komuś do filiżanki z chińskiej porcelany, lecz w naszym wspólnym życiu zdarzyło się dość rzeczy, które wcześniej przewidziałam, by uwierzył, że jednak coś w tym jest. Ostatecznie to fusy mi powiedziały, gdzie go znaleźć.

Jestem urzędniczką w banku komercyjnym, a raczej byłam, zanim urodziłam nasze bliźniaczki, Lily i Georginę. Bardzo mi brakuje pracy, odkąd siedzę w domu z dziewczynkami. Dlatego uwielbiam chodzić do Drake Dowling, żeby się napić herbaty z Florence, pogadać z każdym, kogo tam zastanę, i zobaczyć, jakie mają nowe filiżanki.

Najlepsze do wrózenia są te z najszlachetniejszej chińskiej porcelany; powinny mieć klasyczny kształt i łagodnie zaokrągloną podstawę, bo wtedy fusy swobodnie osiadają na bokach. Powinny być białe, kremowe albo jasne, a im mniej ozdób w środku, tym czytelniejszy widok.

Filiżanki w Warwick Castle wydawały się dalekie od ideału, szczerze mówiąc, były lekko wyszczerbione i w gatunku typowym dla cateringu, a mimo to zobaczyłam przeznaczenie Florence całkiem wyraźnie, a jej nowa przyszłość miała się rozpocząć niemal natychmiast.

Byłam z tego powodu niezmiernie podekscytowana, ponieważ według mnie ta kobieta nie nadawała się do handlu antykami ani do pracy z kimś takim jak Charlotte, która jest twardą bizneswoman i ma przed sobą wielką karierę w jakimś dużym domu aukcyjnym, co zresztą pasuje do niej bardziej niż

sklep ze starociami na bocznej uliczce. Tak czy inaczej, w głębi duszy wiedziałam, że herbaciarnia Florence jest faktem dokonanym, naprawdę to czułam, zwłaszcza kiedy mi powiedziała o swojej babci. Wróżenie było w tym wypadku jak czytanie z nut. Wcześniej tylko raz czy dwa razy poszło mi tak dobrze, więc czułam się bardzo przejęta.

Była tylko jedna czarna chmura, o której nie wspomniałam, bo Florence i tak miała dość przykrości tego dnia. Po lewej stronie uszka filiżanki, przed domem, co oznacza, że to zdarzy się wcześniej, dostrzegłam serce. A raczej dwie części serca pękniętego pośrodku.

Nie potrzeba żadnego specjalnego daru, by się domyślić, co to może oznaczać.

Zanim poznałam Harry'ego, miłością mojego życia była babcia Rose.

Matka mojej matki odeszła pierwsza w tej tragicznej serii, kiedy jako nastolatka straciłam niemal jednocześnie troje dziadków. Byłam tak załamana, że przez kilka tygodni bez przerwy płakałam w szorstką jutową poduszkę. Wszyscy okazywali mi zrozumienie, zakładając, że mój stan bierze się z szoku po śmierci trzech bliskich osób w tak krótkim czasie, ale szczerze mówiąc, nie potrafiłam wykrzesać z siebie wiele żalu po dziadkach ze strony ojca, skoro wcześniej straciłam Rose. To po niej tak rozpaczałam. Po wspaniałej, pięknej, niezastąpionej, uwielbianej Rose.

Nie zrozumcie mnie źle, dziadzio Phil i babcia Mary, rodzice ojca, też byli cudowni, mimo zapachu naftaliny (ona) i okropnych włosów w nosie (on), ale Rose była wyjątkowa. Wszystko w niej uwielbiałam. Pachniała świeżo wypraną pościelą i jaśminem, zawsze miała nieskazitelną fryzurę, nigdy się nie spóźniała, wprowadziła mnie w świat słodkich babeczek i bitej śmietany i należała do mnie, bez reszty, wołała mnie od mojej uroczej rudowłosej młodszej siostry Poppy, co nigdy się nie zdarzało, i sama ustanowiła się moim żyjącym aniołem stróżem.

A potrzebowałam anioła stróża, możecie mi wierzyć, w każdym razie tak myślałam, co pewnie na jedno wychodzi. Przez większość życia, nawet kiedy byłam bardzo mała, uważałam, że moi rodzice przywieźli ze szpitala nie swoje dziecko. Że zostałam omyłkowo zamieniona z maleństwem jakiejś innej, bardziej konserwatywnej pary. Moi rodzice byli hippisami i nie żebym sądziła, że to coś złego, ale już jako kilkulatka byłam dość prostolinijna, więc wydawali mi się trochę obciachowi i pewnie druga strona myślała tak samo.

Podobnie jak wielu młodych ludzi odkrywających w latach sześćdziesiątych uroki własnoręcznego wyrobu tofu, mama i tata pochodzili z szacownej klasy średniej. Kiedy się poznali, ona była wykwalifikowaną pielęgniarką, a on studiował księgowość na uniwersytecie, choć raczej o tym nie mówili, bo oba zajęcia zapewne wydawały im się zbyt trywialne. Z tego, co mi wiadomo, mama pierwsza odkryła marihuanę i wolną miłość podczas któregoś wieczoru przesyconego ciężkim zapachem olejku paczuli, a on jak niewolnik podążył za nią. Jak wielu neofitów, podjęli rolę powtórnie narodzonych hippisów z gorliwością, której często brakowało tym urodzonym po raz pierwszy. Moja matka miała tak długie włosy pod pachami, że z pewnością brała pigułki, żeby szybciej rosły. Natomiast mój ojciec nigdy nie nosił bielizny i nie zauważał dziur w dżinsach.

Ja byłam z zupełnie innej gliny. Wcale nie chciałam taka być. Po prostu tak wyszło i już.

Błagali mnie, żebym mówiła im po imieniu, Beth i Archie, ale ja chciałam mieć mamusię i tatusia.

Ubierali mnie w zgrzebne ciuchy i dawali mi do zabawy drewniane klocki, a ja marzyłam o różowych falbankach i lalkach Barbie. Oni uwielbiali poprawne politycznie bajki i własnoręcznie wypiekany twardy jak beton chleb z pięciu rodzajów zbóż, ja lubiłam sitcom o rodzinie Bradych i białe pieczywo. Ja marzyłam o wyjściu za mąż i noszeniu jednoczęściowego opalacza w lecie, oni nie wierzyli w instytucję małżeństwa (choć sami się pobrali - zdjęcia były bardzo zabawne) i wykorzystywali każdy pretekst, żeby zrzucić z siebie kostiumy kąpielowe i paradować nago.

Narodziny Poppy cztery lata po moich musiały im przynieść wielką ulgę - wreszcie pojawiła się ich prawdziwa córka. Nie żebym czuła do niej niechęć, ani trochę, ponieważ Poppy była i nadal jest najmilszą istotą na świecie. Po prostu

chętnie godziła się na wszystko, wybawiając mnie w ten sposób z trudnej sytuacji. Sprawiałam mojej matce wielkie rozczarowanie, odmawiając ssania jej piersi w wieku siedmiu miesięcy - przestępstwo równoznaczne z jedzeniem hamburgerów i afiszowaniem się z tym w jej świecie - podczas gdy spolegliwa Poppy pozwoliła, by ją karmiono matczynym mlekiem do czwartego roku życia. Moim zdaniem nie tylko z poczucia obowiązku, ale nikt mnie o zdanie nie pytał.

Tak więc moi rodzice, ze swoją filozofią „rób własnoręcznie swoje masło orzechowe i ubieraj się do tego w poncho”, myśleli, oczywiście z czułością, że jestem dziwolągiem. Moja babcia Rose tak nie uważała. Rozumiała mnie. Po prostu mnie rozumiała, a dla dziecka to wielkie szczęście mieć wśród dorosłych kogoś, kto je w pełni rozumie i daje mu pewność, że to dobrze, że jest takie, a nie inne. Weźmy na przykład moje imię. Rodzice ochrzczili mnie Florence przekonani, że zostałam poczęta w tym najbardziej romantycznym z włoskich miast. W owych czasach było to dość awangardowe imię, jakkolwiek musieli bezustannie wyjaśniać, że zostałam tak nazwana nie na cześć jakiejś ciotki starej panny, tylko szalonego miłosnego maratonu w hotelu Caravaggio przy Piazza Indipendenza. Niemniej jednak, kiedy skończyłam pół roku, znajomi, z którymi spotkali się we Włoszech, przypomnieli im, że tak naprawdę spóźnili się wówczas na samolot. Wtedy sobie uświadomili, że moje początki wiążą się raczej z damską toaletą na lotnisku Luton. Po ujawnieniu tej wpadki odstąpili od nazywania mnie Florence, przerzucając się na Flower lub Effie; żadnego z tych dwóch imion nie lubiłam, mimo iż z pewnością oba były lepsze od Ladies' Loo at Luton Airport (z pewnością skrącanego do Lula, które wszyscy by pokochali, gdyby dostali na to choćby cień szansy).

Mając trzy lata, powiedziałam babci Rose, że nie lubię, kiedy ktoś na mnie woła Flower czy też Effie. Chciałam, żeby nazywano mnie Florence, bo tak brzmiało moje imię. Babcia przyznała, że to lepszy wybór, i oznajmiła, że skoro już jesteśmy przy temacie, to nie bardzo jej odpowiada „babcia”, więc prosi, bym zechciała być tak miła i nazywała ją Rose. To była pierwsza prawdziwa rozmowa w moim życiu.

Musiało to strasznie zirytować moją biedną matkę, zważywszy że do niej nie chciałam się zwracać po imieniu. Jednakże w moich oczach Rose nie mogła zrobić nic niewłaściwego.

To Rose zabierała mnie do Hamleya i kupowała zabawki, bo moi rodzice ich nie cenili, Rose sprawiła mi parę robionych na zamówienie czerwonych szpilek, po tym jak mama dała mi na urodziny brązowe ortopedyczne sandały. Rose pozwalała mi piec ciasta z białej mąki (zakazanej w naszym domu) według przepisów z jej rozlicznych książek kucharskich. Wreszcie Rose pozwalała mi urządzać proszone herbatki dla lalek w jadalni i dawała prawdziwą czarną herbatę zamiast listków uskubanych w ogrodzie, a także filiżanki od najlepszego chińskiego serwisu.

Jako nastolatka, kiedy tylko mogłam, odwiedzałam ją w domu naprzeciwko Warwick Castle. Mieszkałam z rodzicami w walącym się budynku na Primrose Hill, pomalowanym na psychodeliczne kolory i umeblowanym głównie wielkimi poduchami. Żywiliśmy się fasolą mung i sami przyrządzaliśmy jogurt, tyle że w przeciwieństwie do prawdziwych hippisów robiliśmy to nie z przymusu, lecz z wyboru. Tata może nie chwalił się swoim ekonomicznym wykształceniem, ale niewątpliwie miał pewne zdolności i niemało szczęścia, bo po cichu sporo zarobił, grając na giełdzie. Mieliśmy centralne ogrzewanie, nową bieliznę, dobrego fryzjera i ubezpieczenie. W ogródku na tyłach domu

były grządki z warzywami i kompostownik, ale mniej więcej na tym kończyła się nasza samowystarczalność. Powiedziałam, że dom się walił, chociaż on raczej wyglądał, jakby się miał zawalić. Wymagał uwagi od zewnątrz (farba na parapetach się łuszczyła, a bluszcz rósł bujnie, wciskając się w każdą szczelinę), ale w środku wszystko działało bez zarzutu, a kiedy coś się zepsuło, natychmiast wzywany był odpowiedni fachowiec.

Niestety w naszym domu brakowało spokoju i to pod wieloma względami. Jaskrawe kolory krzyczały ze ścian, poduszki z indyjskiej bawełny zaścielały podłogi od ściany do ściany, bez przerwy pojawiali się niezapowiedziani goście, a z gramofonu nieprzerwanie płynęła muzyka. Nowoczesna, nerwowa, niemelodyjna. Poppy czuła się w tym świetnie. Była małą dziewczynką, która dawała się nieść prądowi. Ja natomiast wynosiłam się do Rose.

Jej dom był przeciwieństwem domu moich rodziców, spokojny i uporządkowany nawet z wyglądu. Miał trzy poziomy i ceglana fasadę otynkowaną na delikatny kremowy kolor. Zbudowano go w stylu georgiańskim, z wielkimi oknami; z tyłu znajdował się cudownie zarośnięty ogród, a od frontu żwirowy podjazd. Jedynym elementem zaburzającym symetrię - a ja kochałam symetrię, wprost miałam na jej punkcie obsesję, ku tym większemu zakłopotaniu moich rodziców - była pudełkowata w kształcie dwudziestowieczna przybudówka na parterze od strony Warwick Place.

Frontowe okna wychodziły na śliczny niebieski most Westbourne Terrace Road i migotliwą, jak zawsze o niej myślałam, tafłę wody w miejscu, gdzie Regent's Canal łączy się z Grand Union Canal. Uważałam ten widok za najpiękniejszy na świecie.

Mała Wenecja, usytuowana pomiędzy Maida Vale i Paddington, w niczym nie przypominała tej dużej, ale dwa

szlaki wodne z kolorowymi łódkami i brukowane trasy spacerowe nadawały jej urok, jakiego nie dało się znaleźć w żadnej innej części miasta.

Regent's Canal toczył swe wody z Małej Wenecji na wschód do Limehouse, gdzie wpadał do Tamizy, Grand Union natomiast zmierzał meandrami do Birmingham na północy. Te dwa kanały spotykały się przed naszym domem, tworząc wielki akwen z maleńką wysepką Browninga pośrodku, malowniczo porośniętą płaczącymi wierzbami. Jak głosiła legenda, poeta Robert Browning mieszkał w tej okolicy, i podobno to jemu Mała Wenecja zawdzięcza swoją nazwę, co wydaje się możliwe, zważywszy na jej poetycki charakter.

Dawno temu kanały stanowiły ważny dla całego Londynu szlak transportowy, potem jednak nastąpiła epoka szybkich białych furgonetek, jakkolwiek wersja oficjalna mówi, że przed nimi pojawiły się ciężarówki i kolej. Łodzie obecnie były jedynie uroczym dekoracyjnym dodatkiem. Tak czy inaczej, mój pradziadek kupił dom w 1920 roku, kiedy eleganckie osiemnastowieczne rezydencje po obu stronach kanału wyprzedawano za bezcen. Będąc lekarzem, wzniósł pudełkowatą przybudówkę, która mieściła jego gabinet, a mój dziadek, również lekarz, także z niej korzystał, tyle że w latach sześćdziesiątych ją „zmodernizował”.

Mój dziadek i Rose musieli się chyba szukać w tak wielkim budynku, lecz w porównaniu z moim ten dom wydawał się wymalowaną na odcień złamanej bieli oazą spokoju i za to go kochałam.

Wszystko tu było na swoim miejscu, a to miejsce nigdy się nie zmieniało. Kiedy pojawiałam się z dłuższą wizytą, Rose przykładła wielką wagę do posiłków, jako że u mnie w domu w ogóle się nimi nie przejmowano, najwidoczniej uznając je za nienaturalny, archaiczny obyczaj. Było to

źródłem wielu spięć pomiędzy moimi rodzicami i babką, oraz mną, skoro już o tym mowa.

U Rose jadaliśmy kolację w jadalni o siódmej, śniadanie w kuchni o ósmej, lunch w ogrodzie - jeśli pogoda na to pozwalała - o wpół do pierwszej po południu, a jeśli same czegoś nie piekłyśmy do herbaty, a zazwyczaj piekłyśmy, to wychodziłyśmy, żeby zjeść na mieście ten najbardziej wytworny z posiłków.

Chodziłyśmy do Ritza, do Simpsona na Piccadilly, do Fortnuma i Masona, do Harrodsa. W moje dziesiąte urodziny Rose zabrała mnie do Claridge'a, gdzie podano nam na srebrnej tacy stertę przekąsek wielkości pojedynczego kęsa i mnóstwo herbaty, nalewanej sprawnie z wielkich dzbanków przez nienachalną, a jednocześnie troskliwą obsługę. Eleganckie wnętrze w stylu art deco i panująca w nim nieco uwodzicielska atmosfera wydały mi się szczytem dorosłego wyrafinowania.

W moje dwunaste urodziny piłyśmy herbatę w Dorchester, w dwunaste w Savoyu, w trzynaste powróciłyśmy do Claridge'a, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest naszym faworytem (był, więc udałyśmy się tam również w moje czternaste i piętnaste urodziny).

Bardzo ceniłam te zaproszenia, ale też doceniałam picie herbaty z babcią w domu. Kiedy jeszcze żył mój dziadek Cecil, czekałyśmy na niego z Rose w salonie, obserwując przez okno wchodzących i wychodzących pacjentów, zgadując, co też im może dolegać. Temblaki i kule łatwo było zauważyć, ale panowie, którzy wbiegali na schody, biorąc po dwa stopnie naraz, oraz panie, które po wizycie w podskokach mijały bożodrzew i przechodziły na drugą stronę ulicy, dawały nam do myślenia na długie godziny.

- To może być trąd - mówiła Rose łagodnym głosem. - Sądząc po tym, jak się zasłaniała swoim wielkim płaszczem.

- Albo szkarlatyna - odpowiadałam. Bardzo mi się podobał pomysł ze szkarlatyną. - Może oślepnąć i ogłuchnąć tak jak Helen Keller, po tym jak zachorowała na szkarlatynę. Pewnie zaraz się to stanie.

Punktualnie o trzeciej wchodził mój dziadek, a Rose nalewała mu herbaty i podawała talerz z domowymi przysmakami, pośród których zawsze znajdowało się kilka herbatników Rich Tea, jedynych słodczy, jakie w ogóle brał do ust. Moja matka była jedynaczką, do tego zbuntowaną, i trzymała się od rodziców na dystans, więc w późniejszych latach życia dziadkowie właściwie mieli tylko siebie nawzajem. Wprawdzie nie pamiętam, by Cecil powiedział choć słowo, ale pamiętam, jak patrzył na Rose, i to wystarczyło, by wiedzieć wszystko.

Kiedy zmarł, prawie dziesięć lat wcześniej niż pozostała trójka, babcia zachowała spokój, za który tak ją kochałam. Przeżywała żałobę, ale dyskretnie. Nie dla niej płacze, zawodzenia i buddyjskie śpiewy, jakie odbywały się na Primrose Hill, chociaż mama rzadko odzywała się do swojego ojca, kiedy żył. Nie, Rose cierpiała w ciszy. Już jako dziecko potrafiłam wyczuć jej ból i samotność, ale ów smutek nie przytłaczał ani jej samej, ani nikogo innego.

Jedno tylko zastanawiało mnie w związku ze śmiercią dziadka. Rose miała piękną kolekcję chińskiej porcelany, głównie Royal Doulton, z której słusznie była dumna, a większość elementów tego zbioru wybrał i kupił dla niej mój dziadek. Od czasu jego pogrzebu Rose mieszała filiżanki i spodeczki z różnych kompletów, robiła to uparcie i bez słowa. Gdy się przypadkiem zdarzyło, że filiżanka trafiała na „swoją” spodeczek, pochylała się i dokonywała zamiany. Kiedy ją zapytałam, dlaczego to robi, uśmiechnęła się tylko i lekko wzruszyła ramionami.

Te zabiegi z mieszaniem zestawów wiele o niej mówiły, ponieważ stanowiły zaskakującą wyrwę w okrywającym ją pancerzu ogłady. Rose była konserwatywna, aż do odrobiny dziwactwa, chyba podobnie jak ja. Prawdopodobnie dzięki temu nie byłyśmy śmiertelnie nudne. Mama, tata i Poppy prędzej by sobie wydlubali oczy szydełkami do dziergania makram, niż przyznali, że mają w sobie choćby uncję konserwatyzmu. W ich przypadku liczyło się wyłącznie dziwactwo. Mama i tata byli dziwakami z wyboru, rzecz jasna, ponieważ wciąż jeszcze buntowali się przeciwko swemu wychowaniu, natomiast dziwactwa Poppy przychodziły jej całkiem naturalnie.

To nie znaczy, że są jakimiś okropnymi ludźmi, na Boga, wręcz przeciwnie. To cudowni ludzie. Naprawdę cudowni. Wszyscy ich kochają, ją też i to głęboko. Pod pewnymi względami jesteśmy i zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy.

Mniej bliscy, jak mi się zdaje, od czasu gdy wszyscy troje wynieśli się z miasta i zamieszkali w Tannington Hall, tudoriańskiej posiadłości w Suffolk, gdzie mama i tata zastanawiali się nad uprawą organicznych zbóż, a Poppy im w tym pomagała. Tata wciąż trochę się wstydził swojej zamożności, ale wszystko wskazywało na to, że potrafi zarabiać pieniądze nawet przypadkiem, dokonując inwestycji, które wszyscy (łącznie z nim) uważali za szalone, a po pięciu latach okazywały się najlepszym interesem od czasu krojonego chleba. Rzecz w tym, że tak naprawdę nie potrzebowali uprawiać organicznych zbóż, więc poprzestawali na mówieniu, tymczasem rozkoszując się urokami wiejskiego życia.

We trójkę tworzyli idealny układ; nigdy nie nudziło ich wzajemne towarzystwo ani przewlekłe dyskusje na temat bezsensowności wegetariańskich skwarek. Jeśli zawsze marzyliście o posiadaniu rodziny, która przy obiedzie toczy

niekończące się rozmowy o przekłuwaniu warg i zjadaniu łożyska, byliby idealni. Jeśli wychodzicie ze skóry, żeby wyrazić każde najdrobniejsze odczucie, nawet tak małe, że prawie niezauważalne, nikt nie nadawałby się lepiej. Jeśli lubicie szokować, bingo! Moi rodzice uwielbiają być szokowani. Najlepsze, co w ich oczach może zrobić córka, to przebiec nago przez boisko do krykieta podczas meczu albo uciec z domu, by przyłączyć się do trupy cyrkowej. Moja koleżanka ze szkoły Bettina Malone zrobiła jedno i drugie; pierwsze po wypiciu zbyt wielu piw w pubie Washington, drugie, gdy zakochała się w instruktorem zonglowania prowadzącym zajęcia fakultatywne z wuefu. Moja matka płakała z zazdrości. Bo ja uczyłam się pilnie do egzaminów, zamiast wyruszyć w świat starym gratem udekorowanym jak choinka. Jak ja mogłam?

Będąc grzeczną nastolatką, miałam poczucie, że zawiodłam swoich rodziców, ale też wiedziałam, że jestem światłem życia dla Rose i dzięki temu wszystko było w porządku. Szkoda, że nie miałam pojęcia, że opuści mnie tak szybko, padając łupem raka, który zabrał niemal jednocześnie troje moich dziadków. (Nie używaliśmy słowa „rak”. Chociaż moi rodzice mieli zwyczaj omawiania wszystkiego obszerniej, niż to było konieczne, po tym kiedy już odbyły się wszystkie pogrzeby, to słowo nigdy więcej nie padło w naszym domu. Nazywano tę chorobę odrą. I nawet to określenie wymawiano tylko szeptem).

Kilka miesięcy przed śmiercią Rose byłam bardzo zajęta: albo siedziałam nad książkami i wkuwałam, albo spędzałam czas ze swoim chłopakiem Harrym, w którym byłam szaleńczo zakochana, lecz nie uprawiałam z nim seksu, mimo że moi rodzice uważali, iż powinnam.

Przed moimi szesnastymi urodzinami, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że Rose jest chora, choć w istocie zostało jej

zaledwie parę miesięcy życia, poprosiłam ją, żebyśmy zrezygnowały z naszej tradycyjnej wyprawy na popołudniową herbatę do Claridge'a i zamiast tego poszły na „Indianę Jonesa i Świątynię Zagłady” do kina Odeon na Leicester Square. Po filmie męczyłam się z wysmażonym na podszewkę kawałkiem trudnego do rozpoznania mięsa w knajpie Angus Steak House za rogiem.

Niełatwo być mięsożerną córką zdeklarowanych wegetarian, tylko że zapewne poszłam o krok za daleko w przeciwną stronę. Myślę, że Rose spodobał się dziwnie podany kawałek jagnięciny, aczkolwiek prawdopodobnie była to dla niej jedyna atrakcja tego popołudnia; pokazała klasę, zachowując się tak, jakby nie wyobrażała sobie przyjemniejszego sposobu na spędzenie dnia urodzin. Nie pamiętam, żeby przełknęła choć jeden kęs steku (jeśli to był stek), miała natomiast wiele miłych rzeczy do powiedzenia o Harrisonie Fordzie.

Kiedy umarła, zadręczałam się myślą, że zmarnowałam te ostatnie urodziny, odwołując nasze wspólne wyjście do Claridge'a. Jak mogłam być tak samolubna? Mogłyśmy jeszcze raz ucztować, jedząc kanapki z ogórkiem, babeczki i maleńkie ciasteczka podawane na eleganckich paterach, a ja zamiast tego wolałam się ślinić, patrząc na cholernego Harrisona Forda. Nienawidzę go od tamtej pory. Omal mi żyła nie pękła, kiedy porzucił żonę i związał się z Ally McBeal.

To, że Rose zostawiła mi swój dom, przyprawiało mnie o mdłości. Cierpiałam katusze na samą myśl, że miałabym mieszkać tam bez niej. Przytłaczały mnie wspomnienia owych wszystkich cudownych chwil, jakie spędziłyśmy razem; nie mogłam ich znieść, dlatego powiedziałam tacie, żeby pozbył się tego domu, sprzedał go albo komuś oddał. Oczywiście zupełnie zignorował moje polecenie, bo nic tak nie cieszy człowieka pozującego na hippisa, jak gromadzenie

nieruchomości w częściach Londynu, które kiedyś w końcu muszą się stać modne.

Dom był wynajmowany przez wiele lat, a ja bardzo długo nie mogłam nawet tamtędy przejeżdżać. Tata namówił mnie, żebym przynajmniej korzystała z pieniędzy za wynajem, kupiliśmy więc mieszkanie w Notting Hill i spłacaliśmy hipotekę. Jednak pewnego dnia, kiedy Monty był jeszcze bardzo mały, obudziłam się po jakimś szczególnie bezsensownym i zarazem męczącym śnie, w którym pojawiły się gigantyczne filiżanki z Disneylandu, Rose oraz góra czekolady, i odczułam potrzebę zobaczenia mojego spadku. Przyszłam piechotą z Notting Hill, wioząc Monty'ego w wózku, i usiadłam na kamiennym murku obok przystani dla łodzi od strony Delamere Terrace, skąd miałam doskonały widok na okno, z którego szpiegowaliśmy pacjentów. Nadal brakowało mi Rose i myślałam o niej codziennie. Czasami zdarzało mi się wyczuć cień jej delikatnego zapachu od przechodzącej obcej osoby albo zobaczyć, jak jakaś kobieta przygląda srebrny kok, i natychmiast ogarniał mnie znowu tamten smutek, równie gwałtowny jak wtedy, gdy straciłam babkę.

Jednak tamtego wiosennego popołudnia, spoglądając na dom Rose, widziałam nas obie, jak pokazywałyśmy coś przez okno i wymyślałyśmy różne historie. Niemal czułam okruchy kawowego ciasta przyklepione w kącikach ust i nagle ogarnęło mnie szczęście, jakie czułam, siedząc na babcinej sofie od Sandersona, częstując się śmietanką z któregoś ze ślicznych dzbanuszków i zastanawiając się głośno, czy pani z ogromnymi biodrami i grubymi kostkami ma skorbut, czy też jest w ciąży i będzie miała pięcioraczki.

Tamtego wiosennego popołudnia, z powodów, których nie rozumiałam ani wtedy, ani teraz, wspomnienia przestały nagle być bolesne i stały się cudownie radosne. Jakby ktoś pstryknął

przełącznikiem w mojej emocjonalnej skrzynce z bezpiecznikami. Rose odeszła i nie mogłam jej odzyskać, co było smutne, kiedyś jednak żyła i nikt nie mógł wymazać pamięci o niej, co było wspaniałe. Upływający czas odebrał mi młodość, a dał męża i dziecko i, pożałuj Boże, karierę - po części recepcjonistki, po części sprzedawczyni - ale nic i nikt nie zdołał mi odebrać chwil, które spędziłam z Rose. Należały do wieczności. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy, może po prostu musiałam dorosnąć, a może tak działa żaloba, ale siedząc tam wówczas, poczułam, jak mój smutek staje się lżejszy. Monty wygryzał dziury w jabłku, zostawiając na miększym ślad spiczastych ząbków i gulgotał na widok przelatujących ptaków; obraz Rose zniknął z okna na piętrze, ale w moim umyśle pozostał jasny i czysty jak ten wiosenny dzień.

Wróciwszy do domu, zaproponowałam Harry'emu, żebyśmy sprzedali nasze mieszkanie w Notting Hill i przenieśli się do dużego domu w Małej Wenecji. Od tamtego dnia wspomnienia o Rose już nigdy nie były smutne. Zbierałam zapamiętane wydarzenia, lecz zamiast jak wcześniej upychać każde po kolei w pudełku, żeby oszczędzić sobie bólu zrodzonego ze świadomości, że babci już nie ma, rozwieszałam je w głowie jak bożonarodzeniowe światełka, żeby w mroczniejsze dni móc wszystkie zapalać i w ten sposób czuć przy sobie jej obecność.

Dzień, kiedy zostałam wyrzucona z własnego sklepu, z pewnością należał do tych mrocznych.

Straciłam pracę, przyjaciółkę, lustro i nocnik w czasie, jakiego trzeba do zaparzenia dzbanka herbaty. Dalsze dni nie mogły się stać jeszcze bardziej ponure.

Tak przynajmniej sądziłam.

Rose:

Moja droga Florence

Znalazłam przepis na tort sułtański dziś rano, kiedy robiłam wiosenne porządki w kuchennym kredensie, i nie mogłam się doczekać, żeby Ci o tym powiedzieć. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że wyleciał z mojej starej książki kucharskiej, ale przypuszczam, że został napisany przez moją babcię, ponieważ miała szczególny sposób pisania litery „s”, tak że wyglądała jak „f”, więc w istocie wygląda to jak przepis na tort fułtański, a nie sułtański. Pamiętam, jak go razem robiłyśmy, kiedy byłam mała, choć nie mam pojęcia, skąd wzięłyśmy jajka i cukier. Tak czy inaczej, pomyślałam, że Ci o tym powiem, ponieważ według tego przepisu należy namoczyć rodzyнки w zimnej herbacie Irish Breakfast, a potem je ugotować i dodać do masy tortowej. Nie sądzisz, że to doskonały pomysł? Miałabyś ochotę wypróbować ten przepis w przyszłym tygodniu? Mogłam zaczekać, aż się spotkamy, i wtedy zaproponować, ale chciałam Ci życzyć powodzenia na egzaminach, moja mądra dziewczynko. Mam nadzieję, że nauka idzie Ci dobrze.

Przekaż pozdrowienia rodzinie i Harry 'emu.

Rose

Wróciwszy do domu po tej strasznej scysji z Charlotte i dziwnym doświadczeniu z Marguerite, nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić, więc w końcu postanowiłam się wyciągnąć na naszym wielkim, miękkim łóżku z mosiężną ramą; Sparky z grobową miną ułożył się obok, a ja próbowałam odtworzyć w wyobraźni jeden z tych szczęśliwych momentów z Rose.

Leżałam z zamkniętymi oczami, usiłując jeszcze raz przywołać obraz nas obu, jak wyglądamy przez frontowe okno i odgadujemy choroby pacjentów dziadka. Widziałam Rose, widziałam siebie, sofę od Sandersona, a także ogródek przed domem, ale nie zaludniali go wychodzący z gabinetu ludzie, wsiadający do swoich samochodów marki Triumph 2000, jak było przez tamte minione lata. Zamiast nich zobaczyłam bladożółte róże i inne kwitnące krzewy. Pośród nich znajdowały się stoliki nakryte ładnymi lnianymi obrusami. Stały na nich piętrowe patery uginające się pod obfitością czekoladowych eklerków, tart owocowych, biszkoptów, maślanych herbatników, babeczek, maleńkich zapiekanych przekąsek i „zamykanych” kanapek, a także dzbanki z herbatą, filiżanki i dzbanuszki na mleko najróżniejszych rodzajów. Przy stolikach siedziały osoby o dziwnie niewyraźnych twarzach; jedna z nich miała na sobie top od Vivienne Westwood, który poprzedniego dnia widziałam w czasopiśmie „Vogue”. To byli współcześni, zdrowi ludzie, a nie cierpiący pacjenci dziadka z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. I dobrze się bawili. Niemal słyszałam brzęk łyżeczek o filiżanki i widelczyków o talerzyki z resztkami ciasta.

To, na co patrzyłam, na pewno nie należało do przeszłości. Czym zatem było?

Znów poczułam owo dziwne mrowienie obejmujące stopniowo coraz wyższe partie ciała, by w końcu zaniknąć gdzieś pod oczyma, które natychmiast same się otworzyły.

Usiadłam, odsuwając od siebie jak zawsze zboląłego psa. Ci ludzie z mojej wyobraźni pili herbatę w ogródku przed domem. Mówiąc ściślej, podawano im herbatę w ogródku przed moim domem. Wszystko wskazywało na to, że w istocie uważają nasz frontowy ogródek za herbaciarnię. Czyżby rzeczywiście była jakaś prawda w tym, co Marguerite zobaczyła w fusach herbacianych?

Ta myśl wydawała mi się niedorzeczna.

Ale też był w niej jakiś dziwny sens.

Z leciutkim dreszczem podniecenia zaczęłam się zastanawiać, czy trudno byłoby zamienić ten dom, który tak kochałam, w herbaciarnię. Zapewne nie aż tak trudno jak w wypadku zwykłego domu, ponieważ ten budynek przez osiemdziesiąt lat mieścił w sobie gabinet lekarski.

Kuchnia znajdowała się na pierwszym piętrze, tuż przy reprezentacyjnym salonie; spędzaliśmy tam z Harrym większość czasu, kiedy oboje akurat byliśmy w domu, podobnie jak wcześniej Cecil i Rose.

Natomiast na parterze, w pomieszczeniach wykorzystywanych na potrzeby praktyki lekarskiej, była mała kuchenka, niewielka łazienka i dwa duże pokoje; w jednym Monty zwykle oglądał telewizję, a drugiego używaliśmy z Harrym jako gabinetu. Podwórko za domem, uroczo (według mnie) zarośnięte zielenią, miało swoje własne wyjście na Warwick Place. Rose i ja korzystałyśmy z niego w godzinach pojawiania się pacjentów dziadka, a potem wychodziłam tamtędy do pracy, kiedy jeszcze ją miałam, czyli aż do dzisiejszego dnia, albo kiedy wybierałam się gdzieś pieszo, bez samochodu, który stał zaparkowany od frontu. Chodzi mi o to, że nasz dom miał dwa odrębne wejścia. To od frontu służyło pacjentom... i mogło służyć gościom, a to drugie, tylne, nam.

W czasach dziadka wybrukowany placyk przed domem stał pusty, żeby mogły na nim parkować samochody, ale odkąd zaczęliśmy wynajmować dom (a tym bardziej odkąd się wprowadziliśmy), królowały tam chwasty. Nadal można było dostrzec kostkę brukową, jeśli się odpowiednio wyteżyło wzrok, ale sam placyk nie był nam do niczego potrzebny, więc nic z nim nie robiliśmy. Poppy nie mogła znieść takiego zaniedbania i któregoś weekendu, pokrzepiona zapiekanką z soczewicy, zasadziła polne kwiatki wokół brzegów i między kamieniami. Nie zmieniło to naszego podejścia do tej części ogródka, ale odtąd ten kawałek wyglądał znacznie ładniej, choć przechodzący ulicą ludzie w eleganckich strojach często patrzyli nań z dezaprobatą i kręcili głowami.

Tak się składa, że oboje z Harrym jesteśmy beznadziejnymi ogrodnikami. Mnie wszystko marniało w rękach, a jego nic nie obchodziło. Oboje byliśmy bardzo niepraktyczni w sprawach dotyczących naszego obejścia. Ja gotowałam i właściwie na tym się kończyło, Harry umiał sprzątać, w zasadzie jednak nie sprzątał i nigdy nawet nie udawał, że ma zadatki na majsterkowicza; nie potrafił wyprostować obrazka na ścianie, nie mówiąc już o umocowaniu obluzowanej klamki czy naprawieniu zacinającego się okna.

Takie rzeczy albo pozostawały niezrobione, albo brał się do nich mój ojciec, który udawał majsterkowicza, chociaż także nim nie był. W rezultacie dom, choć ogólnie czysty, bo w końcu jednak trochę w nim odkurzałam, pod innymi względami podupadł. Na obu klatkach schodowych tapety odchodziły od ścian i zwijały się wdzięcznie, wykładzina była wytarta w bardziej uczęszczanych miejscach, łazienka nie przypominała tych ze zdjęć w czasopiśmie wnętrzarskich, szafki kuchenne wymagały odmalowania, a kuchenka wymiany (nie tylko dlatego, że była brązowa). Z jednej strony

dom prosił się o gruntowny remont, z drugiej jednak kochałam te tapety, wykładzinę i kuchnię, niegdyś pomalowaną na kolor kości słoniowej, odkąd uciekłam do nich od żywych fioletów i oranży Primrose Hill.

Kiedy Monty miał mniej więcej czternaście lat, pozwoliłam mu wymalować swój pokój w czarno - białe pasy, co stanowiło jedyną namiastkę remontu. Obecnie owa czerń miała odcień ciemnej szarości, a biel była miejscami przybrudzona, ale Monty wykonał dobrą robotę, lepszą, niż mógłby wykonać jego ojciec lub ja.

Zaimponował mi tym, że dokładnie wiedział, czego chce, i że było to coś niezwykłego. Mój syn to prawdziwy skarb.

Pomyślawszy o nim, zsunęłam się z łóżka i zeszłam na dół, żeby sprawdzić skrzynkę mejlową.

Monty od przeszło dziewięciu miesięcy przebywał w Australii i miał stamtąd wrócić za kilka tygodni. Bardzo za nim tęskniłam, ale trzymałam się ścisłej instrukcji, żeby nigdy tego nie okazywać. „Jeśli kiedyś zmienisz się w jedną z tych strasznych bab, które twierdzą, że syn jest ich najlepszym przyjacielem, to cię zabiję”, ostrzegł mnie Monty przed wyjazdem. „Powinnaś mieć najlepszych przyjaciół w swoim wieku”.

I rzeczywiście, nie był moim najlepszym przyjacielem. Był nim Harry. Ale Monty był najlepszym wszystkim pozostałym.

Ryzykując, że zabrzmiałoby to jak słowa kobiety, którą inne matki mają ochotę zdzielić po głowie zamrożonym kurczakiem, muszę powiedzieć, że był dzieckiem, o jakim można marzyć. Zaczęło się od łatwego zajścia w ciążę, kiedy miałam dwadzieścia lat, a potem moje ciało samo, jakby za sprawą magii wróciło do wcześniejszego kształtu. Potem patrzyliśmy z zachwytem, jak nasz mały skarb je chętniej niż inne dzieci, śpi więcej niż inne dzieci i obdarza swym

cudownym uśmiechem każdego, kto ma szczęście znaleźć się w pobliżu.

Wszyscy lubili Monty'ego jako malucha, ucznia, nastolatka, w każdej roli. Nawet nigdy nie miał pryszczycy, Ani przykrego zapachu. Ani napadów złości. Wiem, że rodzice zawsze uważają, że ich dzieci są najlepsze na świecie, dotyczy to nawet potworów, które w wolnym czasie wrzucają wróble do ognia i hodują na głowie irokezy, ale Monty naprawdę przerastał pod każdym względem większość ze swoich rówieśników. Świadczyło o tym każde świadectwo szkolne.

Ma się rozumieć, było mi cholernie ciężko pozwolić mu wyjechać na drugi koniec świata, gdzie na ulicach roi się od krokodyli i tych głupich kapeluszy z korka, ale Monty był rozsądnym, godnym zaufania, dobrym chłopcem. Powtarzałam sobie, że jest kowalem własnego losu. Tak jak Rose wierzyła we mnie, ja wierzyłam w Monty'ego. Nasz syn miał w sobie dużo pewności siebie. Skoro chciał jechać i odkryć siebie po drugiej stronie świata, chociaż skończył dopiero osiemnaście lat, znaczyło to, że właśnie tego potrzebuje i nikt nie powinien mu stawać na drodze, nawet matka. W zasadzie. Po pierwszym wybuchu.

Leżałam w łóżku i wypłakiwałam się w poduszki przez tydzień po jego wyjeździe, ale przynajmniej poszewki nie były z szorstkiego materiału, a kiedy Sparky wpadł w głęboką depresję z mojego powodu, poczucie winy kazało mi wstać i wziąć się w garść.

Z początku Monty przysyłał mejle niemal codziennie - prawdę mówiąc, aż się obawiałam, że brak mu tam oczekiwanej przygody - ale w miarę jak podróżował po Australii, pracując jako barman w Darwin, ogrodnik w Perth i kamerdyner w Sydney (on, który w życiu nie podniósł ręcznika z podłogi? Nigdy nie twierdziłam, że jest idealny), korespondencja straciła na intensywności. W ostatnich

miesiącach mieliśmy szczęście, jeśli dotarło do nas parę linijek tygodniowo. Był gdzieś w pobliżu granicy Nowej Południowej Walii i Queensland; pracował w jakimś uzdrowisku położonym w lesie deszczowym. Miał utrudniony dostęp do Internetu, jak nam powiedział, ale za to bawił się jak jeszcze nigdy w życiu.

Powtarzałam sobie, że to najlepsze, czego można chcieć dla swoich dzieci: żeby się dobrze bawiły tak często, jak tylko im się uda.

Włączyłam komputer, ale przyszła tylko garść irytujących żartów od mojej matki, która wkroczyła w erę technologii informatycznej z całym swym hippisowskim entuzjazmem i doprowadzała mnie do szaleństwa, przysyłając długie listy dowcipów w rodzaju „dlaczego ogórki są lepsze od mężczyzn” i tym podobnych.

Rozważałam właśnie odpisanie jej, co powinna zrobić ze swoimi ogórkami, kiedy usłyszałam, że drzwi wejściowe się otwierają i dotarł do mnie stłumiony szum ruchu drogowego dochodzący ze skrzyżowania.

- Floss? - To był Harry; wołał mnie dziwnym niepewnym głosem, jakby tak naprawdę nie chciał usłyszeć odpowiedzi. - Floss, jesteś w domu?

Skąd wziął się w domu mój mąż? Miał wrócić z Aldeburgha dopiero za dwa dni. Zamrugałam z oczyma wlepionymi w ekran komputerowy; w mojej skrzynce nie było wiadomości od Monty'ego i wiedziałam równie dobrze jak wiem to, że biała czekolada nie jest prawdziwą czekoladą i nie powinna nawet być tak nazywana, że następne nieszczęście zmierza w moją stronę.

- Floss? - zawołał Harry jeszcze raz, tym samym dziwnym tonem. Słyszając warkot samochodów przejeżdżających przez most i wycie syreny policyjnej w tle,

mogłam odgadnąć, że mój mąż nadal stoi w otwartych drzwiach.

Monty, pomyślałam, czując lód w sercu. Coś się stało Monty'emu.

Nagle utrata mojej głupiej pracy wydała mi się zupełnie nieważna. Cios był podstępny i bolesny, ale poza tym, że omal nie weszłam pod rozpedzony samochód, nic mi się nie stało. Chodziło tylko o moją karierę. To było znacznie gorsze. Krew mi się ścięła, nogi zaczęły ciążyć, nie mogłam wstać z krzesła. Próbowałam się poruszyć. Próbowałam oddychać miarowo. Udało mi się wydobyć z siebie zduszony pisk.

Usłyszałam, jak frontowe drzwi się zamknęły, a buty Harry'ego zastukały o wytarty parkiet. Jeden krok zabrzmiał ciszej, bo mój mąż przeszedł przez chodnik w korytarzu, a następnie do gabinetu wpadł powiew chłodnego powietrza.

- Floss, tu jesteś. Nie słyszałaś, jak cię wołałem?

Kochałam Harry'ego Dowlinga od dnia, kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, czekając na autobus linii 268. Mieliśmy wtedy po czternaście lat; ja dopiero co obchodziłam czternaste urodziny, on za trzy miesiące miał skończyć piętnasty rok. Był wysoki i przystojny, jak niektórzy chłopcy w tym wieku, ale jakby nie do końca tego świadomy, co sprawiało, że nie onieśmiał aż tak bardzo dziewczyny takiej jak ja, niezbyt pewnej siebie, lecz mimo to potrafiącej dostrzec jego walory. Stał przy krawężniku, w obciachowym szaliku okręconym wokół szyi, i miał długie czarne rzęsy, za którymi jakby trochę się chował, ale nie był w stanie ukryć dołeczka w lewym policzku, widocznego, kiedy się uśmiechał. A tamtego ranka uśmiechał się cudownie, do mnie, aż poczułam, że ziemia przestała się kręcić. Przez moment byliśmy tylko we dwoje w całym Wszechświecie.

Brzmi głupio, ale to prawda. Tak to przynajmniej pamiętam. I z całą pewnością nigdy więcej tak się nie czułam.

Wyobrażałam sobie, że coś takiego może się człowiekowi przytrafić tylko raz w życiu. A może zdarzyło się po raz pierwszy i potem człowiek już się nie spodziewał niczego takiego? Nie wiem, ponieważ po tym, gdy poznałam Harry'ego, nigdy nawet nie spojrzałam na innego faceta, nawet kiedy Eddie Carmichael, kapitan pierwszej piętnastki, wyznał mi swe niegasnące uczucie po trzech kieliszkach rumowego ponczu na przyjęciu po ukończeniu szóstej klasy. A był Eddie Carmichael fantastyczny. Ale nie, ja byłam zapatrzona wyłącznie w Harry'ego.

Od samego początku, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, jakieś siedem minut po tym, gdy go zauważyłam, myślałam, jakie mam szczęście, że żadna inna dziewczyna nie zgarnęła mi go sprzed nosa. W tamtych czasach trudno byłoby nazwać mnie łakomym kąskiem, ale Harry był łakomym kąskiem, wszyscy to widzieli. Przystojni, mili, dowcipni faceci są rzadkością, nie tylko w kręgu nastolatków, lecz w każdym środowisku. Już sam fakt, że wolał mnie wysoką i tyczkowatą jak na czternastolatkę od tych wszystkich niższych wyzywających blondynek czekających na 268 - a stało ich tam zadziwiająco dużo - świadczył o moim szczęściu. Z biegiem lat zaręczyliśmy się, potem wzięliśmy ślub, wprowadziliśmy do mieszkania, mieliśmy Monty'ego, przenieśliśmy się do naszego domu, a ja nigdy nie utraciłam poczucia, iż miałam szczęście, że go znalazłam. Myślałam sobie, że niewielu to się przytrafia. Przez „to” rozumiałam nie tyle samo szczęście, ile świadomość, że się je ma, a to dwie różne rzeczy, ponieważ czasami można być szczęśliwym i o tym nie wiedzieć. Zazwyczaj kiedy patrzyłam na Harry'ego, wiedziałam i czułam się po prostu wybranką losu.

Jednak nie tego dnia. Harry stał blady, ręce miał opuszczone wzdłuż ciała, dłonie zaciśnięte w pięści. Coś było mocno nie w porządku. W tym momencie nie mogłam się

czuć wybranką losu. Przeżyłam moment przerażenia. Wszystko we mnie przemieniło się w galaretę.

- Chodzi o Monty'ego? - spytałam, głośno wciągając powietrze; odsunęłam krzesło pod ścianę, przygotowując ciało na fizyczny ból, którego zapowiedź wyczuwałam już przez skórę. - Coś się stało? Jest ranny? Nie żyje?

- Floss, proszę cię, nic z tych rzeczy - odpowiedział już spokojniejszym, bardziej poważnym tonem. Harry nigdy nie pisał. - Nie chodzi o Monty'ego. Nic mu nie jest. Naprawdę. Nie chodzi o niego. Florence, spójrz na mnie. - Spojrzałam. - Nie chodzi o Monty'ego. Nie o niego. Chodzi... chodzi o mnie. Florence... musimy porozmawiać.

Nie trzeba oglądać wielu filmów, by wiedzieć, że zwrot „musimy porozmawiać” zdecydowanie nie wróży dobrze, ale byłam do tego stopnia skupiona na uldze, tym starym dobrym uczuciu, które wypełniło mnie po brzegi, że nie zwróciłam uwagi na tę jakże istotną wskazówkę.

- Jesteś pewien? Naprawdę nic mu nie jest? Och, Harry, proszę cię, powiedz, że jest cały i zdrowy.

- Już powiedziałem. Jestem pewien. Naprawdę nic mu nie jest. Nie chodzi o Monty'ego. Słowo daję, Florence, że ma się dobrze. Nie chodzi o Monty'ego.

Pamiętam, pomyślałam wtedy, że skoro nic strasznego nie przydarzyło się naszemu synowi, to o cóż złego może chodzić? Moje serce wróciło na swoje miejsce, krew zaczęła znów normalnie krążyć po ciele.

Idąc za Harrym do kuchni, pomyślałam, że ma rację, rzeczywiście musimy porozmawiać. Musiałam mu powiedzieć, że właśnie otrzymałam trzydzieści tysięcy funtów, ale ta wiadomość nie jest do końca dobra. Zastanawiałam się, czy będzie zły. Wydało mi się to mało prawdopodobne. Zawsze był mi wdzięczny, że zachęciłam go do porzucenia zawodu, którego nie znosił, choć był w nim

dobry, i zajęcia się pisaniem, które kochał, choć nie zarobił na nim jeszcze ani pensa. Potrzebowaliśmy moich dochodów, jakkolwiek czasami mizernych, żeby płacić rachunki, a bez nich musieliśmy podjąć jakieś kroki, żeby uzyskać płynność finansową. Może Harry mógłby napisać powieść trafiającą w gust większej liczby czytelników, a na początek jakiegoś wydawcy? Bardziej zbliżoną do twórczości Johna Grishama czy Dana Browna niż zdobywców Nagrody Bookera? Wydaje mi się, że te sugestie znalazły się w jednym czy dwóch wielu listów odmownych, jakie otrzymał, ale zawsze brałam stronę męża, bo w niego wierzyłam. Zawsze. Nalewając wodę do czajnika i włączając gaz, uświadomiłam sobie, że nigdy właściwie nie zależało mi na pieniądzu. Mogliśmy żyć fasolą z puszki i londyńskim smogiem, byle Monty był cały i zdrowy.

Mam wrażenie, że zdobyłam się nawet na słaby uśmiech, kiedy usiedliśmy po przeciwnych stronach sosnowego stołu, który dziadkowie Harry'ego podarowali nam w prezencie ślubnym, i mąż wziął mnie za rękę.

Do tego czasu zdążyłam zapomnieć, że Harry wrócił wcześniej z kursu, żeby mi coś powiedzieć, bo rozpiekała mnie radość, że nasz syn żyje i ma się dobrze, i prawdopodobnie jedynie usuwa zwłoki kangura z przedniego zderzaka terenówki, a nie leży pod nią w kałuży krwi.

- Rzecz w tym, że Charlotte mnie wylała - powiedziałam, nim Harry miał możliwość się odezwać. - Whiffy rzucił nocnikiem w lustro z okresu regencji wiszące za ladą i rozbił je, a wtedy powiedziała, że ma mnie dość, bo przeszkadzam jej w rozwinięciu interesu i nie chce mnie już jako współpracownicy. Zaoferowała mi trzydzieści tysięcy funtów, żebym odeszła, więc wzięłam te pieniądze, Harry, i przez jakiś czas myślałam, że to pierwsza ze złych rzeczy - wiem, że w to nie wierzysz, ale mimo wszystko - i wiem, że powinnam się z

tobą naradzić, ale chodzi o to, że według mnie nie miałam wyboru, jeśli wiesz, co mam na myśli, zwłaszcza że Charlotte załatwiła to w taki sposób. Potem nagle przestało mi się to wydawać takie straszne, ponieważ Marguerite zobaczyła te niesamowite możliwości w filiżance po herbacie w Warwick Castle.

Harry przyglądał mi się z otwartymi ustami i bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

- Wiem, że to żadna fortuna - ciągnęłam - ale zawsze znacząca kwota, a skąd mielibyśmy wziąć pieniądze? Pomyślałam - po rozmowie z Marguerite, to się może z początku wydawać szalone, ale wcale takie nie jest - że moglibyśmy wykorzystać tę gotówkę na urządzenie na parterze... herbaciarni! Pomysł może się wydawać trochę księżycowy, ale kiedy jedne drzwi się zamykają, inne się otwierają, a rury i wszystko, co trzeba, już tam jest, jest miejsce, a poza tym możemy wystawić stoliki i krzesła do ogródka. Teraz, kiedy mam czas, żeby się nad tym zastanowić, nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na spędzenie dnia niż...

Harry wciąż na mnie patrzył, a na jego twarzy stopniowo pogłębiał się wyraz przerażenia.

- To nie jest taki zły pomysł - powiedziałam tonem zachęty.

A może jest? Już sama nie wiedziałam. Nie przemyślałam tego zbyt dobrze. Po prostu wydawało mi się, że to ma sens. Wtedy tak mi się wydawało. Albo wkrótce potem. Teraz nie byłam już taka pewna.

- Może będziesz musiał trochę popracować, Harry, ale niezbyt długo - ciągnęłam bezmyślnie. - Jestem pewna, że herbaciarnia przyniesie dochód, pod warunkiem że nie będziemy wydawać więcej niż mamy, i oczekiwać, że pieniądze przyjdą z dnia na dzień. Pomysł, że nigdzie dookoła

nie ma tego rodzaju przyzwoitego lokalu, nie licząc barki za mostem, ale ona jest mała i można tam dostać tylko jajka i parówki, a ja chciałabym podawać porządną herbatę z ciastem i wszystko, jak u Claridge'a, tylko wiesz, na mniejszą skalę, najważniejsze byłoby nie jedzenie, tylko miejsce i odrobina oryginalności.

Nie, to nie przerażenie malowało się na twarzy Harry'ego. To coś gorszego. To była rozpacz.

- To tylko herbaciarnia, Harry - powiedziałam, mając wrażenie, jakbym gwałtownie traciła władzę nad kierownicą. - Nawet nie to. Załedwie pomysł na herbaciarnię.

Rozpacz nie była stanem naturalnym dla mojego męża. Harry, spokojny, zrównoważony, zadowolony z siebie człowiek, zazwyczaj stawiał czoło zmartwieniom i stresom, nigdy nie tracąc panowania nad sytuacją. Nawet jego decyzji o porzuceniu pracy nie towarzyszyły żadne dramatyczne rozterki. Stoicyzm to chyba najlepsze słowo określające jego stosunek do życia. Teraz jednak, gdy tak siedział naprzeciwko mnie ze ściągniętymi rysami i oczyma pociemniałymi od troski, wydawał się jakiś obcy. Zrozpaczony nieznajomy.

- Nie potrafię inaczej tego zrobić, Floss - powiedział. Nie miałam pojęcia, do czego zmierza. Co zrobić inaczej?

- Rzecz w tym, że odkładałem to już od dłuższego czasu - ciągnął - a gdybym mógł, odłożyłbym na zawsze, zwłaszcza po tym, co cię dziś spotkało. To rzeczywiście fatalny moment. Fatalny. Nie mogę w to uwierzyć, ale też nie mogę tego dłużej odsuwać. To nie w porządku wobec ciebie i wobec mnie, i...

O czym on, u licha, mówi? Nie mogłam zrozumieć, co to może mieć wspólnego z nocnikiem, pieniędzmi czy z moją posadą. Herbata wypita wcześniej w Warwick Castle zawirowała wymownie gdzieś w głębi mojego brzucha.

- Chodzi o to - powiedział Harry - że jest ktoś inny.

Teraz mnie zabrakło tchu. Czy to miał być żart? „Musimy porozmawiać”, a zaraz potem „Jest ktoś inny”. Można pomyśleć, że ostatni przygląd już by się zaczął czegoś domyślać, tymczasem ja byłam jedynie oszołomiona.

- Jest ktoś inny, Florence - powtórzył Harry. - I obawiam się, że to nie to, czego byś się spodziewała. Nie taki ktoś.

Cóż, z pewnością nie to, bo niczego się nie spodziewałam. I nikogo.

- Co ty mi chcesz powiedzieć? - zapytałam oszołomiona.

- To mężczyzna - odpowiedział cicho Harry. - Chodzi o mężczyznę.

Mężczyzna? Zupełnie się pogubiłam, wszystkie moje myśli wirowały wraz z tamtą herbatą, najlepszym gatunkiem Twininga.

- Słucham? - spytałam bezradnie, czując jak palce Harry'ego zaciśnięte na moich dłoniach zaczynają się robić lepkie od potu; to mi przypomniało, że wciąż trzymamy się za ręce. - Co takiego?

- Ma na imię Charles i jest lekarzem w szpitalu Whittington. Bardzo mi przykro, Floss. Kocham cię z całego serca, przecież wiesz, ale to co innego. Ja po prostu nie mogę dłużej... nie chcę cię ranić, to ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, ale najwyższy czas, żebym... O Boże, Floss, tak mi przykro.

Czasami naprawdę wolno myślałam. Kiedyś winiłam za to matkę, zarzucając jej, że paliła, będąc ze mną w ciąży, chociaż ona zarzeka się, że na ten czas rzuciła papierosy i nigdy nie tknęła magicznych grzybków.

Później, jak już byłam starsza, uświadomiłam sobie, że powodem jest panika. Moi rodzice nie wiedzą, co to panika - rzeczywiście, kiedyś mój ojciec przypadkiem się podpalił i nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia - jednak ja wierzę, że urodziłam się z potężnym genem paraliżującego strachu. Z

powodu wadliwych połączeń i braku przewodzenia coraz bardziej daje mi się we znaki. Moje ciało reaguje na traumatyczne wydarzenie natychmiast, natomiast umysł potrzebuje chwili, żeby za nim nadążyć... Siedziałam przy stole naprzeciwko Harry'ego, który jak się okazało, miał kogoś innego, zawartość mojego żołądka kotłowała się histerycznie, a mój oszołomiony umysł z trudem usiłował przyswoić sobie znaczenie usłyszanych słów. Dlaczego mówił o lekarzu? Czyżby mu coś dolegało?

- Co się dzieje? - spytałam. Twining w żołądku znowu dał o sobie znać. - Och, proszę cię, powiedz mi, że to nie „odra”. Nie zniosłabym tego.

Harry pokręcił głową; minę miał zbolaną jak jeszcze nigdy dotąd. Po dwudziestu latach małżeństwa znał moje wadliwe połączenia i wiedział, kiedy coś do mnie dociera, a kiedy nie. A tym razem miałam spore opóźnienie.

- Floss, posłuchaj - zaczął, ściskając moje dłonie mocniej, jakby chciał mnie wciągnąć w otaczającą go aurę bezpiecznej, solidnej racjonalności; zawsze tak robił, żeby mi dodać otuchy. - Nie jestem chory. Jestem całkowicie zdrowy. Po prostu jestem gejem.

„Jestem gejem”.

Dwa słowa, których kobieta za nic nie chce usłyszeć od męża, i tak nawiasem mówiąc, najlepszy z możliwych powodów, żeby wpaść w panikę.

Palce u rąk i nóg mnie świerzbiły, na przemian traciłam i odzyskiwałam słuch, czułam rosnącą w gardle kulę i byłam zimna jak lód. Na tym jednak zakończył się atak paniki, okazało się bowiem, że kiedy ukochany mężczyzna, miłość twojego życia, oznajmia ci, że zmienił orientację, nie wpadasz w panikę.

Umierasz.

Tak po prostu. Ta część ciebie, która przez te wszystkie lata była kochającą żoną i oddaną matką waszego ukochanego syna, a która to część - co uświadamiasz sobie dokładnie w tym momencie - stanowi niemal całość twojej istoty, kurczy się i umiera. W jednej chwili. I to jest straszne. O wiele straszniejsze niż panika, bo ta, jak wiesz z doświadczenia, w końcu ustępuje. Natomiast to, czego doświadczasz, okazuje się trwałe. Jak śmierć.

Jak to możliwe, by Harry był gejem? Usłyszałam, jak czyjś głos, podobny do mojego, tylko znacznie bardziej wystraszony, zadaje mi to pytanie. Kiedy miał okazję przekonać się o tym? Dorastaliśmy razem, na litość boską, starzeliśmy się razem, znałam go jak samą siebie. Czyż mogłabym nie zauważyć, że wolał mężczyzn?

- Ale przecież ty masz fatalny gust, jeśli chodzi o ubrania - wydukałam, wciąż skołowana.

Harry nie używał nawet żadnych kosmetyków do włosów. Nienawidził musicali. I Kylie. Wiedziałam, że to żalosne stereotypy gejowskich upodobań, zaczerpnięte głównie z powtórek sitcomu „Will & Grace”, ale zostałam wzięta z zaskoczenia, nie miałam okazji przeprowadzić żadnych badań.

- Tak mi przykro, Floss. - Tylko tyle zdołał powiedzieć, zanim łzy zaczęły mu spływać po policzkach. - Tak bardzo, bardzo mi przykro. Wiem, że prawdopodobnie nigdy mi nie wybaczysz, ale to nie znaczy, że nie jest mi przykro.

Uzmysłowiłam sobie, że nigdy wcześniej nie widziałam go płaczącego, a jeśli nawet widziałam, było to tak dawno, że tego nie pamiętałam. Od pięciu minut był gejem i już się mazał? Kim był ten człowiek?

Wstałam i zdzieliłam go po głowie kciucią bananów.

Mniejsza o panikę. Mniejsza o śmierć. Część mnie cierpiała z powodu jednego i drugiego, ale cała reszta żyła i jak się okazało, była cholernie wściekła.

Dokładne wymienianie, co poszło w dalszej kolejności, byłoby dla mnie zbyt krępujące, ale z pewnością wchodziły w grę owoce (niektóre przejrzałe), cenna chińska porcelana od teściowej (jak mogłam?) i lampa z motylim abażurem, którą zawsze uwielbiałam, dlatego nie mam pojęcia, jak mogłam walnąć nią o kuchenny blat i przyłożyć ostry koniec Harry'emu do gardła, potem sobie, a potem znów jemu.

Chociaż nie, mam pojęcie. Byłam zdruzgotana. Zawsze sądziłam, że to określenie pasuje jedynie do ofiar klęsk żywiołowych, takich jak pokazywani w wiadomościach ludzie, którzy przeżyli tsunami, ich wioski zostały zmyte z powierzchni ziemi, a oni sami stracili domy, rodziny i nadzieję na normalne życie wśród bliskich. Widziałam zdjęcia owych załamanych nieszczęśników płaczących rozpaczliwie nad stertą patyków i szmat, które kiedyś były ich domami, i myślałam, że są zdruzgotani.

Teraz czułam się dokładnie tak samo. Jakby jakaś ogromna fala napłynęła nie wiadomo skąd, zupełnie bez ostrzeżenia, i zabrała całą moją przyszłość.

Mój mąż już mnie nie kochał, to było moje tsunami. Nie, to coś gorszego. Mój mąż mnie kochał, ale kochał też kogoś innego, w inny sposób, lepszy. Lepszy dla niego w każdym razie.

A ja sądziłam, że jesteśmy wybrańcami losu.

Harry:

Jeszcze nigdy nie czułem się gorzej niż tamtego dnia, chociaż przez większą część dorosłego życia byłem prawnikiem, który to zawód daje człowiekowi dość okazji, żeby mieć o sobie fatalne mniemanie.

Jednak nic nie mogło być aż tak trudne, jak powiedzenie Florence o Charlesie.

Kochałem ją, całym sercem. A raczej, jak się okazało, prawie całym sercem. Po prostu nie wydaje mi się, żeby moje serce od dłuższego czasu było w pełni sprawne. Jeśli w ogóle kiedyś było.

Ona i ja dorastaliśmy razem. Łączyło nas tak wiele przeżyć, tyle szczęścia, wreszcie syn, na miłość boską. Nawet mnie ciężko było sobie wyobrazić, że mam to wszystko zniszczyć, ale też nie widziałem innego wyjścia.

Od pierwszej chwili, gdy poznałem Charlesa, zrozumiałem, skąd się brało to dziwne odczucie, jakie czasami miewałem, jakby ktoś szarpał mnie od wewnątrz; bez powodu irytowałem się na Florence albo na swoją sekretarkę, albo na Boga ducha winnego taksówkarza czy nienagannie sprawnego kelnera. Nigdy nie potrafiłem zdefiniować tego odczucia. I nigdy nie chciałem.

Ale potem on się pojawił i to coś uderzyło we mnie z taką mocą, że nie miałem czasu go odbić.

To była tęsknota. Zanim poznałem Charlesa, nigdy nie przypuszczałem, że mogę tak za czymś tęsknić. Sądziłem, że mam wszystko, że jestem szczęściarzem, nie licząc drzemiącego gdzieś głęboko we mnie uczucia może nie tyle niezadowolenia, bo byłem zadowolony, ile świadomości, że mówię o szczęściu, choć nie jestem go w pełni pewien.

Wiedziałem, że Florence jest szczęśliwa. Monty też był szczęśliwy. Jako rodzina byliśmy szczęśliwi. Ale ja, Harry Bowling? Może i byłem szczęśliwy, czegoś jednak mi brakowało, nie znajduję lepszego słowa.

A potem poznałem Charlesa i wreszcie mnie olśniło, nie tylko zrozumiałem, czego mi brakuje, ale także pojąłem, jak to osiągnąć. Zobaczyłem też, kogo będę musiał skrzywdzić i jak bardzo.

Minął przeszło rok, aż w końcu zrozumiałem, co musi się stać, ale nie potrafiłem nic z tym zrobić.

Wiem, że wielu mężczyzn w mojej sytuacji ciągnie to znacznie dłużej, że prowadzą skomplikowane, choć niekoniecznie kłopotliwe podwójne życie, egzystując jednocześnie w dwóch światach, tylko że ja tak nie potrafiłem. Nie mogłem oszukiwać tej, która ufnie powierzyła mi swój los, mając zaledwie czternaście lat.

Myśl o sprawieniu Florence tak wielkiego bólu...

Siedząc naprzeciw mojej żony przy stole, widziałem, że to, co powiedziałem, nie dotarło do niej od razu, ale może nie ma dobrego sposobu, by powiedzieć jedynej kobiecie, jaką się w życiu kochało, że ma się zamiar zrujnować jej życie. Ten język nie był mi znany i wcale nie chciałem go poznawać.

Jednak kiedy tak siedzieliśmy, przeklinałem się w duchu za to, że nie poświęciłem więcej czasu na znalezienie lepszych słów, przygotowanie jej do tego, co ma usłyszeć, choć prawdę mówiąc, powtarzałem to sobie w głowie tysiące razy i w końcu chyba uznałem, że dobór słów niewiele tu zmieni. Swoją drogą ciekawe, zważywszy że słowa odgrywają w moim życiu najistotniejszą rolę. W zawodzie prawnika liczy się przede wszystkim użycie odpowiednich słów i jak sądzę w wypadku pisarzy jest podobnie, choć, rzecz jasna, nie zdołałem jeszcze osiągnąć perfekcji w tej dziedzinie i jeśli mam być szczery, pewnie nigdy nie osiągnę.

Z drugiej strony, kto potrafiłby być dobry w opuszczaniu żony? Zwłaszcza żony tak cudownej jak Florence? Musiałem to schrzanić, to nieuniknione. Jednak nawet znając ją tak dobrze, nie mogłem przewidzieć, że kiedy powiem jej o Charlesie, ona zrozumie, że umieram na jakąś straszną chorobę, aczkolwiek zawsze przejawiała tendencję do zakładania najgorszego z możliwych scenariuszy. Jak mi wyznała przed laty, miało to swój sens: oswoiwszy się z najgorszym, mogła odetchnąć z ulgą, bo przecież ostatecznie wcale nie było aż tak źle.

Pamiętam, że próbując jej powiedzieć o Charlesie, zastanawiałem się, czy prawda nie jest gorsza. W każdym razie gorsza dla niej. Kiedy to do niej dotrze, gdy wreszcie wszystko w pełni do niej dotrze, czy będzie żałowała, że nie umieram, czy będzie mi życzyła śmierci?

Wyraz jej twarzy, kiedy Florence pojęła, co do niej mówię, złamał mi serce. Ta piękna twarz. Wielkie piwne oczy. Gęste ciemne włosy; doprowadzały ją do szału swoją niesamowitą bujnością, ale inni ludzie oglądali się za nią i patrzyli, jak jej włosy unoszą się i falują, kiedy szła ulicą.

Który mężczyzna potrafi zostawić to wszystko, zadawałem sobie pytanie, patrząc, jak oczy Florence rozbłyskają, a potem gasną. Miałem wrażenie, że zrobiła się o połowę mniejsza. To ją załamało. Który mężczyzna robi coś takiego?

Przypuszczam, że nie zdawałem sobie sprawy, jak naprawdę ze mną jest, dopóki nie poznałem Charlesa. I jak już wspominałem, nawet wtedy zwlekałem, ile tylko się dało. Zawsze wiedziałem, że z mojej strony to coś więcej niż tylko przemijające zainteresowanie tymi sprawami, ale sądziłem, że mieści się to w normalnych granicach i z pewnością nigdy nie zakładałem, że moja ukryta melancholia ma z tym cokolwiek wspólnego.

Poza tym byłem zakochany w swojej żonie. Taka jest prawda. Byłem w niej zakochany od chwili, gdy zauważyła mnie na tym przystanku, na którym wystawałem od tygodni, odkąd zobaczyłem ją, jak kupowała chipsy w sklepie na rogu. Teraz, kiedy o tym myślę, uświadamiam sobie, że byliśmy wówczas jeszcze prawie dziećmi. Kiedy Monty miał czternaście lat, obserwowałem go, jak oglądał kreskówki w telewizji, i pomyślałem, że w jego wieku poznałem kobietę, która potem została moją żoną. Co ja wtedy mogłem wiedzieć?

Wiedziałem, że ją kocham i nic tego nigdy nie zmieni. Ale to, co mnie łączyło z Charlesem, było inne i tego też nic nie mogło zmienić.

Mówiąc szczerze, uderzenie w głowę bananami dobrze mi zrobiło. Nawet nie lubię bananów, ale zasługiwałem na to, żeby nimi oberwać. Zasługiwałem na coś gorszego, znacznie gorszego, jednak zasługiwałem też na coś lepszego, podobnie jak Florence.

Jak kobieta ma się pogodzić z czymś takim? Chodzi mi o fakt, że mąż okazał się gejem, nie o cios bananami.

Nie myślę o długoterminowym „pogodzeniu się” w rodzaju, „jak dać sobie radę w życiu bez tej drugiej połówki, która dotąd była heteroseksualna”. Chodzi mi o to, jak przeżyć najbliższe sekundy, minuty, godziny, mijające w świecie, który dla ciebie przewrócił się do góry nogami.

Jak to przetrwać? Jak po tym dojść do siebie?

Cóż, odpowiedź jest prosta: nie da się. Niezupełnie. Jest w człowieku wspomniana wcześniej część, która umiera, jest część, która życzy reszcie, żeby też umarła, albo jeszcze lepiej, w ogóle się nie narodziła, no i jest jeszcze to, co pozostaje. I ta część, co zdumiewające, potrafi mieć całkiem sporo energii. Ta część ciska w męża nadpsutymi bananami, próbuje go szarpać za ubranie, wyrywa sobie włosy z głowy i wali się w piersi. Część, która umarła, i ta druga, która chce umrzeć albo żałuje, że się urodziła, są strasznie smutne, ale ta trzecia, od bananów, jest wściekła.

Właściwie to nie fakt, że Harry jest gejem, mnie rozgniewał. To prawda. Tuż po wybuchu odpalonej przez niego bomby wierzyłam, że kocham go zbyt mocno, by mógł nas rozdzielić drobiazg w postaci odmiennej orientacji seksualnej. Z upływem czasu zrozumiałam, że to bez sensu, ale wtedy przez kilka minut, po bananach, a przed lampą, wierzyłam, że możemy sobie jakoś z tym poradzić. Ale kiedy powiedziałam o tym Harry'emu, nie uśmiechnął się z ulgą, jak się spodziewałam, tylko na jego twarzy pojawił się ten sam wyraz rozpacz i wtedy sobie uświadomiłam, że jest coś więcej, coś, co jeszcze do mnie nie dotarło. Dopiero wtedy zrozumiałam, że homoseksualizm Harry'ego i poznanie Charlesa z Whittington połączone z powtarzanymi w kółko

przeprosinami i błaganiem o przebaczenie to tylko wstęp do odpalenia prawdziwej bomby: mój mąż mnie opuszczał.

Tak, opuszczał mnie. Oświadczył, że przeprowadza się do kawalerki w Lancaster Gate, żeby „rozeznąć się” w swojej „sytuacji” z Charlesem. Podpisał już umowę najmu.

Nie byłabym bardziej zaskoczona, gdyby nagle wyskoczył zza drzewa w skórzanej przepasce na biodrach (nie całkiem wykluczone w nowych okolicznościach) i wycelował do mnie z łuku.

Nie dość, że to się w ogóle stało, to jeszcze stało się bez ostrzeżenia. Na tego rodzaju katastrofę człowiek nigdy nie jest przygotowany.

Nie ma groźnych czarnych chmur ani budzącego lęk chłodu, żaden aparat nie wyświetla migających napisów: „Stop! Proszę! Wracaj do łóżka! Za rogiem czeka coś naprawdę strasznego! Błagam, zatrzymaj się!”.

Żeby tylko. Zaledwie dwa dni wcześniej ucałowałam męża na pożegnanie, kiedy wyjeżdżał do Aldeburgh, i żyłam jakby nigdy nic. A teraz to, to, TO spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Mój mąż od nie wiadomo jak dawna dopracowywał swoje plany, dochodził do wniosków, podejmował decyzje, podczas gdy dla mnie, nieświadomej niczego, to był szok, który zupełnie mnie załamał.

Kiedy siedzieliśmy przy kuchennym stole albo kiedy goniłam Harry'ego wokół tego stołu, czy kiedy upadłam na podłogę koło skrzypiącej zmywarki, cały czas zapominałam, co się tak naprawdę dzieje. Mój umysł galopował naprzód, kreując obraz mnie jako starej kobiety siedzącej na wózku inwalidzkim (z jakiegoś powodu), ubranej na czarno, ze szminką rozmazaną po całej twarzy jak u bohaterki filmu „Co się zdarzyło Baby Jane?” i blokował się na tej wizji nędznej przyszłości, podczas gdy Harry, stojąc po drugiej stronie

kuchni, bełkotał coś o wierności sobie i robieniu tego, co najlepsze dla wszystkich.

Wtedy na moment wróciłam umysłem do bieżących wydarzeń, do niego, by prawie natychmiast przenieść się w przeszłość. Jestem z Harrym od dwudziestu pięciu lat. Czy to wszystko należy uznać za pomyłkę? Nasze pożycie seksualne było nienormalne? Nie wiedziałam tego. Spałam tylko z nim. I nigdy nie zdarzyło się tak, że próbował mnie brać od tyłu, czy nalegał na używanie gadżetów z seks - shopu, więc skąd niby miałam wiedzieć, że jest cholernym gejem.

Był kochający, czuły, zależało mu na mnie, na nas, na naszym wspólnym życiu. Jak to się stało. Gdzie to się stało?

- W siłowni - powiedział mi. - Poznałem go w siłowni.

Dopiero gdy się całkiem stracił godność, to człowiek sobie uświadamia, jak bardzo jej potrzebuje. Aż mnie skręca, kiedy pomyślę o tym, co się stało tamtego dnia, z wielu powodów, ale głównie dlatego, że ja i Harry nigdy się nie kłóciliśmy. Miewaliśmy ciche dni, robiliśmy sobie złośliwe uwagi, ale w naszym repertuarze nie było krzyków ani wrzasków. A wtedy darłam się na niego i wrzeszczałam, i nigdy bym nie przypuszczała, że mogę mieć w sobie tyle jadu. Wykrzyczałam mu, że jego matka jest alkoholiczką, a ojciec brutalem (niemal prawda, ale nigdy wcześniej nie zostało to ujawnione), wygarnęłam, że jest grafomanem bez odrobiny talentu (podobnie), że za wysoko podciąga spodnie i nie powinien nosić grubych białych skarpetek do tenisówek (o skarpetkach wcześniej mówiłam).

I tak dalej.

Teraz wiem, że Harry nie mógł nic poradzić na to, że był tym, kim był i jak trudno mu było zmierzyć się z prawdą i, co za tym idzie, ze mną. Wiedziałałam, że mnie kochał i nadal kocha i naprawdę nie chciał mnie skrzywdzić. Ostatecznie okazało się, że zależało mu na tym mniej niż na szczerości

wobec siebie, no i dobrze. Naprawdę. Zwłaszcza dla niego, ale dla mnie w gruncie rzeczy też. Kto chciałby żyć w kłamstwie? Kto chciałby zmuszać tę drugą osobę do kłamstwa?

Nie ja. Jakkolwiek tamtego popołudnia nic z tego nie rozumiałam. Wiedziałam jedynie, że życie, które uważałam za szczęśliwe, usuwa mi się spod nóg niczym te brudne brązowe wody odpływających fal tsunami. I kiedy porwał mnie ten okropny prąd i pociągnął w dół, żeby mnie zatopić, włączył się mój mechanizm przetrwania, a składały się nań bynajmniej nie spokój i zrozumienie, tylko dzika złość, gorycz i przejrzałe owoce.

Co gorsze, kiedy Harry uciekł już z domu, z włosami upapranymi bananową papką, choć jeszcze tyle słów pozostało niewypowiedzianych, wiedziałam, że się nie mylę co do tercetu tych złych rzeczy; dwie już mnie spotkały, ale jeszcze jedna mnie czeka i będzie to naprawdę nie byle co. Los miał dla mnie przynajmniej jeszcze jedną wredną niespodziankę i powinnam się przygotować do odparcia ciosu - zwłaszcza że moje ciało nie mogło liczyć na nic innego w najbliższej przyszłości.

Przeżyłam połowę życia jako pani Dowling, a teraz kim miałam być?

Nie miałam nawet pracy!

Sparky wychodził z siebie, żeby okazać mi współczucie, co szczerze mówiąc wzbudzało we mnie ochotę, żeby wyjść na zewnątrz i odstrzelić sobie głowę. Jemu też.

Siedziałam w kuchni, pośród szczątków naszego zrujnowanego małżeństwa, i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić... Nie miałam pojęcia, do kogo mogłabym się zwrócić, poza Harrym, ale on był zajęty odchodzeniem ode mnie, albo Montym, który wciąż przebywał na drugim końcu świata.

Monty!

Co mu powiedzieć? I jak? Poderwałam się na nogi i zbiegłam na dół, do wyjścia, żeby sprawdzić, czy Harry nadal stoi przed domem i wydłubuje sobie bananową maź z włosów, ale kiedy otworzyłam drzwi, na progu stał rumiany mężczyzna w roboczych spodniach zapiętych nisko pod wielkim piwnym brzuchem i uśmiechał się do mnie szeroko.

- Dzień dobry pani. Stanley Morris, hydraulik - przedstawił się, wyciągając do mnie wolną rękę; w drugiej trzymał skrzynkę z narzędziami. - Przyszedłem do ciekącego kranu. Kuchnia jest tam z tyłu, zgadza się?

Ciekący kran. Dzwoniłam do hydraulika jakiś miesiąc wcześniej, żeby przyszedł i naprawił, ale już straciłam nadzieję, że w ogóle się pokaże. No i przyszedł. Teraz. Tuż po tym, jak mężczyzna, któremu ufałam najbardziej na świecie, wyrwał mi serce z piersi i je podeptał.

A kran rzeczywiście ciekł. Życie toczy się dalej!

Pamiętam, że moja matka powiedziała coś podobnego po potrójnej śmierci dziadków. Pałac skręta, przyglądała się przez okno, jak śmieciarka zabierała pełne torby od sąsiadów.

- Tak trudno uwierzyć, że wszystko idzie swoim trybem, jakby się nic nie stało - powiedziała w zadumie; jej pierścionki i bransoletki zabrzęczały, kiedy przeczesła palcami długie, kręcone włosy. - Wszyscy sądzimy, że jesteśmy tacy ważni, a wcale nie jesteśmy. Możemy żyć albo umrzeć, a śmieciarzom nie robi to żadnej różnicy. Z nami czy bez nas, na świecie będzie ta sama ilość śmieci.

- Przecież kompostujemy odpadki organiczne i zbieramy surowce wtórne - przypomniałam jej. To był czuły punkt: w kompostowniku było mnóstwo małych latających owadów, a wrzucanie do niego odpadków należało do moich obowiązków. - Rzeczywiście śmieciarzom nie robi różnicy czy żyjemy, czy umrzemy, bo i tak nie wywożą naszych śmieci.

Matka popatrzyła na mnie, jak sędzę, z rozczarowaniem, po czym wróciła spojrzeniem za okno.

Mówiła głupoty na temat śmieciarzy, ale pamiętam, w duchu przyznałam, że to nie w porządku, by człowiek nadal musiał odrabiać lekcje, wychodzić z psem, wycierać naczynia i kupować papier toaletowy, kiedy w jego świecie ziele ogromna wyrwa po śmierci ukochanej osoby.

Teraz, po wielu latach, mój mąż porzuca mnie dla jakiegoś mężczyzny, a minutę później Stanley Morris chce naprawiać mój ciekący kran. I niezależnie od wszystkiego, co się stało, ja naprawdę chcę, żeby ten kran został naprawiony, ponieważ za każdym razem, kiedy go odkręcam, strzelający strumień wody trafia prosto w moje oko, niezależnie od tego, gdzie akurat się to oko znajduje i jaki jest stan cywilny osoby, do której to oko należy.

- Na górze - powiedziałam słabym głosem do hydraulika, po czym ruszyłam za jego trochę trzęsącym się tyłkiem. Pomyślałam, że Stanley Morris mógłby wyżej podciągać spodnie, ale wchodząc po schodach, cały czas przyjaźnie mnie zagadywał.

- Macie ładny stary dom - stwierdził. - Kiedyś był tutaj gabinet lekarski, zgadza się? Chyba przychodziłem do doktora jako młody chłopak. Mieszkaliśmy niedaleko, w St Johns Wood. Zna pani te domy komunalne na Lisson Grove? Tak, tam się wychowałem. Moja mama nadal tam mieszka. Ma osiemdziesiąt siedem lat i nic nie wskazuje na to, żeby w najbliższym czasie miała się zbierać z tego świata, dzięki Bogu. Mieliśmy bliżej lekarza, zaraz naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, ale moja mama nie chciała do niego chodzić. Mówiła, że ma zimne ręce. Zabawne, co niektórym starszkom przeszkadza, nie? Nie żeby wtedy była taka stara, ale nie można tego powiedzieć młodemu, nie? Można

próbować, ale daleko się nie zajedzie. Dobrze, zobaczymy, co tu mamy.

Stojąc przy kuchennym blacie, Stanley Morris brzegiem buta odsunął rozbity talerz, a następnie wytarł ściereczką resztki rozgniecionego banana. Gapiłam się ze wstydem na otaczające nas pobojuwisko. Kuchnia wyglądała tak, jakby dopiero co odbyło się w niej bardzo nieudane przyjęcie szympansów, ale hydraulik sprawiał wrażenie, jakby się tym wcale nie przejmował.

Odkręcił kran i gwałtowny strumień wody trafił go prosto w oko.

- Rozumiem, co pani miała na myśli - rzekł jowialnym tonem. - Kurczę, to stary model, ale nie jest całkiem do niczego. Nadal da się kupić do nich części. A te nowe? Szkoda gadać! Taniej wymienić, niż naprawiać, nawet jeśli są prawie nieużywane. Niedobrze się robi, nie? Mnie się robi niedobrze.

Stanley Morris nie przestawał gadać, a ja bez słowa posprzątałam skorupy porozbijanych naczyń i części abażura, które przypomniały mi o nocniku i o tym, że zostałam pozbawiona pracy wcześniej... chyba nie tego samego dnia? Bo wydawało się, że od tamtego czasu minęły całe wieki.

- To piękna część Londynu - ciągnął Stanley. - Mój dziadek ze strony ojca dawno temu pracował przy łodziach na kanale. Trudno sobie wyobrazić, że wszystko było dostarczane wodą, nie? Sam nigdy nie byłem w tej prawdziwej Wenecji, ale moja córka tak. Widziała, jak tam wszystko dowożą łodziami. Jak oni je nazywają? Gondole, tak gondole. Stoły i krzesła, kapustę, butelki z wodą, ptaki w klatkach, co tylko się chce.

Otworzył drzwiczki pod zlewem i sapiąc, na czworakach, zajrzał do środka.

- Nigdy nie byłem we Włoszech - kontynuował; jego głos i zgrzyt żabki rozlegały się echem po kuchni. - Pewnie i tak by

mi się nie chciało jechać do Wenecji. Wszędzie trzeba pieszo. Ani jednego auta. Ale Rzym to co innego. Tam bym chętnie pojechał. Koloseum, fontanna di Trevi, Schody Hiszpańskie. Moja córka tam też była. Mówi, że koło Hiszpańskich Schodów można się napić dobrej herbaty, ale trzeba się nią dobrze nacieszyć, bo to jedyna taka okazja w całej Europie.

Odwrócił się tak, że leżał na plecach; jego tors i nogi wystawały na kuchnię. W tej pozycji jego brzuch nie wyglądał już wcale na taki wielki. Wyglądał jak brzuch człowieka, który kocha swoją matkę i córkę i nie zwraca uwagi na potłuczone naczynia i rozgniecione banany.

Poczułam niewytłumaczalny przyływ ciepłych uczuć dla Stanleya Morrisa.

- Mój mąż oznajmił mi właśnie, że mnie zostawia dla innego mężczyzny - powiedziałam do jego wystających dwóch trzecich.

Klucz francuski przestał stukać o rury. Hydraulik wysunął się spod zlewu.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał. Nie wyglądał na zmieszanego. Ani nawet zaskoczonego. Może to się zdarzało częściej, niż przypuszczałam.

Pokręciłam głową; nie czułam się dobrze.

- Przeżyła pani szok, prawda? Przytaknęłam skinieniem.

- Byliśmy razem od wczesnej młodości - powiedziałam. - Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat. Nie miałam pojęcia. Myślałam, że jesteśmy szczęśliwi.

Stanley Morris westchnął, a następnie podrapał się kluczem francuskim po plecach między łopatkami.

- Wiem, jak się pani czuje - odrzekł. - Moja żona zostawiła mnie w ogóle bez słowa. Ja myślałem, że stanowimy idealne małżeństwo, tymczasem ona uznała, że woli zamieszkać sama w małym mieszkanku w Hounslow, w którym można zamarznąć na śmierć, i pracować w

miejscowym punkcie przyjmowania zakładów bukmacherskich.

Pokręcił głową i wstał.

- Uff. Moje kolana, szkoda gadać.

- Nie wiem, co robić - wyznałam Stanleyowi Morrisowi, choć był tylko hydraulikiem.

- Niewiele pani może zrobić - stwierdził, odkręcając kran. Woda nie trysnęła. - Gotowe. Będzie lepiej, tylko tyle mogę pani powiedzieć, chociaż nie będę miał za złe, jak mi pani nie uwierzy. Wie pani, co mi powiedziała mama, kiedy moja żona odeszła? „To nie ręka ani noga, Stan”, powiedziała. Nie ręka ani noga! Wtedy myślałem, że z nią kiepsko, ale staruszka miała rację. To nie zabija. Życie toczy się dalej.

Fakt, że Stanley Morris był w mojej kuchni, stanowiło tego najpewniejszy dowód, jaki można wymyślić.

- Mam syna - powiedziałam. - Nie wiem co...

- Ile ma lat? - spytał, biorąc się za pakowanie narzędzi.

- Dziewiętnaście.

- No i świetnie. Wystarczająco dużo, żeby rozumieć, że to nie ręka ani noga - odparł z przekonaniem, zamykając skrzynkę z narzędziami. - Moja Lizzie dobrze to zniosła. Była mniej więcej w tym samym wieku, może rok lub dwa lata starsza, i zniosła to dobrze. Przez jakiś czas boczyła się na mamę, ale w końcu jej przeszło, bo przecież to jednak jej matka. - Spojrzał na zegarek. - No dobrze, za jakieś pół godziny mam randkę z zatkanym odpływem w Hammersmith, ale do tego czasu mógłbym łyknąć filiżankę herbaty.

Wiedziałam, że robi to dla mnie, choć był zupełnie obcym człowiekiem. I byłam mu wdzięczna do granic śmieszności.

- Nastawię wodę - zaproponowałam, zmiatając z krzesła skorupy sosjerki. - Mam Earl Greya i mieszankę Fortnum's Royal. Którą pan woli?

- Widzę, że jesteśmy bratnimi duszami w kwestii herbaty - powiedział Stanley, wrzucając uszko sosjerki do kubła na śmieci. - Earl Grey wydaje się trochę za słaby jak na tę porę dnia, więc poproszę o tę drugą, skoro pani tak miła. Lubi pani herbatę, pani Dowling?

- Proszę mówić mi po imieniu, jestem Florence - zaproponowałam, wyciągając najlepsze filiżanki Rose. Zmieniłam podstawki i wyjęłam pokrowiec w kształcie kiści winogron, który Poppy wydziergała dla mnie przed laty. - Rzeczywiście lubię herbatę. I nawet zastanawiam się nad urządzeniem na parterze herbaciarni. Co pan sądzi o tym pomysle?

Nie wiem, co mnie napadło, żeby mu o tym mówić, ponieważ wcale o tym nie myślałam, a jeśli nawet, to nie powinnam była.

- Uważam, że to fantastyczny pomysł - odparł Stanley Morris z wielkim entuzjazmem. - Co więcej, będzie pani potrzebowała hydraulika.

Stanley Morris:

Od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyłem panią Dowling, a raczej Florence - bo poprosiła, żebym ją tak nazywał - wiedziałem, że musiała przeżyć jakiś cholerny wstrząs. Pewnie tak samo wyglądałem, kiedy Beryl wystawiła mnie do wiatru. Jednak jeśli to doświadczenie czegoś mnie nauczyło, to tego, że jeśli człowiek żyje dalej, jakby wszystko było normalnie, to zwykle przestaje być nienormalnie.

W moim zawodzie człowiek się przyzwyczaja do tego, że widzi różne nieszczęścia, pracując u ludzi w domach. Wychodząc na ulicę, stroją się i udają, kim to oni nie są, ale w domu na ogół pokazują się takimi, jacy są naprawdę.

Muszę przyznać, że od razu zrobiło mi się jej żal. Ten jej cały mąż, jak to mówią, „ujawnił się”, a w dodatku kran sikał

wodą na całą kuchnię. Bardzo miła kobieta, uprzejma i życzliwa, pomimo tego, co ją spotkało. Przy herbacie i ciście cytrynowym opowiedziała mi, że właśnie straciła pracę. Tego samego dnia. Och, musiało ją to wszystko walnąć, nie?

Od razu jednak pomyślałem, że może jej się udać z tą herbaciarnią. Moja siostra Marion mieszka w Ely, miejscowości z piękną katedrą niedaleko Cambridge. Jest tam herbaciarnia Peacock's tuż nad rzeką. Jakiś prawnik miał dość spędzania połowy życia na miejscowym posterunku policji i urządził na parterze swojego domu herbaciarnię. W każdy weekend i większość dni tygodnia ma taki tłok, że nie idzie szpilki wcisnąć. Wygląda na to, że Florence chce zrobić coś podobnego tutaj, w Malej Wenecji. Superlokalizacja na taki interes.

Tak prawdę mówiąc, w tamtej okolicy nie ma dobrego miejsca, gdzie by się można napić herbaty. W West Endzie na każdym rogu jest Starbucks, ale spróbujcie tam dostać porządną herbatę z czymś słodkim upieczonym ludzkimi rękami. Możecie od razu się poddać i iść do domu. Nie żebym sam miał u siebie ciasto własnej roboty, ale potrafię zaparzyć dobrą herbatę, a kupne herbatniki nie są znowu takie złe.

Tak czy inaczej, obiecałem, że będę w kontakcie z Florence, bo według mnie ten pomysł jej wypali i będzie potrzebowała hydraulika. Pomyślałem też, że może jej się przydać męskie ramię do wypłakiwania, a moje akurat się do tego świetnie nadają.

Obudziwszy się następnego ranka po tym, jak Harry mnie zostawił, a Stanley Morris zreperował kran, przez kilka cudownych chwil czułam się zupełnie normalnie, dopóki sobie nie przypomniałam, że całe moje życie legło w gruzach.

Przetoczyłam się na łóżku, rozgrzana i z poczuciem zadowolenia, jakie się ma, kiedy człowiek przez większą część nocy kotłuje się w pościeli i w końcu zapada w głęboki sen. Mrużąc oczy, zobaczyłam przez szparę w zasłonach, że dzień jest słoneczny. Wyciągnęłam się z uśmiechem i natrafiłam na coś stopą. To Sparky. Dno. Skąd się tam wziął? Dno. Gdzie jest Harry? Dno. Co się stało z moim życiem spełnionej zawodowo i szczęśliwie zamężnej matki jedynaka? Dno, kompletne dno...

Oddałabym wszystko za to, by móc powrócić do błogosławionego stanu nieświadomości. Zrozumiałam, być może po raz pierwszy w życiu, że narkotyki, alkohol czy coś innego, przez co można skończyć na odwyku, pomagają uśmierzyć ból rzeczywistości. Bo kiedy już przytłoczyła mnie swoją ohydą, byłam gotowa połknąć wszystko, gdybym wierzyła, że poczuję się choćby odrobinę lepiej.

Tylko że nie miałam niczego do połknięcia, przynajmniej w tym pokoju, nie licząc panadolu. A i to były tylko dwie pastylki, obie zakurzone od leżenia pod łóżkiem co najmniej od roku.

Przetoczyłam się na drugi bok, nagle zziębnięta, i leżałam bez ruchu, żałując, że nie umarłam, jednak nie mogłabym zrobić tego swojemu synowi, więc zapragnęłam, żeby to Harry umarł, ale szybko sobie uświadomiłam, że to by też zraniło Monty'ego. Chciałam, żeby Harry nie był gejem, żeby wszystko zostało tak jak dawniej i żebym tak strasznie się nie bała. Wolałabym, żeby była noc, bo wtedy mogłabym zasnąć i po przebudzeniu znów przeżyć kilka takich niewinnych chwil.

I wolałabym, żeby takie pobożne życzenia mogły cokolwiek zmienić.

Potem pomyślałam o biednej Edith, stałej klientce i fance sklepu, który jeszcze poprzedniego dnia w połowie należał do mnie. Poznałyśmy się, kiedy po śmierci męża Arthura przyszła pomówić o sprzedaży części wspaniałego zbioru biało - niebieskiej porcelany Spode'a. Od razu tamtego pierwszego dnia wyznała mi, że byli małżeństwem ponad pięćdziesiąt lat i ani jednej nocy nie spędzili osobno. Kiedy to mówiła, po jej drobnej, perfekcyjnie umalowanej twarzy spłynęły dwie maleńkie łzy.

- Najgorsze są poranki - mówiła prawie szeptem, kiedy próbowałam ją pocieszyć leciutko niedopieczonymi ciasteczkami imbirowymi. - Jest taka kieszonka czasu pomiędzy przebudzeniem a uświadomieniem sobie, co się stało, w której wszystko wydaje się w porządku. A potem sobie przypominam.

Wtedy trochę jej współczułam, a teraz już rozumiałam, jakie to musiało być potwornie okrutne. Jeśli dostaje się choćby najmniejszą ulgę od żalu, tym trudniej później wrócić do rzeczywistości. A ja też byłam pogrążona w żalu, co do tego nie miałam wątpliwości. Nikt tak naprawdę nie umarł, ale moja przyszłość, taka, jaką sobie wyobrażałam, została pogrzebana. Gdyby nawet Harry przestał być gejem, nie sposób było wymazać faktu, że przynajmniej przez jakiś czas czuł się gejem i jakiś Charles z Whittington wkroczył na scenę.

Spojrzałam na telefon stojący przy łóżku i przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Poppy. Jednak na samą myśl o wyjawieniu tego, co miałam do powiedzenia, zrobiło mi się tak niedobrze, że nie byłam w stanie sięgnąć po słuchawkę. Zaraz potem sobie przypomniałam, że Poppy jest na seminarium poświęconym czytaniu z twarzy we Framliham

czy gdzieś tam, więc i tak nie byłabym w stanie się z nią skontaktować. Ona i moi rodzice nie uznawali telefonów komórkowych, ponieważ wierzyli, że można od nich dostać „odry” mózgu.

W następnej kolejności rozważyłam telefon do mamy i taty, ale nie byłam typem córki, która łatwo się zwierza ze swoich tragedii.

Co nie znaczy, że w dorosłym życiu przeżyłam jakieś tragedie, z których miałabym się zwierzać. Właściwie jako dziecko także nie. Poza tym, że Rose umarła, kiedy miałam szesnaście lat, moje życie było pasmem radości. Miałam szczęście.

Aż do teraz.

Teraz miałam o jedną posadę mniej, o jednego męża mniej i czekała mnie jeszcze jedna zła rzecz, a po niej kto wie, co jeszcze.

Na domiar złego nie miałam z kim pogadać.

Trochę płakałam. No cóż, przeplakałam cały czas do lunchu. Sparky zwinął się w kłębek na kołdrze; kiwał ogonem, szturchając mnie w biodro, jakby przyklepywał moje nieszczęście.

Całe popołudnie też przeplakałam, tym razem siedząc przed telewizorem i oglądając teleturnieje. Próbowałam się napić herbaty, natychmiast jednak zebrało mi się na wymioty. Nie wiedziałam, że rozpacz jest fizycznym doznaniem, ale moje ciało pogrzyżyło się w niej bez reszty. Miałam wrażenie, że wnętrzności pozlepiały mi się w gęstą czarną maź podobną do smoły. Jakby cały mój organizm zatruło nieszczęście.

Zapewne było to standardowe samopoczucie w przypadku bycia porzuconą przez męża i doprowadzoną tym do ostateczności. Mijały godziny. Nie zdjęłam piżamy, nie uczesałam się, nic nie zjadłam. Mniej więcej dobę po naszym rozstaniu zadzwonił Harry, żeby sprawdzić, czy u mnie

wszystko w porządku, co tak mocno trąciło bolesną strunę w moim wzgardzonym sercu, że mało nie pękła. Wybuchnęłam płaczem tak gwałtownym, że ledwie mogłam wydobyć z siebie słowo, a kiedy zaproponował, że przyjedzie, myśl o tym, że znów znajdę się w jego ramionach, uniosła mnie na jedną cudowną chwilę ponad odmęty mojej niedoli. Jednak gdy go spytałam, czy nadal jest gejem, odpowiedział, że tak, więc powiedziałam mu, żeby wsadził to sobie w tyłek razem ze wszystkim innym i zapadłam się z powrotem w otchłań żalu. Nawet nie wiem, o co mi chodziło z tym wsadzaniem w tyłek, ale jak już wspominałam, nie badałam tego zagadnienia.

Później dzwonił jeszcze wiele razy, na ogół jednak ignorowałam zostawiane przez niego wiadomości. Cały czas miałam na sobie nieświeżą piżamę i nie przestając płakać, zastanawiałam się, jak to możliwe, że ulokowałam całą moją miłość i energię w człowieku, którego nawet nie znałam. Co gorsza, Harry był jedyną osobą, z którą miałam ochotę porozmawiać. A właściwie, co jeszcze gorsze, był jedyną osobą, z którą musiałam porozmawiać. Bo nie miałam nikogo innego, kto by się do tego nadawał.

Co się stało z moimi znajomymi, z moim życiem poza rolą żony i matki? Kiedy zaczęłam być tak skupiona na sobie, na nas? Nawet tego nie zauważając, zrezygnowałam z zadawania sobie trudu, by utrzymywać kontakty ze światem zewnętrznym.

Moja najlepsza przyjaciółka ze szkoły, miła, rozsądna Caroline, kilka lat wcześniej przeprowadziła się do Walii z mężem i trzema synami. Dlaczego pozwoliłam, by nasza przyjaźń wygasła? Z początku starałam się przynajmniej odpowiadać na jej telefony, ale nigdy jej nie odwiedziłam, choć często mnie zapraszała. Teraz nie mogłam sobie nawet przypomnieć, czy wysłałam jej kartkę na Boże Narodzenie.

A ta niesamowita Laura, którą poznałam w szkole rodzenia, kiedy spodziewała się córki, którą nazwała Treacle. Mimo okropnego imienia, jakie wybrała dla swojego dziecka, byłyśmy jeśli nie bliskimi przyjaciółkami, to przynajmniej dobrymi znajomymi przez lata, aż do... no właśnie, do kiedy? Aż Monty był zbyt duży, żeby się bawić z dziewczynką? To nie powinno być powodem kresu mojej znajomości z Laurą, a jednak było. Wszystkie moje przyjaźnie więdły i umierały, z wyjątkiem tej ostatniej, z Charlotte, gwałtownie, uciętej.

Prawda była taka, że na pewnym etapie życia uznałam, że nie potrzebuję przyjaciół. Miałam Harry'ego, miałam Monty'ego, a w sklepie codziennie spotykałam tyle osób, że wystarczało mi to za całe życie towarzyskie. Poza Marguerite i Edith, które wpadały mniej więcej dwa razy w tygodniu, inni klienci odwiedzali nas równie systematycznie. Rosalie, miłośniczka kotów, przychodziła oglądać ramki do zdjęć swoich ulubieńców i zawsze zostawała na przynajmniej jedną filiżankę herbaty. Julia pracowała w agencji nieruchomości za rogiem i za pierwszym razem schowała się w naszym sklepie przed swoim okropnym szefem. Pogadałyśmy, kupiła śliczny pierścionek z perłą i zaczęła przychodzić regularnie.

Był Rupert, nauczyciel, zbierający ceramikę z Poole; pewnego razu zakręcił mną wokół gabloty z biżuterią, kiedy Jocelyn Brown zaśpiewała w radiu piosenkę, której tytuł brzmiał, o ironio, „Cudzy facet”. Znałam szczegóły z życia wszystkich tych ludzi, a nie znałam numeru telefonu do żadnego z nich. Ale gdybym nawet znała, czy zadzwoniłabym teraz do któregoś z nich?

Nie.

Może do Sinead. Ta młoda Irlandka przychodziła co piątek sprzątać i opowiadała najlepsze historie o niegodziwych facetach. Oszukiwali ją, zostawiali w przydrożnych gospodach, porzucali w obskurnych nocnych klubach,

przelatywali w toaletach u Selfridge'a, a potem znikali jak kamfora przed stoiskiem pończosznym. Przeżyła każdy rodzaj nieudanego związku, jaki zna ludzkość. A może jednak nie każdy? Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby któryś z partnerów porzucił ją dla innego mężczyzny.

Tak czy owak, nie miałam jej numeru. Był w sklepie u Charlotte, ale jakoś nie miałam ochoty wlec się tam w piżamie, z włosami w strąkach, żeby go poszukać.

Dlatego dwa następne dni spędziłam w łóżku albo na sofie, rozmawiając ze Sparkym. Wcześniej byłam trochę podejrzliwa wobec ludzi, którzy czerpali duchowe wsparcie od swoich domowych zwierząt, tymczasem okazało się, że sama do nich należę.

I czemu się tu dziwić? Harry bez wątpienia otrzymywał wsparcie emocjonalne od tego całego podłego Charlesa, Monty był na drugim końcu świata, moja siostra uczyła się czytać z rysów twarzy, rodzice nie byli w stanie zapewnić mi pomocy, jakiej potrzebowałam, więc tak naprawdę pozostawał mi jedynie Sparky.

Harry nigdy nie pozwolił psu wchodzić na łóżko, a teraz Sparky rzadko z niego schodził. Kiedy się obudziłam podczas trzeciej z rzędu samotnej nocy, na poduszce Harry'ego leżał psi łeb, a obok niego wyciągnięta łapa, jakby pies poczuł się człowiekiem. Może to brzmi głupio, ale uśmiechnęłam się na widok tego zabawnego widoku. A że poza tym miałam tylko ów jedyny moment rano po przebudzeniu - tak króciutki, że właściwie się nie liczył - kiedy wszystko wyglądało po prostu cudownie, zanim rozpadło się na kawałki, potrzebowałam każdego uśmiechu.

Jednak po pięciu dniach, odkąd Harry mnie opuścił, Sparky już mi nie wystarczał i znalazłam się w beznadziejnym położeniu. Nie miałam męża, pracy ani znajomych i nie byłam

w stanie sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłabym kiedykolwiek wyjść z tego dołu.

Czułam się brzydką, głupią i nudną nieudacznicą, nie bardziej atrakcyjną od domowej świni.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek mnie kochałeś? - krzyczałam do słuchawki, kiedy Harry zadzwonił późnym popołudniem tamtego piątego dnia i w końcu odebrałam telefon. - Czy to wszystko było kłamstwem? Oszustwem? Niczym? Nie mogę uwierzyć. Byliśmy szczęśliwi. Myślałam, że jesteśmy szczęśliwi. Kochałeś mnie tylko dlatego, że wtedy na przystanku autobusowym, kiedy czekałam na 268, wyglądałam jak chłopiec? - To była jedna z teorii, jakie pojawiały się w mojej głowie w środku nocy. - Wyglądałam jak chłopiec? Udawałeś, że jestem chłopcem? Och, chciałabym umrzeć, Harry. Chciałabym po prostu umrzeć. Chciałabym cię zabić gołymi rękami. Albo rozerwać na strzępy. A potem umrzeć.

Harry siedział w swojej kawalerce w Lancaster Gate i sądząc po głosie, czuł taką samą pustkę jak ja.

- Kochałem cię całym sercem, Florence - powiedział - od chwili, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem. Wcale nie wyglądałaś jak chłopiec. Miałaś na sobie ten śmieszny wypchany stanik, niebieskie cienie na powiekach, długie do pasa włosy i spódnice sięgającą niewiele niżej. - Miał rację. Zapomniałam, jak byłam ubrana. - Nie widziałem, żeby jakakolwiek nastolatka wyglądała równie dziewczęco. A teraz jesteś tak samo piękna i seksowna jak wtedy i nadal cię kocham. Sam chciałbym umrzeć za to, że przeze mnie czujesz się, jakby to z tobą było coś nie tak. A przecież tak nie jest. Tu nie chodzi o ciebie, tylko...

- Jak może nie chodzić o mnie? - szlochałam. - Pięć dni temu byłam twoją szczęśliwą żoną, a dziś jestem sama. To ja, Harry. Ja, chociaż tu nie chodzi o mnie! Ty masz kogoś, tego

cholernego Charlesa, a ja nie mam nikogo, i w dodatku to wszystko stało się bez żadnego ostrzeżenia. Może na początku nie chodziło o mnie, ale teraz z pewnością tak.

- Wiem, Floss, masz całkowitą rację. Gdybym mógł zrobić coś innego, to bym zrobił, musisz mi uwierzyć, że kocham cię całym sercem, ale...

- Dlaczego musi być jakieś ale? - przerwałam mu tak gwałtownie, że Sparky zeskoczył z sofy i skulił się urażony na podłodze. - Dlaczego nie mogłeś nadal...

- Udawać? - Harry powiedział to tonem, który upewnił mnie, że wszystko skończone. Nie w zasadzie skończone. Skończone definitywnie i nieodwołalnie.

- Tak - szepnęłam mimo wszystko. Zapadła wiele mówiąca cisza. Co innego, gdyby tylko on wiedział, że udaje. Inaczej jest, kiedy wiemy oboje. Nie było powrotu.

- Florence, tak mi przykro... - Znowu płakał. Mój wielki silny Harry płakał jak Monty, kiedy miał cztery lata i spadł z trzykołowego rowerka. - Cholernie mi przykro.

Słuchanie, jak przeklina, było jeszcze gorsze niż jego płacz; poczułam kolejny przyptyw wściekłości; znów miałam ochotę go zdzielić kłosa bananów. Kim był ten płaczący i przeklinający gej? Jak on śmiał to przede mną ukrywać? Jak śmiał?

- Powinno ci być cholernie przykro! - zawołałam. - Tobie dobrze, należysz teraz do nowego towarzystwa, które ma swoje skóry i pejcze, bary i strony internetowe i Bóg wie co jeszcze, a co ja mam, Harry? Ja i Monty? Och, Monty! Mój biedny drogi Monty!

- Monty ma się dobrze, Floss.

Poczułam, jak moja wściekłość jeszcze się wzmaga.

- Co masz na myśli, twierdząc, że Monty ma się dobrze? Poświęciłam długie godziny na układanie różnych scenariuszy, jak powiemy Monty'emu o Harrym. Powinniśmy

być delikatni, żeby nie przeżył takiego szoku, jaki ja przeżyłam, ale też musimy dać mu do zrozumienia, że to wina Harry'ego, nie moja, żeby mnie nie winił, ale...

- Rozmawiałem z nim - oznajmił Harry. - Właśnie dlatego dzwonię, żeby ci o tym powiedzieć. Dzwoniłem do niego do Tajlandii. Wczoraj. Uznałem, że tak trzeba.

- Nie ustalając tego wcześniej ze mną? - Mój mąż nagle wydał mi się obcym człowiekiem. Poczułam nawet coś w rodzaju zadowolenia, że pozbyłam się osoby zdolnej zrobić coś takiego. - Zadzwońeś do naszego syna i powiedziales mu, że jesteś gejem i nas zostawiasz, a mnie nawet nie uprzedziłeś, że zamierzasz to zrobić?

Zapadła niezręczna cisza. No tak, pomyślałam, przecież on nie zostawia Monty'ego, tylko mnie.

- Bądźmy szczerzy, Florence, uparcie nie odbierałaś moich telefonów, a ja chciałem stawić temu czoło. Chciałem po prostu mieć to już za sobą.

- Cóż, najwyraźniej jeśli tylko dostajesz to, czego chcesz, wszystko jest w pieprzonym porządku, Harry - powiedziałam, po czym wyrzuciłam telefon przez okno, co było głupie, ponieważ byłam w salonie na piętrze i usłyszałam, jak aparat rozbił się na kawałki o bruk na dole.

Kiedy już złość mi trochę opadła, co nastąpiło po dwóch godzinach szlochania w poduszkę i kieliszku pośledniego sherry, przyznałam w duchu, że jestem zadowolona, że Monty już wie i że to Harry mu powiedział. Kiedy próbowałam sobie wyobrazić nas oboje, jak stoimy w pokoju razem z naszym synem i przekazujemy mu tę wiadomość, widziałam siebie skaczącą Harry'emu do gardła, żeby go udusić, albo załamana i błagającą, żeby zmienił zdanie, albo zakrywającą uszy Monty'emu, żeby nie usłyszał strasznej prawdy. Nasz syn miał takie cudowne życie, nieskażone dotąd tragedią jak moje. Nie umarł mu nikt bliski, nigdy nie miał poważnych kłopotów,

zawsze było nas stać na wszystko, czego zapragnął. I nagle miał się znaleźć w świecie, w którym rodzice się rozchodzą, ojciec jest gejem, a matka się wścieka. To nie do przyjęcia. Byłam pewna, że to mu złamie serce, tak jak mnie.

Potem uzmysłowiłam sobie, że Monty niedługo wraca do domu, że zna już prawdę i będziemy razem leczyć swoje złamane serca. Poczułam wtedy przebłysk nadziei, jakby ciepło w środku, że Monty'ego i mnie będzie łączyło coś, czego Harry dostąpił jedynie na chwilę. Mieć syna to coś innego, niż mieć męża: syna ma się na całe życie. Monty nie mógł zmienić zdania i uznać, że nie jestem jego matką. Nawet gdyby zmienił orientację seksualną, a modliłam się, żeby to nie była ta trzecia zła rzecz, nadal będę jego matką. Na zawsze.

Parę nocy później Harry przyjechał do mnie, co zważywszy na okoliczności, stanowiło z jego strony akt odwagi, ale był wówczas w nastroju do rzucania różnymi rzeczami, więc rzucaliśmy.

Do tego czasu poszperałam trochę w Internecie i znalazłam zadziwiająco dużo stron poświęconych żonom, których mężowie okazali się gejami. Niestety, co było przygnębiające, bardzo niewiele z tych historii kończyło się tak, że mężowie zmienili zdanie i wrócili do domu.

Istniały również niezliczone strony religijne, gdzie gwałtownie nawoływano mężów gejów, żeby oparli się wrodzonym skłonnościom i choć to także było przygnębiające, przetestowałam niektóre z wyczytanych tam porad na Harrym.

Próbowałam go przekonać, że ludzie często przestają być gejami. Może mógłby pojechać do Stanów i zostać przeprogramowany albo przyłączyć się do jakiegoś kultu? A jeśli nie, to może moglibyśmy nadal pozostać małżeństwem, mieszkać razem, tylko każdy robiłby swoje w kwestii seksu.

Harry odparł na to łagodnie, że taki układ mógłby się sprawdzić, gdyby był niepraktykującym gejem. Był jednak Charles z Whittington i należało go brać pod uwagę.

Zasugerowałam, że na Charlesa z Whittington można by napaść w ciemnej uliczce i pchnąć go tysiąc razy nożem, który bujnie owłosiona ciotka Molly dała Harry'emu na trzydzieste urodziny.

Harry niezbyt dobrze przyjął mój wybuch złości, jak by zapewne określił to psycholog, i zakończył tamtą wizytę w bardzo kiepskim nastroju. Wrócił jednak kilka wieczorów później z butelką drogiego burgunda, a do tego czasu, choć sama nie wiem jak, zdołałam się jakoś oswoić z sytuacją.

Przypuszczam, że gejowska orientacja Harry'ego przestała mnie szokować. Kiedy cała ta sprawa na mnie spadła, była jak piorun z jasnego nieba, ale minął zaledwie tydzień, a zdołała się, choć nie do końca, gładko wpleść w tkanę naszego związku. Stała się problemem, jak amputowana kończyzna albo irytująco natrętny gość. Problemem, do którego należało się przymierzyć od innej strony. Dużym problemem. Ogromnym. Podstawą wszystkich problemów. Niemniej jednak tylko problemem.

Nie twierdzę, że nie byłam już strasznie nieszczęśliwa, oczywiście, że byłam. Ciężko zrozpaczona, przekonana, że tak już będzie zawsze, i do tego piekielnie zła. Tysiąc razy dziennie wahałam się pomiędzy zwątpieniem, że to się dzieje naprawdę, a przygnębieniem, że jednak się dzieje, i słabą nadzieją, że zdarzy się cud i ten koszmar się skończy. Ale nie byłam już zaskoczona. I to było dziwne.

Kiedy doszło do tej drugiej wizyty, z burgundem, udało nam się przeżyć moment dziwnej komitywy. Zdarzyło się to właściwie przez pomyłkę. Mój gniew normalnie by do tego nie dopuścił. Ale to było takie samo wino, jakie piliśmy na pikniku kilka lat wcześniej, gdzieś koło Oksfordu, nad rzeką.

Zapamiętałam dokładnie gatunek wina, ponieważ cały wyjazd był godny zapamiętania. Monty wyjechał gdzieś z kolegą, a my z Harrym staraliśmy się jak najlepiej wykorzystać weekend, który mieliśmy tylko dla siebie. Zjedliśmy do wina kanapki z szynką, po czym oboje zasnęliśmy w popołudniowym słońcu na wielkiej łące porośniętej bujnie trawą i obudziliśmy się, dopiero kiedy wielkie, kudłate bydlę polizało Harry'ego w policzek. Harry wrzasnął, a raczej zaryczał jak byk, co chyba nie było dobrym pomysłem, bo okropnie mnie przestraszył, a do tego rozjuszył zwierzę, które zaczęło walić kopytami w ziemię. Udało nam się wyjść z opresji bez szwanku, ale pozostali ludzie, którzy znajdowali się na łące, a nie zostali polizani, omal nie umarli ze śmiechu.

- Pamiętasz tę kudłatą bestię? - zapytałam Harry'ego, zapominając na moment, że mnie porzuca (to wtedy wkradła się pomiędzy nas ta niespodziewana serdeczność).

- Jak mógłbym zapomnieć? - odparł Harry. - Potem przez kilka miesięcy nie mogłem jeść mięsa. Dlaczego wybrała akurat mnie...

Zastanawiałam się, czy po tym, co się stało, wszystkie owe nasze wspólne cudowne wspomnienia zostały skażone. Czy to wszystko, całe nasze dwadzieścia pięć lat, było farsą? Nie wydawało mi się farsą wtedy, gdy zakładałam, że będziemy żyć razem długo i szczęśliwie. Ale teraz, kiedy Harry okazał się gejem, nie byłam już pewna.

Tamten piknik przypomniiał mi o czymś jeszcze. Pled w granatowo - zieloną kratę, na którym leżeliśmy na tej łące, był prezentem ślubnym od uroczej kuzynki Harry'ego, Emily ze Szkocji.

(Dlaczego nie utrzymywałam kontaktów z Emily? Co było ze mną nie tak?).

Kilka lat po naszym ślubie jej mąż, John, miał okropny wypadek na nartach podczas wyprawy z kolegami do Austrii;

kiedy ostatni raz widzieliśmy Emily, opowiadała o tym przy domowej roboty florentynkach i filiżance świeżo naparzonej cejlońskiej herbaty.

Jej życie toczyło się szczęśliwie we właściwym kierunku, każde „i” miało kropkę, a każde „t” kreskę, przyszłość była dokładnie zaplanowana, mówiła ze spokojem. I nagle jeden telefon przewrócił wszystko do góry nogami. Usłyszała wtedy, że John prawdopodobnie przeżyje, ale może już nigdy nie chodzić. To było jej tsunami.

Jednak, jak mi wyznała, okazało się, że ten telefon i minuty albo godziny, które po nim nastąpiły, były najgorsze.

Wówczas z trudem mogłam w to uwierzyć. Przecież to musiał być dopiero początek! A jednak nie, to poczucie znalezienia się w pułapce, zaskoczenie, szok stanowiły najmocniejszy cios. Już następnego dnia oswoiła się z nową sytuacją w ich życiu, a po tygodniu mówiła o rehabilitacji i cewnikach jak profesjonalistka.

To tak jak ze śmieciarzami, którzy wywożą śmieci niezależnie od wszystkiego. Świat nadal się kręcił. I z pewnością nie zamierzał się zatrzymać, kiedy Harry wyszedł z ukrycia. Poza tym, po kilku pierwszych minutach i godzinach oszołomienia, kiedy mogłam myśleć wyłącznie o sobie i Montym, zauważyłam, że Harry jest tak samo nierozzerwalnie związany ze mną, jak ja z nim, i przyznałam, oczywiście tylko w duchu, że byłoby mu łatwiej, gdyby się nie zakochał w tym całym Charlesie. Ale jak mówią, serce nie sługa, a za sercem idą inne części ciała.

Później tego wieczoru, kiedy zapanowała między nami ta przypadkowa komitywa, przez ułamek sekundy pomyślałam, że Harry jednak zmieni zdanie i do mnie wróci. Dostrzegłam to w jego oczach, w drzeniu szczęki, w rozpaczach, z jaką na mnie patrzył, i widziałam, jak bardzo mnie kocha. Nie

przyniosło mi to jednak radości ani ulgi, tylko ból, głęboki i dotkliwy. Ponieważ tak naprawdę nie było już powrotu.

Zwłaszcza dla niego. Widziałam to wyraźnie. Podczas gdy ja, pogiębiona przez traumę wyglądałam jak czupiradło, Harry prezentował się doskonale. Trochę poszarzał na twarzy, jak przystało na męża, który opuścił kochającą żonę. Jednakże coś w jego oczach, w mocno wyprostowanych ramionach, świadczyło o nowym szczęściu.

Nienawidziłam go za to.

Ale nie mogłam też przestać go kochać.

Wrócił więc do swej kawalerki, gdzie musiało mu być całkiem miło zastanawiać się nad swoją sytuacją, a ja wróciłam do wylegiwania się na kanapie w piżamie, płaczu w poduszkę i rozmów z psem.

Monty:

Myślałem, że się przewrócę, kiedy ten śmieszny mały transseksualista, który prowadził nasz hotel na plaży w Koh Tao, powiedział mi, że ktoś do mnie dzwoni.

Nawet nie wiedziałem, że mają tu telefon.

W każdym razie siedziałem akurat w barze przy zimnym piwie Changi i grałem w remika z jakimś pijanym Duńczykiem, więc nie musiał mnie daleko szukać.

Jak tylko powiedział, że ktoś dzwoni, od razu wiedziałem, że to musi być mama albo tata, wiedziałem też, że to coś ważnego, bo wracałem do domu i większość spraw mogłaby poczekać. Nie wpadłem jednak w panikę. Po pierwsze, to było moje drugie piwo tego ranka. Pomyślałem też, że gdyby stało się coś naprawdę poważnego, wiecie, z tych najgorszych rzeczy, przyjechałaby policja, żeby mnie powiadomić, a nie ten odmieniec w topie nad pępek i klapkach na wysokim obcasie, z napisem Cool Shit wyciętym na podeszwach. Tak czy owak, było ostro.

Nie wiem, co tata spodziewał się ode mnie usłyszeć, ale zdobyłem się jedynie na „wow”. Nie przeszkadza mi, że jest gejem, broń Boże. Jak mawia mój znajomy Mischa, nikomu nic do tego, co robisz w łóżku, chyba że akurat tak się składa, że ten ktoś jest z tobą w łóżku. Po prostu przeżyłem szok, bo mama i ojciec zawsze wydawali mi się jedną z tych naprawdę zakochanych par, przy których inni rodzice, kłócący się i wojujący ze sobą, wyglądali jak stare smętne zgredy.

A może to tylko mama była zakochana bez pamięci. Może tata zawsze okazywał trochę, bo ja wiem, dystansu? Oczywiście możliwe, że tak teraz myślę tylko dlatego, żeby się nie czuć kompletnym idiotą, bo nie zauważyłem, żeby miał coś z geja. Prawdę mówiąc, nadal nie uważam, żeby miał w sobie jakieś gejowskie cechy. To nie znaczy, że nie wierzę, że jest gejem, chodzi mi o to, że chyba niczego nie przeoczyłem. Był wspaniałym ojcem, jest wspaniałym ojcem i miałem cudowne dzieciństwo, więc to dla mnie bez znaczenia, co się teraz z nim dzieje. Jest dorosły, może robić, co chce.

Martwię się o mamę. To, że ojciec jest gejem, może nie mieć większego znaczenia dla mnie, ale z pewnością dla niej będzie miało znaczenie. Nie dowiedziałem się szczegółów ich rozstania, nie omawialiśmy tego przez telefon. Czy mama zostanie w domu? Do diabła, mam nadzieję, że tak. Bardzo kocha ten dom. Szczerze mówiąc, byłoby mi smutno, gdyby trzeba było go sprzedać. Ale w pewien sposób to by mi też ułatwiło sytuację.

W końcu ja też mam dla nich niespodziankę.

Boże. Biedna mama.

Górska kolejka miłości i nienawiści wykonywała mnóstwo nagłych lotów w dół oraz gwałtownych zakrętów, rzucając moim obolałym ciałem na wszystkie strony.

Byłoby mi znacznie łatwiej po prostu nienawidzić Harry'ego, jednak kochałam go przez dwadzieścia pięć lat, a to mocno komplikowało sprawę. Ponadto fakt, że Harry nadal mnie kochał, tylko bardziej kochał Charlesa, też nie pomagał tak, jakby sobie można wyobrażać. Porzucanie nie jest procesem krótkim ani łatwym. Nie ma szans, by odbyło się to prosto i bezboleśnie.

Gdyby Harry zostawił mnie dla jakiejś cyscanej blondynki, zamienił na nowszy model albo oznajmił nagle, że ucieka na Ibizę z Charlotte, chyba bez trudu potrafiłabym go znienawidzić. Albo zafundowałabym sobie operację powiększenia piersi i zwabiła go z powrotem. Ale większy rozmiar stanika nie zwabi mężczyzny, który nie jest już zainteresowany damskimi biustami.

Zdarzało mi się go głęboko nienawidzić, za to, że na początku nie był gejem i doprowadził do takiej sytuacji po latach naszego wspólnego życia. Jednak każda nawet najgorsza złość musiała wyparować, kiedy znienacka stawał mi przed oczyma kawałek naszej niezaprzeczalnie szczęśliwej przeszłości. Takie wspomnienia sprawiały, że na moment ogarniało mnie ciepło, czułam, że byłam kochana i tym okrutniejsze wydawało się to, co zaszło, i w tym czarniejszą wpadałam rozpacz.

W pewien sposób wołałam nienawiść od rozpacz, choć w istocie najbardziej pragnęłam nie czuć niczego. Nieustające fale to jednego, to drugiego, dramatyczne niepożądane uniesienia i „doły” kompletnie mnie wyczerpywały, więc próbowałam trochę nimi kierować, wprowadzić jaką taką

równowagę, specjalnie równoważąc przyjemne myśli o Harrym tymi mniej przyjemnymi.

Pamiętałam na przykład swoje zaskoczenie, gdy porwał mnie na weekend do Cotswolds w moje dwudzieste szóste urodziny. Wiedząc, jak bardzo lubię porośnięte bluszczem bajkowe domostwa, znalazł takie w Cerney Wick koło Circencester, z bukszpanowym żywopłotem, ogniem buzującym w otwartym kominku, podłogami z szerokich desek, miękkimi sofami i piękną rustykalną kuchnią. To było takie miejsce, do którego w marzeniach chciałoby się zostać porwaną i pamiętając o tym, musiałam go kochać.

Chociaż pamiętałam też, że jedynym jedzeniem, jakie dla nas zabrał na cały weekend, było mrożone curry z supermarketu i to nieco studziło moje emocje. Pamiętałam również, że w niedzielę rano miał telefon z pracy, musieliśmy skrócić nasz romantyczny wypad i szybko wracać do Londynu, co popchnęło mnie jeszcze bardziej w stronę nienawiści. Wtedy mi to aż tak nie przeszkadzało, ponieważ zostawiliśmy Monty'ego z moimi rodzicami i bałam się, że zrobią z niego buddyjskiego mnicha, ale teraz wydawało mi się wielce naganne, że Harry zmarnował taki wspaniały weekend.

Był też ten dzień, kiedy powiedział zwierzchnikom w swojej firmie, żeby skrócili spotkanie, bo chce zobaczyć Monty'ego w roli dyni (głównej dyni, pozwolę sobie dodać) podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego w podstawówce. Niewielu ojców zadało sobie trud, żeby przyjść, a Harry wpadł przez drzwi z nową kamerą wideo; żadne z nas nie umiało jej uruchomić, ale w końcu udało się to siedzącemu obok sześciolatkowi, który wszakże nie zrobił ani jednego ujęcia Monty'ego, skupiony całkowicie na uroczym jasnowłosym pomidorze po prawej stronie sceny.

Spoglądając na Harry'ego, wpatzonego z uwielbieniem w naszego syna, czułam się taka dumna z niego i z nas, Dowlingów z Małej Wenecji. Na wspomnienie o tym znowu go kochałam. Ale mniej więcej w tym samym czasie przechodził okres dziwnego zamknięcia w sobie; ciągle go pytałam, co jest nie tak, ponieważ wydawał się jakiś nieobecny, a on tylko się uśmiechał i mówił: „Nic, Floss. Co ty wymyślasz?”. Ale coś było nie tak. Dlaczego odsuwał się ode mnie i jeszcze sugerował, że sobie coś ubzdurałam? Takie postępowanie było wstrętne. Podłe. Nieczułe. Wróciłam na pozycję nienawiści.

Po kilku kolejnych dniach tej mało zabawnej przejażdżki roller coasterem uświadomiłam sobie, że choć nadal jestem do niczego, udało mi się nieco okiełznać najgorsze fale nienawiści i rozpacz. W każdym razie mniej płakałam, a więcej krzyczałam do telewizora. Złapałam się nawet na tym, że parskam śmiechem, oglądając powtórkę „Hotelu Zacisze”, odcinka, w którym Basil paraduje marszowym krokiem przed Niemcami. Nie był specjalnie zabawny, więc uznałam, że skoro zaczęłam chichotać, to musiał nastąpić przełom.

Cóż, nie byłam może beczką śmiechu, kiedy się obudziłam następnego ranka, dokładnie dwa tygodnie po tym, gdy zostałam porzucona przez męża, i rozkoszowałam się tą cudowną chwilą, nim do mózgu dotarła świadomość niedoli. Potem jednak wstałam, wzięłam prysznic i umyłam włosy.

Już samo to niesłychanie poprawiło moje samopoczucie.

Nadal byłam ślepą, głupią idiotką, która wyszła za geja, ale przynajmniej nie pachniałam jak polna mysz.

Tak czy inaczej, gdzieś pomiędzy wspomnianiem, jak Harry przyszedł do domu z nowiutkim zestawem garnków Le Crueset (miłość), które okazały się być w moim najmniej ulubionym kolorze szafranowym (nienawiść), doszłam do

wniosku, że jeśli mam przeżyć, muszę porozmawiać z kimś innym niż pies czy poszewki na poduszki.

Patrząc realistycznie, jedyni odpowiedni kandydaci znajdowali się na tudoriańskiej farmie w Suffolk.

Powinam była już im powiedzieć, oczywiście, że powinam, i nie o to chodzi, że nie miałam zamiaru. Spoglądałam na telefon w sypialni (w salonie już nie miałam) nawet dość często, ale jakoś nie mogłam się zmusić, żeby to zrobić. A kiedy oni do mnie dzwonili, co zdarzyło się kilka razy od czasu, gdy Harry mnie opuścił, dziwnym trafem jakoś nie wspominałam, że straciłam pracę i męża i teraz siedzę beczynn timer, czekając, aż spadnie na mnie kolejne nieszczęście.

Poppy była niesłychanie zafascynowana jakimś mężczyzną, poznanym na kursie czytania z twarzy. Tata zastanawiał się nad uprawą jakiejś dziwnej rośliny z chińskich wyżyn, która, jak dowiedziono, redukuje uciążliwości menopauzy u kobiet. Mama nadwerężyła sobie pachwinę, wychodząc z pozycji lotosu, i kazała tacie co godzinę wcierać w obolałe miejsce homeopatyczny krem z arniki, co oznaczało, że spędzają dużo czasu na uprawianiu seksu i tym razem to on jest na górze.

Podczas niezwykle emocjonującej rozmowy na powyższe tematy ani razu nie padło pytanie, czy nadal pracuję i jestem zamężna. Myślę, że takie pytania nigdy nie padają. Myślę, że tak w ogóle, ludzie dowiedzą się, że coś z tobą jest nie tak, tylko kiedy im o tym powiesz.

Na swoją obronę mogę dodać, że chyba żadna kobieta nie rwałaby się do wyznania rodzinie, że jej mąż okazał się gejem. Albo że bzyka sekretarkę. Albo samotnie z plecakiem wędruje po Indiach. Albo robi coś, od czego wkrótce przestanie być jej mężem. Odbierałam to jako porażkę, mimo iż w żaden sposób nie przyczyniłam się do tego, co się stało. Jednak moje małżeństwo było zakończone. Mężczyzna, którego kochałam

od dziecka, zamieszkał w kawalerce w Lancaster Gate i robił tam nie wiadomo co z Charlesem z Whittington.

Miliony kobiet przede mną przekazywały podobne wiadomości swoim bliskim i żyły dalej. Wiedziałam o tym. Nie wiedziałam natomiast, ile z nich pochodziło z rodzin tak pokręconych, że ich bliscy gotowi byli upamiętnić tę katastrofę specjalnym tańcem lub paleniem kadzidełek.

Poza tym Harry ciągle mi powtarzał, że powinnam to zrobić wcześniej i mieć już wszystko za sobą, co tylko wzbudziło mój sprzeciw, bowiem bezpowrotnie minęły czasy, gdy mógł mi cokolwiek nakazywać. Powiedziałam mu, że sam pozbawił się tego prawa, odchodząc i znajdując sobie chłopaka.

- Wiem, że jesteś zła, Floss - odparł - i masz do tego pełne prawo, ale wyzywając się na mnie, sama sobie szkodzisz.

Miał rację, co oczywiście wcale mi nie pomogło.

Prawda była taka, że odejście Harry'ego okazało się dla mnie strasznie trudne i wyglądało na to, że mój były mąż czuje się w obowiązku mi pomóc. Zawsze potrzebowałam wsparcia. Niezależnie od tego, czy chodziło o karmienie naszego synka tuż po jego urodzeniu, otwieranie interesu, obcięcie włosów czy zakup drogiego stanika, przez większość życia polegałam na radach i zachętach Harry'ego.

Nie muszę chyba mówić, jak irytujące było odkrycie, że nadal ich potrzebuję.

Okazuje się, że nie można tak po prostu przekreślić związku trwającego ćwierć wieku, niezależnie od okoliczności. Do tego stopnia czułam się częścią „nas”, że wydawało mi się, iż nie sposób tego zmienić. Jakby nie dość było szoku, że nagle znalazłam się sama, to jeszcze się okazało, że nie bardzo umiem egzystować jako pojedyncza istota. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że nie należę do tych słodkich małych kobietek, które żyją tylko po to, by

uszcześliwiać swoich mężów. Miałam własną osobowość, własny charakter, wystarczająco silne poczucie własnej odrębności. Tylko że dotąd tak naprawdę tego wszystkiego nie potrzebowałam, bo byłam skupiona na „nas”.

To mocno komplikowało sprawę, bo nie dość, że musiałam sobie jakoś radzić z emocjonalną traumą spowodowaną odejściem Harry'ego, to jeszcze trzeba było pokonać różne praktyczne trudności wywołane jego nieobecnością.

Na przykład powiedzieć moim rodzicom, co się dzieje. Normalnie nie zrobiłabym tego sama i wiedząc o tym, w pewnym momencie Harry zaproponował, że pojedzie ze mną i mi pomoże. Jeśli chodzi o niego, to powiadomił już swojego brata w Edynburgu, z wyglądu podobnego do miotły postawionej na sztorc, który powiedział mu, żeby więcej nie dzwonił, i postanowił nie mówić rodzicom nic ponad to, że się rozchodzimy.

Pewnie powinno mnie to zmrozić, ponieważ w ten sposób Harry migał się przed kłopotami, ale jakoś nie zmroziło. Moi rodzice byli zwariowani, ale kochający, natomiast o jego rodzicach nie można było powiedzieć ani jednego, ani drugiego. Nie licząc okolicznościowych telefonów na urodziny, właściwie nie utrzymywaliśmy z nimi kontaktów. Okazywali nam tak mało zainteresowania, że wprawdzie starałam się zacieśnić nieco stosunki, gdy jeszcze mieszkali w Londynie, a Monty był młodszy, lecz kiedy wyprowadzili się na Wyżynę Szkocką, w zasadzie odpuściłam.

Zwróćcie uwagę, że ostatnio sobie uzmysłowiłam, iż na ogół odpuściłam sobie kontakty z bliskimi osobami, co było z pewnością niemądre.

Mimo że w gruncie rzeczy przyznawałam Harry'emu rację, iż nie wtajemniczał rodziców w szczegóły naszej małżeńskiej porażki, powiedziałam coś w rodzaju:

- Powiedz im, co chcesz. Nic mnie to nie obchodzi.

- Cóż, ciebie mogą nie obchodzić moi rodzice, mnie jednak obchodzą twój, Floss. Proszę cię, powiedz im.

Wiedziałam, że moi będą się fascynować intymnymi szczegółami naszej małżeńskiej porażki, co sprawiało, że tym mniejszą miałam ochotę im je wyjawiać.

Kiedy jednak umyłam głowę i włożyłam czyste ubranie, przyznałam w duchu, że nie tylko muszę to zrobić, ale muszę zrobić sama. I to szybko. Zamknęłam więc oczy, wybrałam numer matki, wyrzuciłam z siebie, że przyjeżdżam do nich z wizytą i miałam nadzieję, że do tego czasu krem z arniki zrobi swoje.

Nigdy wcześniej nie brakowało mi Harry'ego tak bardzo jak w momencie, gdy owego dnia hamowałam na podjeździe przed Tannington Hall. Cóż za ironia losu... Czułam mdłości nie tylko dlatego, że wiedziałam, iż mama gotuje swoje słynne wegańskie danie, absolutne paskudztwo wyglądające jak psie wymiociny. Nawet Sparky nie chciał tego jeść.

- Jesteś gotowy? - zwróciłam się do psa, zatrzymując samochód. Popatrzył na mnie smutno, ale ostatecznie zawsze tak patrzył.

Poppy ukazała się w drzwiach i radośnie pomachała mi drewnianą łyżką.

- Sama wiesz, jak jest - powitała mnie, całując w oba policzki. - Archie znów przechodzi fazę wschodnich kaftanów. Wiem, że ich nie znosisz i pewnie powinien kupić nowe albo przynajmniej oddać te stare do naprawy - swoją drogą, jak można robić tyle dziur w ubraniach? - ale pamiętaj, Effie, to tylko jeden ze sposobów na wyrażenie siebie, a przy stanie prostaty w jego wieku, cóż, odpowiednia cyrkulacja powietrza może być pomocna, więc proszę, Flower, nic nie mów.

Wyszarpnęła mi z rąk puszkę ze zdjęciem ślubnego tortu Karola i Diany na przykrywcę i zajrzała do środka.

- Co? Babeczki? Z mąki? I czekolady? Och, doprawdy, Effie. Ile razy mam ci powtarzać? Od tego całego glutenu i nabiału napęcznieję jak balon. Myślałam, że mogłabyś przywieźć kiedyś organiczne orzechowe batoniki od Daylesfordsa. Tobie to dobrze, z tymi długimi nogami i płaskim brzuchem możesz sobie pozwalać. Kurczę, czyżbyś schudła? Ależ tak! Jak ty to robisz? Niektórzy mają szczęście! Cholerni mięsożercy. To niesprawiedliwe. Eff, dobrze się czujesz? Teraz z bliska widzę, że jesteś strasznie blada. Mam nadzieję, że nie brakuje ci w diecie żelaza. Ale przecież ty jesz mięso. Och, Effie, co się dzieje? Ty płaczesz? Och, do diabła! Lepiej to z siebie wyrzucić, niż dusić w środku, więc płacz, płacz, och, do diabła! Oddychaj, Effie, oddychaj. Mamo! Tato! - Poppy zawsze miała donośny głos.

Godzinę później siedzieliśmy w domu przy kominku; czując w środku przyjemne ciepło po wypiciu dwóch i pół porcji jakiegoś mocno alkoholowego napoju, wyjawiałam im straszne nowiny.

Biedna Poppy omal nie wyszła z siebie. Może i była rozczarowana konwencjonalnym stylem mojego życia, ale uważała, że jesteśmy z Harrym dla siebie stworzeni i dzięki nam miała nadzieję, że gdzieś tam żyje także druga jej połówka, tylko świat musi się trochę natrudzić, żeby się ze sobą połączyli.

- Och, kochanie - westchnęła moja matka z niezwykłą u niej dozą współczucia - przez co ty musiałaś przejść. Mogę sobie tylko próbować wyobrazić. Tak mi przykro. To bardzo trudny okres dla was obojga. Naprawdę.

Popatrzyła na tatę, kiwając głową w moją stronę, jakby mówiła: „No dalej, powiedz coś”, nie wiadomo dlaczego,

skoro wszyscy wiedzieli, że ojciec jest uroczym człowiekiem, ale nigdy nie mówi nic pożytecznego.

- No tak - wydusił z siebie w końcu, unosząc kaftan przy siadaniu, tak że gdybym ośmieliła się spojrzeć, bez wątpienia bym zobaczyła, że nie nosi bielizny. - Zawsze uważałem, że jest trochę, no wiesz, ciotowaty.

- Archie! - Matka była zszokowana. Nawet ona nie miała wątpliwości, że ta wypowiedź nie może uchodzić za pożyteczną. - Wcale tak nie uważałeś! Chociaż - dodała, czyniąc zadość politycznej poprawności - nie ma nic złego w byciu ciotowatym. Wszystkie stworzenia Buddy i tak dalej.

- Archie, co to za bzdury, zawsze uważałeś, że Harry jest zakichanym macho - powiedziała Poppy. - Pamiętasz, jak ostatniej zimy dawał ci rady, jak rąbać drewno do kominka? Powiedział, że robisz to źle i wziął od ciebie siekierę, a ty wtedy powiedziałeś, że ma za dużo testosteronu i powinien pić więcej herbaty z lukrecji.

- Masz na myśli, że był ciotowaty w sensie homoseksualnym, tato? Naprawdę tak uważasz? - dopytywałam się, a serce waliło mi w piersi. Naturalnie wychodziłam z siebie, żeby sobie przypomnieć jakieś epizody z przeszłości, które powinny były mnie zaniepokoić. Przysięgam jednak, żadnych takich oznak nie było. Od trzydziestu lat Harry chodził do tego samego fryzjera, nie nawilżał skóry balsamem, nie używał wody po goleniu. Grał w rugby, na miłość boską. Miał niski głos. Uwielbiał Cameron Diaz. Kochał swojego syna, naszego syna. Był takim dobrym ojcem. Nie chodzi o to, że geje są złymi ojcami, ale... och, do diabła, w mojej sytuacji bardzo trudno było zachować polityczną poprawność.

- Próbowałem tylko pomóc - mruknął tata, spoglądając na mnie znad okularów, poprawiając kaftan, a następnie przeciągając dłońmi po resztkach niesfornych siwych włosów.

- Ale nie, uważam, że miał więcej z zakichanego macho niż z cioty. Sądziłyśmy, że ci to odpowiada, Eff. Taki czerstwy byczek. Co? - Spojrzał pytająco na mamę, która dawała mu znaki, energicznie machając rękami. - Co znowu powiedziałem nie tak? Co? Byczek?

- W porządku, mamó - wtrąciłam. - Naprawdę.

- A dobrze się spisywał? - podjął tata, nadal starając się być użytecznym. - Wiesz, w łóżku? Nigdy nie wspominałaś, by coś było nie tak, więc zakładaliśmy...

Mama, tata i Poppy w nieskończoność rozprawiali o seksie, nigdy nie nudziło ich omawianie erekcji, orgazmów czy różnych wariantów pozycji na misjonarza z bitą śmietaną na wierzchu.

Słowo daję, chyba by mnie nie zdziwiło, gdyby rodzice demonstrowali różne pozycje Poppy, żeby je wypróbowała z każdym swoim nowym chłopakiem. Takie niebezpieczeństwa czyhały na kobietę, która w wieku trzydziestu pięciu lat była singielką i mieszkała w domu rodzinnym, jakkolwiek Poppy nie znajdowała w tej sytuacji nic szczególnie niebezpiecznego.

- Nigdy o niczym nie wspominałam, bo nie było o czym wspominać - oznajmiłam sztywno, rumieniąc się ze skrępowania. - Mam na myśli to, że nie było niczego nienormalnego. Prowadziliśmy zupełnie normalne życie seksualne.

To prawda. W każdym razie normalne dla normalnych ludzi. Uprawialiśmy seks tak często, jak tylko mieliśmy ochotę, czasami inicjowany przeze mnie, czasami przez niego. Ani razu się nie zdarzyło, by Harry nie dokończył dzieła, a ja nie musiałam nigdy mówić: „Nie martw się, kochanie, wszystkim mężczyznom to się czasem zdarza”. Był bardzo czuły i łatwo mogłam go... no wiecie, zainteresować.

- Nie jest mi zbyt zręcznie pytać cię o to - odezwała się matka tonem dość entuzjastycznym jak na dopiero co

okazywane współczucie - ale robiłaś sobie test na AIDS? Chodzi mi o to, że statystyki...

- On mnie nie zdradzał - powiedziałam głośno. - Twierdzi, że mnie nie zdradzał, a ja mu wierzę. Tyle że chciał. Od dłuższego czasu chciał, a teraz, kiedy jesteśmy w separacji, jestem pewna, że to robi. Z Charlesem ze szpitala Whittington.

- Och, biedna Flower - szepnęła Poppy, ściskając czule moją dłoń.

- Czy przypadkiem matka Shirley Haverstock nie złapała jakiejś strasznej choroby i nie zmarła w Whittington? - zwrócił się tata z pytaniem do mamy.

- A nie była to matka Genevieve Whiteley? - mama odpowiedziała mu pytaniem. - I zmarła, czy oślepla albo straciła nerkę czy coś? Tak czy inaczej, miała prawie setkę. I wszyscy strasznie się nad nią trzęśli. Ale tak, jestem prawie pewna, że to było w Whittington.

- Och, biedna, biedna Flower - powtórzyła Poppy, rzucając się na mnie, obejmując mnie za szyję i wtulając twarz w mój kołnierz. - Jesteście w separacji? Och, nie mogę tego znieść.

- Oczywiście, że jesteśmy w separacji, Poppy - odpowiedziałam, chociaż przetrwanie tego faktu też zajęło mi trochę czasu. - Tak się dzieje, kiedy twój mąż okazuje się gejem. Uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli się wyprowadzi przed powrotem Monty'ego. Żeby go zanadto nie stresować. - Imię naszego syna utknęło mi w gardle. Wiele dałabym za to, by móc powitać Monty'ego tak, jak wcześniej sobie wyobrażałam w marzeniach.

- Och, biedny, biedny Monty - szlochała mi Poppy w obojczyk. - Będzie załamany. Och, ten biedny kochany chłopiec.

Na myśl o załamaniu psychicznym biednego kochanego wnuka mama i tata także zrobili miny, jakby im było niedobrze. Czasami coś ich skłaniało do picia własnego moczu (tak przynajmniej twierdzili, bo nikt nigdy nie widział, żeby naprawdę to robili) ze względu na przypisywane mu lecznicze właściwości, ale kochali mojego syna nad życie.

- Nic mu nie będzie - rzucił nerwowo tata, kiwając do mnie głową. - Mam na myśli to, że sam też jest trochę ciotowaty.

- Archie! - Matka, z zasady przeciwna wszelkim formom przemocy, sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała uderzyć ojca.

- Uważasz, że Monty jest ciotowaty? - Powinnam być obrażona i w pewnym sensie byłam, ale też musiałam przyznać, że nasz syn objawiał wrażliwość czasami graniczącą z kobiecą. Zdarzało mi się w przeszłości zastanawiać nad jego seksualnością, zanim dowiedziałam się o Harrym. Czy homoseksualizm mógł być dziedziczny?

- Właściwie ty też jesteś trochę ciotowaty, Archie - stwierdziła Poppy, siadając prosto i ocierając oczy. - Najbardziej ciotowaty ze wszystkich. Wszyscy wiemy, że wsłuchujesz się w kobiecą stronę swej natury, a poza tym masz wysoki głos i nosisz sukienkę.

- Wierz mi, twój ojciec nie ma nic z geja - powiedziała mama, wywracając oczami. - Gdybyś widziała, jak dziś wcześniej...

- Nie! - krzyknęłam. - Proszę cię, mamo, nie teraz. - Matka uniosła brwi, żeby miną dać mi do zrozumienia, jak bardzo brak mi otwartości, lecz szybko się opanowała, być może dochodząc do wniosku, że w zaistniałych okolicznościach mogę nie mieć ochoty na słuchanie opowieści o heteroseksualnych wyczynach rodziców.

- Nie obchodzi mnie, czy Monty jest gejem. -
Wypowiadając te słowa, uświadomiłam sobie, że to prawda. Posiadanie męża geja mogło być irytujące z wielu powodów, również tych bardzo praktycznych, natomiast syn gej to coś innego. Zupełnie innego. Dopóki Monty czuł się szczęśliwy, nie obchodziło mnie, kim był czy też z kim. Miałam tylko głęboką nadzieję, że jeśli rzeczywiście jest gejem, potrafi to od razu zaakceptować i być z tego dumnym, zamiast się żenić, żyć z kobietą przez dwadzieścia lat, a w końcu powiedzieć jej to przy stole tego samego popołudnia, kiedy straciła pracę.

- Mnie też nie obchodzi - powiedział szybko ojciec. -
Prawdę mówiąc, cieszylibyśmy się z tego, prawda, Beth? Jak sądzisz, powinniśmy zapalić jedno lub dwa tybetańskie światełka nadziei?

- O tak - odparła mama z wyraźnym ożywieniem. -
Proszę, zapal. Kolejny wymiar seksualności w rodzinie? Chyba tak. Chciałabym mieć wnuka geja. Byłoby cudownie. Wiesz, mógłby adoptować dzieci, wszyscy obecnie tak robią, więc nie bylibyśmy pozbawieni prawnuków, mimo że on idzie inną drogą.

Poppy głośno pociągnęła nosem.

- Nadal jest możliwe, że ja dam wam prawnuki, Beth -
powiedziała smutnym głosem. Poppy nie miała szczęścia w życiu osobistym, co stanowiło temat wielu rozważań psychologicznych jej i naszej matki.

- Oczywiście, kochanie - powiedziała szybko mama. -
Modlimy się do księżycy o przyjście na świat małych rudowłosych aniołków.

- Poza tym - ciągnęła Poppy - wszystko wskazuje na to, że Monty idzie drogą heteroseksualizmu. Ostatnim razem, jak tu był, przyłapałam go na bzykaniu tej małej biuściastej blondynki ze szkoły jezdzieckiej.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - stwierdziła rzeczowo mama. - Harry bzykał Effie przez tyle lat i proszę, co się okazało.

Wszyscy popatrzyli na mnie. W normalnej rodzinie byłoby to bardzo krępujące, ale już dawno się przekonałam, że w mojej rodzinie jestem jedyną osobą zdolną do tego rodzaju odczuć, które skądinąd stają się pustymi wrażeniami, jeśli nikt ich nie podziela.

- Monty bzykał małą biuściastą blondynkę ze szkółki jeździeckiej? - zwróciłam się do Poppy. Jak mogła nie przekazać mi wcześniej tej ważnej informacji o moim ukochanym jedynaku, moim drogim niewinnym dziecku?

- Była bardzo ładna. - Poppy wzruszyła ramionami. - Jethro i Czarny Łabędź też ją bzykali i mówili...

Podniosłam dłoń, żeby uciszyć siostrę. Nie interesowały mnie tego rodzaju szczegóły.

- Rozmawiałaś z nim, z Montym? - spytał tata. Wzruszył mnie wyraz troski na jego zwykle pogodnym obliczu. - Wie już?

- Nie rozmawiałam, ale wie - odpowiedziałam, starając się jako tako nad sobą panować. - Harry dzwonił do niego, gdzieś do Tajlandii. Połączenie nie było najlepsze, ale Harry przysięga, że Monty przyjął wiadomość spokojnie. Nie mam pojęcia, co może myśleć o tym wszystkim, ale tak czy inaczej wraca za kilka dni. Dostałam mejl...

Nie byłam w stanie dłużej utrzymywać pozorów spokoju. Głos wiązał mi w gardle. „Trzymaj się, mamo. Wkrótce będę w domu. Wszystko będzie OK. Bardzo cię kocham. M.". Tylko tyle napisał.

Beth:

Od samego początku Florence objawiała przekorę.

Zostać poczętą w damskiej toalecie na Luton, kiedy mogło się wybrać najbardziej romantyczne miasto na świecie!

W każdym razie byłam gotowa jako jedna z pierwszych kobiet w Anglii odbyć poród w wodzie. Rosjanki rodzą dzieci pod wodą od lat i sprowadzenie dziecka na świat w ten sposób wydawało mi się urocze. Kazaliśmy przygotować odpowiednio basen i czekaliśmy na ten dzień w Primrose Hill. Pisali nawet o mnie i o położnej w jednym z londyńskich czasopism. Co za emocje!

Jednak na miesiąc przed planowanym terminem porodu Florence przybrała pozycję pośladową i nie chciała wrócić do prawidłowego ułożenia, mimo że wykonałam niezliczoną ilość „świec” i „kocich grzbietów”. W końcu musiałam pojechać karetką do szpitala, gdzie podano mi chyba wszystkie leki znane ludzkości, z czego żaden nie był pochodzenia organicznego, i na domiar złego zrobiono cesarkę. Nie zanurzyłam w basenie nawet małego palca od nogi. Mówię wam, co za wstyd. Tamta położna więcej się do mnie nie odezwała. O położną dla Poppy musiałam zabiegać w szpitalu klinicznym.

Florence była takim poważnym dzieckiem, nie miała ani krzty luzu jak Archie i ja. Wołała rutynę, co w tamtym czasie oczywiście wcale nam nie pasowało. Ale nie można kogoś uczynić wolnym i swobodnym, jeśli nie ma odpowiedniego usposobienia, a Florence z pewnością nigdy nie czuła się wolna i swobodna. Miała wiele wspaniałych cech, jednak nie było z nią łatwo.

Nie można powiedzieć, żebyśmy mieli coś przeciwko Harry'emu, bo nie należy osądzać innych, ale byłam zaskoczona, że Florence tak szybko się ustatkowała. My z Archiem też młodo braliśmy ślub, lecz najpierw oboje fantastycznie się wyszumieliliśmy. Nie sądzę, żeby Florence w ogóle pomyślała o kimś innym.

Ona i moja matka były bardzo ze sobą związane, jakby grały w tej samej drużynie. Domyślam się, że w przeciwnej niż moja.

Pamiętam, jak próbowałam namówić Florence, kiedy była mała, żeby mi pomogła zrobić łapacz snów. Przyniosłam bambus, pióra, koraliki i klej, ona miała mi tylko pomóc, ale powiedziała, że nie chce łapacza snów. Powiedziała, że nie będzie chwytać swoich snów. Nie miała nic przeciwko temu, żeby puszczać je wolno. Jak to możliwe, że powołaliśmy do życia kogoś tak oddalonego od sedna swojej tożsamości, pytałam Archiego, jednak o ile dobrze pamiętam, wcale mi nie pomógł znaleźć odpowiedzi.

Przypomniał mi natomiast, że nadal mam awersję do chusteczek z inicjałami wyszytymi ściegiem krzyżykowym, ponieważ kiedy byłam dzieckiem, matka upierała się, żebym wyszywała monogramy na chusteczkach takim ściegiem. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Chusteczki z inicjałami? Powiedzcie, komu to potrzebne?

Przypuszczam, że Archiemu chodziło o to, że obie z Florence byłyśmy jednakowo uparte. Chociaż jak go znam, to o nic mu nie chodziło i tylko przez czysty przypadek wywnioskowałam z jego słów coś sensownego.

Jednak największym zaskoczeniem stało się dla mnie to, że moja piękna, zdecydowana i zdolna córka skończyła, handlując zbutwiałyymi starymi gratami na przedmieściu. Sądziłam, że osiągnie więcej, zajdzie dalej, ale poprzestała na wyjściu za mąż i urodzeniu Monty'ego.

Nie żeby było w tym coś złego, poza tym sprawiała wrażenie szczęśliwej i doskonałe się spisywała, wychowując naszego cudownego wnuka. Niemniej jednak jej życie wydawało się ograniczone. Oczywiście można by to samo powiedzieć o mnie, tylko że moje życie jest wypełnione po brzegi zewnętrznymi zainteresowaniami. Trzy razy w

tygodniu prowadzę zajęcia z jogi dla seniorów z Woodbridge. Przewodzę spółdzielni zajmującej się ogrodnictwem organicznym, goszczę u siebie miejscowe towarzystwo miłośników poezji. Latem gram w staromodnego tenisa, niemal każdego słonecznego dnia pływam w publicznym basenie, a także chodzę na lekcje tkactwa. Niedawno porzuciłam garncarstwo, chociaż zajmowałam się tym i tak dłużej niż powinnam, szczerze mówiąc. Trudno było. Ale kto potrzebuje tyle popielniczek? Dziś już nikt nie pali. Nawet skrętów.

Serce mi pękało ze współczucia dla Florence, kiedy Harry ją opuścił, przede wszystkim jednak dlatego, że gdyby usunęła go ze swojego życia, to co, poza Montym, by jej zostało?

Odśloniwszy duszę przed rodziną, powinnam się poczuć lepiej i w pewien sposób się poczułam. Byłam zadowolona, że ten przykry obowiązek nie wisi mi już nad głową. Było to jednak trochę podobne do zadowolenia z faktu, że gilotyna opadła: nie musiałam się martwić, czy będzie bolało, ale nie miałam głowy.

Kiedy wiadomość przedostała się do szerszych kręgów, nawet jeśli owe kręgi oznaczały tylko Tannington Hall, nabrałam pewności, że jestem sama. Wracając do Londynu, musiałam dwa razy zjeżdżać na pobocze, bo wydawało mi się, że zwymiotuję. Nie z powodu wegańskiego dania mamy, choć jedliśmy je przez dwa dni. Teraz podejrzewam, że to jednak mogła być owa potrawa, ale wtedy byłam przekonana, że chodzi o nerwy.

Jednak ledwie wróciłam do ogromnego pustego domu, zdarzyło się coś, co rozjaśniło mój nowy, ponury świat. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale urosło do czegoś wielkiego.

Sprawdziłam pocztę w komputerze i znalazłam kolejny mejl od Monty'ego. Pisał, że jest w drodze do domu, przylatuje za trzy dni, z Heathrow przyjedzie pociągiem na Paddington. Pytał, czy któreś z nas mogłoby go stamtąd odebrać o wpół do trzeciej po południu.

Odkąd Harry się wyprowadził, powrót Monty'ego był dla mnie światłem, ku któremu kierowały się, niczym ćmy, wszystkie moje nadzieje. Budząc się w środku nocy, drżąc z niepokoju, powracałam do wspomnień o synu, żeby się uspokoić: przypominałam sobie jego pulchną rączkę z czasów niemowlęcych, wiecznie poobijane kolana w pierwszej klasie podstawówki, miękki zarost nad górną wargą, kiedy był nastolatkiem, i to, że nawet mając osiemnaście lat, przytulał się do mnie, kiedy czuł taką potrzebę, albo, jak przypuszczam, sądził, że ja ją czuję.

Mówiłam sobie, że gdybym mogła wyciągnąć ręce i objąć swojego synka, gdybym mogła go zobaczyć, mieć go znów przy sobie, to może ból wywołany rozstaniem z Harrym by ustąpił albo chociaż trochę zelżał.

Okazało się, że mój mąż otrzymał identyczny mejl - nasz syn zawsze był dyplomatą - a kiedy zadzwoniłam do Harry'ego, zgodził się uprzejmie, bym pojechała po Monty'ego i miała go tylko dla siebie przez parę godzin. Mogłam to potraktować jako bezinteresowny gest, zważywszy że tak samo jak ja pragnął zobaczyć naszego syna, albo uznać, że Charles pomaga Harry'emu rozmasować ewentualny ból po utraconym małżeństwie.

Nabrałam zwyczaju nazywania mężczyzny, który ukradł mi męża, „Charlesem”, tonem sugerującym, że naprawdę ma na imię inaczej, a „Charles” to tylko obsceniczny pseudonim, jaki dla niego wybrałam.

- Wiem, o co ci chodzi. - Harry od razu mnie przejrzał. - Mówiłaś tym samym tonem to samo, kiedy „Alan” Fairbanks głosował przeciwko przyjęciu mnie na młodszego współnika i kiedy mąż Hilary Nicholson dostał tę posiadłość w PR.

- Och, Charles z pewnością mówi o ludziach wyłącznie miłe rzeczy najśłodszym głosem - odcięłam się z goryczą. - Męskie wydanie matki Teresy.

- Przestań - uciął krótko Harry, co jeszcze bardziej mnie rozzłościło.

- Co? Mam nie robić złośliwych uwag na temat twojego „chłopaka”? Och, w porządku!

To, że prawie całkiem pogodziłam się z zakończeniem naszego małżeństwa i próbowałam zrozumieć trudności, jakie napotykał Harry, wcale nie znaczyło, że nie potrafiłam być wredną suką. Przez większość życia, a na pewno przez cały okres małżeństwa, byłam dojrzała i rozsądna, nie mówiąc już o tym, że na ogół bardzo miła, ale teraz stałam się stroną

pokrzywdzoną. Może nie miałam dużego doświadczenia w byciu suką, jako że nigdy wcześniej nie byłam pokrzywdzona, ale okazało się, że sprowokowana potrafię rzucać obelgami jak najgorsza jędza.

Te wybuchy gniewu nigdy nie były planowane, złość wylewała się ze mnie jak niespodziewane wymioty. Dawało mi to chwilowe poczucie wyzwolenia, siły, lecz wkrótce potem ogarniał mnie przytłaczający wstyd i żal. Plułam jadem na Harry'ego! Mojego ukochanego od dzieciństwa! Jak mogłam mówić takie rzeczy do człowieka, którego kochałam tyle lat i który, na co wszystko wskazywało, także mnie kochał!

Miotałam się niebezpiecznie pomiędzy emocjonalnymi skrajnościami, chociaż żaden z tych stanów nie przynosił mi ulgi.

Tak było do czasu otrzymania wiadomości od Monty'ego, potwierdzającej jego powrót do domu. Nagle zaczęłam widzieć przed sobą nie tylko pustkę i beznadzieję. Nocami męczyło mnie inne zmartwienie. Zgodnie z wyliczeniami czekało mnie jeszcze jedno nieszczęście. Nie mogłam wprawdzie uwierzyć, że los mógłby mi odebrać syna, tak jak zabrał pracę i męża, ale jak się niedawno przekonałam, los bywał cholernie złośliwy. Wiadomość przysłana przez Monty'ego sprawiła, że mniej obawiałam się, iż go utracę, jakkolwiek nadal przebywał w kraju nękanym różnymi chorobami i łapał taksówkę w dzikim ruchu ulicznym - prowadzoną bez wątpienia przez jakiegoś półprzytomnego narkomana - żeby wsiąść do samolotu pełnego zamachowców samobójców o wypranych mózgach.

Mimo tych wszystkich zagrożeń wiedziałam, że Harry jest blisko, a z każdą chwilą będzie jeszcze bliżej, i wyzbyłam się rozpacz, która od tygodni tkwiła mi w kościach. Po tym mejlu nawet Sparky jakby nabrał nieśmiałego wigoru, jakiego

jeszcze u niego nie widziałam. Przyjemnie ożywiona myślą, że synek wkrótce będzie w domu, wysprzątałam jego pokój, wyprałam całą bieliznę pościelową i jeszcze dokładniej wyczyściłam wszystko. Spędziłam więcej czasu niż powinnam na przeglądaniu jego szuflad i wążaniu podkoszulków, ale to przynajmniej trzymało mnie z daleka od głupich programów telewizyjnych.

W pewnym momencie pomyślałam, że upiekę ciasto marchewkowe - ulubione Monty'ego - ale upodobanie do pieczenia opuściło mnie wraz z Harrym. Babeczki, które zabrałam do Tannington Hall, tak naprawdę pochodziły z cukierni Hummingbird na Portobello Road. Miałam je zrobić własnoręcznie, ale jakoś nie mogłam się do tego zmusić. Rose zawsze mawiała, że dobre ciasto potrafi wyczuć dramat na milę i albo nie wyrośnie, albo upiecze się za szybko, więc lepiej od razu udać się do Patisserie Valerie.

Poza tym nie cierpiałam ciasta marchewkowego. Moim zdaniem miało w sobie coś z Primrose Hill. Nie mówiłam o tym Monty'emu, starałam się jednak przekierować jego zainteresowanie w stronę czekolady i owoców.

Tak czy owak, wprawdzie nie czuło się smakowitych zapachów, ale dom, po tym mejlu, niezaprzeczalnie stracił atmosferę przygnębienia, jaka gościła w nim przez ostatnie tygodnie. Cytrynowy odświeżacz działał cuda. Albo nadzieja.

Rankiem w dniu powrotu Monty'ego coś jeszcze rozjaśniło mój smutny mały świat. A właściwie ktoś jeszcze.

Usłyszawszy pukanie, otworzyłam drzwi i ujrzałam na progu uderzająco przystojnego młodego człowieka. Uśmiechał się do mnie. O ile dobrze pamiętam, nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic takiego. Zazwyczaj na progu stali mormoni przepelnieni ewangelizacyjną misją nawracania, piegowate harcerki albo - trzy razy - pijani gamonie szukający jakiegoś Rasheeda.

Ale nie dzisiaj.

- Pani musi być Florence - odezwał się miłym głosem ów uderzająco przystojny nieznajomy. - Przepraszam, że tak wpadłem bez uprzedzenia, ale jestem Will, budowlaniec, znajomy Stanleya Morrisa. Może o mnie wspominał?

Nie wspominał, ale pokiwałam twierdząco głową. Przybyły miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy przedwcześnie przyprószone lekką siwizną, gładką oliwkową skórę i oczy o barwie Morza Egejskiego. Nie wyglądał na budowlańca ani nie mówił jak budowlaniec. Przede wszystkim był bardzo schludny i nie wydawał się obywatelem Europy Wschodniej, skąd, jak można było przypuszczać, pochodziła większość budowlańców pracujących w Londynie. Wyglądał bardziej jak dobrze wychowany aktor, który ma grać budowlańca. Może nie Harrison Ford, bo wobec niego miałam mieszane uczucia po katastrofie z Claridge'em, no i obecnie musiałby się zbliżyć do setki, ale też daleko od Harrisona Forda nie odbiegał.

- Stan wspominał, że myśli pani o przerobieniu domu na herbaciarnię - mówił budowlaniec Will - ...i że może się pani przydać kilka rad. A ponieważ akurat byłem w pobliżu - wiem, że to brzmi banalnie, ale naprawdę byłem tu niedaleko, na Shirland Street - to pomyślałem, że wstąpię i się rozejrzę. Nie ma pani nic przeciwko temu? Bo może przyszedłem nie w porę?

Miał na sobie jasne dzinsy, płócienną koszulę w tym samym odcieniu spłowiałego błękitu, z białym podkoszulkiem wystającym spod spodu, i żółte skórzane buty typu marines. Prawie każdy facet tak ubrany wyglądałby jak członek zespołu Village People. On nie.

Wiedziałam, że zachowuję się głupio. Wyobrażałam sobie Harry'ego w takim stroju, wiedząc, że w życiu by się nie pozbył takiego wyglądu, jakkolwiek w swoim czasie

prawdopodobnie lubił Village People. Tymczasem Will stał cierpliwie w progu.

- Więc jak - odezwał się w końcu pytająco - mogę wejść do środka?

- Oczywiście, przepraszam, jak miło, że pan o mnie pomyślał - paplałam, gestem zapraszając go do środka. Wiedziałam, jak to, że dwa i dwa to cztery, że zaraz wpadnę w nerwowy słowotok, biorący się stąd, że nie byłam w stanie przestać się zastanawiać, czy jest wolny.

Singiel? Dlaczego miałoby to mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Chyba że też byłabym wolna. Jednak od trzech tygodni musiałam się obywać bez męża, i to pod każdym względem, a w tym czasie nigdy - dopóki Will nie zapukał do moich drzwi - to słowo nawet nie przyszło mi do głowy.

Określenie, że ktoś jest singlem, definiowało jego aktualny stan i według mnie niosło w sobie coś w rodzaju deklaracji, że chętnie by ów stan zmienił. Ja nie byłam singielką, tylko „porzuconą”, co również definiowało mój obecny stan, tyle że nie zamierzałam nic robić i wciąż nie mogłam się otrząsnąć z szoku i dojść do siebie po niedawnej traumie.

I nagle, kiedy ten zdecydowanie heteroseksualny osobnik wszedł do mojego domu, okazało się, że chyba jestem gotowa zmienić ten stan.

- To jest hol - zaczęłam niepewnie, żałując, że nie mam na sobie dzinsów, w których wyglądam najlepiej - ...i zawsze był holem, natomiast te dwa pokoje, biuro i pokój telewizyjny mojego syna, służyły mojemu dziadkowi za gabinet, kiedy prowadził tu praktykę lekarską. Był lekarzem rodzinnym, podobnie jak przedtem jego ojciec, i przyjmowali tu pacjentów. Mamy tu też małą kuchenkę i łazienkę, a te drzwi prowadzą do ogrodu na tyłach domu, skąd jest oddzielne wyjście na Warwick Place. Pomyślałam... Nie żebym się nad tym jakoś poważnie zastanawiała, ale po prostu niedawno ktoś

mi to zasugerował, więc pomyślałam, że gdyby goście wchodzili głównym wejściem, wtedy ja i Monty, mój syn... dziś po południu wraca z rocznego pobytu za granicą, moglibyśmy korzystać z tylnego... A tu byłaby kuchnia i moglibyśmy otworzyć hol na... och!

W tym momencie przerwałam swój błyskotliwy monolog, zrobiłam krok do tyłu i potknęłam się o torbę z narzędziami, którą Will postawił na podłodze, czego nie zauważyłam. Odruchowo próbowałam się chwycić powietrza, co rzecz jasna w niczym mi nie pomogło, po czym klapnęłam ciężko siedzeniem na torbę.

- O cholera - zakląłam, głośno chwytając oddech. - Cholera, cholera, cholera.

- Nic się pani nie stało? - spytał przestraszony, kucając obok mnie i kładąc mi dłoń na ramieniu. - Nie bolą pani plecy? A ramię? Przepraszam, Florence, to wyłącznie moja wina. Nie powinienem był tu stawiać tej torby. Co za dureń ze mnie. Miałem ją zostawić w holu, ale zagapiłem się, słuchając o pani planach. Proszę pozwolić, że pani pomogę.

Wyciągnął do mnie obie ręce, a ja nie zastanawiając się nad tym, co robię, chwyciłam je mocno. Postawił mnie na nogi.

- Mogę? - spytał uprzejmie, po czym odwrócił mnie bokiem i zaczął otrząpywać moje ubranie.

Podłoga była brudna. Nie odkurzałam tego pomieszczenia tak dokładnie jak reszty domu. Powinnam była bardziej się starać. Powinnam była zrobić więcej. Powinnam była...

Sama nie wiem, co to było, czy ogrom tego, czego nie zrobiłam, czy myśl o męskiej ręce tak blisko mojego ciała, czy ból stłuczonych pośladków, czy powrót mojego syna do domu, czy to, że mąż mnie zostawił, a może to, że czekało mnie jeszcze jedno, trzecie nieszczęście, ale kiedy delikatnym ruchem strzepywał kurz i kłaki z moich pleców, zaczęłam

płakać. Nie było to głośne łkanie, lecz raczej seria zduszonych chlipnięć.

Nic nie mogłam na to poradzić. Nawet w szczególnych okolicznościach nie lubiłam publicznie okazywać emocji, a moje skrępowanie faktem, że tak się rozkleiłam, jeszcze pogorszyło sprawę i tym trudniej mi było powstrzymać płacz.

- Gotowe. - Will odsunął się ode mnie. - Już lepiej.

W tym momencie musiał się zorientować, że moja reakcja jest nieproporcjonalnie gwałtowna jak na klapnięcie na tyłek. Jednak podobnie jak wcześniej Stanley Morris sprawiał wrażenie przyzwyczajonego do tego rodzaju wybuchów i zamiast gapić się z głupią miną albo uciec, potykając się o własne nogi, spokojnie zasugerował, że może przydałaby mi się filiżanka herbaty.

Pokiwałam głową, wciąż pochlipując, i zaprowadziłam go do kuchni, gdzie posadził mnie na krześle i nastawił czajnik.

Kiedy ja próbowałam się psychicznie pozbierać, on rozejrzał się po kuchennych szafkach, znalazł herbatę do zaparzania w imbryku (nie torebki), filiżanki ze spodeczkami (nie kubki), dzbanuszek na mleko, cukierniczkę, łyżeczki. Wykazał się naprawdę dużą zręcznością.

- Nie mam nawet kupnych herbatników - powiedziałam. Wydało mi się to następną tragedią. - Moje puszki na ciastka zwykle są pełne, ale ostatnio wszystko układało się beznadziejnie.

Ustawwszy na stole dzbanek do herbaty, Will nagle uniósł palec, jakby chciał powiedzieć „proszę chwilę poczekać”, po czym zbiegł z powrotem na dół. Wrócił prawie natychmiast ze swoją torbą, z której wyciągnął niewielki plastikowy pojemnik, spłaszczony z jednej strony, bez wątpienia przez mój tyłek.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że może się okazać bezwzględny mordercą i zaraz zaaplikuje mi śmiertelną

truciznę, więc powinnam być przestraszona albo przynajmniej nieufna, ale kiedy postawił otwarte pudełko na stole, okazało się, że nie zawiera ono strzykawki i buteleczki z jadem żmii tylko cztery pulchne, okrągłe ciemne czekoladowe trufle. Hmm, trzy były pulchne i okrągłe, a jedna płaska, jakby ją coś zgmiotło.

- Czeresnie i wino pinot noir - powiedział Will. - Proszę się poczęstować. Sam je zrobiłem.

Łzy płynęły mi już wolniej, a na propozycję skosztowania trufli całkiem obeschły.

- Sam pan je zrobił?

- To moja sekretna przyjemność - wyznał z uśmiechem. - Chociaż właśnie przestała być sekretem.

Budowlaniec o cudownym sposobie mówienia, wyglądzie niepalącego faceta z reklamy Marlboro i do tego własnoręcznie robiący czekoladki? Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie śpię i to mi się nie śni. Ale bolało mnie siedzenie. Wydawało mi się, że czuję, jak na pośladku robi mi się siniak w kształcie klucza francuskiego. No i smak czeresniowo - winnej trufli był prawdziwy, przepysznie, cudownie prawdziwy.

- Mój Boże, są fantastyczne. Jak pan je robi? - spytałam Willa, który patrzył, jak wywracam oczami z zachwytem.

- Czeresnie przysyła mi pewien znajomy z Hiszpanii - zaczął z uśmiechem dumy. - Zalewam je winem pinot noir z Central Otago w Nowej Zelandii. Potem robię lukier, wykorzystując tę zalewę, obtaczam czeresnie w lukrze i obsypuję siedemdziesięcioprocentowym kakao. Francuskim. Można powiedzieć, że to międzynarodowe dzieło.

- Są naprawdę, naprawdę dobre - pochwaliłam.

Były. I nie dlatego mi smakowały, że nic nie jadłam przez cały dzień. To były po prostu niezmiernie dobre czekoladki. Will podsunął mi jeszcze jedną, ale nie tę zgniecioną, a ja ją

wzięłam i trzymałam w ustach dłużej niż poprzednią, rozkoszując się smakiem owoców i gorzkiej czekolady.

Wystarczyły dwie czereśnie nasączone winem, bym poczuła się znacznie lepiej. Czy mężczy mężczyźni sami robią czekoladki, zastanawiałam się z rozmarzeniem. Will nie wyglądał na geja, ale ostatecznie Harry też nie wyglądał. Chyba nie byłam właściwą osobą do oceniania męskiej seksualności. Pomyślałam, że umawianie się na randki byłoby dla mnie trochę skomplikowane, co nie znaczyło, że w ogóle brałam pod uwagę umawianie się na randki. Poza tym, czymże było umawianie się na randki? Nie zdążyłam jeszcze nawet tego spróbować, kiedy zaczęłam chodzić z Harrym.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Will.

- Dobrze, dziękuję - odpowiedziałam szybko, wyrwana z rozmyślań. - Pewnie pan uważa, że jestem trochę dziwna. Przepraszam, ale ostatnio mam dość trudny okres w życiu.

- Stan mi wspominał - odrzekł spokojnie Will. - Przykro mi. Zdobyłam się na słaby uśmiech.

- Mojej torbie też jest przykro - dodał Will, wymierzając torbie kopniaka. - Żałuję, że nie zapewniła miększego lądowania.

Torba zrobiona była z czarnej skóry, obecnie wytartej i porysowanej. Wyglądała, jakby używano jej od bardzo dawna.

- Powinna być mądrzejsza - stwierdziłam, pociągając nosem. - W jej wieku.

- Mogę ją zabrać na zewnątrz i dać jej w skórę, jeśli pani sobie życzy - zaproponował.

Parsknęłam śmiechem, przenosząc się duchem do świata, w którym siedzi się przy kuchennym stole i prowadzi swobodną rozmowę z przystojnym gościem przynoszącym własne czekoladki.

Czy kiedyś żyłam w tym świecie?, zadałam sobie pytanie. Z pewnością. A jednak wydawał mi się nieznan. Czy dlatego,

że Will podobał mi się jako mężczyzna? Ta świadomość mną wstrząsnęła. Próbowałam sobie wmawiać, że to niemożliwe. Dlaczego jakiś mężczyzna miałby mi się podobać? A zwłaszcza mężczyzna znacznie młodszy ode mnie, którego dopiero co poznałam i z którym bez wątpienia mam bardzo niewiele wspólnego.

- Zatem co pan sądzi o pomysle z herbaciarnią? - spytałam z lekkim chrząknięciem, wracając myślami na bardziej praktyczny grunt. - Czy to nie kompletna głupota?

- Wcale nie. Myślę, że gdyby ktoś chciał urządzić w swoim domu herbaciarnię, to pani dom najbardziej się do tego nadaje. Z pokoju telewizyjnego dość łatwo da się zrobić pomieszczenie kuchenne, a w dawnym pani gabinecie można ustawić stoliki - jeśli go trochę otworzymy na hol, jak pani proponuje - a w słoneczne dni można także posadzić klientów w ogródku od frontu. Kto by nie chciał usiąść przy filizance Darjeeling z pierwszych zbiorów i podziwiać tego widoku?

Nie dość, że sam robi czekoladki, to jeszcze wiedział o herbacie Darjeeling z pierwszych zbiorów!

- Mieszkałem tam - wyjaśnił, jakby czytając w moich myślach. - W Indiach. W Darjeeling. Jak byłem młodszy, przez jeden sezon pracowałem przy zbiorze herbaty.

- Jadę do Paddington spotkać się z synem - powiedziałam zupełnie bez powodu, ponieważ w głowie miałam mętlik, delikatnie mówiąc. - Był w Australii. - Która leży zupełnie gdzie indziej niż Darjeeling. - Ma dziewiętnaście lat. - Ja mam trzydzieści dziewięć.

- Gdzie w Australii? - zainteresował się Will.

- Wygląda na to, że objechał całą dookoła. Pan też tam był?

- Byłem przez jakiś czas w Perth. I w Sydney. Następnie dwa miesiące w Melbourne. A potem na jakiś czas pojechałem do Nowej Zelandii.

- Był pan wszędzie.

- Urodziłem się w Kenii, do szkoły chodziłem w Anglii, później przez parę lat włóczyłem się po świecie, ale teraz na szczęście znów wróciłem do Londynu. - Uśmiechnął się. - A pani?

- Ja niewiele wyjeżdżałam - odpowiedziałam. - Pojechałam do Francji, raz, na wycieczkę szkolną, ale nie przepadam za promami, a mój mąż, Harry... cóż, wie pan, on już nie jest moim mężem, a właściwie jest, ale nie chce być... - urwałam, próbując wziąć się w garść. - Harry nie lubił latać, więc i ja nie latałam. Zawsze mówiłam, że się boję, ale teraz, kiedy o tym myślę, to on się bał, a ja się dostosowałam.

- Zatem ma pani wiele do nadrobienia, Florence - stwierdził Will. - Świat jest pani ostrygą.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, nasze spojrzenia się spotkały i, Bóg mi świadkiem, coś poczułam. Nie wiem, co to było, ale sobie tego nie wymyśliłam. To wrażenie wydawało się tak realne, jak ciepło słońca na mojej twarzy, czy odcisk klucza francuskiego na tyłku.

I niedorzeczne. On był jeszcze bardzo młody, przy odrobinie szczęścia mogłam liczyć, że ma trzydzistkę. Ale w tym miesiącu szczęście raczej mi nie dopisywało. Jeśli nawet skończył już trzydzieści lat, to był zbyt młody. Za młody nawet dla Poppy, choć z pewnością by do niej pasował. Jakie by mieli śliczne dzieci. Ile radości by im sprawiło ich robienie. Do diabła! Co mi chodziło po głowie?

- Miałem zamiar powiedzieć coś w rodzaju, że ta herbaciarnia będzie pani perłą - odezwał się Will. - Ale po tym, że „wpadłem, bo akurat byłem w tej okolicy”, to by chyba nie zabrzmiało najlepiej. Zbyt kiczowato.

- Cóż, najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny są diamenty, ale zwykle stać nas tylko na perły - odrzekłam - więc może szedł pan dobrym tropem.

Roześmiał się swobodnym, serdecznym śmiechem, choć żart nie był najwyższych lotów - i nawet nie wiedziałam, ile kosztują perły.

- Mamy czas przed pani wyjazdem na Paddington, żeby jeszcze raz się rozejrzeć tam na dole? - spytał Will.

Zeszliśmy po schodach i Will zaczął mówić o belkach konstrukcyjnych, strefach biznesowych, zezwoleniach od władz komunalnych, kablach elektrycznych i czekoladowych ekierkach u Ritza. Powiedział, że renowacja potrwałaby około miesiąca, gdyby Stan był akurat wolny i mógł z nim pracować, i że mogliby dodatkowo zatrudnić elektryka, który by przychodził tylko w razie potrzeby i nie był za drogi. Dodał, że zwykle jest sporo zachodu z uzyskaniem zezwolenia na działalność, kiedy obiekt znajduje się na terenie mieszkalnym, ale ponieważ kiedyś był tu gabinet lekarski, a w pobliżu jest pub i sklep z antykami po drugiej stronie ulicy, no i dość tu miejsc parkingowych, jego zdaniem nie powinno być problemu. Zapewnił mnie, że może się tym zająć.

Już miałam mu powiedzieć, że skontaktuję się z nim co do rozpoczęcia prac, gdy tylko uzgodnię z... kiedy sobie uświadomiłam, że nie mam już z kim czegokolwiek uzgadniać. No i, prawdę mówiąc, niewiele było do uzgadniania.

Już wcześniej powiedział, że może wykonać pracę za te pieniądze. Nie wiedziałam, co mnie czeka w przyszłości w kwestii finansów, ale teraz dysponowałam niezbędną sumą. Poza tym nie miałam innych możliwości zarobkowania. Tylko czy ludzie otwierają w swoich domach herbaciarnie tak po prostu? Po namyśle krótszym niż przy kupowaniu nowej pary szpilek?

- Czym się pani martwi? - spytał Will, widząc moje wahanie.

- Tym, że nie wiem, co robię, że to będzie całkowita katastrofa, że nikt nie przyjdzie, a jeśli ludzie przyjdą, to jedzenie okaże się okropne, że Monty i ja skończymy jako bankruci i w dodatku bezdomni.

- Może też być wielki sukces i skończycie jako milionerzy

- powiedział Will. - Albo po prostu będzie pani uzyskiwać godziwe dochody, robiąc to, co lubi. Chociaż tu zakładam z góry pewne rzeczy. Lubi pani gotować?

Energicznie pokiwałam głową.

- Piec. Mimo obecnej pustki w moich puszkach na ciastka, lubię piec. Przez to wyleciałam z ostatniej pracy.

- Wyrzucili panią, bo pani źle piekła?

- Nie, za to, że dobrze piekłam. Ze sklepu z antykami. Zresztą należącego do mnie. Ale to długa historia.

- I zawsze pani marzyła o otwarciu herbaciarni?

- Nie, przyszło mi to do głowy dopiero przed kilkoma tygodniami. Wróżka podsunęła mi ten pomysł. - Uświadomiłam sobie, jak głupio to zabrzmiało. Jak głupi był w istocie cały ten pomysł.

- Właściwie to ona nie jest wróżką. Czytała w fusach z herbaty. Zobaczyła dom i dzbanek, i różę, i jakoś to wszystko razem oznaczało, że otworzę herbaciarnię. Tutaj.

- W takim razie powinna pani mieć różę w ogrodzie - stwierdził Will, wychylając się z okna. Od tyłu też dobrze wyglądał. Niektórzy mężczyźni tak wyglądali, ale to zwykle byli Włosi.

- Nie chodzi o różę, tylko o Rose (Ang. imię Rose to po polsku Róża.) - wyjaśniłam, rumieniąc się ze wstydu za swoje myśli. - Odziedziczyłam ten dom po mojej babci Rose. Tak naprawdę to stanowiło główny powód, wtedy, ale teraz chyba nie jestem...

- Moja babcia zabierała mnie na herbatę do klubu Muthaiga w Kenii - wszedł mi w słowo Will. - Nic nie może się równać z dobrze zaparzoną popołudniową herbatą, prawda? Według mnie chodzi o przywiązywanie wagi do szczegółów i wysiłek włożony w przygotowanie tego, co stanowi przystanek pomiędzy lunchem a kolacją. Dla mnie to czysta przyjemność.

- Owszem - zgodziłam się z nim. - Czysta przyjemność. - Stałam przy nim w oknie i oboje patrzyliśmy na Grand Junction, na łódź sunącą wolno przez Regent's Canal w stronę Ladbroke Grove. - Rose też zabierała mnie na popołudniowe herbatki - powiedziałam z rozmarzeniem, rysując palcem po zakurzonej parapecie. - Bywałyśmy we wszystkich najlepszych miejscach: w Savoyu, Ritzu, Dorchester, wszędzie. Ale najbardziej lubiłyśmy Claridge'a. Był pan tam kiedyś na herbacie?

Will zaprzeczył ruchem głowy.

- Tam jest ślicznie - zapewniłam. - Naprawdę ślicznie.

- Tutaj też może być ślicznie, wie pani o tym, Florence - powiedział Will.

- Mogłabym nazwać tę herbaciarnię „U Rose” - dodałam, myśląc o sofach od Sandersona, o odległym szczęściu. - Na pewno to by jej się spodobało.

- Myślę, że nie tylko jej - powiedział Will, przyglądając się uważnie architrawom.

Coś we mnie jakby drgnęło. Może chodziło o to, że Monty już prawie wrócił do domu i moje ściśnięte serce wypełniała nadzieja. A może sprawił to entuzjazm Willa i wciąż unoszący się w powietrzu duch czereśni i ciemnej czekolady. Cokolwiek to było, do tamtego momentu herbaciarnia stanowiła jedynie luźny projekt, niemal żart. Wizja przesuwanych ścian, żeby ją urządzić, i nadanie jej nazwy, pięknej nazwy, zmieniły pomysł w coś innego: w obietnicę.

- Zatem kiedy możecie zacząć? - spytałam.

Will:

Gdy tylko ją zobaczyłem, pomyślałem, że jest śliczna.

Kiedy tam przyszedłem pierwszy raz, gadała jak nakręcona i przestała dopiero, jak się przewróciła na moją torbę z narzędziami. Mam na myśli, że była fantastyczna, kiedy mówiła, ale jak milczała, to też była fantastyczna. Krucha w pewien sposób, ale kto by nie był w jej sytuacji, a jednocześnie solidna, jeśli to właściwe słowo. Pod tym wszystkim. Tak, solidna.

Herbaciarnia była doskonałym pomysłem, moim zdaniem, i wiedziałem, że we dwóch ze Stanem możemy przebudować ten dom bez problemu. To o mojej babce to też prawda i o Muthaiga, chociaż tak naprawdę piliśmy herbatę w domu na werandzie każdego popołudnia, zanim pojechałem do szkoły w Anglii: były kanapki, a potem herbatniki i kawałek ciasta.

Wiem, że czasami gadam banały, ale niczego nie zmyślam. Przysiągłem sobie już dawno, że będę mówił prawdę, i staram się tego trzymać, przez co czasami mogę się wydawać trochę opryskliwy albo sztuczny, jak mi mówiono. Niejeden raz. Zabawne, nie? Powstrzymując się od kłamstwa, sprawiasz wrażenie kłamcy bardziej niż ci, co rzeczywiście kłamią.

Czy byłbym tak samo zainteresowany pracą przy renowacji tego domu, gdyby chodziło o jakiegoś kudłatego faceta? Gdyby dom należał do jakiegoś owłosionego starego pryka?

Nie.

Kiedy rozmawiałem z Florence tamtego pierwszego dnia, poczułem coś, czego nie czułem od dawna. I myślę, że ona też to poczuła. Wiem, że nie byłoby łatwo, w przyszłości, gdyby była przed nami jakaś przyszłość, choć może za dużo sobie

pozwalalem, w ogóle zakładając taką możliwość. Wiedziałem, że potrzebowalaby dużo zachęty i mogło się wydawać, że jest za wcześnie i za szybko, i że jestem zbyt młody i trochę dziwny i dużo by się jeszcze musiała o mnie dowiedzieć.

Ale wiedziałem też, że takie uczucia nie zdarzają się codziennie, a kiedy się człowiekowi przytrafią, trzeba je chwytać obiema rękami i nie wypuszczać.

Tego właśnie chciałem z Florence.

Wszelkie ciepłe uczucia, jakie żywiłam wobec herbaciarni i przystojnych mężczyzn wykonujących prace budowlane, rozplynęły się w cierpkim zapachu wypełniającym golfa, do którego wsiadłam, żeby pojechać na stację Paddington.

Byłam roztrzęsiona, miałam wrażenie, że wszystkie moje nerwy są na wierzchu, wystawione na działanie żywiołów. Jak w zębie, który został już oczyszczony borowaniem, ale jeszcze niewypełniony; najłżejszy podmuch powoduje nieznośny ból. Słyszac dzwonek rowerzysty, omal nie wyskoczyłam ze skóry. Trzask wyładowania elektrycznego, kiedy otwierałam drzwi auta, był tak głośny, że spłoszone ptaki odleciały z pobliskiego drzewa.

Wiedząc, jak cienka jest w tym momencie moja skóra, los wykorzystał okazję, żeby ją jeszcze bardziej podrażnić. Byłam tak bliska odzyskania syna, tymczasem słupy lamp wyskakiwały mi nagle przed maskę, nadjeżdżające z przeciwka autobusy skręcały na mój pas ruchu, zewsząd w dzikim pędzie wyjeżdżały inne auta, nie zważając na moje bezpieczeństwo.

Kiedy wreszcie znalazłam miejsce do zaparkowania za postojem taksówek przy stacji i wyskoczyłam z golfa, drżałam jak liść na wietrze. Zawsze się zastanawiałam, skąd się wzięło powiedzenie siedzieć jak na szpilkach. Teraz miałam wrażenie, że nie tylko na nich siedzę, ale też wbijają się we mnie ze wszystkich stron.

Stacja Paddington wydawała mi się bardziej zatłoczona niż zwykle. Z głośników płynęły niemożliwe do zrozumienia komunikaty, wypowiedane jednakowoż uprzejmym brytyjskim głosem. Wokół mnie rozlegał się szmer zagranicznych języków, skrzypiały kółka czyjejs walizki, w tle dudnił włączony silnik, na odległym peronie gwizdał

konduktor. Wszystko to napinało moje nerwy do granic wytrzymałości.

Żałowałam, że nie ma ze mną Harry'ego, że tak mnie zawiódł, że nie powitamy Monty'ego razem, że Charles nie pozostał tłustym niechlujem (o ile kiedyś nim był, a miałam nadzieję, że tak), który nigdy nie chodzi do siłowni i nie kradnie cudzych mężów.

Biedny Monty, do czego wracał? Do ojca ukrytego w jakiejś okropnej kawalerce/biczującego się psychicznie za własną samolubność i nieuczciwość, i do załamanej matki, która ma zamiar odebrać mu pokój telewizyjny i podawać tam herbatę obcym ludziom. Wszystko się zmieniło, całe nasze życie. Nie tak miał wyglądać powrót naszego syna do domu. Przez całe życie Monty'ego szłam o krok przed nim, pomagając mu radzić sobie z wszelkimi drobnymi przeszkodami, jakie los stawiał na jego drodze. Teraz nie dość, że nie byłam już krok przed nim, to nie wiedziałam, jak mam sobie poradzić z przeciwnościami. Pomyślałam, że po raz pierwszy nie mam pojęcia, jak Monty się zachowa. Będzie zły na Harry'ego? A może na mnie, choć to nie moja wina? Sięgnie po narkotyki? Pójdzie na terapię? Wpadnie w depresję? Przecież jeszcze był chłopcem.

I wtedy go zobaczyłam w tłumie obcych ludzi płynącym w moją stronę i od razu moja skóra nabrała właściwej grubości, drżenie ustało, nerwy się rozluźniły.

Chyba się nie zdarzyło, by mój syn szedł mi naprzeciw, a moje serce nie wypełniło się po brzegi szczęściem. Jego pierwsze kroki na słodkich pulchnych nóżkach wyniosły mnie na orbitę zachwyty, który pozostał mi w pamięci na zawsze. Tupot jego małych stópek w moją stronę po pierwszym dniu spędzonym w przedszkolu wywołał dokładnie ten sam skutek. Podobnie było po pierwszym dniu w liceum. Monty zdążający

w moje ramiona dawał mi poczucie, że jestem w domu, dokładnie tak samo jak cztery ściany odziedziczone po babci.

Ale jak go odmieniła Australia! Włosy miał teraz długie i kręcone, twarz ogorzałą w fantastycznie zdrowym odcieniu, i był nieogolony... a miał na tyle gęsty zarost, że widziałam to nawet z daleka. Ubrany był w spłowiałe lniane spodnie ściągnięte w pasie sznurkiem, które wyglądały zdecydowanie niekonwencjonalnie, co musiałam zauważyć, i w cienką bawełnianą koszulę w różowo - pomarańczowe paski; kilka górnych guzików pozostało niezapiętych, dzięki czemu widać było naszyjnik na rzemyku wokół szyi. Stracił na wadze, za to zyskał mięśnie. W twarzy zaznaczały się wyraźnie kości policzkowe.

Nastolatek, którego wysłałam w świat, wrócił jako gwiazda rocka w hippisowskim stylu.

Wszystko to dotarło do mnie w sekundę, kiedy setki pozostałych podróżnych zlały się za nim w barwne tło o kształtach nie do rozróżnienia. Czekałam na tę chwilę od momentu, gdy zegnałam mojego drogiego syna przed rokiem, machając mu na Heathrow. Był lekarstwem, którego potrzebowałam, żeby zapełnić wielką dziurę ziejącą obecnie w moim życiu.

Nie mogłam się powstrzymać, z dziewczęcym piskiem rzuciłam się naprzód i padłam mu w ramiona. Musiał upuścić jedną torbę, a druga zsunęła mu się z ramienia na ziemię. Wyglądało na to, że urósł ze trzydzieści centymetrów i gdybym nie wiedziała, że to mój synek, wzięłabym go za dorosłego mężczyznę. W pełni rozwiniętego mężczyznę. Kiedy trzymał mnie w mocnych objęciach, po raz pierwszy od długiego czasu poczułam się szczęśliwa i spokojna. Mój wspaniały chłopiec. Razem byliśmy w stanie pokonać wszystkie nieszczęścia. Byliśmy razem, więc wszystko

musiało być w porządku. Nie wiedziałam dokładnie, jak sobie poradzimy, ale byłam pewna, że sobie poradzimy.

Moja złość na Harry'ego, moje upokorzenie, mój żal, wszystko to nagle zniknęło, kiedy stałam tam pośród innych synów i córek wysiadających z pociągu przybyłego z Heathrow. Wtulona w Monty'ego, obejmując go, wiedziałam, że jeśli nawet czułam się niepewnie jako żona, a miałam do tego pełne prawo, jako matka czułam się jak Skała Gibraltarska. Oto był mój dowód, mój cudowny, przystojny, mądry, wysoki, opalony chłopiec.

Harry może mnie już nie kochał, ale kiedyś kochał mnie wystarczająco, by dać mi naszego syna. Pragnęliśmy dzieci od samego początku i Monty posłusznie zjawił się na świecie dziewięć miesięcy po ślubie... a może nawet odrobinę wcześniej, o czym nigdy nie wspomniałam rodzicom. Wykonałam test ciążowy od razu, gdy tylko spóźnił mi się okres, i podniecenie pozwoliło mi zachować tę radosną wiadomość zaledwie przez tyle czasu, ile trzeba na zrobienie trzywarstwowego tortu kokosowego z napisem „Gratulacje, Tatusiu!” na wierzchu.

Gdy tego dnia Harry wrócił z uczelni, siedziałam przy pięknie nakrytym stole w naszym maleńkim mieszkanku, ubrana w sukienkę w stylu lat pięćdziesiątych otrzymaną w prezencie od Rose, z uśmiechem, który nie opuszczał mojej twarzy przez następne osiem miesięcy, dopóki nie zaczęły się skurcze porodowe.

Harry krzyczał z radości, a z natury nie był hałaśliwy. Tak bardzo oboje pragnęliśmy tego dziecka. Przez całą ciążę traktował mnie jak księżniczkę, przynosił mi śniadanie do łóżka, robił zakupy, parę razy nawet chwycił za odkurzacz. Byliśmy tacy szczęśliwi! A po przyjściu na świat Monty'ego? Wszyscy troje byliśmy po prostu w siódmym niebie.

Pojawiła się wprawdzie ciemna chmura na naszym szczęściu, kiedy się dowiedzieliśmy, że Monty najprawdopodobniej pozostanie jedynakiem - przy policystycznych jajnikach ewentualne przyszłe ciążę były mało prawdopodobne - ale prawdę mówiąc, może w swojej naiwności uważaliśmy Monty'ego za tak wspaniały dar, taki skarb, że pragnienie czegoś więcej wydawało nam się zachłannością.

- To niedorzeczność żałować czegoś, czego nigdy nie dostaliśmy - powiedział Harry, kiedy Monty rozpoczął naukę w szkole i nie mając go przy sobie, poczułam smutek. - Nie sądzisz, że jesteśmy niebywałymi szczęściarzami, mając to, co mamy?

Rzeczywiście otrzymaliśmy więcej niż większość ludzi. Zaczęłam pracować na mniej więcej pełny etat jako recepcjonistka w eleganckim studiu dekoracji wnętrz w Holland Park i wkrótce zaczęliśmy smakować owoce dostatku, pochodzące stąd, że oboje mieliśmy posady.

Przyjemnie było zarabiać dość pieniędzy na to, by kupować prosciutto i włoski ser w delikatesach przy Old Compton Street, pozwolić sobie czasem na szampana albo wyjeżdżać na długi weekend do Kornwalii. Monty świetnie sobie radził w szkole i z biegiem czasu chyba zaakceptowaliśmy fakt, że tak już będzie, że pozostaniemy we troje. Nie odczuwaliśmy niemożności posiadania drugiego dziecka jako dziury w rodzinie. Tak, jak było, było doskonale.

Nawet teraz, gdy rodzina jako taka legła w gruzach, Monty wydawał się jeszcze bardziej doskonały niż dawniej.

- Wyglądasz inaczej - powiedziałam, odsuwając się od niego na tyle, żeby mu spojrzeć w twarz. - Jesteś taki chudy! I urosłeś. Nie mogę uwierzyć, że można się aż tak zmienić w przeciągu niespełna roku.

- A ty wyglądasz zupełnie tak samo, mamó. Chociaż też troszkę schudłaś - dodał z dziwnym uśmiechem. Gdybym nie była tak pochłonięta radością powitania, może bym dostrzegła wahanie w jego brązowych, szeroko rozstawionych oczach, które odziedziczył po mnie. - Słuchaj, nie wiem, co mam powiedzieć w związku z tobą i tatą - zaczął - poza tym, że jest mi naprawdę bardzo przykro - zakończył już bez uśmiechu.

- Och, kochanie. - Przyciągnęłam go znów do siebie. - Proszę, zostawmy to na później. Tak bardzo za tobą tęskniłam i nie chcę niczym psuć tego wspaniałego poczucia, że mam cię znowu dla siebie.

- No tak - mruknął, sztywniejac nagle w moich objęciach.

- O tym później.

Podniosłam wzrok na twarz Monty'ego i ze zdumieniem dostrzegłam w jego oczach błysk wyzwania. Nie jestem pewna, czy wówczas pomyślałam o wyzwaniu, ale bez wątpienia ujrzałam coś, czego nie spodziewałam się zobaczyć.

- Monty, o co chodzi? - spytałam.

- Chodzi o to - zaczął z tym samym dziwnym spojrzeniem - że nie jestem sam. Jest ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić.

Przesunął się nieznacznie w bok, odsłaniając drobną blondynkę, stojącą za nim, której dotąd w ogóle nie zauważyłam. Oceniałam, że ma około trzydziestki; ubrana była w podkoszulek na ramiączkach i powiewną kolorową spódniczkę.

Uśmiechnęłam się do niej, jednocześnie mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. Na lekko przybrudzonych stopach miała sandały, na palcach u nóg pierścionki, a na chudziutkim ramieniu tatuaż składający się z rzędu chińskich znaków. Włosy spłwiałały jej od słońca, jakby uprawiała surfing, i również trzymała w rękach torbę.

Jakież to było podobne do Monty'ego, żeby przygarnąć jakąś biedulkę z ekspresu z Heathrow. Mogłam się założyć, że zaproponuje jej podwiezienie. Zawsze miał miękkie serce dla różnych nieszczęśników, ten mój syneczek, dla świnek morskich, kotów, psów, kolegów szkolnych bez matek, samotnych emerytów. Na tę myśl moje matczyne serce jak zwykle napęczniało z dumy. A może też zabiło nieco szybciej z niepokoju?

- Mamo, to jest Crystal - powiedział Monty, uśmiechając się do kobiety.

- Cześć - przywitałam się, pociągając syna żartobliwie za połę koszuli. Z ociąganiem przeniosłam wzrok z niego z powrotem na nią. - Jestem Florence, jego matka. Tak się cieszę, że mam go znów w domu, że będzie mi pani musiała wybaczyć. Trzeba panią gdzieś podwieźć? Jedziemy do Maida Vale, ale możemy nadłożyć drogi, jeśli tylko zgadza się kierunek. Wprost nie mogę uwierzyć, że znów widzę Monty'ego przy sobie! Nie mogę uwierzyć, że tu stoję i z nim rozmawiam. - Miałam świadomość, że z radości gadam jak nakręcona, ale nie mogłam się opanować.

- Cześć, Florence - powiedziała Crystal z akcentem, który mógł pochodzić tylko z antypodów. - Świetnie, że mogłam w końcu panią poznać.

Ku memu zaskoczeniu Monty odsunął się ode mnie i stanął za nią, obejmując jej prawie nagie ramiona, na co uśmiechnęła się najpierw do mnie jakby przepraszająco, a potem nieśmiało do niego.

Mój radosny nastrój prysł. Umilkłam. Przeniosłam spojrzenie na kobietę i przyjrzałam jej się dokładnie: delikatne obojczyki, ładnie wykrojone usta ledwie dotknięte błyszczkiem, opalona skóra z nieznacznym śladem piegów, wyraziste zielone oczy.

Pokiwałam głową, ogarnięta starym, dobrze znanym poczuciem, że mój umysł nie nadąza za tym, co się dzieje. „Miło wreszcie panią poznać?”. Ekspres z Heathrow jechał zaledwie kwadrans, więc słowo „wreszcie” jakoś tu nie pasowało. Nawet jeśli siedziała obok Monty'ego w samolocie z Bangkoku i zaczął jej o mnie opowiadać, jeszcze zanim wystartowali, to „wreszcie” nadal wydawało się przesadą. Od jak dawna ci dwoje się znali? Skąd owo „wreszcie”? Zwróciłam pytające spojrzenie na syna.

- Co się dzieje? - spytałam słabym głosem, czując jak pełne niepokoju mrowienie w żołądku zmienia się w alarmujący łomot.

- Nie wariuj, mamó - powiedział Monty. W jego tonie dało się wyczuć ostrzegawczą nutę.

- Ja? Nie wariuj? Dlaczego miałabym wariować?

- Crystal i ja jesteśmy razem - oznajmił, wzruszając lekko ramionami, jakby się przyznawał do kupienia drugiej porcji lodów czekoladowych tego samego dnia. - Właściwie to coś więcej. Mamó, pobraliśmy się, Crystal jest moją żoną.

- Co takiego? - spytałam.

Mogłabym przysiąc, że powiedział, że się ożenił z tą kobietą, tą rozczochną, spieczoną na skwarek blondynką o niedorzecznym imieniu Crystal, że jest jego żoną. Ale przecież Monty był jeszcze chłopcem. Nie mógł mieć żony.

Mówił coś do mnie, widziałam, ale nie mogłam się skupić, by zrozumieć jego słowa. Patrzyłam na nią, na Crystal, a ona patrzyła na mnie.

- Co? - powtórzyłam, żalując każdym włókienkiem ciała, że nie ma ze mną Harry'ego, że nie mogę się z nim podzielić swoją paniką, strachem, rozczarowaniem i histerią. Wymieniłam panikę? Potrzebowałam go tak bardzo, żeby nie czuć, jak świat wymyka mi się spod nóg. Żeby mnie chwycił i ściągnął z powrotem na powierzchnię ziemi.

- ...poznaliśmy się na farmie zdrowia wkrótce potem, jak tam przyjechałem, i od razu oboje wiedzieliśmy... - Monty szedł ku mnie, wciąż poruszając ustami, ale ja już nie chciałam być blisko niego, tego przerażająco obcego człowieka. Cofnęłam się odruchowo.

- ...pobraliśmy się przy wodospadzie w Currumbin Valley, zanim...

Jeśli to nie sen, myślałam, czując, jak cała twarz boli mnie z wysiłku, gdy starałam się nie okazać załamania, jeśli to prawda, jeśli Monty rzeczywiście wrócił do mnie z małą, zasuszoną australijską żoną, to nastąpiło właśnie owo trzecie nieszczęście z obecnej serii, a przy niej dwa poprzednie: to, że straciłam pracę, a mój mąż był gejem, wydawały się tak niewinne, że Julie Andrews mogłaby je wpisać na listę swoich ulubionych rzeczy.

Monty jest jeszcze chłopcem, moim synkiem. Nigdy by mi nie zrobił czegoś takiego, nie ożeniłby się, nie mówiąc mi o tym, nie prosząc mnie o pomoc w wyborze odpowiedniej kobiety. Byliśmy drużyną, robiliśmy wszystko razem, zawsze.

- Mamo! - Chwycił mnie za ramię; kiedy spojrzałam na jego dłoń, wydała mi się taka obca, że próbowałam ją strząsnąć. Była taka duża i brązowa. Ze starannie, krótko obciętych paznokciami.

- Mamo! - Ścisnął mnie mocniej. - Przepraszam, że ci nie powiedziałem wcześniej. Naprawdę mi przykro. Ale...

Crystal wciąż stała nieco z tyłu, przy bagażach i patrzyła na mnie, nie wyzywająco, ale też bez skruchy.

- Ale ile ona ma lat? - spytałam Monty'ego.

- A co to ma do rzeczy? - odpalił z nieznanym mi dotąd twardym błyskiem w oczach.

Przerażała mnie myśl, że muszę jakoś przeżyć kilka następnych chwil. Doznałam szoku. Po raz kolejny. Najgorszego z trzech, których ostatnio doświadczyłam.

Powinnam była zachować milczenie, całkowite milczenie, wrócić do domu i zastanowić się, co dalej. Tak, właśnie to powinnam była zrobić. Niestety, w ogóle nie przyszło mi to do głowy.

- Jestem twoją matką - powiedziałam zamiast tego, podnosząc głos, tak że ludzie zaczęli zwracać na nas uwagę - ...a ty mnie tak po prostu informujesz, że kobieta, na którą patrzę, zupełnie obca osoba, o której nic nie wiem, jest twoją żoną, żoną mojego dziewiętnastoletniego syna. Chyba mam prawo spytać, w jakim ona jest wieku?

- Sama wyszłaś za tatę, jak miałaś dziewiętnaście lat - przypomniał mi Monty z naciskiem. Nie wyglądał w tym momencie jak dojrzały mężczyzna, tylko jak rozzłoszczony nastolatek, co w gruncie rzeczy nigdy wcześniej mu się nie zdarzało.

- Wiem, w jakim byliśmy wieku. - Próbowałam się uśmiechnąć.

- Problem nie polega na tym, że ty masz dziewiętnaście lat. - To nie była prawda, bo to też stanowiło dla mnie problem. - I nie poruszajmy teraz tematu twojego ojca. - Miałam prawo być wściekła o tyle rzeczy, że nie wiedziałam, od czego zacząć lub na czym skończyć. - Chcę tylko wiedzieć, ile lat ma ta twoja „żona”.

- Trzydzieści cztery - odpowiedziała Crystal. Podeszła do nas nie wiedząc kiedy, z tymi wszystkimi bagażami, które ostrożnie położyła na podłodze, i teraz stała obok mnie. - Bardzo mi przykro, że to dla pani taki wstrząs, ale ja naprawdę kocham pani syna, Florence, i mam nadzieję, że pani to uszanuje.

- Uszanuję? - Miałam wielką ochotę wymierzyć jej policzek. Dosłownie swędziało mnie dłoń. - A gdzie był szacunek dla mnie, kiedy brała pani mojego syna i wychodziła za niego, nie mówiąc mi o tym? On ma dziewiętnaście lat,

Crystal. Jest jeszcze chłopcem. Czego kobieta w pani wieku może chcieć od chłopca?

- Och, mam, do diabła, zachowujesz się niepoprawnie. Posłuchaj tylko, co mówisz. Ona mnie nie „brała”! Jezu, i co ma do rzeczy wiek? Jesteś śmieszna. - Monty śmiał się ze mnie, co bolało tak bardzo, że dopuściłam do głosu tę stronę swojej natury, która przez całe moje dotychczasowe życie pozostawała w stanie hibernacji.

- Ja jestem śmieszna? Jeszcze rok temu prosiłeś mnie o pieniądze na autobus. Sypiałeś z pluszowym misiem. Płakałeś, bo Beckham został w Realu Madryt. A teraz masz żonę? Nie sądzisz, że to śmieszne?

- Dobrze, niech ci będzie - powiedział Monty, gwałtownym ruchem podnosząc z ziemi torbę. Jeszcze go takim nie widziałam. Nawet mi się nie śniło, że mogę go takim zobaczyć. - Niepotrzebne nam to całe gówno - zwrócił się do Crystal. - Chodź, skarbie. Nie musimy wracać do jej domu.

Do "jej" domu? Od kiedy przestał być także jego domem? O nie, tego nie mogłam znieść.

- Monty, zaczekaj chwilę - powiedziała spokojnie Crystal do pleców mojego zagniewanego syna. Poskutkowało, zatrzymał się. Wtedy zwróciła się do mnie: - Wiem, że jest pani zła, Florence, i rozumiem, uważa pani, że ma prawo być zła, wiem też, że to dla pani trudny moment, ale jeśli się pani zastanowi nad Montym i mną, dojdzie pani do wniosku, że to przecież nie koniec świata, prawda? Mam na myśli to, że pani syn jest żonaty i szczęśliwy?

Odebrało mi mowę. Co ona mogła wiedzieć o świecie i jego końcu?

- Nie jestem taka zła, kiedy się mnie pozna bliżej, pomimo mojego wieku - ciągnęła, siląc się na dowcip, zupełnie nietrafiony. - Mam nadzieję że pani się przekona. Nie

ufa pani wyborom syna, którego pani wychowała? Nie sądzi pani, że wybrał właściwą osobę, żeby dzielić z nią życie?

Od słuchania tego rodzaju tekstów miękły mi kolana, ale nie w tym pozytywnym znaczeniu. Miałam za sobą całe życie słuchania tego rodzaju tekstów. Najgorsze w nich było to, że wydawały się całkowicie sensowne... tyle że nie był to ten właściwy sens. Oczywiście, że miałam zaufanie do wyborów dokonywanych przez Monty'ego. Całkowite zaufanie. Chciałam jedynie być przy nim, kiedy będzie dokonywał tych wyborów, żeby się upewnić, że nie popełni żadnych pomyłek. Crystal była błędem. A błędy należało naprawiać. Jednak kiedy tam stałam, żałując, że nie znam kung - fu lub jakiejś innej, jeszcze skuteczniejszej sztuki walki, która by mi pomogła naprawić ten błąd, zobaczyłam wyraz oczu Monty'ego. Było w nich tyle bólu, że chęć fizycznego rozprawienia się z jego żoną (żoną?) nagle mnie opuściła.

Nie mogłam znieść widoku tego bólu, a już tym bardziej świadomości, że jestem jego powodem.

Och, kochałam swojego syna. Resztkami serca, które wyrwał mi z piersi i zgniółł jak bezę swoimi pięknymi dłońmi, nadal go kochałam. Był tym najlepszym, czego dokonałam w życiu. Nie mogłam znieść myśli, że tak mnie zranił, ale też nie potrafiłam zranić jego. Ja byłam tą starszą (choć Crystal nie pozostawała daleko w tyle) i dojrzalszą. To ja powinnam wskazywać drogę. Wzięłam oddech, tak głęboki, jak pozwalał mi przeżyty szok, i wyciągnęłam do Monty'ego rękę, jakby był czterolatkiem, którego muszę zabrać z placu zabaw do domu na popołudniową drzemkę.

- Nie zachowuj się tak, Monty - poprosiłam. - Proszę, jedźmy do domu. Proszę. Przepraszam.

Nie wiedziałam, co mam robić, myśleć czy wreszcie czuć, ale wiedziałam, że nie przeżyję, jeśli w taki sposób ode mnie odejdzie.

Popatrzył na moją dłoń, a potem na Crystal, która zachęcająco pokiwała głową. Następnie spytał szorstkim tonem, od którego zapiekły mnie oczy, gdzie zostawiłam auto i ruszył przodem na parking.

- Dziękuję, Florence, wiem, że to musi być dla pani trudne. Wiele dla nas znaczy, że próbuje pani być wyrozumiała - powiedziała Crystal, kiedy wychodziłyśmy ze stacji.

- Nie ma pani najmniejszego pojęcia, ile co dla mnie znaczy - odparłam, starając się mówić cicho i zachować przy tym lekki ton, bez cienia groźby, na wypadek, gdyby mój syn mnie słyszał.

- Cóż, dziękuję, doceniam pani szczerłość - powiedziała Crystal, po czym przyspieszyła, żeby się z nim zrównać.

Patrzyłam, jak jej kolorowa spódniczka drżała i połyskiwała przed moimi oczyma i miałam nadzieję, choć słabą, że ten twardy orzeszek nigdy nie pozna moich rodziców i siostry, ponieważ mogłam być pewna, że będą nią zachwyceni.

Crystal:

To nie był mój pomysł, żeby nie mówić Florence i Harry'emu, ale ostatecznie nie chodziło o moich rodziców, więc to nie była moja sprawa. A Monty sprawiał wrażenie, że doskonale wie, jak to przeprowadzić.

Zdecydowanie nie chciał, by się czegokolwiek domyślili przed naszym ślubem, ale przypuszczam, że rozważał zawiadomienie ich wkrótce potem. Kiedy jednak byliśmy w Tajlandii, dostał telefon od swojego taty. Uznał, że nie może w takim momencie dokładać matce jeszcze tej wiadomości, zwłaszcza z daleka. Za bardzo by ją poruszyła.

Podobało mi się, że tak się o nią martwi, że poświęca tyle uwagi jej ewentualnej reakcji. Wiem, że trochę się obawiał,

jak jego rodzina to przyjmie, ale wiedziałam też, że kocha mnie całym sercem i nie boi się tego, co zrobiliśmy.

Jednak na stacji jego matka omal nie padła z wrażenia.

Z początku tylko się na mnie gapiała, na przemian otwierając i zamykając usta, a potem powtarzała w kółko: „Co?, Co?“, coraz głośniej, chociaż Monty próbował jej wszystko wyjaśnić.

Kiedy wreszcie do niej dotarło, co się stało, tak się wściekła, że przez moment myślałam, że mnie uderzy. Monty też się zdenerwował, ale ja w pewnym sensie rozumiem, jak mogła się poczuć. Kiedy Monty w Australii opowiadał mi o swojej mamie, wyobrażałam sobie kogoś starszego. Wiedziałam, w jakim jest wieku, a mimo to miałam przed oczyma kobietę bardziej dojrzałą niż Florence. Pewnie z powodu tego imienia i faktu, że była matką mojego męża. Gdy ją zobaczyłam na stacji, moje pierwsze wrażenie było takie, że nie różni się ode mnie za bardzo. Oczywiście była wyższa i miała ciemniejsze włosy, ale poza tym? A skoro ja tak myślałam, ona także musiała.

Nie zrozumcie mnie źle, wiek Monty'ego i to, że jestem od niego starsza, nie stanowi dla mnie problemu. Jest bardzo dojrzały jak na swoje lata, a poza tym zakochałam się w nim, zanim się dowiedziałam, że ma dopiero dziewiętnaście lat, i nie mogłam się odkochać, choćbym nie wiem jak się starała. Prawdopodobnie świadomie nie zaangażowałabym się w związek z kimś o tyle ode mnie młodszym, ale jeśli czegoś się w życiu nauczyłam, to tego, że wszystko jest kwestią chwili. Poznaliśmy się, błyskawicznie zaiskrzyło i wszelkie trudności musiały zostać przezwyciężone. Po prostu. Nie mogłabym czuć do kogoś tego, co czuję do Monty 'ego i nie pójść za głosem serca tylko z powodu różnicy wieku. Bo gdybym już nigdy miała tego nie poczuć do żadnego innego mężczyzny?

Gdyby to była moja największa szansa na szczęście, a ja bym ją odrzuciła ze względu na, ogólnie rzecz biorąc, matematykę?

Nie, Monty i ja byliśmy sobie przeznaczeni, dlatego jesteśmy razem.

Potrafię jednak przyjąć, że z punktu widzenia matki mogę nie być tą wymarzoną dziewczyną, kobietą, którą by widziała u boku swojego syna, i dlatego mój widok, ja sama, byłam dla niej rozczarowaniem. Jeśli dodamy do tego czynnik zaskoczenia, w końcu nieoczekiwanie miała synową, a jej mąż nieoczekiwanie miał chłopaka, miała więc wszelkie prawo być wstrząśnięta i wściekła.

Kiedy ją zobaczyłam tam na stacji, gdy chciała na mnie napluć, a jednocześnie rozpaczliwie pragnęła, by jej syn wrócił do domu, próbowałam się postawić w jej sytuacji.

Jak bym się czuła, gdyby to mój syn nagle okazał się żonaty, w dodatku z kobietą starszą od siebie o piętnaście lat?

Nie jestem w stanie sobie odpowiedzieć. Chciałabym całym sercem i duszą móc to zrobić, ale nie mogę.

Pochodziła z Melbourne i była masażystką, ale eksperymentowała z refleksologią. Powiedziała mi to w samochodzie, w drodze do domu. Prowadziłam w napiętej ciszy, starając się nie odrywać wzroku od jezdni, choć z trudem udawało mi się utrzymać oczy otwarte.

Monty był żonaty? Z australijską masażystką eksperymentującą z refleksologią? W takim wieku, że mogłaby być jego... no, nie wiem kim, ale była stara. Za stara. I była jego żoną.

Bez pracy, bez męża, a teraz jeszcze bez syna. Harry, ty cholerny homoseksualny draniu, spróbuj teraz podważyć moją teorię o potrójnych nieszczęściach.

Zadzwoiłam do niego, gdy tylko weszłam do domu. Ale to nie był mój najlepszy dzień, tydzień, miesiąc, prawdopodobnie i rok, bo to nie Harry odebrał telefon w kawalerce w Lancaster Gate.

- Kto mówi? - spytałam, słysząc uprzejmy męski głos po drugiej stronie linii; jakieś nieznane uczucie zmieniło mój tak, że brzmiał jak u starej jędzy.

- Mówi Charles - padła odpowiedź. - Czy rozmawiam z Florence?

Cóż, jeśli zamiarem Harry'ego było przetestowanie wytrzymałości rezonujących strun w moim sercu, to właśnie mu się udało. Moje serce było już nie tylko złamane, ale rozdarte na strzępy. Zostało rozdarte na strzępy, zdeptane i spalone, prochy zaś rozsypane za kręgiem polarnym i zamrożone, a po odtajaniu zjedzone przez jakieś dziwne stworzenia z długimi nosami, wydalone i znów zjedzone przez ptactwo. Które wkrótce potem wyginęło.

Byłam obolała. Czulałam ból w każdej cząsteczce ciała. Żołądek, włosy, maleńkie dziurki w kącikach oczu, skąd wydobywały się łzy, też bolały.

- Proszę powiedzieć Harry'emu, żeby zaraz do mnie oddzwonił - powiedziałam do „Charlesa” tonem jeszcze bardziej opryskliwym niż poprzednio.

- Nie ma potrzeby - odparł Charles. - On tu jest. Oddam mu słuchawkę.

Oczywiście, że był. Czemu Charles miałby sam siedzieć w mieszkaniu Harry'ego? Usłyszałam szmer stłumionej rozmowy dwóch mężczyzn, po czym Harry odezwał się do słuchawki:

- Floss, kochanie, czy on już jest?

- Nie mów do mnie „Floss, kochanie”, ty wężu - syknęłam. - Dlaczego ten człowiek odbiera twój telefon? Wiedziałeś, że będę dzwonić, Harry. Czemu to zrobiłeś? Próbujesz mnie zranić jeszcze bardziej, niż już mnie zraniłeś?

Harry wydawał się szczerze zaskoczony.

- Oczywiście, że nie, nie, och, Floss, przepraszam. Proszę, nie bądź taka. Po prostu sądziłem, że będziesz chciała najpierw spędzić z Montym parę godzin i prawdę mówiąc, myślałem, że to on do mnie zadzwoni. Zrobiłem to bez zastanowienia. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, to zranić cię jeszcze bardziej. Proszę, uwierz mi. Charles jest tu, żeby mi pomóc przy... Byłem w Ikea.

Przez ostatnie tygodnie bardzo, ale to bardzo się starałam nie wyobrażać sobie, przy czym Charles pomaga mojemu mężowi. Nie chciałam się w to wgłębiać, tak samo jak bym nie chciała o tym myśleć, gdyby mnie zostawił dla jakiejś cycatej skandynawskiej niańki. To nie to, co robił z kimś innym, mroziło mnie i zmieniało w osobę, którą teraz się stawałam. Chodziło o to, czego nie robił ze mną.

Tęskniłam za jego dotykiem. Tęskniłam za jakimkolwiek dotykiem. Harry nie należał do mężów lubiących publicznie demonstrować swoje uczucia, ale kiedy byliśmy sami, stawał się bardzo czuły; nie szczędził mi pocałunków i chętnie

przytulał się w łóżku. Przygnębiało mnie, że nawet moja skóra wysycha z tęsknoty za nim.

- Powiedz „Charlesowi”, żeby pieprzył twoją Ikeę i natychmiast przyjeżdżaj do domu. Jesteś mi tu potrzebny - rzuciłam ze złością.

- Na litość boską, Floss - westchnął ze znużeniem.

- Monty wrócił do domu z żoną - oznajmiłam, starając się, by mój głos brzmiał jak najspokojniej. - Z Australijką w takim wieku, że praktycznie mogłaby być jego matką. Ona eksperymentuje z refleksologią, Harry. Jest żonaty. Monty jest żonaty!

Po drugiej stronie panowała cisza.

- Cholerny idiota - rozległo się wreszcie. - Co on, u diabła, zrobił? Jest jeszcze cholernym dzieciakiem.

Ta chwila powinna była nas zjednoczyć. Miała w sobie potencjał, żeby być najlepszym momentem od czasu, jak się rozstaliśmy. Oto połączyło nas przeżywanie tego samego rodzicielskiego koszmaru. Tylko że wciąż byłam zanadto obolała, by na tym etapie poczuć wspólnotę z Harrym. Bez wątpienia miało to coś wspólnego z Charlesem pomagającym mu przy meblach z Ikei. W istocie, choć czułam mniej więcej to samo, w akcie sprzeciwu uznałam reakcję Harry'ego za niesłuchanie irytującą.

Czułam złość, że Monty się ożenił z Crystal, nawet nam o tym nie wspominając. Nie chodziło o to, że jest taki młody. My z Harrym byliśmy w podobnym wieku, kiedy się pobieraliśmy, i zanim Harry zmienił melodię, stanowiliśmy żywą reklamę wczesnie zawieranych małżeństw.

A ile bitew musieliśmy stoczyć z tymi wszystkimi, którym się zdawało, że wiedzą lepiej co dla nas dobre! „Żeń się w pośpiechu, a długo będziesz żałować” ostrzegła mnie trzykrotnie w ciągu jednej krótkiej wizyty przed ślubem moja wąsata cioteczna babka Violet. Widząc, że mam ochotę ją

udusić, Harry oświadczył donośnym głosem, że znamy się od pięciu lat, więc trudno mówić o pośpiechu. To definitywnie zamknęło jej usta, a ponadto przypomniała sobie, że zrobiła na tę okoliczność swoje słynne imbirowe ciasteczka, co wszystkich niezwykle rozbawiło.

Rodzice Harry'ego także byli całkowicie przeciwni naszemu małżeństwu. Nigdy do końca nie wyjawili, kogo sobie upatrzyli na żonę dla młodszego syna, ale nie kryli, że to nie byłam ja, jego ukochana z dzieciństwa, która nie zdołała ukończyć college'u dla sekretarek i miała stukniętą rodzinę, rozprawiającą bez skrępowania o intymnych częściach ciała i nadużywającą olejku lawendowego.

Moi rodzice także nie pochwalali naszej decyzji, tyle że ich obiekcje dotyczyły faktu, że w ogóle wychodzę za mąż - jako że uważali małżeństwo za instytucję stanowczo przereklamowaną - a nie tego, że robię to, mając dziewiętnaście lat.

Pokazaliśmy im wszystkim. Przez dwadzieścia lat ci, którzy nas zniechęcali, musieli przeżywać porażkę. A nawet obecnie ci, co przeżyli, nie mogli winać młodości za fatalny koniec naszego związku. Mogli winać jedynie Harry'ego. I „Charlesa”.

- Problem nie polega na tym, że jest jeszcze dzieckiem - wyszeptałam ze złością do słuchawki, słysząc jak Monty i Crystal, a raczej „Crystal”, jak ją nazywałam, kręcą się po kuchni. - Tylko na tym, że ona jest stara. Starsza. Harry, on jest nadal chłopcem, a ona w pełni dojrzałą kobietą! To graniczy z perwersją. Ona ma przed sobą niewiele czasu na rodzenie dzieci, a Monty nie jest gotowy, żeby zostać ojcem. O Boże, nie mogę uwierzyć, że muszę myśleć o takich rzeczach. Monty ojcem? Jezu Chryste, Harry, masz rację. Przecież on sam jest jeszcze dzieckiem. Ma nawet pryszczka na czole. Musi się dać coś z tym zrobić.

- Oczywiście, że się da - powiedział Harry, wyraźnie bojowo nastawiony. - Mam zamiar przyjechać i powiedzieć tej kobiecie, co o tym wszystkim myślę. Nie martw się, Floss, wyciągniemy Monty'ego z tego ambarasu.

„Nie martw się, Floss”. Nikt nie ostrzega, że wraz z odejściem męża zabraknie ci takich rzeczy: nie będzie miał ci kto powiedzieć, żebyś się nie martwiła. To drobna rzecz, mniej ważna niż tęsknota za jego dotknięciem, dlatego nie piszą o niej książek, ale też istotna. Bo jeśli nie masz nikogo zaufanego, kto by ci powiedział, żebyś się nie martwiła, to co ma cię przed tym powstrzymać?

Monty popełnił straszny błąd i martwiłam się, co tam, martwiłam, wręcz wychodziłam z siebie, że marnuje sobie życie i nie wykorzysta żadnej z możliwości, jakie otwierały się przed nim, odkąd... hmm, odkąd się urodził. Monty był stworzony do wielkich rzeczy, wszyscy to wiedzieli. To jasne jak słońce. Ale żenić się w wieku dziewiętnastu lat? Miał żonę i musiał się nią opiekować. To go musiało uziemić. Musiało go drastycznie ograniczyć.

Uświadomiłam sobie nagle, że być może ja zrobiłam to samo Harry'emu, i natychmiast moje zmartwienie się pogłębiło. Czy rzeczywiście ograniczyłam jego rozwój, uziemiłam go, uniemożliwiłam mu rozwinięcie skrzydeł? Wydało mi się to mało prawdopodobne, byłam pewna, że zawsze raczej zachęcałam go do robienia tego, czego sam pragnął. Ale być może kobieta bardziej dojrzała tak by nie postępowała. Może bardziej dojrzała kobieta prowadziaby go inaczej, stawiałaby przed nim większe wyzwania. Może bardziej dojrzała kobieta by za niego nie wyszła.

Oświadczyły Harry'ego nie były romantyczne. Wspólnie doszliśmy do wniosku, przy ciastkach z kremem i termosie herbaty pewnego pięknego zimowego dnia w Kensington

Gardens, że zawsze planowaliśmy być razem, więc czemu by nie związać się węzłem małżeńskim?

Nie mogłam go do tego namówić, bo po pierwsze prawie wcale o tym nie rozmawialiśmy; poza tym razem żadne z nas nie poruszało tego tematu. Tamtego dnia po prostu sam wyskoczył z tą propozycją w rozmowie i już. Przez miesiąc nawet nikomu o tym nie wspomnieliśmy, do tego stopnia unikaliśmy rozgłosu. Może gdybym zrobiła z tego wielkie halo, a Harry by zaprotestował, zauważyłabym, że coś jest nie tak, i moglibyśmy pójść zupełnie inną drogą.

Tymczasem łagodnie pożeglowaliśmy w przyszłość. Wspierałam Harry'ego, kiedy studiował prawo, ponieważ podziwiałam go za to, że wie czego chce, i ponieważ w niego wierzyłam. A potem, kiedy już nie chciał być prawnikiem, też go wspierałam, w istocie nawet zachęcałam, by rzucił praktykę i został pisarzem, mimo że prawdę mówiąc, taki wybór wydawał się dziwny, jako że Harry nigdy specjalnie nie lubił czytać. Tak czy inaczej, nie oponowałam, bo po prostu chciałam, żeby był szczęśliwy.

I tego samego pragnęłam dla Monty'ego. Chciałam, żeby był szczęśliwy. Jednak choć sądziłam, kiedy przez moment zakładałam, że może być gejem, iż będzie mi wszystko jedno, z kim zazna szczęścia, uświadomiłam sobie, że to nieprawda. Chciałam, żeby był szczęśliwy w pojedynkę albo z jakąś miłą dziewczyną w jego wieku - za kilka lat. Nie tak od razu ze starą australijską żoną, która eksperymentowała z refleksologią.

Tak czy inaczej, mogłam równie dobrze zignorować radę Harry'ego, żeby się nie martwić, ponieważ kiedy się wreszcie zjawiał mniej więcej po godzinie, cała jego stanowczość, z jaką zapowiadał zajęcie się sprawą Monty'ego, gdzieś uleciała.

Z całego odgrazania się, że powie Crystal, co o tym wszystkim myśli, niewiele zostało. Najpierw nie potrafił

opanować radości na widok Monty'ego i nie mogłam mieć mu tego za złe. A kiedy przyszło do rozmowy z Crystal, zauważyłam, że jest pod wrażeniem jej urody i opanowania. Poza tym, co było irytujące, rzeczywiście nie wyglądała na trzydzieści cztery lata.

- Musicie zrozumieć naszą reakcję, bo spadło to na nas całkiem nieoczekiwanie - tłumaczył im, kiedy staliśmy trochę sztywno w salonie, Harry i ja, popijając wino, Monty piwo, a Crystal wodę o temperaturze pokojowej.

- Tato, miałem zamiar ci powiedzieć, ale musisz przyznać, że...

- zaczął Monty, ale Crystal natychmiast go uciszyła, kładąc mu na ramieniu drobną dłoń. Gdybyście widzieli, jak na nią popatrzył! Z jakim uwielbieniem.

- Oczywiście, że rozumiemy, Harry - powiedziała spokojnie.

- Jestem pewna, że każdy rodzic czułby się tak samo w tej sytuacji, bo przecież on jest waszym synem, waszym dzieckiem, ale jest też dorosłym człowiekiem. Ma dorosłe uczucia i na ich podstawie podejmuje dorosłe decyzje, a jedną z nich było poproszenie mnie o rękę.

- A ty musiałaś się zgodzić? - wyrwało mi się. Pomyślałam, że mówi o Montym, jakby go z nami nie było, co wydało mi się cholernie niewłaściwe.

- A ty musiałaś? - zaatakował mnie Monty z zaskakującą szorstkością. Przyszło mi do głowy, że nie miał nic przeciwko temu, by Crystal mówiła za niego.

- Właśnie - podchwyciła. - Kiedy Harry się oświadczył, nie zgodziła się pani?

- Cóż, on mi się właściwie nie oświadczył, a poza tym chyba w tej chwili nie jesteśmy najlepszym przykładem do omawiania - odpowiedziałam. Mój ton zabrzmiał bardziej

kwaśno, niżbym sobie życzyła, ale nic nie mogłam na to poradzić. - Nasze małżeństwo się skończyło.

- Och, mamó... - Monty pokręcił głową, opuszczając wzrok na stopy. Crystal irytującym gestem znów poklepała go po ręce.

- Daj spokój, Floss, chyba teraz nie czas na to? Spojrzałam na Harry'ego i za nic w świecie nie mogłam sobie wyobrazić, jak siedząc w Kensington Gardens, podejmujemy decyzję o ślubie, choć przecież wiedziałam, że tak było. Używał w stosunku do mnie prawniczego tonu, przez co czułam... hmm, nie potrafiłam tego nazwać, ale doświadczyłam bardzo nieprzyjemnego wrażenia, że nagle się kurczę.

- To dla państwa trudny moment, żeby rozważać sens wczesnego małżeństwa, mogę to zrozumieć - powiedziała z przejęciem Crystal.

- Ale pani i Harry przeżyliście ze sobą dwadzieścia wspaniałych lat i jeśli my z Montym wytrzymamy połowę z tego i nasz związek będzie choć w połowie tak mocny, uznam, że świetnie nam się ułożyło.

Spojrzałam na Monty'ego, żeby sprawdzić, czy ta ponura przepowiednia go przygnębiła.

- Zakładasz, że to potrwa dziesięć lat? - spytałam zdumiona.

- Cóż, skoro pani jest zła, że się pobraliśmy, to powinna być zadowolona, że nie potrwa dłużej?

Monty patrzył na mnie takim wzrokiem, że prawie znikłam. W jego spojrzeniu nie było śladu uwielbienia. Nie było śladu czegoś, co bym rozpoznała. Gdzie się podział mój syn, który przez ostatnie lata stanowił dla mnie źródło szczęścia? Chłopiec, który tak bardzo się przejmował moimi uczuciami? Anioł, za którym wszyscy przepadali, a ja

najbardziej? Jak udało im się mnie nakłonić do powiedzenia czegoś, czego wcale nie chciałam powiedzieć?

- Co ty mu zrobiłaś?! - wybuchnęłam, zwracając się do Crystal.

- To nie jest mój Monty. Byliśmy naprawdę szczęśliwą rodziną przed tym wszystkim, a teraz...

A teraz co? Teraz mój syn wrócił do domu, a ja czułam się samotna jak jeszcze nigdy dotąd. Samotna. To właśnie od tego się kurczyłam, prawie znikalam. To odkrycie odebrało mi mowę. Samotna?

Mój mąż, mój syn i jego żona wpatrywali się we mnie z podobnymi wyrazami twarzy.

Zaświtało mi w głowie, że uważają mnie za wroga.

Nigdy wcześniej nie byłam dla nikogo wrogiem i nagle przytłoczyło mnie poczucie, że jestem cudzoziemcem we własnym ukochanym kraju. Skamieniałam pośrodku perskiego dywanu, który dostałam od babci pachnącej naftaliną i który nigdy mi się nie podobał, a już szczególnie w tej chwili.

Jak to możliwe, że mój drogi mąż i mój wspaniały syn patrzyli na mnie w taki sposób, podczas gdy zaledwie miesiąc temu wierzyłam, że ten pierwszy jest we mnie zakochany do szaleństwa, a ten drugi szczerze mi oddany?

Albo byłam najmniej fartowną istotą na świecie i te dwie rzeczy nagle okazały się nieprawdą, albo byłam najgłupszą istotą na świecie, bo nie zauważyłam tego wcześniej.

I żeby jeszcze na dodatek po raz pierwszy w życiu czuć się samotną, tak naprawdę samotną? I czuć, jak wzbiera we mnie gorycz wypływająca z najciemniejszych zakamarków mojej duszy?

Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, co takiego mogłam zrobić, że zasłużyłam na takie cierpienie. Odwróciłam się na pięcie i wbiegając na górę po dwa stopnie naraz, uciekłam do swojej sypialni. Skuliłam się pod kołdrą; na ekranie ryczącego

telewizora kłębiły się postacie z policyjnego serialu, po policzkach płynęły mi łzy. Dopiero wtedy zauważyłam, że Sparky został w salonie.

Kolejny zdrajca. Kolejny wróg. Och, co za ból.

Cioteczna babka Violet:

Za moich czasów wszyscy pobieraliśmy się w pośpiechu i żalowaliśmy przez resztę życia, ale to nie znaczyło, że Florence także powinna. Nie żeby wychodziła za mąż w pośpiechu, bo jak mi dobitnie wyjaśnił młody Harry, jej przyszły mąż, znali się od dawna, ale ja chciałam tytko pomóc. A nie mogłam sobie przypomnieć żadnego przysłowia mówiącego o tym, by nie wychodzić za mąż, kiedy właściwie jest się jeszcze dzieckiem.

Florence była taką śliczną dziewczyną, ale zawsze mi się zdawało, że trochę jej brakuje pewności siebie. Takie dziewczyny często wcześniej wychodzą za mąż. Powinnam to wiedzieć najlepiej, bo sama do nich należałam. Mój George nigdy nie okazał się draniem, rzecz jasna, lecz nie był też specjalnie interesującym mężczyzną. A jak chciał wszystkim dyrygować! Nie pozwolił mi posadzić margerytek w moim własnym ogródku ani gotować spaghetti. Nazywał je zagraniczną breją.

Mimo to jego śmierć była dla mnie strasznym szokiem. A tak obsesyjnie przestrzegał tych swoich codziennych przechadzek dla zdrowia! Kto by pomyślał? Tak czy owak, teraz mam margerytki jak okiem sięgnąć i jeśli przyjdzie mi ochota, to przez cały dzień jem spaghetti, chociaż czasami źle się po nim czuję.

Florence mnie nie posłuchała, tak samo jak ja nie posłuchałam mojej ciotecznej babki. Muszę nadmienić, że moje ciasteczka imbirowe zrobiły furorę. Jak zawsze.

Monty i Crystal następnego dnia mało się pokazywali, choć nie musieli się obawiać, że na mnie wpadną, bo prawie nie wychodziłam ze swego pokoju. Byłam zmęczona, taka zmęczona. Chciałam jedynie spać. Wyhodowałam sobie ból głowy, który nie chciał minąć i sen wydawał się najlepszą ucieczką od tej i innych komplikacji mojego życia.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było poróżnienie się z synem; uzależniłam przecież całą nadzieję na przyszłe szczęście od jego powrotu. Jednak ostatnie rozczarowanie zupełnie mnie powaliło. Leżałam w łóżku, próbując sobie wyobrazić, co mogłabym powiedzieć Monty'emu, żeby mu ułatwić wyplątanie się z całej tej nedorzecznej sytuacji, a jednocześnie żeby nie skończyło się tak, że któreś z nas wyjdzie, trzaskając drzwiami.

Niestety niczego nie mogłam wymyślić. Problem był złożony; nie dość że Monty zaskoczył mnie, przywożąc żonę, co samo w sobie było sprawą trudną do przełknięcia, to jeszcze nie miałam go dla siebie, a liczyłam na to, że pomoże mi dojść do siebie po rozpadzie mojego małżeństwa.

Może radziłabym sobie lepiej z jednym, gdyby nie zdarzyło się to drugie. A że było, jak było, mogłam się tylko zastanawiać, co robili bogowie czasu, kiedy szykowała się ta ostatnia katastrofa, synchronizowali zegarki, żeby cholerna Victoria Beckham nosiła dobrze dobrane kolory?

Tak, sen był moją samotną ucieczką od gorzkich rozmyślań, ale mimo wielkiego zmęczenia jakoś nie mogłam zasnąć, a w dodatku robiłam się coraz bardziej głodna. Ukrywałam się w swoim pokoju tak długo, jak to było możliwe, a drugiego dnia pobytu Monty'ego i Crystal w moim domu, usłyszawszy trzask frontowych drzwi, wydedukowałam, że wyszli do miasta i odważyłam się

przemknąć do kuchni. Ku memu zaskoczeniu Monty siedział przy stole i czytając gazetę, jadł tosta z marmoladą.

- O... - bąknęłam zupełnie nieprzygotowana na taki widok.

- Gdzie Crystal?

- Nie wystraszyłaś jej na dobre, jeśli taką masz nadzieję, chociaż bardzo się starałaś - odpowiedział mój syn opryskliwym tonem, który natychmiast wprowadził mnie w zły humor.

- Nie rozumiem, dlaczego musisz być tak cholernie niegrzeczny

- warknęłam.

- Och, doprawdy? A ty nie byłaś cholernie niegrzeczna wobec Crystal?

- Nawet jej nie widziałam! - wykrzyknęłam, dziwiąc się w duchu, jak szybko moje najgorsze wyobrażenia się ziszczają. W kuchni już niemal iskrzyło od napięcia, a przecież ledwie otworzyłam usta.

- Właśnie o to mi chodzi - powiedział Monty, mrużąc oczy.

- Nie sądzisz, że ona może zauważyć, że się przed nią chowasz? To jest żalosne, mamo. Naprawdę żalosne. Kto tu się zachowuje jak dziecko?

Ponieważ rzeczywiście się chowałam i w istocie to zachowanie było dziecinne, moja pozycja w tym starciu stała się zdecydowanie niekorzystna. Jak często w takich sytuacjach próbowałam się bronić, atakując.

- Wiesz co, mógłbyś mi okazać trochę zrozumienia, Monty. Zjawiasz się żonaty z Australijką, o której istnieniu nawet nie wiedziałam. .. tuż po tym, jak straciłam pracę i odszedł ode mnie twój ojciec. Chyba mam prawo być trochę wytrącona z równowagi.

- Wytrącona z równowagi? Chyba raczej niezrównoważona - mruknął Monty, ze złością odsuwając od siebie talerz.

- Niezrównoważona? Jak śmiesz? - Byłam urażona. Było mi przykro. Byłam taka przygnębiona.

- Mamo, spójrz na siebie. - Sprawiał wrażenie bliskiego płaczu tak samo jak ja. - Posłuchaj, co mówisz! Przykro mi z powodu taty, już ci mówiłem, z powodu sklepu też mi przykro, ale to nie ma nic wspólnego z Crystal i tym, jak ją potraktowałaś. Po prostu używasz całej tej reszty jako usprawiedliwienia.

- Całej reszty?

- Tak! Takie gówniane rzeczy się zdarzają, mammo. Nie tylko tobie. Zdarzają się wszystkim.

- Takie gówniane rzeczy? Naprawdę, Monty, nie masz do powiedzenia nic lepszego? I ty mówisz, że jestem żalosna!

Wstał od stołu tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się na podłogę.

- Dlaczego jesteś taką suką? - spytał, cedząc ostatnie słowo przez zęby.

Staliśmy naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem i oddychając ciężko, a ja byłam tak zdumiona, że kłóć się z własnym synem, że do tego doszło między nami, iż nie wiedziałam, co powinnam zrobić.

Nawet jeśli byłam suką, a według mnie nie byłam, ale gdyby nawet tak, to miałam prawo nią być, a on nie powinien mówić do mnie w taki sposób. Powiedział, że jestem niezrównoważona, a liczne nieszczęścia, jakie mnie spotkały, określił mianem „gównianych rzeczy”. Takie zachowanie było absolutnie niedopuszczalne i musiał się o tym dowiedzieć, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mam mu to powiedzieć, nie doprowadzając do kolejnej katastrofy. Miałam ich naprawdę dosyć.

Byliśmy o jedną zniewagę od tego, by wyszedł i nigdy więcej nie wrócił, czułam to, ale nie potrafiłam się pohamować. Nie miałam wyboru, musiałam wylać z siebie złość.

- Przykro mi, Monty - powiedziałam. - Naprawdę mi przykro. Jednak trochę było tego za dużo.

To jakby upuściło z niego trochę powietrza. Podniósł krzesło i włożył talerz po tostach do zmywarki. Wrócił o wiele porządniejszy, niż był przed wyjazdem.

- Nie tylko ty potrzebujesz trochę wyrozumiałości, mamó - odezwał się spokojniej.

- Po prostu jestem w szoku - odpowiedziałam słabym głosem. - Tak długo czekałam, żeby mieć cię tylko dla siebie, a teraz...

- Teraz jestem z Crystal - powiedział zdecydowanym, ale nie niemiłym tonem. - A jeśli nie potrafisz z tym żyć, z nią, to możemy się wynieść gdzie indziej. Naprawdę, mamó, ona ma tylu znajomych w Londynie, że bez problemu znajdziemy pokój u któregoś z nich.

- Nie chcę, żebyście się wyprowadzali - powiedziałam szczerze. Nie mogłabym znieść jego odejścia.

- W takim razie musisz dać Crystal szansę.

Pokiwałam głową. Nastąpiło niepewne zawieszenie broni, choć moje serce wciąż było pełne nienawiści do niechcianej synowej i problemów, jakie stwarzała pomiędzy mną i moim synem.

Ból głowy i ogólnie zły nastrój zagnały mnie do łóżka na prawie całą resztę dnia, kiedy jednak się obudziłam następnego ranka, miałam wrażenie, że łupanie w skroniach trzęsie nie tylko moim ciałem, ale też łóżkiem, podłogą i całym domem.

Jęknęłam słabo, lecz łupanie nie ustawało. Wstałam z łóżka i rozsunęłam zasłony, a łomotanie trwało w najlepsze.

Otworzyłam drzwi sypialni, a wtedy stało się nawet głośniejsze. Kiedy z powrotem zamknęłam drzwi, trochę przycichło. Otworzyłam drzwi i znów brzmiało głośniej.

Wtedy przypomniałam sobie Willa, robiącego trufle czekoladowe budowlańca o zadziwiająco niebieskich oczach i magnetycznym uroku. Co mnie opętało, żeby mu kazać przerabiać mój dom na herbaciarnię? I zacząć od dzisiaj? Byłam tak zajęta uzalaniem się nad sobą z powodu wszystkich innych spraw, które nie układały mi się w życiu, że zupełnie o nim zapomniałam. A on przyszedł i sądząc po odgłosach, zaczynał rozwalać mój ukochany dom.

Wstałam, rzuciłam się pod prysznic, po czym włożyłam dżinsy True Religion, które Monty wybrał dla mnie przed wyjazdem. Okazały się dziwnie luźne, co mnie zaskoczyło, bo kiedy ostatnio miałam je na sobie, z pewnością takie nie były. Wtedy musiałam położyć się na podłodze, żeby haczykiem od wieszaka na płaszcze zapiąć suwak. Przytrzymując spodnie w pasie, podeszłam do dużego lustra, żeby się przejrzeć. Wyglądałam szczuplej. Miałam też czarne sińce pod oczami i bardziej wystające kości policzkowe. Nachyliłam się, żeby widzieć wyraźniej. Byłam też bledsza. W istocie wyglądałam okropnie. Sięgnęłam do szuflady z przyborami do makijażu i robiąc co się da, jako że od pięciu lat nie otwierałam pojemniczków z kosmetykami i nie mogłam znaleźć odpowiednich pędzelków, doprowadziłam się do względnie przyzwoitego stanu.

Na dole Will zaczął już burzyć ścianę pomiędzy pokojem telewizyjnym Monty'ego a holem. Szczerze mówiąc, doznałam wstrząsu, co oderwało moje myśli od zgrzyzot związanych z synową. Nie sądziłam, że proces przemieniania mojego domu w herbaciarnię będzie głośny i brutalny, a właśnie taki był. Mój dom! Mój ukochany dom! Jak się okazało, jedyna trwała rzecz, na której mogłam polegać. I oto

ją niszczyłam, pozwalałam, by krwawiła gipsem, wełną mineralną i strzępami starych tapet. Will zepchnął wszystkie meble do odległego kąta i nakrył pokrowcami, nim przystąpił do zdzierania wypełnień, by odsłonić konstrukcję ścian. Różnica nie była specjalnie dramatyczna, a jednak wszystko uległo zmianie. Światło było inne. Ten pokój był inny. Wchodziłam do niego przez całe życie i zawsze wyglądał tak samo: dywan, lampy, stolik pod telefon bez telefonu. Co ja zrobiłam? Czyż w moim życiu nie było ostatnio aż nadto niechcianych zmian? Co ja sobie, u diabła, myślałam, zarządzając kolejne?

W drzwiach prowadzących do gabinetu ukazał się Will i musiał dostrzec panikę w moich oczach.

- To jest najgorszy etap - powiedział. - Proszę się nie martwić. Do końca tygodnia będzie po wszystkim.

Zabawne, ale nie wydawał się teraz tak przystojny ani nawet tak młody, jak zapamiętałam z poprzedniego razu. Miał na czole srebrzystą bliznę, którą podkreślało nowe światło rozjaśniające pomieszczenie, a jego włosy były jakby trochę przerzedzone na czubku głowy.

- Do końca tygodnia - powtórzyłam gapowato.

- Ten etap. - Pokiwał głową uspokajająco, po czym dodał:
- To zawsze jest trochę szokujące.

Ale głos miał naprawdę przyjemny. I jego cera miała taki ładny odcień. Przykucnął, żeby pociągnąć za kawałek odstającej listwy przypodłogowej, a ja pomyślałam, że chyba jednak włosy mu nie rzedną.

- Mam nadzieję, że się nie pospieszyłam - powiedziałam niepewnie. - Tak naprawdę nigdy nie sądziłam, że...

Will popatrzył na mnie z dołu i wypuścił z ręki listwę.

- Zdecydowanie się na skok jest zawsze najtrudniejsze, Florence - powiedział. - Spadanie jest łatwe w porównaniu z samą decyzją.

Miał niezwykłą właściwość, upodabniającą go do Yody: wszystko, co mówił, brzmiało mądrze i tajemniczo. Nie potrafię tego do końca wyjaśnić. Bez wątpienia powinnam była wtedy od razu porzucić zwariowany plan założenia herbaciarni, ale tego nie zrobiłam. Dałam się, że tak powiem, nieść prądowi, pozwalając, by Will kontynuował prace.

I rzeczywiście, do końca tygodnia przerobił, na razie z grubsza, parter domu. Znikły ściany oddzielające pokoje od holu, a w ich miejscu pojawiła się absolutnie cudowna, choć może nieco surowa otwarta przestrzeń, wypełniona naturalnym światłem wpadającym przez wysokie przesuwne okna wychodzące na kanał.

- To będzie odjazdowe miejsce - entuzjazmował się Stanley, który przyszedł uzgodnić z Willem harmonogram dalszych działań.

- Lepsze niż Hiszpańskie Schody, mogę się założyć. Przyjemnie się tu będzie pracowało, Florence, może mi pani wierzyć.

Przyjemnie było mieć go w domu, podobnie jak Willa. Przełamywali napięcie wciąż panujące pomiędzy Montym i mną. Od czasu zawarcia rozejmu żadne z nas dwojga nie miało dość wyrozumiałości, by próbować przejść na drugą stronę, więc obecność tłukącego się budowlańca i kręcącego się po całym domu gadatliwego hydraulika trochę ułatwiała sytuację.

- Dobrze to zniósł, nie? - zagadnął mnie Stanley, spotkawszy Monty'ego po raz pierwszy. - Mam na myśli tę zaskakującą wiadomość o pani i pani mężu.

- Okazało się, że sam też ma dla nas zaskakującą wiadomość - odpowiedziałam, przynosząc na tacy dzbanek herbaty Prince of Wales i paczkę czekoladowych herbatników.

- Lada chwila pan ją pozna.

Crystal pojawiła się jak na zawołanie i wyglądała czarująco w uroczym wdzianku surfingowym; całkiem sensownie porozmawiała ze Stanleyem o hydraulice, a z Willem o tai - chi, po czym wyszła z domu w towarzystwie mojego opryskliwego syna.

- Nowa dziewczyna? - spytał Will, a ja poczułam coś dziwnego. Coś brzydkiego. Crystal była mu bliższa wiekiem. Powinna być z nim. Ale...

- Nowa żona - odpowiedziałam cierpko.

- Ho, ho - mruknął Stanley. - To musiał być szok, nie? Te małe łobuzy potrafią nas zaskoczyć, co?

Przygryzłam wargę, żeby opanować łzy.

- Domyślam się, że ostatnio miała pani pod dostatkiem niespodzianek - powiedział łagodnie Will. - Mimo to jestem pewien, że bardzo się pani cieszy, mając już syna w domu.

Tak, cieszyłam się, chociaż przez większość czasu, kiedy nie spałam, starałam się powstrzymać, by nie skrócić mu karku. Bo jakże mogło być inaczej? Crystal przez cały czas nam towarzyszyła, nie opuszczała Monty'ego nawet na moment. Nie mieliśmy okazji pobyć sam na sam, o czym tak marzyłam. Trudno było uznać za intymną pogawędkę nasze spotkanie w kuchni zakończone okropną kłótnią. Nie wiedziałam nawet, co Monty sądzi o Harrym, o nas, o „Charlesie”. Pewnie według niego to były gówniane rzeczy, które się zdarzają.

Nawet wiadomość o planach urządzenia herbaciarni została przez Monty'ego przyjęta z lekkim tylko uniesieniem brwi. To Crystal powiedziała, że według niej nasz dom ma tak cudowną atmosferę, że powinien być otwarty dla innych ludzi. Ale co ona tam mogła wiedzieć?

Któregoś ranka stałam w kuchennym oknie i patrzyłam, jak ona i Monty rozwieszają pranie na podwórku za domem. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby mój syn wieszał pranie.

Zawsze ja to robiłam za niego. Teraz Monty pomagał jej dosięgnąć do sznura, który Harry rozwiesił między dwoma drzewami w kącie ogrodu. Śmiali się, poszturchiwali żartobliwie i co chwilę przerywali pracę, żeby wymienić pocałunek lub uścisk.

- Ja też się ożeniłem, nie mówiąc nic matce - odezwał się Will za moimi plecami.

- Jest pan żonaty? - spytałam, starając się ukryć rozczarowanie.

- Byłem - odparł Will, przekładając rzeczy z tacy na kuchenny blat. - Jestem rozwiedziony. Od pięciu lat.

- Od pięciu lat? Wygląda pan zbyt młodo, żeby być żonatym, a co dopiero rozwodzonym.

- Mam trzydzieści jeden lat - oznajmił, posyłając mi trudne do rozszyfrowania spojrzenie, aż zarumieniłam się mimo woli. Ponownie przeniosłam uwagę na parę gołąbków rozwieszających pranie.

- Mógłby mieć każdą kobietę na świecie, a wybrał ją - powiedziałam. - Dlaczego? Nie rozumiem tego. I dlaczego teraz, kiedy ma przed sobą całe życie?

- Może chce całe swoje życie spędzić z nią i postanowił zacząć od razu - odrzekł Will, płucząc filiżanki i wkładając je do zmywarki.

- Też się tak czułem, kiedy poznałem Nataszę.

- Cóż, żadne z nas nie jest dobrą reklamą małżeństwa, prawda? - rzuciłam wyzywająco, głosem bardziej szorstkim niż zamierzałam. - Pańskie najwidoczniej było krótkie i niezbyt miłe, a moje okazało się długie i nic niewarte.

Wzruszył ramionami i pochylił się nad kuchennym blatem.

- Chciałaby to pani zmienić, gdyby mogła? Przypomniałam sobie, jak patrzył na mnie Harry w dniu naszego ślubu, mimo że nie zachwycił go wielgachne

poduszki na ramionach (co też mi odbiło?) mojej białej atłasowej sukni. Niezależnie od tego, co się wydarzyło ostatnio, nadal wierzyłam, że mnie kochał, naprawdę mnie kochał. Tamtego dnia. Co więcej, kochał mnie przez wiele późniejszych dni, a jeśli nawet nie kochał, to był Monty, nasz drogi chłopiec, który wdarł się do naszego świata i rozpędził wszystkie moje lęki, że zakłóci magię naszego szczęścia, że nie wystarczy go dla nas trojga. Wystarczyło. Obecnie łamał mi serce, ale przez poprzednie dziewiętnaście lat bezustannie wypełniał je radością.

- Nie - przyznałam. - Niczego bym nie zmieniła. A pan?

- Nie. W wielu sprawach postąpiłbym inaczej, ale małżeństwo do nich nie należy.

- Co się więc stało, z panem i pana żoną?

Will uśmiechnął się do mnie trochę smutno i pokręcił głową.

- Powiem pani kiedy indziej. Kiedy mnie pani lepiej pozna.

I znowu dostrzegłam przebłysk czegoś głębokiego i cudownego pomiędzy nami, obietnicę przyszłych bliskich relacji, ale wepchnęłam to doznanie pod wypełniającą mnie mieszaninę urazy i goryczy, w której nie było jeszcze miejsca dla niego.

Mieszanina została jednakowoż zmacona, kiedy w pierwszą niedzielę po powrocie Monty'ego moja rodzina przybyła na kolację. Zanosilo się na to, że spotkanie będzie pełne napięcia, jako że Monty spytał, czy Harry też może przyjść. Nie chciałam, żeby przychodził, bo jego widok ciągle przyprawiał mnie o gniew i smutek, właśnie, gniew i smutek, zwłaszcza że Harry promieniował zdrowiem i witalnością, podczas gdy ja wręcz przeciwnie, marniałam. Jednak Monty w jednym z rzadkich momentów, kiedy się do mnie odzywał, powiedział, że wiele by dla niego znaczyło, gdybyśmy mogli

choć jeden wieczór wytrzymać wszyscy razem, więc kazałam mojej wewnętrznej jędzy zakneblować się skarpetką, zdobyłam się na wspaniałomyślny uśmiech i oznajmiłam: „Oczywiście, kochanie, skoro tego chcesz”.

Jednakże w tamtym dniu sama obecność Harry'ego w moim domu natychmiast wprawiła mnie w fatalny humor, podobnie jak widok taty mierzącego Crystal niezaprzeczalnie perwersyjnym spojrzeniem.

- Monty, ty stary cwaniaku - powiedział, targając wnukowi czuprynę. - Niezła sztuka. I do tego jeszcze masuje, ty szczęściarzu!

Crystal i Poppy od razu znalazły wspólny język, odkrywszy, że obie potrafią robić domowe łapacze snów, wyobraźcie sobie. Mama od dawna miała bzika na punkcie tych bezużytecznych gadżetów, a Poppy rok wcześniej zrobiła dla mnie takie cudo z gałązek i piór, które wisiało na wewnętrznym lusterku w naszym samochodzie przez jakieś dwanaście sekund, bo potem Sparky rzucił się na prezent, próbował odbyć z nim stosunek, a w końcu go zjadł. Nie prosiłam o drugiego łapacza, a Poppy, usłyszawszy, co stało się z pierwszym, więcej mi go nie proponowała.

Teraz ona i Crystal siedziały, niemal stykając się biodrami, przy jednym końcu stołu, i rozprawiły żywo o rdzennym amerykańskim plemieniu Odżibwe, a moja matka przyglądała się im z zachwytem, podniecona i tak pełna radości życia, że miałam ochotę dźgnąć ją w oko szydełkiem, choć ma się rozumieć, żadnego szydełka nie posiadałam.

Później wycofałam się do salonu, pozwalając, by Harry z tatą i Montym pozmywali naczynia, co było stałym zwyczajem po naszych niedzielnych kolacjach. Crystal przeprosiła wszystkich i wyszła, mówiąc, że musi odwiedzić przyjaciół w Earl's Court; mama i Poppy wykorzystały tę okazję, żeby rozpląnąć się w gratulacjach, i wylewnie

powitały Crystal w rodzinie, nalegając, by przyjechała na jakiś czas do Tannington Hall najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

- Mogłybyście zabrać ją już dzisiaj - podsunęłam słodkim głosem, kiedy już nie mogła nas usłyszeć.

- Co w niej aż tak bardzo ci zagraża, Florence? - zainteresowała się matka.

Mocno wcisnęła swój kapelusz psychologa na niesforne włosy, co nigdy nie wyglądało dobrze jako metafora. Mama nie miała wykształcenia psychologicznego, ale rozmawiając z nią, nigdy byście się tego nie domyślili. Przeczytała mnóstwo książek na ten temat i mogła zrobić niezłą karierę, oferując swoje niepożądane rady tym, którzy według niej potrzebowali szczególnej „terapii”.

- Ona wcale mi nie zagraża, mamó - powiedziałam. - Ale daj mi trochę przestrzeni, żebym mogła wyrazić swoje „uczucia” wobec kobiety w wieku Poppy, która to kobieta pojawiła się na moim progu i przedstawiła jako żona Monty'ego.

Dawno już nauczyłam się rzucać matce w twarz całą tę bzdurę z „wyrażaniem uczuć”, ale tym razem wypadło to jakoś płasko.

- Jest wrogo nastawiona - powiedziała bezgłośnie mama do Poppy.

W tym momencie zaczęła dzwonić komórka Harry'ego, leżąca na stoliku do kawy; wzięłam aparat do ręki i zobaczyłam na wyświetlaczu migające imię Charles.

Przez cały wieczór byłam dla mojego męża bardzo miła, mimo że ze wszystkich sił musiałam się powstrzymać, by nie rzucić się na niego przez stół i nie przegryźć mu gardła. Do tego stopnia przypominał dawnego siebie, że wydawało się wręcz nie w porządku, że tak naprawdę mieszka gdzie indziej i ma chłopaka. Nawet nie było mu głupio wobec mojej

rodziny, a przecież powinno, bo tak okropnie mnie zdradził. A oni powinni być dla niego bardzo surowi i raczej nieprzyjemni, okazując solidarność mnie, swojej córce i siostrze. Tymczasem w pokoju panował miły, niemal serdeczny nastrój. Tak mnie to rozzłościło, że kiedy zobaczyłam imię „Charles” migające na wyświetlaczu komórki, otworzyłam okno i wyrzuciłam ją na podwórko.

Wrogo nastawiona, akurat.

Matka ściągnęła usta w taki sposób, że wyglądały jak kocie podogonie i wyniosła się do kuchni.

- Och, Florence, proszę cię, proszę, nie bądź zła. - Niebieskie oczy Poppy patrzyły na mnie błagalnie. - Nie znoszę, jak jesteś taka. Wiem, że czujesz się zraniona, ale chyba rozumiesz, że złość ci nie pomoże, nie uleczy cię...

- Nie wolno mi nawet przez moment chcieć zabić dawnej miłości mojego życia za to, że mnie porzucił? - zapytałam.

- Ależ tak, oczywiście, że tak, ale nie sądzisz, że miałaś już pod dostatkiem tych momentów? Musisz myśleć o tym, co dalej. Poza tym, to nie o Harry'ego się martwię. On sam sobie da radę. Chodzi mi o Crystal.

- Co masz na myśli?

- To, że wydaje się bardzo przyzwoitą kobietą, a skoro los połączył ją z Montym, nie powinnaś ich rozdzielać.

- Niby jak ja ich rozdzielałam? - zwróciłam się do siostry kwaśnym tonem. - Pozwalając im mieszkać w moim domu, karmiąc ich i pojąc?

- Nie jesteś dla niej zbyt miła - wytknęła mi Poppy. - Prawdę mówiąc, jesteś okropna. A Monty ją wybrał. Oni się kochają!

- To, że ją wybrał, jeszcze nie znaczy, że wszystko w porządku - warknęłam. - Na litość boską, dorośnij, Poppy. A poza tym co ty wiesz o miłości?

Nie mogłabym jej bardziej zranić, choćbym się starała całymi tygodniami. Miała rację, to był mój problem. Zachowywałam się okropnie, ale nie ze swojej winy. Poczucie krzywdy przemieniło się w złość i oddało władzę tkwiącej we mnie jędzy, co nikomu nie wychodziło na dobre. Zwłaszcza mnie. Poppy zagryzła drżącą wargę.

- Nie pozwól, żeby to, co cię spotkało, zmieniło cię w potwora, Effie - powiedziała i także wyniosła się do kuchni.

Siedziałam w salonie, gdzie w ciągu tych wszystkich lat przeżyłam tak wiele szczęśliwych chwil, i czułam, jak całe moje ciało wypełnia dojmujący żal. Nagle dało się słyszeć stłumione dzwonienie, dolatujące od okna, kiedy wszedł Harry i zapytał o swój telefon.

To nie był mój najlepszy wieczór.

- Ona doprowadza ten dom do ruiny - usłyszałam głos ojca, gdy wkrótce potem rodzina zebrała się do odjazdu.

- Och, zawsze można poskładać wszystko z powrotem tak jak było - rzuciła optymistycznie matka.

Opadłam na sofę i wciągnęłam sobie Sparky'ego na kolana. Odkąd wprowadziła się Crystal, nie zabiegał już tak o moje towarzystwo, ale postanowiłam puścić mu to płazem. Potrzebowałam go.

Prawda była taka, że wszystko doprowadzałam do ruiny. I nikt nie zdołałby niczego z powrotem poskładać. Nigdy. Poza tym, jak zauważyła Poppy, zmieniałam się w potwora, co mi nie poprawiało samopoczucia, przeciwnie, jeszcze pogarszało, więc jaki to wszystko miało sens? Lubiłam siebie znacznie bardziej, kiedy pragnęłam, by mój syn był szczęśliwy, mimo wszystko, choć oczywiście nie wyobrażałam sobie, że to „wszystko” może oznaczać Crystal.

Choć po tamtym wieczorze bardzo się starałam być lepsza, bardziej otwarta i życzliwsza dla Monty'ego i Crystal, większość moich starań miało formę czysto teoretyczną. W

praktyce chciałam odzyskać syna, a do niej czułam wielką niechęć za to, że mi go ukradła.

Udawało mi się być miłą jak dawniej, kiedy zostawaliśmy tylko we dwoje, on i ja, lecz gdy tylko ona zjawiała się w kuchni, na podwórzu czy na schodach, mój urok pryskał.

Jakaś brzydka cecha mojej osobowości, wcześniej nieujawniona, kazała mi odmawiać wegańskich posiłków, które gotowała Crystal, mimo iż pachniały niebiańsko. Zostawiałam w lodówce kotlety schabowe, wiedząc, że ich widok będzie dla niej odrażający. Dziękowałam jej półgębkiem, kiedy wkładała do pralki moje rzeczy, chociaż od lat nikt nie prał mi bielizny. Pozwalałam, by rozmowa się kończyła, kiedy ona ją podejmowała.

Jednak nie mogłam się powstrzymać, żeby się nie dowiedzieć paru rzeczy o niej. O nich.

Poznali się na farmie zdrowia, gdzie oboje pracowali. On zajmował się ogrodnictwem i utrzymywaniem porządku i zerwał więzadło w ramieniu, ona natomiast była masażystką, która mu to ramię leczyła. To była miłość od pierwszego wejrzenia, z obu stron. Tak, Kupidyn naciągnął cięciwę łuku i proszę, oto mieszkała w moim domu, wnosila organiczne masło orzechowe do mojej kuchni i bez wątpienia uprawiała mnóstwo gorącego seksu z moim dotąd czystym, dziewiczym (pomimo cycatej blondynki ze szkółki jeździeckiej) synem.

Co gorsza, mój dotąd czysty i dziewiczy syn wyjawil, że nie zamierza już studiować na kierunku ekonomicznym, jak zawsze twierdził, lecz chce zostać reżyserem filmowym.

Wybrał wieczór, kiedy Crystal wyszła do swoich przyjaciół z Earl's Court, żeby powiedzieć o tym mnie i Harry'emu, który nie odwiedzał nas od czasu incydentu z komórką, ale pojawił się znowu na rodzinnej kolacji, za co muszę mu wyrazić uznanie. Sama nie zbliżyłabym się do siebie nawet z dziesięciometrową tyczką. On jednak

przyszedł, pocałował mnie nerwowo w policzek (na co się łaskawie zgodziłam) i zapytał:

- Obiecasz, że zostawisz moje urządzenia telekomunikacyjne w spokoju?

Jego dobry humor się skończył, kiedy Monty wspomniał o swojej zmianie planów w kwestii przyszłej kariery zawodowej.

- Czyś ty, do cholery, oszalał?! - wybuchnął Harry. - Wiesz, ilu jest reżyserów, którym się nie powiodło? Nawet większość z tych, którym się powiodło, nie ma pracy, a co dopiero mówić o nowicjuszach!

- Cóż, dzięki za wsparcie, tato - odparł z przekąsem Monty - ale poznałem w Australii pewnego producenta, który twierdzi, że przemysł filmowy zawsze potrzebuje świeżej krwi, a zresztą, czym było całe to gadanie o podążaniu za głosem serca, kiedy rzucałeś prawo?

- To było coś zupełnie innego - warknął Harry. - Miałem już za sobą lukratywną karierę, do której mogłem powrócić. A poza tym, z całym szacunkiem, co może wiedzieć jakiś australijski producent? Proszę bardzo, zostań reżyserem filmowym, Monty, ale okaż trochę rozsądku i zrób to, kiedy będziesz w moim wieku.

- A jak w ogóle masz zamiar nim zostać? - chciałam wiedzieć. Jedynym znanym reżyserem, który przychodził mi do głowy, był mąż Madonny, a on, zdaje się, pochodził z zamożnej rodziny. Poza tym miał bogatą żonę, a Crystal nie wyglądała na osobę, która posiada coś więcej poza tybetańską różdżką.

- W London Film School są dwuletnie studia zakończone dyplomem - wyjaśnił Monty. - Mają świetną opinię, więc czesne jest dość wysokie, ale mogę pracować wieczorami i w weekendy, a Crystal mi pomoże. Jest za mną w stu procentach.

No pewnie, jakżeby inaczej. Jaśnie pani odciąga Monty'ego od planów, które wobec niego mieliśmy, i namawia, by szedł za głupim podszeptem serca.

- Monty, w tym nie ma pieniędzy - powiedział Harry z rezygnacją. - I nigdy nie będzie.

- A kto mówi, że zależy mi na pieniądzach? - rzucił Monty wyzywająco. - W życiu liczą się nie tylko pieniądze, tato, sam powinieneś to wiedzieć. A tak na marginesie, jak ci idzie pisanie? Zarobiłeś już coś na swojej książce?

Harry zrobił się purpurowy, nie byłam pewna, czy ze złości, czy z zakłopotania, i wolałam tego nie sprawdzać. Tego rodzaju spory były nam dotąd zupełnie obce i chociaż uważałam reżyserskie plany Monty'ego za mrzonki, nie chciałam dalszych kłótni. Pragnęłam uspokoić wzburzone wody.

- Chcemy po prostu, żebyś miał jakieś zabezpieczenie na przyszłość - powiedziałam, dodając w duchu: „Na wypadek, gdybyś miał prawdziwą żonę, jak będziesz starszy”. - Czy to tak źle?

Zadzwoiła komórka Monty'ego; oczy mu rozbłysły, kiedy zobaczył, kto dzwoni.

- Zaraz wrócę, żeby jeszcze posłuchać tych protekcyjnych rad - powiedział i wyszedł do swojego pokoju, żeby odebrać.

- Czy możliwe, że decyzja Monty'ego jest pierwszym z kolejnych trzech nieszczęść? - spytałam Harry'ego, ledwie za naszym synem zamknęły się drzwi. Miałam wrażenie, że zaraz wymiotuję.

- Proszę cię, Florence - odpowiedział Harry opryskliwym tonem - wiesz przecież, że nie wierzę w te bzdury. - Wydawał się bardziej ożywiony niż zwykle. Teraz myślę, że był zdenerwowany. - Mógłby mieć świetną przyszłość w City, szkoda. Jest taki mądry, ma odpowiednie cechy osobowości i

zawsze uważałem, że się do tego nadaje. A teraz? Po prostu nie wiem. Na robieniu filmów nie da się zarobić. Boże, przecież każdy głupek to wie. Zajmują się tym bogate dzieciaki, którym nic innego nie przychodzi do głowy. Monty jest na to zbyt inteligentny.

Spojrzał na zegarek, nie po raz pierwszy zresztą, a do mnie dotarło, że „Charles” pewnie gdzieś na niego czeka. Poczulałam złość i postanowiłam całkowicie zmienić taktykę.

- No cóż, skoro to go uszczęśliwia... - Uśmiechnęłam się, pociągając głośno łyk wina. - I rzeczywiście zawsze bardzo lubił chodzić do kina.

Harry oczywiście natychmiast przejrzał moją grę.

- Tak, Crystal też musi być wielbicielek kina. Domyślałam się, że takiego niekomercyjnego. Z napisami. I z pewnością go uszczęśliwia.

Z głośnym stuknięciem odstawiłam kieliszek na stół. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Co? Kieliszek też wyrzucisz przez okno?

Przez moment rozważałam, czy nie rzucić nim w Harry'ego, ale ostatecznie odstąpiłam od tego pomysłu. Wyobraziłam sobie, jak moja matka, bezgłośnie poruszając ustami, informuje wszystkich obecnych w pokoju, że jestem „wrogo nastawiona”. Poza tym, gdyby Harry wyszedł, zostałabym sama, a mimo że w tym momencie byłam na szczycie fali nienawiści do niego, nie miałam też ochoty zostać sama.

- Czy to przez nas? - podtrzymałam rozmowę. - Czy gdzieś po drodze popełniliśmy błąd? Zawsze był taki rozsądny, taki normalny. A teraz... prawie go nie poznaję.

- Sam się nad tym wiele razy zastanawiałem, Floss, i niech mnie diabli, jeśli potrafię znaleźć odpowiedź. Próbuje się postawić w jego sytuacji, jednak ty i ja pobraliśmy się w

tym samym wieku, więc trudno znaleźć odpowiednie argumenty.

- Tak, ale... - zaczęłam i nie miałam siły dokończyć.

Tak wiele było tych „ale”. Ale my się znaliśmy od lat. Ale oboje byliśmy w tym samym wieku. Ale Harry poszedł na uniwersytet, tak jak planował.

Może mogliśmy użyć rozpadu naszego małżeństwa, by... no właśnie, co? Drzwi stajni otwarte. Koń już uciekł.

- Wychodzę spotkać się z Crystal - powiedział Monty, wsuwając głowę przez uchylone drzwi. - Do zobaczenia później, mamó. Z tobą skontaktuję się jutro, tato.

- Poczekaj chwilę - odezwał się Harry. - Nie wydaje mi się, byśmy skończyli to, co zaczęliśmy. Twoja matka ma rację, mówiąc o zabezpieczeniu, Monty. Czy mógłbyś rozważyć uzyskanie najpierw dyplomu z ekonomii, a potem zajęcie się filmem, jeśli nadal będziesz miał na to ochotę?

- Tato, dość już o zabezpieczeniach - powiedział Monty. - Zresztą, jakie wy obecnie macie zabezpieczenie?

Sądziłam, że Harry poczuje się urażony, tymczasem posłał mi dziwne, jakby niepewne spojrzenie.

- Prawdę mówiąc, ta kwestia ostatnio mocno zaprzętała mój umysł - zaczął. - Miałem zamiar ją poruszyć w swoim czasie, ale... no cóż, chodzi o to, że wracam do praktyki prawniczej. Od poniedziałku będę pracował w kancelarii Johnson, Klint i Boyle w City.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- Co takiego? - zapytałam. - Powiedz, że żartujesz. To niedorzeczne, Harry. Przecież ty nienawidzisz prawa. A co z twoją powieścią? Tą, o której marzyłeś, że zostanie wydana? Nad którą pracowałeś przez te wszystkie lata? Co się stało z badaniem prawdy zamiast kłamstw? Co się z tym wszystkim stało?

- Właśnie, tato - podchwycił Monty. - Co się stało? Harry się zawahał.

- Doszedłem do wniosku, że w zaistniałych okolicznościach kancelaria prawna będzie dla mnie najodpowiedniejszym miejscem - odpowiedział trochę bezradnie.

- W zaistniałych okolicznościach - powtórzyliśmy z Montym równocześnie.

Harry znów się zawahał.

- Chciałbym, żebyś zatrzymała dom, Florence - powiedział.

- Uważam, że to ci się należy. I powinnaś móc z nim zrobić, co zechcesz. Mam na myśli tę herbaciarnię. To dom Rose i zawsze kochałaś go bardziej niż ja. Ale ja też muszę gdzieś mieszkać i potrzebuję jakichś dochodów, więc praca zgodna z moim wykształceniem wydała mi się najlepszym rozwiązaniem.

Po jego szybkim spojrzeniu w stronę Monty'ego wywnioskowałam, że nie chciał, by nasz syn słuchał tej rozmowy, ale tak czy owak było już za późno na wszelkie uniki.

- Mówiłeś, że prawo podcina ci skrzydła, że cię zabija, że przez nie jesteś niebezpiecznie nieszczęśliwy - przypomniałam Harry'emu.

- Owszem, mówiłem - przyznał. - I wówczas rzeczywiście tak było. Tyle że teraz...

- Tyle że teraz co?

- Daj spokój, Floss - ostrzegł mnie łagodnie.

- Dać spokój? - Poczułam, jak głęboko we mnie wzbiera jeszcze większa złość. - Tylko że teraz co, Harry?

Przygryzł górną wargę i rozejrzał się po pokoju.

- Na litość boską Harry, nie stosuj uników. Ty masz chłopaka, a Monty żonę. Naprawdę sądzisz, że moje życie

może się stać jeszcze gorsze? Że coś może mnie jeszcze bardziej zszokować lub zaskoczyć?

- To, że mam żonę, nie jest najgorszą rzeczą na świecie - zaprotestował Monty. - Ani to, że tata jest gejem. To wcale nie znaczy, że cię nie kochamy i w ogóle.

Czy to ja postawiłam mojego syna w sytuacji, że musiał mi tłumaczyć takie rzeczy? Oczywiście wcale nie uważałam, że mnie już nie kocha, bo teraz kocha kogoś innego. Bardziej. Jak jego ojciec. A może jednak tak myślałam? Byłam aż tak żałosna? Nie, do cholery, nie.

- Po prostu chciałam wiedzieć, jak to się stało, że już nie jesteś niebezpiecznie nieszczęśliwy, Harry - zaczęłam, pozwalając, by złość popchnęła mnie dalej, niż zamierzałam się posunąć. - Czy mi wolno?

- Ponowne roztrząsanie tej sprawy nic nie da, Florence - powiedział. - Po prostu tak już jest.

- Już jest co? Nie mam prawa się dowiedzieć, co wpłynęło na zmianę twojego nastawienia? Latami powtarzasz mi, że coś podcina ci skrzydła, że cię zabija, czyni cię niebezpiecznie nieszczęśliwym i...

Jak już mówiłam, czasami myślę wolno. Ale w końcu udaje mi się trafić w sedno.

Oczywiście. To nie praca unieszczęśliwiała Harry'ego przez cały czas, uświadomiłam sobie, widząc, jak unikał mojego wzroku.

Chodziło o mnie. Chodziło o nas.

Twarda zimna bryłka tkwiąca w głębi mnie urosła w tym momencie, wypychając resztki uroku, który próbowałam zachować na wypadek, gdyby mi był potrzebny. Nienawidziłam Harry'ego wszystkim, co jeszcze pozostało z mojego serca. Nienawidziłam go. Nawet gdyby był ostatnią istotą na ziemi, nie chciałam z nim spędzić ani minuty więcej. Wolałam umrzeć w samotności. To, że go

kochałam, podcinało mu skrzydła i czyniło nieszczęśliwym. Cholerna łza się w oku kręci.

- Wygląda na to, że ja ponoszę winę za wszystko, prawda? - spytałam lekkim tonem. - Jestem odpowiedzialna za to, że byłam twoją żoną i matką twojego syna, szefową kuchni i bezpłatną sprzątaczką przez te wszystkie lata i tak fatalnie się spisywałam w tych rolach, że byłeś nieszczęśliwy? Powinnam była się bardziej starać, masz rację, nie biorąc na siebie żadnej odpowiedzialności, zrzucając całą winę na mnie...

- Nie zrzucam winy na ciebie, Floss. Proszę cię, tu nie chodzi o...

- Wynoś się z mojego domu. I nigdy, nigdy, nigdy tu nie wracaj.

- Mamo, nie sądzę... - Monty zaczął mnie uspokajać, ale jemu też się dostało.

- Idź się spotkać z „żoną” - powiedziałam. - Nie martw się o mnie, kochany. Żaden z was niech się o mnie nie martwi. Absolutnie nic mi nie będzie. Po prostu idźcie.

Nie chciałam, żeby Monty odszedł, pragnęłam, żeby został i mnie przytulił, powiedział, że wszystko będzie dobrze. Ale nic nie było dobrze. I nie widziałam szans, by kiedykolwiek tak było. Miałam poczucie, że ilekroć dochodzę gdzieś w sferze „uzdrawiania stosunków” z Harrym, on wysyła w moim kierunku kolejną strzałę. Cofałam się, a nie posuwałam do przodu.

Obaj wyszli, więc miałam do wyboru dwa rozwiązania: po pierwsze, pójść na górę i powiesić się na wieszaku na drzwiach łazienki, chociaż był obluzowany od mniej więcej czterech lat i czasami odpadał, kiedy się na nim zostawiło szlafrok. Nie sądziłam, by taki wieszak zdołał mnie kiedyś wpędzić do grobu. Poza tym śmierć mogła uśmierzyć mój ból, ale zraniłaby zbyt wiele innych osób. No i tak naprawdę nie chciałam umierać, a jedynie stracić świadomość na bardzo,

bardzo długo, jak Śpiąca Królewna. Tylko jakie miałam szanse, że zostanę wybudzona z tego toksycznego snu przez jakiegoś przystojnego księcia? Pomyślałam, zupełnie przelotnie, o Willu i poważnie rozważyłam drugą możliwość: mogłam coś upiec.

Zaczęłam od tuzina czekoladowych babeczek. Kiedy ich zapach, dochodzący z paskudnego brązowego piekarnika, rozgonił nieco ponure opary zasnuwające dom, upiekłam następny tuzin, waniliowych. Widząc, że atmosfera się poprawia, zrobiłam kolejny tuzin, z marmurkowego czekoladowo - waniliowego ciasta. Kiedy zabrakło mi czekolady, wzięłam się do pieczenia cytrynowych, które wyszły tak pyszne, że zjedliśmy ze Sparkym po dwie, a moglibyśmy wsunąć wszystkie.

Precyzyjne odmierzanie składników do mojej ulubionej miski i obserwowanie, jak się ze sobą łączą, tworząc coś innego, działało niczym terapia. I chociaż wiem, że masy na babeczki nie należy ubijać zbyt energicznie, czasami nie mogę się powstrzymać.

Harry był prawdziwym draniem, teraz to widziałam. Mimo okazywanych mi względów nadal obarczał mnie winą za coś, o czym nie wiedziałam i na co nie miałam wpływu, a to było z jego strony bardzo nie w porządku. W dodatku za każdym razem, kiedy go widziałam, czułam się gorzej. Doszłam do wniosku, że byłoby lepiej, gdyby - mniejsza o mnie i hak na drzwiach od łazienki - nie żył. Tak, mimo że teraz promieniał, śmierć byłaby doskonałym rozwiązaniem.

Jednak ubijając czwartą porcję masy, z dodatkiem mrożonych jagód, które znalazłam w lodówce, przypomniałam sobie, co Will mówił o pragnieniu, by przeżyć inaczej to, co się zdarzyło w przeszłości. Bez Harry'ego nie byłoby Monty'ego, a bez Monty'ego pozostałby mi już tylko ten rozchwierutany hak na szlafroki. Nie mogłam

zaakceptować Crystal, lecz jak już wspominałam, należała do osób, których trudno też aktywnie nienawidzić. Do tej pory okazywała taką wrażliwość i gotowość pomocy, że nie sposób było znaleźć powody, by się czepiać... musiałam się nad tym mocno napracować. Fakt, wściekłam się, widząc jej organiczne masło orzechowe ukryte na półce spiżarni za tym zwykłym, według niej trującym, ale w głębi duszy wiedziałam przecież, że organiczne masło orzechowe samo w sobie nie jest żadną odrażającą zbrodnią.

Jednak zabrała mi syna i wyszła za niego w czasie, kiedy potrzebowałam jego synowskiej troski. Zawahałam się, wkładając eksperymentalne jagodowe babeczki do piekarnika; pomyślałam, że byłoby mi lepiej, gdyby ona też nie żyła.

Nim nadszedł czas, żeby je wyjąć z pieca, czułam już coś innego. Straciłam pracę, podcinałam skrzydła mojemu mężowi gejowi, a syn z pewnością zamierzał mnie opuścić. To były trzy najgorsze rzeczy, jakie mogły mi się przydarzyć. Ale na tym koniec. Nic gorszego już mnie nie spotka.

Po stronie plusów miałam dach nad głową, ten szczególny dach, pod którym zamierzałam stworzyć sobie źródło zarobkowania, przyszłość dla siebie. I Sparky'ego. Może wzięło się to z nadmiaru cukru w organizmie po wielogodzinnym oblizywaniu łyżki, ale mimo wszystko dostrzegłam błysk nadziei.

Czterdzieści osiem babeczek może tak zadziałać.

Poppy:

Pomyślałam, że Crystal jest urocza. Beth i Archie uważali tak samo.

Już z odległości kilometra można było dostrzec, jak bardzo jest zakochana w Montym, a on w niej. Pomyślałam, że to bardzo romantyczne, spotkać się na drugim końcu świata, w Australii i wziąć ślub mimo różnych przeciwności.

Chyba też bym wyszła za dziewiętnastolatka, gdybym takiego poznała i gdyby się we mnie zakochał, ale wygląda na to, że we wschodniej Anglii nie ma zbyt wielu dorosłych dziewiętnastolatków. Jest Russell, który pomaga tacie przy koszeniu trawników, ale on nie jest taki dojrzały jak Monty. Nadal wydaje mi się przyszczatym nastolatkiem. Nie żebym miała coś przeciwko samym przyszczom, to tylko nagromadzenie toksyn, ale mam już trzydzieści pięć lat i powinnam znaleźć sobie kogoś bez przyszczy, jakkolwiek nie pozwoliłabym, żeby przyszcze stanęły mi na drodze do szczęścia, gdyby były związane z właściwą osobą. A myślę, że Russell nie jest właściwą osobą. Po pierwsze, codziennie je na lunch jajko smażone z mięsem. Takim, jakiego się używa do wyrobu kiełbasy. Najgorszego gatunku.

Wracając do tematu, po spotkaniu z Crystal martwiłam się o Florence, bo widziałam, jak bardzo czuje się tym wszystkim zraniona. Bo i kto by się nie czuł? Archie głupio mówi, że Harry zawsze był ciotowaty. Oboje z Beth uważali ich za idealną parę (taką, jaką sami byli, tylko do kwadratu). Ja także. To straszne, co się stało, ale Harry musi być uczciwy wobec siebie. Wierzę, że Effie też tak uważa, niemniej jednak została ograbiona z wyobrażeń o życiu razem długo i szczęśliwie, a wiadomo, jak człowiek się wtedy czuje.

Byłoby okropnie, gdyby poczucie krzywdy pchnęło ją do jakichś podłych zachowań. Już jej się to wcześniej zdarzyło, w drobnych sprawach i chyba nieświadomie. Effie sama nie wie, jaka jest twarda, jaka silna. Ale ja wiem. To jedna z tych cech, które tak u niej podziwiam. Chciałabym być taka twarda i silna.

Mamy pewien problem - powiedział mi Will parę dni później. Stanley stał za nim i wyglądał na zmartwionego, co powinno było wzbudzić we mnie lęk, ale nie wzbudziło.

Mimo ogólnie poważnej atmosfery, jaka zapanowała w holu, nie mogłam się skupić na problemie, jakikolwiek on był. Nie miałam do niego głowy, albowiem moją głowę zaprzętał prawie bez reszty sam Will. Tak, myślałam o Willu. Cały czas i tylko o nim. A wzięło się to stąd, że o nim śniłam. W dość wyrazisty sposób.

Kiedy stał tam w holu i na mnie patrzył, sen, o którym do tego momentu zdążyłam zapomnieć, wrócił z niesłychaną siłą i zachwiał mną, zaczynając tuż nad podłogą, a kończąc na policzkach zabarwionych nieschodzącym rumieńcem.

We śnie Will przyszedł do mojego pokoju, usiadł na brzegu łóżka i uśmiechał się do mnie cierpliwie, wyrozumiale, z uwielbieniem. Potem ściągnął kołdrę, zsunął ze mnie nocny strój (we śnie zwykle używany podkoszulek z dziurą pod pachą zmienił się w zmysłową przezroczystą szatkę w prowokującym stylu) i przesunął dłońmi po moim ciele, jak niewidomy, dotykając każdej kości, wgłębienia i wypukłości, aż stałam się całkowicie odkryta i naga wzdychałam z tęsknoty.

Wtedy wstał, ubranie jakby z niego spadło i ułożyło się na podłodze wokół jego stóp. Następnie wszedł do łóżka i położył się obok mnie. Gładził mnie - piersi, obojczyki, zebra, biodra - a potem jego palce zsunęły się niżej. Wciągnął mnie na siebie i trzymając dłonie na moich udach, poprowadził nas oboje do niesamowicie erotycznego i zadowolającego zakończenia.

Tyle że sen się na tym nie skończył. Inaczej niż na jawie, kiedy po seksie często niemal natychmiast rozlega się delikatne chrapanie jednej, drugiej lub obu stron, Will i ja

leżeliśmy na boku, twarzami do siebie, i trzymaliśmy się za ręce. Mówił, że mnie kocha, że zawsze będzie przy mnie, że mając go, nie muszę się niczego obawiać i już nigdy nie będę musiała.

We śnie miałam ochotę płakać ze szczęścia.

Teraz znów miałam ochotę płakać, bo to się nie zdarzyło naprawdę. Od jakiegoś czasu nie dość, że nie uprawiałam seksu, to również nie byłam szczęśliwa (babeczki się nie liczą). W dodatku Will stał przede mną i usiłował mi wytłumaczyć, co idzie nie tak z moją przyszłą herbaciarnią, a ja zastanawiałam się, czy to był najbardziej kiczowaty sen na świecie, czy najpiękniejszy. Wiedziałam, że powinnam kiwać albo kręcić głową, albo wydawać z siebie westchnienia dezaprobaty, lecz byłam w stanie jedynie gapić się w hol po lewej stronie Willa, bo nie mogłam się zmusić do spojrzenia na niego.

- Nie mogę wiele zrobić z rurami, kiedy to wygląda tak jak tam na dole, Florence - wtrącił grobowym głosem Stanley, wyrywając mnie ze stuporu. - Grzyb jest tak samo wrogiem hydraulika jak budowlańca.

- Grzyb? - wykrztusiłam. A więc o tym rozmawialiśmy.

- Owszem, to wyjątkowe paskudztwo - potwierdził Will. - Poszliśmy odłączyć kilka starych rur w piwnicy i jeden z legarów niemal rozsypał mi się w rękach. Są w fatalnym stanie, będziemy musieli je wymienić i niektóre deski podłogi też, zanim Stan ruszy dalej z robotą.

W tym momencie nie byłam w stanie zgadnąć, do czego właściwie służy legar.

- Więc co to wszystko razem oznacza? - spytałam.

- Oznacza czas - odpowiedział Stanley. Cóż, akurat czasu miałam pod dostatkiem.

- I pieniądze - dodał Will.

- O cholera.

W tej sekundzie udało im się przyciągnąć całą moją uwagę. Mniejsza o to, że Will wciągnął mnie na swoje nagie ciało (tu zadrżałam i musiałam się szybko zmusić do skierowania myśli z powrotem na legary). Czas nie stanowił problemu, ale pieniądze i owszem. Oszacowaliśmy z Willem koszty przebudowy dokładnie na trzydzieści tysięcy funtów, ponieważ akurat tyle miałam.

- Jak sądzicie, ile jeszcze będzie potrzeba? - spytałam. Stanley jeszcze bardziej sposepniał.

- Chciałbym powiedzieć, że dziesięć tysięcy funtów, ale może wyjść więcej - ocenił Will.

- O cholera, cholera, cholera.

Ostatnie wizje nagiego Willa rozwiały się w powietrzu, zabierając ze sobą całe poczucie szczęścia i nadziei, a w miejscu zmysłowych obrazów pojawiły się legary, przeżarte przez grzyb legary. Skąd, u diabła, miałam wziąć następną furę gotówki? Nie miałam nawet na tyle rozumu, by zdobyć pierwszą. To był błąd. Żyłam tak oszczędnie, jak tylko umiałam, a i tak byłam niebezpiecznie bliska sięgnięcia do tych trzydziestu tysięcy, żeby nakarmić siebie i Sparky'ego i zapęłnić spiżarnię mąką, masłem, cukrem, rodzynkami, czekoladą i... jakby mnie przytłoczyły te spożywcze zobowiązania, wstyd przyznać, ale zakręciło mi się w głowie. Nie w tym romantycznym sensie, tylko w znaczeniu utraty świadomości. Kolana się pode mną ugięły i Will podbiegł jednym susem, żeby mnie podtrzymać. Poczułam się niewiarygodnie słaba i oszołomiona, aż musiałam się na nim oprzeć, kiedy prowadził mnie do kuchni, sadzał przy stole i podobnie jak tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy, zabrał się do parzenia herbaty.

Mówił coś do mnie, a ja kiwałam głową, ale tak naprawdę nie rozumiałam poszczególnych słów. Pomiedzy mną a resztą świata rozciągnęła się przezroczysta falująca zasłona, która

łumiła wszelkie dźwięki. Powinno mnie to przerażać, tymczasem wrażenie było dość przyjemne. Trwałam zawieszona gdzieś pośrodku tego doznania i najchętniej bym tam pozostała, kiedy jednak próbowałam się wydostać, zsunęłam się z krzesła i upadłam na podłogę.

- Florence! - usłyszałam zduszony głos Willa. - Florence!

Widziałam nad sobą niewyraźny kształt w kolorze dzinsowego błękitu, i wiedziałam, że to naprawdę on, realny, nie obraz ze snu, bo tamten miałby barwę ciała.

- Wierzę ci - powiedziałam, ponieważ szczerze pragnęłam, żeby ktoś mnie kochał i zawsze był przy mnie, tak jak w moim śnie.

A może nadal śniłam? Nie potrafiłam tego stwierdzić.

- Wierzę ci - powtórzyłam. - Wierzę.

- Florence, możesz usiąść? Chcę, żebyś usiadła.

Kształty stawały się ostrzejsze i nagle całkiem wyraźny Will usiłował pozbić mnie z podłogi. W jego spojrzeniu było tyle troski, tyle opiekuńczości, że nagle ogarnęła mnie przemożna tęsknota: nie ta seksualna ze snu, lecz uczucie innego rodzaju. Za czym tęskniłam - za nim, za przeszłością czy za najzwyklejszym, codziennym szczęściem - właściwie nie byłam pewna, pewne było natomiast to, że falowanie i poczucie zawieszenia znikło. Wszystko było ostre, żywe i realne.

Poczułam, jak moje ciało znów wpasowuje się w świadomość, moje kości zeszywniały, umysł zaskoczył jak nakręcony zegarek.

- Florence? - Will chwycił mnie pod pachami i usadził z powrotem na krześle, a potem pochylił, tak że dotknęłam głową kolan. Trzymał mi rękę na karku. Czułam odciski na jego palcach, skórę miał szorstką jak papier ścierny. - Słyszysz mnie? Dobrze się czujesz?

Nie czułam się dobrze. Jestem pewna, że nikt, kto przeszedł tyle, ile ja ostatnio, nie czułby się dobrze. Jednak w dziwnej jasności, jaka ogarnęła mój mózg po omdleniu, uświadomiłam sobie, że naprawdę nie czuję się dobrze. Tam głęboko w środku, nie czułam się dobrze. Fizycznie nie czułam się dobrze.

Schudłam, może około siedmiu kilogramów, pod makijażem byłam blada jak duch, mimo chwilowych rumieńców, a moje kłopoty odbijały się na trawieniu, które w ostatnich latach było leniwe, a w ostatnich miesiącach prawie całkiem ustało.

Wcześniej przypisywałam to trzem nieszczęściom, które mnie spotkały, ale teraz, kiedy o tym pomyślałam, kiedy Will trzymał na moim karku ciepłą, szorstką od pracy rękę, przyszło mi do głowy, że może chodzi o coś więcej.

- Chyba muszę pójść do lekarza - odezwałam się śmiesznie słabym głosem, który jakby nie należał do mnie. Mimo to, słysząc go, poczułam się lepiej i wyprostowałam plecy.

Will uśmiechnął się odprężony i dotknął mojego czoła. Jeden z odcisków delikatnie zadrapał mnie nad lewą brwią. Wyobraziłam sobie, że zostawił bliznę. Dowód, że Will istniał naprawdę.

- Wygląda na to, że nie masz gorączki - stwierdził. - Ale wizyta u lekarza to chyba dobry pomysł. Jesteś bardzo blada, Florence. Może gadam jak twoja matka, ale potrzebujesz czegoś, co pomoże ci nabrać sił.

- Najwyraźniej nigdy nie poznałeś mojej matki - odrzekłam. Moje struny głosowe jakby wróciły do normy. - Według niej siła jest przeceniana. Uważa, że powinnam celebrować swoje słabości.

Will parsknął śmiechem.

- Tak czy inaczej, coś wymyślimy w sprawie tego grzyba i pieniędzy - powiedział. - Nie martw się o to, proszę. I cieszę się, że mi wierzysz. Nie wiem wprawdzie dokładnie, czego dotyczy ta wiara, ale i tak się cieszę.

Zdobyłam się na słaby uśmiech, a może nawet na kolejny słaby rumieniec. Kiedy moje serce wróciło już na miejsce, wyczerpana wczołgałam się po schodach na górę, i zapadłam w głęboki sen, bez słodkich fantazji i gwałtownych seksualnych doznań, bez niczego, poza mrocznym zapomnieniem.

Następnego dnia zadzwoniłam do Nicka Marcha, naszego starego lekarza rodzinnego. Czułam się trochę głupio, bo chodziło jedynie o zemdlecie, a do czasu, gdy do niego dzwoniłam, właściwie już całkiem odzyskałam energię. Jednak Will pytał mnie dwukrotnie, czy już dzwoniłam, a poza tym rzeczywiście coś mi się kotłowało w obolałym brzuchu, no i byłam trupio blada, więc w końcu, żeby uspokoić jego i to kotłowanie, poprosiłam o wyznaczenie wizyty.

Jak się okazało kilka dni później, umówiłam się z synem Nicka, również Nickiem. Stary Nick siedem lat wcześniej przeszedł na emeryturę, czego ze zdumieniem dowiedziałam się od młodego Nicka. Najwidoczniej minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz potrzebowałam porady lekarskiej, choć nie mogłam uwierzyć, że to było aż tak dawno. Przed siedmiu laty byłam zdrową, szczęśliwą w małżeństwie matką dwunastoletniego chłopca.

Teraz według jego wagi stałam się o osiem kilogramów lżejsza niż wtedy, samotna nie z własnej woli i stanowiłam przykład teściowej, która śni się po nocach niewinnym nowożeńcom.

Młody Nick uprzejmie odczekał kwadrans, podczas którego wypłakiwałam się na temat spotykających mnie złych

rzeczy, po czym łagodnym tonem zaproponował, żebym wskoczyła na leżankę, to obmaca mi brzuch i zada mi kilka pytań w kwestii „ruchów”.

Podobnie jak babcia Rose nie lubiłam mówić o takich rzeczach i nadal nie lubię, ale prawda była taka, że tygodniami się nie wypróżniałam i przyszłam do lekarza także z tym problemem, więc poruszenie tego tematu wydawało się jak najbardziej zasadne.

Jednakże zamiast wypisać receptę na jakieś superskuteczne środki przeczyszczające lub pouczyć o korzystnym działaniu błonnika, młody Nick zaskoczył mnie, proponując badanie wewnętrzne.

Nie wiedziałam, o co właściwie chodzi, kiedy się na nie zgodziłam, i doznałam, oględnie mówiąc, niemiłego zaskoczenia. W istocie, gdy zdałam sobie sprawę, że zamierza potraktować mój odbył jak pacynkę, omal nie umarłam; czerwieniąc się i jękając zaproponowałam, że przyjdę kiedy indziej. Może jak poczuję się lepiej, a wówczas prawdopodobnie w ogóle nie będzie takiej potrzeby. Młody Nick uśmiechnął się na to wyrozumiale i zapewnił, że wykonuje takie badanie bardzo często i nie jest to aż takie straszne, jak można sobie wyobrażać, i dosłownie za moment będzie po wszystkim.

Kiedy jednak wyjął rękę ze wstydliwych okolic mojego ciała, nie było mu do śmiechu. Mnie także nie, tyle że ja się wcześniej nie uśmiechałam.

- Muszę panią skierować na kolejne badanie, Florence - oznajmił głosem, w którym dało się wyczuć fałszywą beztroskę.

- Po co? - zapytałam, czując narastającą panikę. - Coś jest nie tak?

- Raczej wątpię - powiedział spokojnie - zwłaszcza biorąc pod uwagę, przez co pani ostatnio przeszła. Wstrząs

emocjonalny często odbija się na pracy jelit. Jednak zbliża się pani do czterdziestki, no i przy pani historii rodzinnej nie od rzeczy będzie się trochę rozejrzeć. Nie ma powodu do zmartwienia, Florence. Każę pielęgniarce umówić panią na kolonoskopię. Zadzwoń do pani i poda wszystkie szczegóły.

Po dokładnym przepytaniu pielęgniarki dowiedziałam się, że kolonoskopia to wprowadzenie kamery do okrężnicy - to używane przez lekarzy określenie jelita, jak się okazało, a nie zupełnie inny organ, jak z początku zakładałam - i rozejrzenie się, czy wszystko jest tam w należyтым porządku. Pielęgniarka zapewniła mnie, że pacjenci poddają się temu badaniu bardzo często i że w ogóle nie boli. Dodała, że jest mniej inwazyjne niż badanie wewnętrzne, ponieważ dostaje się cudowny środek, dzięki któremu nic nie boli i nic się nie pamięta.

Z perspektywy czasu łatwo byłoby powiedzieć, że przeczuwałam coś złego, że wiedziałam, iż czai się we mnie coś niebezpiecznego, ale prawda jest taka, że o niczym nie miałam pojęcia. Przegapiłam pierwszy termin badania, ponieważ o nim zapomniałam, a na drugie zgłosiłam się tylko dlatego, że pielęgniarka rozmawiała ze mną bardzo ostro, kiedy zadzwoniła, żeby ponownie ustalić datę. W moim życiu działo się tyle niedobrych rzeczy, że mogłam być od dwunastu miesięcy w ciąży i mieć dwadzieścia leniwych okrężnic, a nadal nie zauważyłabym nic groźnego.

Kamery znajdującej się w mojej okrężnicy nie rozpraszały żadne wydarzenia ze świata zewnętrznego. Podczas gdy ja paplałam beztrąsko, mając doskonałe samopoczucie dzięki Bóg jeden wie jak dużej dawce valium, wsunęła się we mnie, rozejrzała dookoła, zauważyła guz i wyszła - z kompletem zdjęć - w niespełna dwadzieścia minut.

Dzięki valium mimo tego odkrycia pozostałam dość spokojna, kiedy wieziono mnie do sali pozabiegowej, gdzie dostałam obrzydliwą szarą herbatę i nieco stare herbatniki.

Kolonoskopista - jeśli tak ich nazywają, co wydawało mi się wówczas zabawne - nie był w stanie powiedzieć, czy guz jest złośliwy (to ten zły, tak? Musiałam zapytać) do czasu otrzymania wyników badania z laboratorium patologii. Domyśliłam się jednak po tym, jak ten człowiek na mnie patrzył, jego recepcjonistka gładziła mnie po plecach, a już nieopryskliwa pielęgniarka odprowadziła mnie do drzwi i zapewniła, że zadzwoni najszybciej, jak to będzie możliwe, domyśliłam się, że nikt z nich nie oczekiwał, iż wieści będą dobre.

I nie były.

Jeszcze zanim młody Nick do mnie zadzwonił, ja już wiedziałam, czułam.

Okazało się, że na domiar złego mam „odre”.

Młody Nick:

Czasami mam ochotę rzucić to wszystko w diabły, kupić jacht i wyruszyć w podróż dookoła świata.

W tygodniu, kiedy u Florence zdiagnozowano raka okrężnicy, straciłem już trzy pacjentki: jedną z powodu podeszłego wieku, dzięki Bogu, ale druga była po czterdziestce i miała raka piersi, a trzecia, po pięćdziesiątce, dostała zawału w Porchester Baths.

Takie rzeczy jak śmierć są oczywiście przygnębiające same w sobie, ale myślę, że najgorsza jest ta diagnoza dla pozornie zdrowych osób, które dostają wiadomość i muszą z nią żyć. Nagły zgon w Porchester Baths był strasznym szokiem dla wszystkich poza zmarłą. Cóż, ten rodzaj śmierci jest prawie zupełnie pozbawiony bólu i lęku. Jednak kiedy pacjent słyszy słowo „rak”, jego życie zmienia się całkowicie,

a najgorsze to, że po postawieniu diagnozy już nic nie mogę zrobić. Jestem tylko lekarzem rodzinnym, który zna się na wszystkim po trochu. Zanim pacjent przejdzie właściwe badania i trafi do specjalisty, zwykle wie więcej o tym, co mu dolega, niż ja. Jak mogę pomóc? Poza tym, że czasem przepiszę pigułki nasenne czy antydepresant, jestem bezradny.

Oczywiście jeśli ktoś już ma dostać raka, to jelito czy okrężnica według naszego nazewnictwa, jest całkiem stosownym miejscem: można usunąć znaczną jej część bez większej szkody dla reszty ciała i często to wystarcza, by pozbyć się nowotworu na dobre, o ile nie przeniknął przez ścianę jelita.

Nie wiedziałem, jak zaawansowana jest choroba Florence, ponieważ histologia mi tego nie powiedziała. Wiedziałem tylko tyle, że trzeba będzie usunąć guz i sąsiadującą z nim tkankę jelita, a także zbadać węzły chłonne, żeby sprawdzić, czy nie ma przerzutów. Jeśli nie ma, to istnieją wszelkie szanse, że czeka ją długie życie w zdrowiu.

A nawet jeśli pojawiły się już przerzuty, jej stan niekoniecznie musiał być beznadziejny, choć jeśli rak nie zostanie wykryty wystarczająco wcześnie, szanse przeżycia dramatycznie spadają. Mimo to w jej przypadku chemioterapia mogła pomóc, tak sądziłem, a nowoczesne leki potrafią zdziałać cuda. Nawet gdyby nie dało się całkiem pozbyć tej przeklętej choroby, to można było ją kontrolować.

Ludzie myślą, że znamy wszystkie odpowiedzi, przynajmniej w dziedzinie medycyny, ale nasza wiedza jest jak kropelka w wiadrze.

To przerażające, jak mało wiemy. Niesłychanie przerażające. W istocie gdybym za dużo o tym myślał, po prostu nie miałbym siły wstać rano z łóżka. Nie wiem, jak tata sobie z tym radził i przez ponad sześćdziesiąt lat nie popadł w głęboką depresję. Jakkolwiek faktem jest, że większość

wieczorów spędzał z butelką whisky, niech odpoczywa w spokoju.

Ja nie poszedłem tą drogą - na razie - ale po otrzymaniu wyników kolonoskopii Florence byłem już cholernie blisko. Przyszły z poranną pocztą, więc musiało być przed jedenastą. Biedaczka tyle musiała przejść w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a tu jeszcze taka wiadomość. Uroczą kobietą, sprawiała wrażenie zupełnie zdrowej. Mój tata zawsze bardzo ją lubił.

Lekarz oczywiście nie życzy nikomu choroby, ale jest przynajmniej dwóch starych zrzędliwych hipochondryków, którzy w idealnym świecie powinni dostać raka okrężnicy przed Florence Dowling.

Widziałam „Wariatki”, widziałam ten drugi film z Debrą Winger i Shirley MacLaine, płakałam miesiącami, kiedy moja własna babcia umarła na „odrę”, ale teraz to ja sama byłam chora.

To nie boli i nie jest smutne.

To po prostu przerażające.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, usłyszawszy od Młodego Nicka, że mój guz jest tego złego typu, że muszę się możliwie jak najszybciej zgłosić do chirurga i że asystentka może mnie zaraz umówić na wizytę, bo czas odgrywa kluczową rolę, że powinnam wezwać jakąś zaprzyjaźnioną osobę albo kogoś z rodziny, żeby ze mną posiedział, bo przeżyłam straszny szok, oczy miałam szeroko otwarte, nieruchome i suche.

Serce mi łomotało, z trudem łapałam oddech, siedziałam przygarbiona na brzegu łóżka.

Byłam chora. Bardzo chora. Śmiertelnie chora. Miałam „odrę”.

Wszystko zaczęło mi się bezładnie kłębić w głowie; niezdolna skupić się na niczym, skakałam myślami od szpitalnych łóżek przez cmentarze do obrazów chorych organów ciała, do pogrzebu Rose, a czas przelatywał jak błyskawica, jakby nagle wcale nie stał się najcenniejszym towarem, czymś, co trwoniłam bezmyślnie przez całe swoje życie i teraz nic mi nie zostało. Sparky przemknął po podłodze, jakby on też usłyszał straszne wieści od Młodego Nicka, wsunął się pod moje nogi i oparł mi łeb na stopie; patrzył na mnie wielkimi smutnymi oczami, kiwając wolno kikutem ogona, który uderzał o dolną część łóżka jak obciążona futrem pałeczka od cymbałków.

Miałam wrażenie, że moje ciało jest dziwnie oddzielone od myśli. To było nieprzyjemne odczucie, do niczego niepodobne i puste. Zmusiłam się, żeby spojrzeć suchymi

oczyna na ręce, oparte na krawędzi łóżka. Nie rozpoznałam swoich dłoni. Czy moje palce naprawdę miały taki kształt? Długie, guzowate przy kostkach, z wypukłymi żyłami i ciemniejszą plamką koło obecnie pustego serdecznego palca? Z pewnością zauważyłabym tę plamkę wcześniej, gdyby to były moje dłonie. I na pewno miałabym ładniejsze paznokcie.

Z wielkim wysiłkiem poruszyłam palcami lewej ręki tuż nad plamą z czekolady na moich dżinsach i z pewną ulgą poczułam własne dotknięcie na udzie. Moje ręce wydały mi się znów śmiesznie znajome, dokładnie takie same jak były pół godziny wcześniej, kiedy podnosiłam słuchawkę telefonu. Długie palce, wystające kostki, trochę nierówne paznokcie, plamka przy jasnym śladzie po obrączce.

Poruszyłam serdecznym palcem. Mogłabym obciąć ten nierówny paznokieć, pomyślałam. Mogłabym obciąć je wszystkie. Najpierw musiałabym znaleźć obcinacz, ale gdybym już znalazła, mogłabym obciąć paznokcie. Były moje. Znajdowały się na moich palcach i stanowiły fragment mnie. Decydowałam o ich losie. Decydowałam też o nawilżaniu mojej skóry, nawet jeśli tego nie robiłam, bo nie chciałam albo zapomniałam. Decydowałam o stosowaniu dezodorantu, czesaniu włosów i odżywianiu ciała jedzeniem i piciem, o usuwaniu zbędnego owłosienia i wkładaniu stanika, żeby piersi pozostawały na swoim miejscu. Decydowałam o chodzeniu do siłowni i ćwiczeniu mięśni, jeśli chciałam je mieć. Decydowałam o chodzeniu do gabinetu kosmetycznego, gdzie nakładano mi opaleniznę w sprayu. Albo nie. Mogłam zażyczyć sobie botoks. I zastrzyki z kolagenu. Mogłam stosować peeling za każdym razem, jak brałam prysznic. Ostatecznie te stare, ścierane komórki skóry należały do mnie. Byłam swoim szefem i jednogłośnie decydowałam o wszystkim, co ze sobą robiłam.

A okazało się, że nie decydowałam o niczym.

To była ta szokująca prawda. Gdzieś w najodleglejszych zakamarkach mózgu, których tak naprawdę nigdy nie zgłębiałam, nie wiedzieć czemu zakładałam, że kiedy człowiek zapada na jakąś straszną chorobę, to bardziej lub mniej sam się o nią prosił. Palacze się prosili, górnicy się prosili, robotnicy pracujący w fabrykach azbestu również, a także biedacy, staruszkowie, wszyscy hipochondrycy czy też ludzie gnieźdzący się w wilgotnych norach i jedzący kocią karmę.

Teoria była wprawdzie nie do końca sformułowana, nigdy jednak nie miałam powodu jej podważać. Cóż, nie miałam nawet powodu, żeby ją porządnie sformułować.

Aż do teraz.

Ponieważ byłam osobą zdrową, która nie paliła, nie pracowała w kopalni ani przy azbeście, nie cierpiała nędzy, nie jadła kociej karmy... i z pewnością nie uważała się za starą.

A mimo to gdzieś głęboko we mnie tkwiła straszna choroba, która w każdej chwili mogła się ujawnić i mnie zabić, naprawdę zabić. Rak. Żołądek mi podskoczył na myśl o tym znieprawionym słowie oznaczającym straszną, często występującą przypadłość. Co za tupet! Nie mogłam sobie przypomnieć, bym zrobiła cokolwiek, żeby ją zachęcić, zaprosić, pożywić czy powitać. Po prostu się wdarła, rozgościła jak u siebie i teraz musiałam jakoś z nią sobie poradzić.

Cóż za cholerna niesprawiedliwość. I cholerna okropność. Co za... wszystko. I nic. Jaka to różnica? Jeśli twoje własne ciało może się zwrócić przeciwko tobie, bez najmniejszego ostrzeżenia - poza całkowicie zrozumiałym atakiem bolesnego zaparcia - to co tak naprawdę można zrobić?

Nigdy w życiu, nawet w ostatnim czasie, kiedy wydarzenia tak szybko wymknęły mi się spod kontroli, nie czułam się taka bezradna.

Nagle wszystkie inne problemy odpadły jak perły z przerwanego naszyjnika i potoczyły się gdzieś po kątach, żeby zbierać kurz w odległych zakamarkach.

Ostatecznie zawsze mogłam sobie znaleźć inną pracę, nawet już poczyniłam pewne kroki w tej sprawie, pomimo wynikłych trudności budowlanych. Mogłam sobie znaleźć nawet innego męża, co w duchu uważałam za mało prawdopodobne, ale przecież nie było to niemożliwe. Grube brzydule z programów telewizyjnych zawsze znajdowały sobie mężów, nie było więc powodu, dla którego ja nie miałabym sobie znaleźć partnera, gdybym zechciała. Mogłabym nawet mieć drugiego syna, skoro już o tym mowa, gdyby Monty rzeczywiście zwrócił się przeciwko mnie, choć prosiłam Boga, by to nie nastąpiło, w każdym razie jednak obdarzenie go rodzeństwem mieściło się w granicach prawdopodobieństwa. Potrzebowałabym wprawdzie sporej sumy na zapłodnienie in vitro albo na podróż do Afryki po czarne maleństwo jak Angelina Jolie, niemniej jednak mogłam to zrobić. Byłam w stanie.

Ale miałam tylko jedno ciało. I koniec. Ta dziwna mieszanka osobowości, włosów, mięśni, krwi i kości była mną. A bez niej...

Zawsze uważałam, że mam swoje miejsce na świecie i że jest ono jakoś zagwarantowane. Ostatnie wydarzenia nieco zachwiały tym poczuciem, nadal jednak sądziłam, że jestem... hmm, „ważna” nie jest tu najlepszym określeniem, ale jeśli jest słowo znaczące to samo, a brzmiące mniej arogancko, to tak właśnie się czułam; że ktoś taki jak ja, ktoś, nazwijmy to, wartościowy, nawet jeśli na skromną skalę, nie powinien być

wywalany z pracy przez współpracowniczkę, opuszczany przez męża i zdradzany przez syna.

Wartościowy? Dobry żart. Teraz czułam się tak cholernie nieważna, że byle pchła mogła mnie powalić swoim oddechem. Przytłaczało mnie poczucie znikomości własnej roli w wielkim porządku rzeczy, porządku, jak się okazało manipulowanym przez tych samych ludzi, którzy poruszali kukielkami w serialu „Thunderbird”, jakby to mogło mieć jakieś znaczenie.

Chyba już wtedy wiedziałam, że umrę. Wiedziałam, że nie znajdę w sobie dość waleczności; tego, co mieli ludzie, którzy przeżyli „odreń” i pisali książki o lewatywach z kawy i dietach makrobiotycznych. Ja nawet nie miałam męża. Nie to, żeby każdej kobiecie był potrzebny mąż, ale potrzebowałam swojego, a ten drań włóczył się gdzieś jako gej, kiedy ja byłam w domu, atakowana od wewnątrz przez złe komórki.

Co gorsze, Monty miał zostać półsierotą. Serce mi się ścisnęło na tę myśl, choć musiałam przyznać, że odkąd wkroczyła na scenę Crystal, nastąpiła dla mnie dobra pora, żeby umrzeć. Byłby załamany, mimo naszych obecnych problemów, ale ta jej australijska pewność siebie trzymałaby go w ryzach i pomogłaby mu przetrwać tę tragedię, wytrzymać ból.

Mama i tata byliby wstrząśnięci, mieli jednak Poppy i medytację transcendentálną. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że nic im nie będzie. Ekscentryczność całkiem im służyła. Zaczęłoby się powtarzanie mantry, kadzidełka i szczery żal, ale w końcu wszystko byłoby dobrze.

Nawet cholerny Sparky miałby się dobrze. Tęskniłby za mną bardziej niż ktokolwiek inny, ale w sumie nic by mu się nie stało. Monty by go wyprowadzał, a poza tym pies uwielbiał Willa i Stana, nową męską krew w tym wielkim starym domu. Może nawet Will by go adoptował.

Will! Wyprostowałam się, wydając z siebie pojedyncze chlipnięcie. Odruchowo podniosłam ręce do twarzy, zakrywając usta, i przygryzałam wargę. Uświadomiłam sobie, że teraz już nie będę mogła uprawiać seksu z Willem!

A może tak mnie bolało to, że miałam „odrę”, nie w sensie fizycznym, ale w takim, który powoduje straszne cierpienie. Już nigdy nie będę uprawiać seksu z nikim. To bolało. Miałam umrzeć jako prawie dziewica, która przez całe życie spała tylko z jednym mężczyzną, a jako gej Harry pewnie nie był w tym najlepszy, chociaż nie narzekałam. Zresztą co ja tam mogłam wiedzieć? Co mnie ominęło? Powinnam była się bzyknąć z Eddiem Carmichaelem. Powinnam się bzykać z całą pierwszą piętnastką. I z drużyną krykieta. I z graczami polo, którzy mają marne włosy, ale za to cudowne ramiona.

Wtedy wszyscy mogliby przyjść na mój pogrzeb, w swoich sportowych strojach, a drużyna krykieta mogłaby utworzyć szpaler, przez który moja trumna, coś w rodzaju austina powers mini w barwach flagi Wielkiej Brytanii, tylko oczywiście w kształcie skrzyni, byłaby niesiona przez angielską reprezentację rugby z Jonnym Wilkinsonem na czele. Albo nawet siedzącym na wieku jak jakiś starodawny król.

Prawdę mówiąc, zaskoczyło mnie to, że tak wyraźnie widzę swój własny pogrzeb. Nie pamiętam, żebym wcześniej chociaż raz o nim pomyślała, ale teraz rozwijał się w mojej wyobraźni, jakbym siedziała w Electric Cinema na Portobello Road i oglądała go na wielkim ekranie.

Była tam mama; odziana w jaskrawy pomarańcz, szlochała dramatycznie, pobrzękując biżuterią. Tata ścisnął ją pod rękę, oszołomiony, w purpurowej płócienniej koszuli z paskudną chińską stójką, które tak lubią mężczyźni z pewnej grupy wiekowej. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego aż tak wyraźnie widziałam, w co będą ubrani. Może chodziło o

kolory. Takie żywe. Wyglądali jak kwiaty. Poppy, co dziwne, cała na czarno, płakała cicho; jej drobną, smutną twarzyczkę znaczyły piegi, oczy miała zamglone i puste, w rękach trzymała koszyczek z płatkami róż. Na naszym ślubie też taki miała i rzucała nam płatki pod nogi, kiedy przechodziliśmy do sali, w której miało się odbyć przyjęcie. Ja byłam zachwycona, ale Harry później narzekał, że płatki przykleiły mu się do podeszew i ślizgał się przez nie na parkiecie.

Pomyślałam, że tańczył trochę jak gej. Może to miało coś wspólnego z jego rękami?

Tak czy owak, w filmowej wersji mojego pogrzebu moja dawna przyjaciółka i współpracowniczka Charlotte też była obecna. Trzymała się kurczowo Martina, a jej trzy wspaniałe córki zawodziły z żalu. Abigail krzyczała, że żałuje, iż to nie Charlotte umarła zamiast mnie, mimo iż nawet się z nią nie kontaktowałam od czasu, kiedy opuściłam sklep, co być może czyniło ze mnie najgorszą matkę chrzestną na świecie.

Cóż, Charlotte i tak była gorsza przez to, co mi zrobiła. Dlatego wpuściłam Whiffy'ego O'Farrella do kościoła i usadziłam obok niej, żeby ją irytował swoim smrodem, kiedy łkając cichutko, odmawiała piękną modlitwę, tę która mówi, by nie płakać nad grobem, albo tę o drodze ścielącej się pod stopami, choć ta druga chyba raczej dotyczy dnia świętego Patryka, a nie pogrzebu.

Och, była tam też Marguerite ze swoimi bliźniaczkami! I Sinead, urocza Sinead, która sprzątała sklep. Postanowiłam zapamiętać, że powinnam znaleźć jej adres, żeby się z nią skontaktować, zanim umrę, bo inaczej będzie jej niezręcznie przychodzić na pogrzeb.

Zastanawiałam się, czy pojawią się zgnębieni rodzice Harry'ego. Czy przyjedzie ze Szkocji ten jego sztywny braciszek ze swoją żoną o zaciśniętych ustach i bladymi nieznośnymi dziećmi? A gdzie będzie wtedy sam Harry?

Wyobraziłam sobie, jak się chowa za kolumną tuż przy wyjściu z kościoła, z zażenowanym Charlesem. Zdecydowałam, że Charles jest rudy, ale nie w pięknym odcieniu imbiru jak Poppy, tylko marchewkowo rudy, z niebieskimi świńskimi oczkami. Wyglądał jak dickensowski Uriah Heep, zgarbiony i nadskakujący. Harry byłby zdruzgotany moim odejściem i dobrze, powinien być, do cholery. Zrujnował mi kilka ostatnich tygodni życia. Dodałam Charlesowi paskudny zarost. I maleńkiego pieska, którego trzymał w kieszeni jaskrawozielonej marynarki w kratkę. Prezentował się ohydnie, bo w dodatku był kulawy.

I wtedy sobie uświadomiłam, że w prawdziwym życiu nie jestem już nieruchoma jak posąg przycupnięty na brzegu łóżka, tylko cała się trzęsę. Dłonie mi drżały, oparte na drżących udach, i w ułamku sekundy dotarło do mnie, że jeśli natychmiast nie pognam do łazienki, to zawartość mojego żołądka wylądaje na głowie biednego Sparky'ego. Pomyślałam, że „odra” wydostała się już poza moją okružnicę, a te pirackie komórki skaczą po moich wewnętrznych organach niczym kulki we flipperze. Leżąc na kafelkach w łazience, wyszczerbionych i niespecjalnie czystych, pomyślałam, że w każdej chwili mogę umrzeć, nie mając nawet okazji odświeżyć kontaktów z ludźmi, którzy mieli wkrótce mnie opłakiwać.

Niezadowolony Sparky został za zamkniętymi drzwiami łazienki i jak zwykle w nie drapał. Usłyszałam, jak opiera się o drewno i osuwa na podłogę z gniewnym sapnięciem. Młody Nick miał rację: potrzebowałam zaprzyjaźnionej osoby albo kogoś z rodziny, żeby przyszedł i ze mną posiedział, bo przeżyłam straszny wstrząs i nie mogłam przestać sobie wyobrażać własnego pogrzebu. A ten z każdą chwilą stawał się coraz bardziej okazały. Doszedł chór małych chłopców, śpiewający piosenki George'a Michaela. Sam George Michael

też tam był, bardzo przejęty, niepocieszony, że mnie traci, kiedy dopiero co mnie poznał. W wyobraźni zadbałam o to, by Harry zniknął, zanim pojawił się George Michael, bo inaczej mógłby go zagarnąć i zepsuć mi pogrzeb, tak jak zrujnował całe moje życie.

Biodro rozboleło mnie w miejscu, gdzie opierałam się o zwiniętą łazienkową matę. Wyłożona kafelkami podłoga nie rozgrzała się od mojego policzka. Przyszło mi do głowy, że właściwie nie byłoby tak całkiem nieprzyjemnie umrzeć. Życie jest ciężkie. W tym momencie zbyt ciężkie. Herbaciarnia, cudowne marzenie o przyszłości, znalazła się poza moim zasięgiem. Dom się sprzeciwiał. Może nie chciał znowu otwierać swych podwoi dla obcych. Kosztowało mnie to przedsięwzięcie więcej, niż posiadałam, i nie miałam ochoty się z nim zmierzyć. Straciłam męża i syna na rzecz ludzi, których nie znałam, czułam się zmęczona i samotna, z czym także trudno było sobie radzić. Może prześliźnięcie się do lepszego świata będzie lepsze niż pozostawanie w dotychczasowym.

Czułam, jak moje biedne rozszalałe serce tłucze się rozpaczliwie. Gdybym mogła tam wtedy umrzeć, to bym umarła i miałabym przy tym naprawdę dobre usprawiedliwienie; ludziom o wiele łatwiej byłoby zaakceptować moje odejście w taki sposób, niż gdybym popełniła samobójstwo. Jednak wyszczerbione, brudne kafelki nie były odpowiednim miejscem śmierci dla półżywej kobiety. Byłam zziębnięta, biodro zaczynało mnie boleć coraz mocniej. Śmierć najwyraźniej nie zamierzała przyjść natychmiast i zrobiło mi się cholernie niewygodnie. Podniosłam się wolno, obmyłam twarz w umywalce, co przynajmniej rozgrzało mi ręce. A potem przejrzałam się w lustrze.

Och, jakże smutno było mieć „odrę”. Widziałam to w mojej twarzy. W istocie stanowiłam uosobienie smutku. Moje

oczy napełniły się łzami, usta zacisnęły, policzki zwiotczały, wszystko przerażająco obwisło. Położyłam dłonie na brzuchu, płaskim, twardym, wyglądającym jak zawsze. Co się kryło za tą cienką warstwą mięśni?

Jak to możliwe, że mi się to przytrafiło? Jakbym miała nie dość innych nieszczęść? Jak to możliwe?

Nawet nie wiedziałam, że moja okrężnica jest taka ważna, dopóki mi nie powiedziano, jak bardzo jest zagrożona. Dla mnie zawsze stanowiła po prostu jeden z nudnych elementów istnienia, część mechanizmu podtrzymującego życie. Oddychamy, żeby tlen mógł zrobić coś tam z krwią, jemy, żeby mieć energię, pijemy, by nie wyschnąć na wiór. Jeśli w wypadku samochodowym uszkodzimy sobie śledzionę, mogą nam ją wyciąć i nawet nie zauważymy braku. Nie wiedziałam nic na temat okrężnicy. Nigdy bym się nie domyśliła, że jest tak ważna. Mam na myśli to, że jeśli choroba umiejscowi się w piersiach, to mimo tragedii można je usunąć i żyjesz dalej, używając odpowiedniego stanika. Co by się stało, gdybym straciła okrężnicę? Czemu Nick mi tego nie powiedział? Dlaczego nie spytałam? Dlaczego to spotkało właśnie mnie?

Pomyślałam o rodzicach, ale nie znajdowałam właściwego sposobu, żeby im to powiedzieć. Zresztą pewnie by uznali, że sama sprowadziłam na siebie chorobę, jedząc białe pieczywo. I może mieli rację. Ale nie chciałam tego słuchać akurat w tym momencie. Czyżbym się myliła, wyśmiewając cały ów wegetarianizm przez te wszystkie lata? Jadłam czerwone mięso, chociaż szczerze mówiąc, wcale go tak bardzo nie lubię. Wolę kurczaka. Czy to hormony i antybiotyki z kurczaków mnie zabiły? A może indyjskie krewetki na wynos, napompowane toksynami z potwornie zanieczyszczonego oceanu po drugiej stronie globu i nasączone po brzegi śmietaną z krowiego mleka?

Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Tannington Hall i nie poprosić do telefonu Poppy, ale wiedziałam, że wybuchnie płaczem. A to byłoby tak samo trudne do zniesienia, jak wykład na temat szkodliwości salami.

Harry? Cóż, nie byłam pewna, czy nadal jest moją rodziną. Albo osobą zaprzyjaźnioną. W doskonałym świecie, w którym do niedawna zamieszkiwałam i z którego dzięki niemu zostałam wyrzucona, już by tutaj był. Nie trzeba by było po niego dzwonić. Trzymałby mnie za rękę albo stał za mną, kiedy przeglądałam się w lustrze, i zapewniał, że jestem niemądra, że to wszystko stało się tak nagle, że wcale nie umieram, oczywiście, że nie, wszystko będzie dobrze, bo sam tego dopilnuje.

Ale nie było za mną nikogo i niczego poza kimonem w motyle, które mama przed łąty dała mi na urodziny i które od tamtej pory wisiało na rozchwierutanym haku na drzwiach, ponieważ rękawy zbierały marmoladę z talerza i zaczepiały się o klamki.

Był Monty, ale nie mogłam go martwić, bo przecież jest jeszcze chłopcem. Poza tym czułabym się niezręcznie, bo ledwie ze sobą rozmawialiśmy. Nie bardzo wiedziałam, jak przejść od: „Nie martwię się aż tak bardzo twoją poślubioną w tajemnicy przed nami żoną” do: „Umieram na najnudniejszą chorobę świata”.

Nie przestając się wpatrywać w swoją smutną twarz, odkryłam ze zdumieniem, że jeszcze nigdy w życiu nie byłam poróżniona z tak wieloma ludźmi. Jakie ja właściwie miałam życie?

Nagle usłyszałam dźwięk czegoś spadającego komuś na stopę, dwa poziomy niżej. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na drzwi zasłonięte kimonem. Po brzmieniu przekleństw, które dobiegły z dołu, poznałam, że to była stopa Stanleya. Zaraz

potem rozległ się ściszony głos Willa, zapewne wyrażający współczucie.

Ponownie odwróciłam się w stronę lustra. Ku memu zaskoczeniu ten przerywnik z zewnętrznego świata, ułamek normalnego życia, w którym można się uderzyć w stopę, ożywił nieco wygląd mojej twarzy. Cholerni śmieciarze działali jakby nigdy nic! Ziemia nadal kręciła się wokół własnej osi! Tak, z moich oczu nadal wyzierał smutek, ale twarz nie była już jego uosobieniem.

Wyglądałam tak samo jak przed odebraniem telefonu od Młodego Nicka.

Jak to, u diabła, możliwe, że tak szybko doszłam do siebie? To nie w porządku. Nic nie jest w porządku. Nie mogłam nawet normalnie przeżywać tego, że jestem śmiertelnie chora. Kompletnie schrzaniłam sobie życie, a teraz bez wątpienia też wszystko spartaczę, bo jestem beznadziejna, a wkrótce stanę się martwa.

Ta straszna prawda wprowadziła mnie w stan bolesnego pragnienia. Lecz nawet to pragnienie nie wydawało się normalne, ponieważ nie chodziło o, jak można by oczekiwać, lekarstwo na raka czy tajemnicę życia wiecznego. Chodziło o bananowo - czekoladowe ciasto ze świeżymi malinami i polewą z kwaśnej śmietany.

Rose zrobiła mi raz takie, kiedy Janie McPherson zaprosiła wszystkich z klasy poza mną na swoje dwunaste urodziny. Naprawdę, wgryzanie się w ten dekadentcki kawałek ciasta oblanego ciemną czekoladą pozwolił mi zapomnieć, choćby na krótko, o tak bolesnym ciosie. Nie odkrywał tajemnicy życia wiecznego, ale był cholernie dobry.

Może nie miałam odpowiedniego zestawu do lewatywy z kawy, ale miałam coś innego: mąkę, jajka, cukier i kakao.

Bananowo - czekoladowe ciasto Rose ze świeżymi malinami

- 1 i 3/4 szklanki mąki
- 100 g białego cukru
- 50 g brązowego cukru
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 1 łyżeczka sody oczyszczonej
- 1/4 łyżeczki soli
- 150 g ciemnej czekolady w proszku
- 3 duże jaja, lekko ubite
- 120 g niesolonego masła, stopionego i wystudzonego
- 3 bardzo dojrzałe duże banany, dobrze roztarte
- 1 szklanka malin

Rozgrzać piekarnik do temperatury 180 stopni i umieścić ażurową półkę pośrodku. Posmarować masłem średniej wielkości tortownicę.

W dużej misce wymieszać mąkę, oba rodzaje cukru, proszek do pieczenia i sodę oraz sól. Odstawić.

W średniej wielkości misce wymieszać zgniecione banany, jajka i stopione masło. Plastikową szpatułką lub drewnianą łyżką przełożyć mokre składniki do suchych, dodać posiekaną czekoladę i wymieszać, aż się połączą. Masa ma być gęsta i zwarta. Dodać maliny i przełożyć całość do tortownicy.

Piec około godziny lub do czasu, aż wykałaczka wetknięta w środek będzie sucha po wyjęciu. Odstawić na pięć minut na drucianą podstawkę do wystudzenia, po czym wyjąć z tortownicy. Wystudzić i oblać polewą.

Polewa:

- 250 g czekolady
- 1 szklanka kwaśnej śmietany
- 2/3 łyżeczki wanilii

Stopić czekoladę w dużej metalowej misce ustawionej na naczyniu z wrzącą wodą, co jakiś czas mieszając. Zdjąć miskę, dodać śmietanę i wanilię. Schłodzić całość do temperatury pokojowej, mieszając od czasu do czasu (polewa będzie wystarczająco gęsta, żeby ją rozsmarować). Należy działać szybko, rozsmarowując polewę, zanim nadmiernie zgęstnieje. (Jeśli to nastąpi, ponownie podgrzać nad parą, ostudzić i spróbować jeszcze raz). Wierzch posypać świeżymi malinami.

Następnych kilka godzin spędziłam na myśleniu o moim cieście.

Wyobrażałam sobie spiżarnię i oceniałam, jakie składniki mam, a po jakie trzeba by pojechać do Tesco, ale za każdym razem, gdy podnosiłam się z łóżka, mój wzrok padał na aparat telefoniczny, który przypominał mi boleśnie, że nie jestem w stanie podnieść słuchawki i poprosić kogoś, kogokolwiek o pomoc. Wtedy zaczynałam się trząść, co z kolei oznaczało, że nie dotrę dalej niż do łazienki.

Tymczasem mój pogrzeb zmienił się w wydarzenie rangi państwowej jak pogrzeb księżnej Diany, podczas którego nikt nie mógłby się wybrać do fryzjera czy do supermarketu, co musiałoby sprawić, że zostałabym powszechnie znienawidzona.

Nawet George Michael w końcu zwróciłby się przeciwko mnie. Chociaż on mógłby przynajmniej napisać piosenkę o tym, że przeze mnie utknął w korku.

Tłumaczyłam sobie, że wszystko byłoby dobrze, gdybym tylko mogła posypać malinami moje bananowo - czekoladowe ciasto. Nie mogłam w kółko fantazjować o żałobnikach, musiałam coś zrobić, ale kiedy wreszcie zebrałam całą wolę, by wyjść z pokoju, usłyszałam głos Willa, rozlegający się na schodach, a potem wślizgujący niczym wąż przez szpary w drzwiach do mojej sypialni.

- Florence, masz ochotę na filiżankę herbaty?

Widocznie Stanley musiał pójść do domu. Wyobraziłam sobie Willa, jak stoi obok schodów przy kuchni, myśląc o mnie, wołając mnie.

- Tak, poproszę - odpowiedziałam głosem, którego nie mógł usłyszeć.

- Florence? - zawołał ponownie. I jeszcze raz. Potem usłyszałam kroki na schodach, aż w końcu jego głos zabrzmiał tuż przy drzwiach. - Florence, jesteś tam?

- Tak - odrzekłam, znów bardzo cicho. Byłam jak w transie. Całkiem przyjemnym. Jakbym w dość nieporadny sposób wabiła Willa ku sobie. Nie wiem dlaczego. Albo udawałam, że nie wiem. Tak czy inaczej, polecono mi znaleźć przyjazną osobę, czyż nie?

Zastukał delikatnie do drzwi.

- Jestem tu - powiedziałam, choć kto mógł wiedzieć, jak długo jeszcze.

Drzwi się otworzyły i w szparze ukazała się jego głowa.

- Florence, dobrze się czujesz? - spytał, rozglądając się dokoła, jakby oczekiwał, że w pokoju jest jeszcze ktoś oprócz mnie.

Patrzyłam na niego bez słowa. Miał na sobie białą koszulę, czystą i wyprasowaną. Jak to możliwe? Był budowlańcem, na miłość boską. Ja nie potrafiłam przejść w czymś białym z sypialni do łazienki, żeby nie złapać trzydziestu dwóch plam w różnych kolorach.

- Mogę wejść? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, ostrożnie wszedł do środka.

Patrząc na niego, czułam, jak wszystkie zdrowe komórki w moim ciele stają na baczność.

- Tak, proszę!

To było trochę jak porażenie prądem albo paralizatorem, tylko że z zewnątrz nawet nie drgnęłam. Jedynie w środku. I wcale mi się nie wydawało, naprawdę. To było bardziej rzeczywiste niż „odra”. Powiedziano mi o niej - jacyś tajemniczy ludzie w białych fartuchach odkryli ją pod mikroskopem, opisali w raportach, może nawet poczuli jakieś emocje, wyrażając swoje złowieszcze opinie - ale ja jej nie czułam. W ogóle nie czułam. Willa natomiast czułam. W

szpiku kości, w pulsującej krwi, w gęsiej skórcie na ciele, czułam go wszędzie.

- Florence? - powtórzył cicho, zbliżając się do łóżka.

Nic nie zrobiłam, tylko dalej patrzyłam na niego, czułam go i zastanawiałam się, jak bardzo moje wnętrze nie zgadza się z moim ciałem. Chyba nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiego oddzielenia się od samej siebie. Jakie to dziwne, że w ciągu zaledwie jednego dnia moje ciało sygnalizuje mi dwie bardzo szczególne sprawy.

Pierwsza: że noszę w sobie chorobę, która prawdopodobnie mnie zabija.

Druga: że Will i ja prawdopodobnie jesteśmy dla siebie stworzeni.

Naukowcy może nie mają tego na żadnej szalce Petriego i nie mogą się temu przyjrzeć, ale ta druga diagnoza była równie śmiertelna jak ta pierwsza, dotycząca okrężnicy. Tak mówił mój organizm. Moje głupie komórki odwracały wzrok, kiedy do pokoju wchodziła „odra”, ale kiedy zjawił się Will, skupiły na nim całą uwagę.

Czy wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia? Tak, oczywiście, że wierzyłam. Według mnie to właśnie łączyło mnie z Harrym. Jednak z perspektywy czasu można sobie zadać pytanie, co może wiedzieć czternastoletni system komórek? Tamte pryszcze od czekolady i nastolatek z uroczą grzywką uśmiechający się do ciebie oznaczały, że wreszcie masz swojego chłopaka. I to dobrego chłopaka, nie można zaprzeczyć. Cóż, nigdy się nie martwiłam, że będzie mnie zdradzał z moją przyjaciółką, chociaż, jak się okazało, miał prosty powód, by tego nie robić. Kochaliśmy się nawzajem, temu też nie można było zaprzeczyć. Od samego początku się kochaliśmy. Choć może to była taka bratersko - siostrzana miłość? Nie pamiętam, żeby Harry rozpałał we mnie ogień

pożądania tym czymś, co rozpala ogień w ludziach, którzy się kochają. Już prędzej gasił ogień, który był we mnie.

Will i ja byliśmy jak stare dobre krzesiwo i hubka. Nie chodzi mi o to, że byliśmy sobie przeznaczeni w romansowo - powieściowym sensie, gdzie wszystko pięknie się układa, bo jedno jest kwadratową dziurą, a drugie kwadratowym kołkiem i proszę, oto jesteśmy razem, jak cudownie.

Nie przyszło mi to do głowy dlatego, że właśnie dowiedziałam się o „odrze” i odchodziłam od zmysłów. Nie, to była chemia. Reagowałam na niego. Po prostu. Czułam to od momentu, gdy po raz pierwszy otworzyłam drzwi i ujrzałam go na progu: uniesione włoski na ramionach, rozszerzone źrenice, zapach czegoś cudownego tuż za rogiem. A potem, przy kuchennym stole, kiedy zrobił herbatę, stało się to wręcz namacalne. W każdym razie o tyle namacalne, o ile to możliwe w przypadku czegoś niewidzialnego, a zwłaszcza czegoś niewidzialnego co może, lecz nie musi istnieć.

Tak, byliśmy dla siebie stworzeni. Teraz to wiedziałam. Może moja wiedza wynikała z „odry” i tego, że traciłam zmysły, jednak to niczego nie zmieniało, to nadal była reakcja chemiczna.

Swoją drogą, co za fatalny moment, żeby się dowiedzieć czegoś takiego, ponieważ z wielu powodów - byłam od niego tak dużo starsza, tak niedawno rozstałam się z miłością mojego życia i miałam syna, z którym prowadziłam skomplikowaną wojnę, a nie potrafiłam ani walczyć, ani się poddać, i do tego stwierdzono u mnie raka - nic nie mogło z tego wyjść.

Will przykucnął przede mną i położył mi dłoń na kolanie, tym poplamionym czekoladą. Tak się o mnie troszczył, choć znalazł się w moim domu zupełnie niespodziewanie. Tę troskę widziałam w jego oczach, jego twarzy, w jego ciele także. I było coś jeszcze. Coś więcej niż troska. W moim obecnym

stanie zyskałam zdolność zaglądania do jego wnętrza, jak Superman, i zobaczyłam, że jest pełen cudownej, niewyczerpanej, niewykorzystanej miłości. Potrafiłam to rozpoznać, ponieważ znałam objawy. Ja też byłam pełna cudownej, niewyczerpanej, niewykorzystanej miłości.

Właśnie to dowodziło, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Zbyt tragiczne do ujęcia w słowa.

- Florence, martwisz mnie - odezwał się cicho. - Sprawiasz wrażenie takiej zgnębionej. Co się stało?

Łzy, z trudem utrzymywane pod powiekami, przelały się, spływając po policzkach. Dlaczego współczucie pobudzało mnie do łez? Czyż nie powinno ich raczej osuszać? Dlaczego tak się działo?

- Och, Florence, cokolwiek to jest, proszę, powiedz mi. Pozwól sobie pomóc.

Gdyby tylko mógł mi pomóc! Wziął mnie za rękę, a wtedy uświadomiłam sobie, że mogę po omacku wskazać wszystkie odciski, tak znajome było jego piękne, młode, zdrowe ciało. Jego wygląd zdążył się już odcisnąć w moim umyśle.

Spojrzałam w niebieskie oczy Willa i w głębi serca, gdzie było miejsce tylko dla paru nielicznych rzeczy, co do których miałam pewność, że są prawdziwe - jak ta, że Monty jest największym szczęściem, jakie mi się przydarzyło w życiu, że mam naprawdę zgrabne nogi i że piekę najlepsze na świecie bułeczki z daktylami - wiedziałam, że w tej właśnie chwili czuł do mnie to samo, co ja do niego.

Lecz nawet gdybym miała dość odwagi, by pójść za głosem instynktu, moje ciało dopiero co pokazało mi, nie przebierając w środkach, że nie można mu ufać, że to ono tu rządzi, więc mogę sobie wziąć całą tę chemię i wetknąć w tyłek, w ślad za wszystkimi lekarskimi rękawiczkami.

Kiedy ja byłam skupiona na tym, by nie pójść za głosem instynktu, Will mnie pocałował.

Mój strach zniknął, jakby zasłoniła go miękka aksamitna kurtyna. Chyba nigdy wcześniej nikt mnie porządnie nie całował, nie był to zarzut pod adresem Harry'ego, zresztą pomyślałam o nim tylko przelotnie. Tak naprawdę pomyślałam, że pocałunki Harry'ego były przyjemne, natomiast pocałunek Willa jest boski. Czułam go nawet w paznokciach u nóg.

Trzymał rękę na mojej szyi i gładził ten kawałek mojego ciała istniejący tylko po to, by być w taki sposób gładzonym, o czym nie wiedziałam aż do owego momentu. Zapach Willa kojarzył mi się z pieczeniem chleba, słońcem i solą. Jego energia - nie chcę, by zabrzmiało to jak w Tannington Hall - przechodziła z jego ust do moich, a potem w dół do zatrutych części mojego organizmu; niemal czułam, że mrok się rozjaśnia, jakby za sprawą spadającej gwiazdy czy racy ratunkowej.

Siedzieliśmy na brzegu łóżka, zwróceni twarzami do siebie, i całowaliśmy się jak nastolatki, choć nie tak, jak się całowałam, będąc nastolatką, i niemal można było ujrzeć nad nami migające niczym neon słowo „pożądanie”. Pożądałam go. Pożądałam go jak jeszcze nigdy niczego w życiu. A dzięki naszemu powiązaniu naszych komórek wiedziałam, że on też mnie pożąda.

Chwilę potem leżeliśmy na kołdrze, czułam na sobie jego ciężar, jego biodra na moich, uda na udach, pierś na piersi, jego język na mojej szyi i nagle jego siła i zdrowie stały się nie do zniesienia. Byłam jak uszkodzony towar i to nie tylko pod jednym względem, a on zasługiwał na coś lepszego. Lepszego, młodszego, silniejszego, innego.

- Nie! - krzyknęłam, odwracając głowę. - Nie!

Przez jakiś czas leżeliśmy, dysząc, a potem zepchnęłam go z siebie, usiadłam, zapięłam guziki koszuli, przygryzłam

obolałą wargę i starałam się nie zwracać uwagi na to, że cała się trzęsę.

Will został na łóżku. Nie byłam w stanie na niego spojrzeć, ale kątem oka widziałam, że leży na boku, z głową podpartą na łokciu.

Mogłam się spodziewać, że okaże zakłopotanie albo będzie próbował mnie przeproszać, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Ale dlaczego nie? - zapytał z zabawną nutą uprzejmego zaciekawienia.

Przeczesałam włosy palcami i poprawiłam kołnierzyk.

- Florence, dlaczego nie? - Sięgnął do mojego łokcia i aż się zdziwiłam, że od jego dotknięcia nie wybuchnęłam płomieniem. - Między nami coś jest, przecież wiesz.

Czemu musiałam znosić takie tortury? Jaka kobieta nie modliła się, by Bóg zesłał jej mężczyznę, który by wyglądał jak Will, zachowywał się jak on i do tego mówił takie rzeczy? Ale żeby mi go zesłać akurat w takim dniu? Ktoś gdzieś miał wielki ubaw moim kosztem. Ktoś gdzieś wiedział, że to nie był dobry dzień na uprawianie seksu z mężczyzną, który był mi przeznaczony.

Gdybym w tym dniu uprawiała seks z mężczyzną, który był mi przeznaczony, i zaszła w ciążę, umierając, zostawiłabym go z biednym maleństwem pozbawionym matki. Choć istniała na to niewielka szansa, ponieważ byłam stara, jajniki miałam do niczego, a moje ciało toczyła choroba, która bez wątplenia pożerała hormony ciążowe na śniadanie, jednak nie mogłam ryzykować. Nawet gdybym nie zaszła w ciążę, i tak bym umarła i go zostawiła. A przecież nie mogłam tego zrobić. Ponieważ gdyby było odwrotnie, gdyby Will umarł i mnie zostawił, nie chciałabym bez niego żyć. Wiedziałam już, jak to jest zostać opuszczonym i na samą

myśl o opuszczeniu Willa serce mi pękało i po prostu nie mogłam tego zrobić.

- Przepraszam - powiedziałam, zakrywając twarz i potrząsając głową. - Przepraszam.

Usiadł i wziął mnie w ramiona; kołysał mnie delikatnie, opierając swój idealnie zarysowany podbródek na czubku mojej głowy.

- Nie, to ja przepraszam - odrzekł. - To dla ciebie zbyt wiele, Florence. Po prostu zbyt wiele wszystkiego. I za szybko. Mamy czas - dodał takim głosem, jakby mnie usypiał. - Mamy mnóstwo czasu.

Tylko teraz już mu nie wierzyłam.

Will:

Smakowała dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. Jak czekolada, ale taka jakby kwiatowa. Nie mam dobrego rozeznania, jeśli idzie o kwiaty, więc nie potrafiłbym tego dokładnie określić, zdecydowanie było w niej coś z róży albo może z jaśminu. W każdym razie to był bardzo żeński smak. Nie dziewczęcy i nawet nie kobiecy, tylko żeński w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Potem miałem ochotę się kopnąć, bo nie powinienem jej całować, było na to zdecydowanie za wcześnie, ale moment wydawał się odpowiedni. A kobieta nie odwzajemnia pocałunku w taki sposób, wszystkim, całym ciałem, jeśli to nieodpowiedni moment. Jestem tego pewien.

Jednak coś ją powstrzymywało. Myślę, że to, co kazało jej się ukryć w pokoju. Nie chodziło o Harry'ego ani o Monty'ego, ani o Crystal, ani o problemy budowlane. To było coś innego.

Żałuję, że mi nie powiedziała, nie pozwoliła sobie pomóc. A umiałbym, jestem pewien. Tylko co z tego, że ja jestem pewien, skoro to ona musi zyskać pewność siebie. Powinna mi

zaufać, bo ja byłem o krok przed nią. Ja już jej ufałem. Florence nie przedstawiała dla mnie żadnego ryzyka, bo byłem jej pewien.

Czy wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia? Muszę powiedzieć, że tak, wierzę. Problem polega na tym, by umieć ją odróżnić od pożądania od pierwszego wejrzenia, ale nauczyłem się tego na własnej skórze. Wszystkiego uczyłem się na własnej skórze. Jednak przynajmniej się nauczyłem.

Dla mnie i Florence może nie byt to najlepszy moment, ale też nie był zły. Dopiero co rozstała się z mężem, lecz przynajmniej się z nim rozstała. Bo, prawdę mówiąc, gdybym ją spotkał gdzieś indziej, w jakimś innym czasie, czułbym dokładnie to samo. Dziwne uczucie, jakby się dopiero co poznaną osobę znało od zawsze i do tego blisko.

Wierzyłem, że nam się uda. Wierzyłem, że w końcu mi zaufa, zaufa sobie.

Oczywiście nie byłem najlepszą partią. Nie miałem zbyt wiele pieniędzy. Nie miałem nawet własnego domu czy mieszkania. Tylko ciężarówkę, kilka sprzętów i ten dziwny obraz. Ale wiedziałem, że potrafiłbym się zaopiekować Florence, naprawdę bym to zrobił. I wiedziałem, że kochałbym ją jak nikt inny na świecie, nie ujmując niczego tym, którzy ją kochali. Byłem tego pewien.

To było takie dziwne, rozpaczliwie pragnąć z kimś być i jednocześnie rozpaczliwie nie chcieć go więcej widzieć. Prawie zapomniałam przez to o „odrze”.

Szybko wyswobodziłam się z ramion Willa, ale szukanie ulgi w jego objęciach, a potem zmuszanie go, by przysięgał, że zapomni o wszystkim, co się zdarzyło, niosło w sobie zbyt wiele bólu.

Kiedy już kazałam mu wyjść, próbowałam wrócić do rozmyślań o kiepskim stanie moich organów wewnętrznych, ale nie było to aż takie łatwe, jak można by sobie wyobrazić.

Zamiast tego cisnęły mi się do głowy pytania, co by było, gdybym nie poszła do Młodego Nicka, nie miała kolonoskopii i nie otrzymała tej strasznej wiadomości. Czy mimo to spotkalibyśmy się z Willem na brzegu mojego łóżka? Czy byśmy się pocałowali? Całowali do nieprzytomności? A potem zdarli z siebie ubranie i uprawiali dziki, namiętny seks? Pobrali się i mieli dzieci? Zestarczali się razem i byli jedną z tych sędziwych pomarszczonych par, które zawsze i wszędzie trzymają się za ręce?

Oczywiście istniała możliwość, że gdybym nie odebrała tego telefonu, Will nie przyszedłby do mojego pokoju, bo prawdopodobnie by mnie tam nie było. No i najprawdopodobniej nie doszłabym do wniosku, że jesteśmy dla siebie stworzeni, ponieważ zwykle nie rozumowałam w taki sposób. To się zaczęło, dopiero kiedy spojrzałam śmierci w twarz. Nigdy wcześniej nie patrzyłam śmierci w twarz, najwyżej zaglądałam jej przez ramię, kiedy zaczęłam rodzić Monty'ego, ale nawet wówczas nie wierzyłam, że z jakiegoś powodu coś mogłoby pójść nie tak jak trzeba. Byłam za młoda i za głupia, by wiedzieć, że życie jest pełne najróżniejszych komplikacji.

Teraz już wiedziałam. I to wszystko zmieniło.

Przed Młodym Nickiem czułam coś do Willa, ale tylko jakby mimochodem i pewnie nie skłoniłoby mnie to do żadnego działania, ponieważ miałam bardzo mało doświadczenia w tej sferze. Ponadto od mojego rozstania z mężem minęło zaledwie pięć minut, więc tak szybkie szukanie sobie kochanka byłoby trochę nieprzyzwoite. Przed rozmową z Młodym Nickiem nawet bym się nie przyznała, że to coś, co czułam, dopuszczało możliwość wzięcia sobie kochanka. Przed Młodym Nickiem chyba nigdy nie przyszło mi do głowy słowo „kochanek”.

Przed Młodym Nickiem? Tak, to ciekawe. Jeden telefon odsunął moje dotychczasowe życie zdrowej trzydziestodzieciolatki gdzieś niemożliwie daleko, dzieląc cały ten czas na dwa odrębne etapy. Teraz byłam w jakimś innym świecie. W świecie „po”. Wszystko, co następowało po Młodym Nicku, niezależnie od tego, jak długo miał trwać ten okres, odbywało się na nieznanym, nowym terenie.

Wraz z odebraniem tego telefonu przekroczyłam jakąś niewidzialną linię; mogłam się za siebie oglądać, ale nie mogłam się znaleźć z powrotem w poprzednim punkcie.

Co więcej, sama niewiarygodnie skomplikowałam ten nieszczęsny podział, dodając romantyczną sesję z moim budowlańcem. Jak mogłam tak namieszać? Teraz nie potrafiłam rozważyć jednego, nie biorąc pod uwagę drugiego, co nie wydawało się właściwe. Potrzebowałam czasu, żeby sobie poukładać sprawy związane z rakiem, nie myśląc o Willu leżącym na mnie i pożądającym mnie.

Potrzebowałam też zejść wreszcie z łóżka, gdzie tak niedawno się to działo i gdzie wciąż pozostawał w powietrzu miły ślad jego obecności, i zabrać się do robienia ciasta. W momencie kiedy doszłam do tego wniosku, frontowe drzwi się otworzyły, rozległy się kroki na schodach, a zaraz potem radosne głosy zakochanego Monty'ego i kipiącej szczęściem

Crystal przeleciały echem z kuchni po schodach aż do mojego pokoju.

- Jedno ciasto bananowo - czekoladowe - powiedziałam do Sparky'ego. - Czy proszę o tak wiele?

Nie mogłam w tym momencie wyjść z pokoju. Musiałam poczekać, aż moje dwa światy, ten „przed” i ten „po”, oddzielią się od siebie, aż moje wzburzone emocje opadną, potrzebowałam czasu, by się oswoić z brakiem przyszłości, zanim stawię czoło Monty'emu.

Wiedząc to, co wiedziałam, nie byłabym w stanie nawet na niego spojrzeć. Gdyby rak zwyciężył, ominęłoby mnie tyle rzeczy: wyrośnięcie Monty'ego z tego nastoletniego szaleństwa, jego normalny związek z prawdziwą żoną, z którą miałyby cudowne dzieci, moje wnuki. Mógłby też mieć dom na wsi i dużego złotego retrievera o imieniu Bill, Bob albo Barney, pracę w centrum i piękny samochód, który by nie łomotał na zakrętach, i eleganckie ubrania.

Byłam przekonana, że nigdy nie wezmę tych wnuków w ramiona, nigdy nie utulę ich do snu, nie poczytam im bajek, nie zabiorę do Regent's Parku, żeby się pobawiły na trawie. To były owe wszystkie rzeczy, o jakich marzyłam dla siebie i mojego syna, przyszłość, którą mu układałam, jakbym szyła patchworkową kołdrę, podobną do tych, które zrobiła Charlotte dla wszystkich swoich córek.

Nawet gdybyśmy oboje byli tacy sami jak w czasach przed nastaniem Crystal, nie sądzę, bym potrafiła stanąć z nim twarzą w twarz. Musiałam się uspokoić, wymyślić jakiś plan. Ale najpierw musiałam upiec moje ciasto, więc gdyby był łaskaw wynieść się z mojej kuchni, mogłabym przystąpić do pracy.

Leżałam na kołdrze, z klinicznie depresyjnym Sparkym obok, i czekałam, aż tych dwoje przestanie się tłuc po kuchni i pójdzie do pokoju Monty'ego, żebym mogła zbiec po

schodach. Jednak mój syn najwyraźniej się nie śpieszył; szperał po szafkach, tupał w podłogę pode mną, rysował nogami krzesel stare linoleum, otwierał i zamykał klapę piekarnika, co dwie minuty zaglądał do lodówki. To były typowe dla niego dźwięki. Nie słyszał z cichego zachowania i delikatności. Harry zauważył kiedyś, że biorąc szklanę z półki, Monty robi taki rumor, że słysząc go pewnie w Chichester, i bynajmniej nie był to żart. Jednak najdonośniejszym odgłosem tamtego wieczoru, kiedy światło zmierzchu wciskało się do mojej sypialni przez gałązki bożodrzewu, był głośny śmiech Monty'ego.

Monty zawsze najwięcej się śmiał i najczęściej się uśmiechał. Uśmiech obejmował całą jego twarz. Przez cały okres jego szkolnej edukacji mówiono mi, że ten uśmiech pomaga mu uzyskiwać lepsze oceny na świadectwach. Był w stanie naprawić setki błędów, jak powiedziała mi kiedyś pani Whiting, wychowawczyni Monty'ego. Nie żeby Monty popełnił setki błędów, zaraz dodała, ale parę dało by się znaleźć, jakkolwiek niewielkich i właściwie niezasługujących na wzmiankę, dodała na koniec.

Will też miał piękny uśmiech. Nie tak szeroki jak mojego syna, ale ostatecznie Monty był młody. Młodszy. Uśmiech Willa miał w sobie bagaż dłuższego przebywania na tym świecie. Niewiele dłuższego. Jakies trzydzieści jeden lat? Co ja sobie wyobrażałam wtedy, na początku? I co sobie wyobrażałam teraz? Jak długo jeszcze będę o tym myśleć? Czy w lodówce, na półce z tyłu, stoi kwaśna śmietana? A jeśli tak, to czy przypadkiem nie jest spleśniała?

Natłok niezwiązanych ze sobą myśli wirował mi w rozstrojonym mózgu. Czy naprawdę otrzymałam wyrok śmierci i całowałam się z potencjalną miłością swojego życia w ciągu zaledwie jednego popołudnia? Miałam wrażenie, że czuję coś w rodzaju buczenia w kościach. A to, co rosło w

moim układzie trawiennym, wydawało ciche muzyczne dźwięki w brzuchu. Z dołu dobiegały odgłosy świadczące o szczęściu mojego syna. Utulona tą dziwną kołysanką zapadłam w sen.

Co więcej, nie potrafię powiedzieć, czy to z powodu wyczerpania emocjami, „odry” czy hormonów, przespałam prawie dziesięć godzin i obudziłam się, słysząc, jak dwa piętra niżej wali młotkiem potencjalna miłość mojego życia, a Monty żegna się z Crystal na progu frontowych drzwi.

Minęło kilka chwil, zanim ułożyły mi się w głowie wydarzenia poprzedniego dnia, a kiedy już to nastąpiło, to wszystko, co mnie spotkało, wydawało się tak trudne do całkowitego ogarnięcia, że w istocie okazało się nie aż tak groźną bestią, jak można było sobie wyobrażać. Wiedziałam, że to dzieje się naprawdę, że niczego sobie nie wymyśliłam, a jednocześnie nie mogłam do końca w to uwierzyć, jeśli to ma jakiś sens.

Mogłam uwierzyć w to, że Sparky koniecznie musiał wyjść, żeby się załatwić, a ja musiałam jechać do Tesco, żeby kupić składniki do mojego ciasta. Wypuściłam psa z pokoju, w nadziei, że znajdzie otwarte drzwi do ogrodu, następnie wzięłam prysznic, ubrałam się i odczekałam, aż usłyszę Willa i Stanleya wychodzących na tyły domu, bym mogła sprawdzić zawartość spiżarni i wymknąć się frontowym wejściem, nie wpadając na żadnego z nich.

Niestety, zapomniałam portfela i musiałam się skradać z powrotem, wyczekując odpowiedniej chwili, żeby po niego wrócić. Nim wreszcie wróciłam z supermarketu, była prawie pora lunchu.

Pierwszego dnia, kiedy już wiedziałam, że moje dni są policzone, połowę jednego z nich zmarnowałam w supermarkecie! Należy zwrócić uwagę, że moje wyprawy do Tesco stały się bardziej skomplikowane od czasu rozstania z

Charlotte, ponieważ nie chodziłam już szybką trasą przez Warwick Place obok naszego sklepu. Zamiast tego, żeby uniknąć ewentualnego spotkania, wędrowałam dłuższą drogą o znacznie większej liczbie świateł i przejść dla pieszych, i czekając, miałam mnóstwo okazji, by potęgować w sobie gorycz i niechęć z powodu tej ziejącej dziury w moim życiu, gdzie powinna być moja przyjaciółka.

To z kolei sprawiło, że do supermarketu docierałam w znacznie gorszym nastroju niż powinnam, a często zdarzało mi się zapominać, po co przyszedłam.

Moja pierwsza wyprawa po otrzymaniu wiadomości o „odrze” nie była pod tym względem wyjątkowa. Pamiętałam o malinach, ale dopiero w połowie drogi do domu przypomniałam sobie o bananach, więc zawróciłam, żeby je kupić, po czym znów doszłam niemal do domu, zanim pomyślałam o kwaśnej śmietanie.

To akurat doskonale zgrało się w czasie z przerwą na lunch Willa i Stanleya, więc wśliznęłam się niepostrzeżenie do kuchni, zrobiłam ciasto i wstawiłam do piekarnika, zanim wrócili, ale próba równie dyskretnej wyjęcia mojego dzieła po upieczeniu została zniweczona przez Monty'ego, który wszedł do kuchni i siedział tam bez końca, przygotowując sobie koktajl proteinowy. Ilu naczyń to wymagało? Ilu urządzeń elektrycznych? Wciąż jeszcze nie byłam gotowa stawić mu czoło, więc pozostałam w swoim pokoju, czując jak ciasto przypala się coraz bardziej. Ten głuptas nawet tego nie zauważył, chociaż nim opuścił kuchnię z piekarnika zaczęły się wydobywać smużki dymu. To, co zostało z mojego ciasta, nie nadawało się nawet dla Sparky'ego. A pozwolę sobie przypomnieć, że wytresowałam go tak, by odmawiał zjadania wypieków nieposiadających polewy.

Po tym, co się stało, nie pozostawało mi nic innego, jak pójść do supermarketu po następne banany i maliny i tym

razem kupić śmietanę. Odczekałam, aż Will zakończy pracę, bo gdyby chciał mnie złapać samą, to mógł to zrobić właśnie o tej porze, a chciałam uniknąć takiego spotkania za wszelką cenę, i wymknęłam się z domu.

Była prawie siódma, kiedy wróciłam, na szczęście do pustego domu, zmiksowałam czekoladowo - bananową masę i wstawiłam do upieczenia. Już po chwili po całym wnętrzu rozszedł się cudownie kuszący zapach. Włączyłam timer i ustawiłam w widocznym miejscu; gdyby przypadkiem Monty wrócił i musiałabym pozostać w ukryciu, powinien się domyślić i zajrzeć do piekarnika.

Czekając, aż ciasto się upiecze, i cały czas monitorując drzwi wejściowe, zaczęłam szukać patery do ciasta, na której, jak pamiętałam, Rose podała swoje bananowo - czekoladowe cudo po katastrofie z urodzinami Janie McPherson. Była z białej porcelany o wzorze typowym dla dzierganych serwetek; nie widziałam jej od lat, ale zdawało mi się, że jest w kredensie w salonie. Otworzyłam dolne drzwiczki po lewej stronie i natychmiast tego pożałowałam. Podstawki tam nie było, ale znalazłam jedyny album, do którego powklejaliśmy z Harrym zdjęcia. Setki innych fotografii jakoś nie trafiły do albumów i wypełniały pudełka po butach, poupychane w różnych schowkach w całym domu. Poppy dała nam ten własnoręcznie przez siebie zrobiony album jednego roku na Gwiazdkę. Wykonany był, ma się rozumieć, z przetworzonej makulatury, ale pomalowała go na fioletowy kolor, pięknie ozdobiła suszonymi kwiatkami, a całą okładkę pracowicie okleiła małymi serduszkami, niewątpliwie naturalnego pochodzenia. Album przez lata wypłowiwał i trochę zalatywał stęchlizną, ale widząc go, znowu pomyślałam, że kiedyś był naprawdę piękny.

Nie mogłam się powstrzymać, wyjęłam go, usiadłam na podłodze oparta plecami o kredens i zaczęłam przeglądać fotografie.

Oto my, Harry i ja, w dniu ślubu. Wyglądaliśmy tak młodo! Tak młodo i zdrowo! Ja dosłownie promieniałam radością, a on miał minę kota, któremu dano śmietankę. Był taki przystojny. Znowu on, okutany we wszystko, co miał, podczas naszego lodowatego miesiąca miodowego w Szkocji. Tu ja, w ciąży, ubrana w trykot, wyglądałam jak pyton, który połknął wielką piłkę. Kwitłam. Po prostu kwitłam. I Harry trzymający Monty'ego tuż po urodzeniu; pojedyncza łza spływa mu po nosie, a cała reszta twarzy to jeden wielki uśmiech szczęścia.

Większość zdjęć przedstawiała Monty'ego, to pewnie normalne w wypadku jedynaka. Rodzina Harry'ego prawie się nie pojawiała, poza jednym dziwnym zdjęciem, zrobionym podczas bożonarodzeniowego przyjęcia na początku lat dziewięćdziesiątych. Moi bliscy prawie na każdej fotografii wyglądali jak cyrkowi klauni. Zapomniałam o fazie w życiu taty, kiedy z upodobaniem nosił obszerne pirackie koszule. Dlaczego był w nich na aż tak wielu zdjęciach? Czemu nigdy niczego nie wyrzucał?

Kiedy tak przewracałam kolejne strony albumu, coś nie dawało mi spokoju. W końcu uświadomiłam sobie, co to, i zabolalo tak, że z trudem złapałam oddech. O ironio, chodziło o śmiech. Niemal na każdym zdjęciu się śmialiśmy. Nie uśmiechaliśmy się, jak to zwykle do fotografii, tylko naprawdę się śmialiśmy.

Jedno z ujęć przedstawiało Harry'ego, Monty'ego i mnie siedzących na kamienistej plaży w Norfolk. Monty miał na oko jakieś jedenaście lat, więc prawdopodobnie było to w czasach, kiedy Harry pracował jeszcze jako prawnik i pojechaliśmy do Cromer na długi weekend, zabierając ze sobą

Poppy. Ustawiła nas razem, ale gdy tylko nacisnęła migawkę, Monty'emu kulki lodów spadły z waflowego rożka i udało jej się uchwycić wyraz przerażenia na twarzy chłopca. Zrobiła jeszcze jedno zdjęcie, parę sekund później, kiedy Harry i ja pokładaliśmy się ze śmiechu, a Monty bezskutecznie próbował zachować powagę.

Na tym zdjęciu Harry jest zwrócony do mnie, trzyma rękę na moim ramieniu i nachyla się do mojej twarzy, a ja ściskam go za kolano i oboje jesteśmy kompletnie wykończeni.

To był cudowny weekend. Nie przychodziło mi do głowy ani jedno złe wspomnienie, które by zmyliło tamte chwile.

- Byłeś szczęśliwy - szepnęłam, przesuwając końcami palców po ustach Harry'ego. Nie wyglądał na tym zdjęciu na mężczyznę, któremu siedząca obok kobieta podcina skrzydła. Był naprawdę szczęśliwy. Wszyscy troje byliśmy szczęśliwi. I jeśli dziś uważał, że było inaczej, to znaczyło, że zmienia historię, że się myli. Te zdjęcia stanowiły dowód.

Mógł się teraz odsunąć ode mnie. Ale nie mógł się odsunąć ode mnie z tamtego okresu. To odkrycie z jakiegoś powodu sprawiło, że poczułam się odrobinę lepiej. Chyba potwierdziło to, w co zawsze wierzyłam: że ważne, by wiedzieć, że jest się szczęśliwym, bo przecież można być szczęśliwym i nie zdawać sobie z tego sprawy. Każdy głupi mógł popatrzeć na te zdjęcia i zobaczyć, jak dobrze nam było razem. Wtedy obojgu nam było dobrze. Harry, choć zmienił orientację, tego nie mógł zmienić. Przynajmniej dla mnie. Miałam rację...

Rzecz jasna to nie powstrzymało łez, spływających mi po nosie, który nagle wypełnił się ostrym zapachem spalonego masła i cukru.

Zmarnowałam kolejne ciasto.

Co więcej, kiedy zajrzałam do lodówki, żeby sprawdzić, czy mam dość malin, by zacząć jeszcze raz od nowa,

zobaczyłam, że to, co kupiłam wcześniej, wcale nie było kwaśną śmietaną, tylko twarożkiem wiejskim, którego nie znosiłam i który z pewnością nie nadawał się do dekoracji jakiegokolwiek upieczonego przeze mnie tortu. Nawet spalonego.

Jako kucharka poniosłam więc klęskę, ale ten dzień był męczący i czułam się zupełnie wyczerpana. Doszłam do wniosku, że jeszcze pożyję, jeśli nie bardzo długo, to przynajmniej tyle, by kiedy indziej coś upiec. Wczołgałam się do łóżka, gdzie mimo wyczerpania moje myśli przeskakiwały od tragedii, jaką był rak, do spalonych wypieków, od osieroconych przez matki synów do nieodwzajemnionej miłości, jednak nad ranem w końcu zapadłam w sen.

Następnego ranka pełna świeżego wigoru wstałam i wyruszyłam do Tesco, zanim jeszcze pojawił się Will, a Monty i Crystal obudzili. Nie mogłam się poddać, musiałam upiec to ciasto. Nawet jeśli by mnie to miało zabić. Musiałam je zrobić. Musiałam poczuć jego smak.

W supermarkecie guzdrałam się niepotrzebnie pomiędzy półkami, tracąc czas na porównywaniu zawartości tłuszczu w różnych rodzajach chipsów i ściskając każde awokado, chociaż było widać, że żadne nie jest dojrzałe.

W drodze do domu napotkałam Whiffy'ego O'Farrella grzebiącego w śmietniku na Formosa Street. Zatrzymałam się i poczęstowałam go bananem, na którego spojrział z pewnym rozczarowaniem, ale nie było mowy, żebym mu oddała śmietanę.

Pogwarzyliśmy chwilę, chociaż to chyba głównie ja mówiłam, jeśli nie wyłącznie, a potem znienacka wypaliłam, że jestem zakochana w mężczyźnie, który jest dla mnie stanowczo za młody.

- Skradam się wokół własnego domu, żeby na niego nie wpaść, ponieważ on u mnie pracuje - powiedziałam. - Poza

tym, i to cię na pewno rozśmieszy, według specjalistów mam raka okrężnicy.

Prawdę mówiąc, powiedzenie tego na głos nie było aż tak trudne, jak sądziłam, choć nadal wydawało się równie niewiarygodne. Wtedy Whiffy, niech go Bóg błogosławi, puścił na wpół rozwalony wiklinowy kosz, który próbował wyciągnąć spomiędzy zgniecionego roweru i splątanego przedłużacza, i z powagą oddał mi banana.

Wróciłam do domu i upiekłam doskonałe ciasto. Jednak kiedy oblizalam łyżkę i pomyślałam, że czuję w polewie sól z moich łez, wiedziałam, że życie w beztroskim świecie, w którym nie robiłam nic poza tym, że chodziłam do supermarketu i zwierzałam się bezdomnym, jest bardzo miłe, ale nadszedł czas zmierzyć się z prawdziwym życiem, a raczej z tym, co mi z niego pozostało.

A nie byłam w stanie zmierzyć się z tą najfatalniejszą z rzeczy sama. Dlatego nadszedł czas, by pojechać do Tannington Hall i powiedzieć mojej rodzinie, co się dzieje.

Poza wszystkim, choć nie wiedziałam, w jakich kręgach obraca się Whiffy, nie mogłam być pewna, że nie ma jakiegoś kontaktu z moimi bliskimi. Byłoby okropne, gdyby usłyszeli tę bolesną wiadomość od kogoś innego zamiast ode mnie, a przecież w życiu zdarzały się jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Whiffy O'Farrell:

Ta ciemnowłosa pani ze sklepu z antykami dała mi banana i powiedziała, że jest zakochana w jakimś młodym facecie i że ma raka.

Powiedziała, że myśli, że mnie to rozśmieszy, ale nie wiem dlaczego, bo jej to jakoś nie śmieszyło. Wydawała się smutna. Dlatego oddałem jej banana.

Żałowałem, że nie mam jakiegoś ciasta, żeby jej dać, ale miałem tylko pół kebaba i puszkę ciepłej dietetycznej coli,

choć później tego dnia, to był chyba ten dzień, znalazłem koszyk, który bardzo szybko dał się naprawić.

Od dawna nie byłem w nikim zakochany, ale nie pamiętam, żeby to było śmieszne. I wiem, co się dzieje, kiedy ludzie mają raka. To też nie jest śmieszne.

Chyba cię nie wypłoszyliśmy? - spytał Will ze smutnym uśmiechem, przyłapawszy mnie, kiedy nieco później cichcem schodziłam po schodach z torbą podróżną. Odgłosy budowy ucichły, więc sądziłam, że sobie poszedł, ale nie, był na miejscu, pachniał wanilią, tylko z lekko cytrynową nutą. Nie mogłam na niego spojrzeć, oczy same uciekały mi w bok, co rusz lądując na Stanleyu, który robił się coraz bardziej zdenerwowany od tej dziwnej lustracji.

- Jadę odwiedzić rodziców - zwróciłam się do pustej przestrzeni, gdzie kiedyś była ściana pomiędzy pokojem telewizyjnym Monty'ego i holem. - Muszę z nimi o czymś porozmawiać. Niezbyt długo. Ale jednak, rozumiecie.

Mówiłam, jakbym miała dwanaście lat. To było okropne.

- A jak tam rury? - zapytałam, próbując wrócić do normalności.

- Rury? Cóż, na razie ich nie tykamy. Jesteśmy zajęci czym innym. Najpierw musimy się uporać z grzybem.

- No tak, oczywiście. - Zupełnie zapomniałam o grzybie.

- Wezwaliśmy kolegę Stana, żeby się wypowiedział jako fachowiec - dodał Will. - Pomyślałem, że może zechcesz się z nim zobaczyć i posłuchać?

Pokręciłam głową.

- Straszny z niego gaduła - zaśmiał się Stanley. - Potrafi człowieka zagadać na śmierć.

- Ale miał kilka pomysłów, dzięki którym można by zaoszczędzić trochę pieniędzy, jeśli nie czasu - przypomniał mu Will. - Dobra wiadomość jest taka, że grzyb zaatakował jedynie fundamenty przy kuchennej kanalizacji i legary powyżej, więc musimy tylko wyciąć uszkodzone fragmenty z metrowym naddatkiem, żeby mieć pewność, że dalej się nie rozprzestrzeni.

Kiedy go słuchałam, nagle przyszło mi do głowy, że dom też jakby miał tę cholerną „odrę”. Zaczęła się w legarach i rozsiewała swoją truciznę po całym tym bezpiecznym, solidnym miejscu, zagrażając jego istnieniu.

Ten gaduła, który może zagadać na śmierć, w istocie był palcem w rękawiczce, wsuwającym się do piwnicy i oceniającym, jak długo mój dom pożyje.

Cóż to za świat, w którym niczego nie można być pewnym?

- Ale czy to nieuleczalne? - spytałam bez zastanowienia. - Ten grzyb? Jest nieuleczalny?

- Nieuleczalny? - powtórzył Will.

- Co pani rozumie przez nieuleczalny? - spytał Stanley, podczas gdy ja, stojąc na schodach, trzęsłam się jak galareta.

- Rozumiem nieuleczalnie śmiertelny! - wyrzuciłam z siebie. - Nie mogę mieć nieuleczalnego grzyba w domu Rose, po prostu nie mogę. Ten dom jest... jest... jeśli to nieuleczalne, to nie mogę tu otworzyć herbaciarni. To by nie miało sensu, żadnej przyszłości. Byłoby kompletną stratą czasu. I pieniędzy. Pieniądzy, których nawet nie mam. A kto wie, czy herbaciarnia jest... Teraz nie wiem, jak miałyby się to udać. Nie, zupełnie tego nie widzę. Myślę, że musimy dać sobie spokój. Muszę to jeszcze raz przemyśleć. Teraz zdaję sobie sprawę, że herbaciarnia to dla mnie za duże przedsięwzięcie. Prawdopodobnie i bez tego nieuleczalnego grzyba byłoby za duże, ale z nieuleczalnym grzybem to tym bardziej nedorzeczne. Nie mogę. Po prostu nie mogę. Nie, nie, myślę, że powinniśmy natychmiast przestać.

Rozejrzałam się po panującym wokół bałaganie, odsłoniętych rurach, porozwalanych ścianach, odłazących tapetach, kurzu. Co ja zrobiłam? Klapnęłam ciężko na schodek, zdumiona własnym niedawnym entuzjazmem. Co ja sobie wyobrażałam?

Will i Stanley wymienili skonsternowane spojrzenia.

- Cóż, Florence, naprawdę nie ma powodu do paniki. Nie ma czegoś takiego jak nieuleczalny grzyb - powiedział ostrożnie Will. - Cały dom nie jest zagrzybiony. Tylko niektóre elementy, a te możemy wymienić. To naprawdę nie jest wielki problem. Powiedziałbym, że raczej średni. Wręcz pomiędzy małym a średnim. I możemy go całkowicie rozwiązać. Słowo. Nie ma w nim nic śmiertelnego.

- Zgadza się - poparł go Stanley. - Najlepiej słuchać fachowca.

- Jeśli już, to można by tak zrobić, że dom byłby mocniejszy niż przed rozpoczęciem przebudowy - ciągnął Will - ale to by sporo kosztowało, a wiemy, że to mogłoby być dla ciebie trudne, więc przerzucamy się ze Stanem różnymi pomysłami - a Sid, ten gaduła, nam pomaga - żeby znaleźć najlepsze rozwiązanie.

- Do wykonania mniejszym kosztem - wtrącił się znowu Stanley.

- Właśnie, bo jest dla nas jasne, że nie ma czegoś takiego jak nieuleczalny grzyb, Florence - powtórzył Will. - Herbaciarnia to wspaniały pomysł. Jest w tym sens, oczywiście, że jest. I jest przyszłość. To wcale nie jest niedorzeczne.

Spojrzałam na niego, tylko przelotnie, i myślałam, że mi serce pęknie. Herbaciarnia była ponad moje siły, niezależnie od istnienia lub nieistnienia grzyba, podobnie jak widywanie Willa, wdychanie jego zapachu, wyobrażanie sobie naszego wspólnego życia, które nigdy nie będzie nam dane.

- Przykro mi - powiedziałam, wstając ze schodów. - To się po prostu nie uda. Chodzi mi o pieniądze, nie ma mowy... Ja po prostu nie... Obaj byliście bardzo mili i pomocni, ale przykro mi. - Jak przystało na dojrzałą trzydziestodziewięciolatkę zbiegłam ze schodów, zostawiając

ich obu w stanie osłupienia, i wskoczyłam do swojego wysłużonego golfa.

Przeplakałam całą drogę do Suffolk; kiedy pędziłam M11, siedzący obok Sparky przez chwilę wtórował mi współczującym wyciem. To takie niesprawiedliwe! Jak miałam sobie poradzić z tymi wszystkimi nieszczęściami? Jak jedna osoba miała... o mój Boże, pomyślałam tuż przez zjazd do Newmarket. To był początek kolejnej potrójnej serii! Najpierw była trójka praca - mąż - syn, a teraz dom - z - grzybem no i ja - z - moim. Co oznaczało, że czeka mnie jeszcze jedna zła rzecz. Niepojęte! Sama zawyłam, aż zdumiony Sparky gwałtownie zamilkł. Sprawiał wrażenie urażonego, bo pokazałam, że potrafię być jeszcze bardziej ponura niż on.

Moje wycie przeszło w czkawkę przed Bury St Edmonds, a kiedy wjechałam w alejkę prowadzącą do Tannington Hall, wzięłam się już mocno w garść.

Uchwyt jednakowoż nieco zelżał, kiedy zatrzymałam samochód na podjeździe.

Stała tam karetką, z otwartymi tylnymi drzwiami, pusta. Drzwi wejściowe do domu huśtały się na zawiasach, poruszane lekkim wiatrem.

Zła rzecz numer trzy? Scena druga? Tak szybko?

Sparky ułożył się na przednim siedzeniu i zakrył sobie łapą oczy.

Żałowałam całym sercem, że nie mogę zrobić tego samego.

Kiedy ruszyłam od samochodu w stronę domu, ogarnął mnie jakiś dziwny, nienaturalny spokój. Moje własne troski ukryły się gdzieś w piwnicy na łąki, zepchnięte w odległy kąt tym, co mogła zwiastować obecność karetki.

Takie momenty mówią człowiekowi bardzo wiele o nim samym, o jego losie. Długo żartowałam, że tak naprawdę nie

pasuję do swojej rodziny. Tak robi ktoś, kto się czuje jak outsider i chce uśmierzyć wynikający z tego ból. Jednak kiedy przemierzałam susami pusty hol, zaglądałam do opuszczonej kuchni i biegłam po mrocznych schodach, zdałam sobie sprawę, że bez tych trojga bym zginęła. Zwłaszcza teraz. Byli stuknięci, to fakt, ale nagle potrzebowałam ich jak jeszcze nigdy dotąd. Pomijając sposób ubierania się i zamiłowanie do soczewicy, byłam jedną z nich, każde z nas stanowiło część tej samej całości. Jeśli coś się działo ze mną, to działo się także z nimi, a jeśli coś się działo z nimi, to vice versa, jakkolwiek mnie samej przydarzyło się wystarczająco dużo, ale mimo to... Razem może bylibyśmy w stanie poradzić sobie z najgorszym, co zamierzał nam zgotować los. Nawet jeśli jedno z nas uważało, że wegetariańskie hamburgery smakują jak mokry papier toaletowy, a pozostała trójka twierdziła, że sól jest wymysłem diabła.

- Mamo, tato! - zawołałam w górę schodów. - Mamo!

Musiało chodzić o nią, byłam pewna. „Odra” musiała najpierw ją zaatakować. Miałyśmy to w genach, naszych cholernych zatrutych genach; mama nigdy nie miała kamery w okężnicy i prawdopodobnie nastąpiły już przerzuty, a ona nawet o tym nie wiedziała, teraz już za późno, a ja byłam taką okropną córką. Taką niewdzięczną dziewczyną, kobietą, istotą.

Wtedy ukazała się u szczytu schodów; wyglądała przerażająco krucho, jak na nią. Nie było śladu po posturze joginki, ramiona jej opadły, przez co wydawała się tak mała, że wręcz trudno ją było rozpoznać, nawet w obszernej marszczonej bluzce. Na jej ładnej twarzy widać było troskę, a organiczny tusz do rzęs, który zawsze miał tendencję do rozmazywania się, zostawił czarne grudki pod oczami.

- Och, Effie! - zawołała, wybuchając płaczem. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Nie dzwoniłiśmy do nikogo.

Objęłam ją, co bynajmniej nie zdarzało mi się często, a wtedy przywarła do mnie, jakby już nigdy nie zamierzała mnie puścić.

- Co się stało? - wyszeptałam łamiącym się głosem. - Coś z tatą?

Był taką ostoją, mój tata. To znaczy właściwie nie robił prawie nic poza tym, że zgadzał się z matką, niezależnie od tego, jakie absurdy mu wmawiała, ale ostatecznie cóż w tym złego? Był szczęśliwy, kiedy ona była szczęśliwa. A szczęśliwy był prawie zawsze. Bez niego...

W tym momencie jednakowoż wyszedł z narożnej łazienki, jak najbardziej żywy i nawet wyprostowany. On także płakał.

- Och, Eff! - westchnął załamany. Och, Beth! - Stanął za matką i objął nas obie niedźwiedzim uściskiem. - Twierdzą, że z tego wyjdzie - powiedział z ustami we włosach mojej matki. - Uważają, że zjawili się w ostatniej chwili. Według nich wszystko będzie dobrze. Och, Beth! - zapłakał, jakby serce miało mu pęknąć.

Odsunęłam się od nich, a wtedy jeszcze mocniej do siebie przyłgnęli, trzymając się nawzajem kurczowo, jakby każde powstrzymywało to drugie przed zsunieniem się z urwiska.

Dopiero wtedy usłyszałam szmer ściszonych głosów dobiegający z łazienki i jak we śnie, a raczej w sennym koszmarze, ruszyłam wolno w stronę otwartych drzwi. Kiedy zajrzałam do środka, wszystkie moje lęki o siebie, o moje zdrowie i przyszłość, rozwiały się bez śladu.

Można by pomyśleć, że jako ktoś, komu często zdarzają się nieszczęścia, powinnam do nich przywyknąć. Ale do czegoś takiego człowiek chyba nigdy nie przywyka. Chyba w nas wszystkich, ale może szczególnie we mnie, jest coś, co podświadomie sumuje wszystkie złe rzeczy, jakie już się zdarzyły, i dochodzi do wniosku, że gorzej być nie może.

Przypuszczam, że właśnie to nie pozwoliło mi strzelić sobie w głowę, kiedy Harry mnie zostawił i dlatego byłam cała i zdrowa (niezupełnie, jak się okazało), dowiedziawszy się o Crystal, potem o „odrze”, a na koniec, choć prawdopodobnie to jeszcze nie koniec, o Poppy.

Kiedy ja wydeptywałam ścieżkę pomiędzy moim domem i Tesco w Londynie, próbując zrobić ciasto, żeby oderwać myśli od tego, że nie mogę mieć romansu z Willem i nie pożyję zbyt długo, moja biedna droga siostra podjęła znacznie bardziej zdecydowane działania.

Leżała w wannie, która w górnej łazience Tannington Hall usytuowana była dramatycznie na środku pomieszczenia, a po obu jej stronach klęczeli ludzie z karetki. W wannie nie było wody; biały ręcznik, którym przykryto Poppy, miejscami zabarwił się na różowo. Jeden z nadgarstków miała grubo owinięty kremowym bandażem, drugim zajmował się sanitariusz.

Leżała z głową odchyłoną do tyłu, opartą o krawędź staroświeckiej wanny na zwierzęcych łapach. Mimo zamkniętych oczu łzy spływały jej po białych, bardzo białych policzkach. Wydawało się, że jej zwariowane piegi fruwały nad przeraźliwie smutną twarzą.

- Poppy? - Byłam tak wstrząśnięta, że z trudem przypominałam sobie jej imię. Naprawdę było aż tak źle? Moja wesoła mała siostrzyczka, światło życia dla tak wielu osób?

Uklęłam obok niej, sanitariusz odsunął się, żeby mi zrobić miejsce. Wzięłam ją za rękę, tę z zabandażowanym przegubem. Miała lodowato zimne palce. Ścisnęłam je tak delikatnie, jak tylko się dało.

- To ja, Poppy. Florence.

Otworzyła oczy i wolno odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Łzy nadal płynęły.

- Za trudno, Flower - powiedziała słabym, zmęczonym głosem. - Za trudno.

Zobaczyłam, że jeden z ratowników unosi brwi, mocując bandaż na drugim nadgarstku, i przez moment byłam zła, tak bardzo, że mogłabym rozciąć jemu nadgarstek za to, że pozwolił sobie na niestosowny grymas. Ale wtedy spojrział na mnie z takim współczuciem, że cała moja złość spłynęła do rury ściekowej wraz z resztkami zabarwionej na różowo wody.

- Już dobrze, skarbie - powiedziałam, całując palce Poppy, tak samo, jak kiedy była mała i ją uwielbiałam. - Już dobrze. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Możemy pomóc ją wyciągnąć, jeśli pani chce - zaproponował drugi z sanitariuszy.

- Nie, ja to zrobię - powiedziałam. - Dziękuję, ale ja to zrobię. Zrobimy to z mamą.

Wszystko będzie dobrze, mówiłam sobie, ściskając rękę Poppy i patrząc, jak ratownicy pakują swoje rzeczy. Wszystko będzie dobrze. Dopilnuję, żeby było dobrze.

Beth:

Serce zawsze mi bije szybciej, kiedy widzę Florence. Wierzę, że po to właśnie są serca matek. Ale kiedy weszła po schodach tamtego strasznego dnia, gdy Poppy ogarnęła ciemność, pomyślałam, że chyba nigdy wcześniej w życiu na niczyj widok nie byłam tak szczęśliwa, włączając Boba Dylana podczas światowego tournée w sześćdziesiątym szóstym.

Moje dziewczęta bardzo się różnią pod wieloma względami, ale zawsze były sobie bliskie. Florence kochała Poppy od momentu, gdy się urodziła - mogę dodać, że szybko i bez interwencji medycznej. Zawsze była wobec niej bardzo opiekuńcza, a prawda jest taka, że Poppy potrzebuje, by się

nią opiekowano. Jest taka wrażliwa. Nie potrafi sobie radzić z codziennymi przeciwnościami losu, wszystkie ciosy przechodzą przez jej cienką skórę i trafiają prosto w serce.

Ten mężczyzna z kursu czytania z twarzy miał żonę w Swingleton Green! Nie uznaję przemocy, ale mogłabym go walnąć w głowę kijem do krykieta, kiedy biedna Poppy wróciła do domu i powiedziała nam, że jest żonaty. Widziałam, że niewiele brakuje, by ta ostatnia kropla przelała puchar goryczy, dlatego z Archie'm uważnie obserwowaliśmy naszą kochaną córeczkę, choć, jak się okazało, nie dość uważnie.

Później, kiedy karetka już przyjechała, nie wiedziałam, jak we dwójkę damy radę pomóc Poppy, naprawdę nie wiedziałam. Archie był w zupełnej rozsypce, a i mnie niewiele brakowało. Co mieliśmy zrobić, żeby ratować nasz skarb?

I wtedy Florence pojawiła się na szczycie schodów, niczym anioł.

Nadal trzymałam Poppy za rękę, kiedy sanitariusze zabrali swoje walizeczki i wyszli. Po chwili wróciła mama, z fałszywie promiennym wzrokiem, bez smug tuszu pod oczami, i razem wyciągnęłyśmy z wanny moją młodszą siostrę, wytarłyśmy ją dokładnie, by nie został żaden ślad po jej rozpaczliwej próbie, poza wiele mówiącymi opatrunkami, po czym ubrałyśmy ją w białą flanelową koszulę nocną w wielkie pomarańczowe kwiaty, którą sama uszyła jeszcze w szkole w ramach zajęć praktycznych.

Poppy pozwoliła nam się zaprowadzić do swojego pokoju i położyć do łóżka, pod którym leżał już Sparky, z miną moim zdaniem stanowczo zbyt współczującą. Poppy, która zwykle go tuliła, ledwie na niego spojrzała; wsunęła się pod kołdrę i skuliła z ciężkim westchnieniem, od którego omal nie pękła nadwerężona czuła struna w moim sercu.

- Damy ci odpocząć, kochanie - powiedziała mama łagodnym tonem, stawiając na nocnym stoliku buteleczkę z lekarstwem.

- Chyba że chcesz, żebyśmy zostały.

- Chcę, żeby Effie została - odrzekła słabym głosem Poppy.

- Położysz się koło mnie, Eff?

Wolałabym pójść z mamą. Chciałam się dowiedzieć, jak to się stało, dlaczego moi rodzice nie zauważyli, że się na to zanoszą. Chciałam krzyknąć i tupnąć z gwałtownej, nieopanowanej złości na Poppy, że była tak głupia, tak samolubna, tak cholernie nonszalancka, nie szanując swojego cennego życia, ale oczywiście tego nie zrobiłam. Zrzuciłam z nóg buty i wsunęłam się obok niej pod kołdrę. Sięgnęła po moją dłoń, więc podałam jej obie, odwracając się na bok, żeby móc patrzeć w jej wielkie niebieskie oczy. Starłam się nie dotykać palcami bandaży na nadgarstku.

- Co się dzieje, Poppy? - spytałam tak łagodnie, jak tylko potrafiłam. - Dlaczego chciałaś zrobić coś tak strasznego?

- Jestem taka samotna, Florence - wybuchnęła, zalewając się łzami. - Jestem taka samotna. Nie mam kogo kochać. I nigdy nikogo takiego nie znajdę. Mieszkam tu z Beth i Archiem cały czas, ale oni mają siebie nawzajem, a ja nie mam nikogo. I nie mogę już tego znieść.

Byłam tak wstrząśnięta jej wyznaniem, że nie potrafiłam od razu odpowiedzieć. Wiedziałam, że bardzo chciała znaleźć sobie jakiegoś mężczyznę, „życiowego partnera”, ale ani przez moment nie sądziłam, że czuje się taka samotna. Poppy miała więcej przyjaciół niż ktokolwiek ze znanych mi osób. Kolekcjonowała ich, nawet tego nie zauważając. Matka jednego z kolegów Monty'ego, z którą Poppy rozmawiała przez pół godziny na jego szóstych urodzinach, co roku na Gwiazdkę przysyłała jej rosyjskie krówki. Schwagierka listonosza pisała do niej regularnie z Rye, po tym jak się poznały podczas jakichś wakacji przed laty. Entuzjaści jogi z całego świata korespondowali z nią na wszelkie możliwe sposoby, nie wyłączając parapsychologicznych. Nadal dwa razy do roku umawiała się na herbatę ze swoją wychowawczynią z przedszkola. Należała do każdego klubu w okolicy Tannington. Jak to możliwe, że ta niesłychanie lubiana, słynąca z radosnego usposobienia i entuzjazmu kobieta była tak samotna, że chciała umrzeć?

- Przecież masz mnóstwo miłości, Poppy - powiedziałam, choć wciąż byłam tak zaskoczona, że mój głos nie zabrzmiał odpowiednio przekonująco. - Wszyscy cię kochają. Musisz o tym wiedzieć.

- Nie chcę, żeby mnie wszyscy kochali! - załkała. - Chcę być kochana przez tego jednego wyjątkowego człowieka. Nawet gdyby to miało trwać tylko przez określony czas. Nie musi być na zawsze.

- Zaraz, zaraz, a co się stało z tym facetem, którego poznałaś na kursie czytania z twarzy? - spytałam. - Mama mówiła, że się z nim spotykasz i świetnie wam się układa.

- Ma uroczą żonę w Swingleton Green - chlupała Poppy. - I dwoje małych dzieci! O czym dowiedziałam się, dopiero kiedy trzy i pół raza uprawiliśmy seks. Kim trzeba być, żeby robić takie rzeczy, Effie? Mnie? Swojej żonie? Tym słodkim maleństwom?

- Och, Poppy. To wyjątkowy dupek. - Gdyby ten spec od czytania z twarzy znalazł się w moim zasięgu, przefasonowałabym mu gębę, nie zważając na jego uroczą żonę i słodkie maleństwa.

- Nieprawda - chlupała Poppy. - Jest taki sam jak wszyscy faceci, których poznałam. Wszyscy mają żony albo nie czują się gotowi na związek, albo chcą jedynie przyjaźni, albo są w nieodpowiednim stanie psychicznym, albo nasze biorytmy nie mogą się zsynchronizować. Zawsze coś jest nie tak, Effie, i ja wiem co. To ja. Ja stanowię problem. I nie chcę skończyć sama jak palec. Naprawdę nie chcę. Próbowалам się przygotować na taką ewentualność, wiesz, pozytywne myślenie, medytacje, wizualizacje - poszłam na trwające cały weekend warsztaty z wizualizacji, na miłość boską. Potrafiłam wizualizować lepiej niż wszyscy pozostali uczestnicy. Byłam w tym świetna - i co mi to dało? Nic! Nikogo! Wiem, że to dla ciebie straszne, bo Harry okazał się gejem i w ogóle, ale ty przynajmniej miałaś Harry'ego. Przynajmniej go miałaś. Przynajmniej to poznałaś. Przeżyłaś z nim te wszystkie cudowne lata i masz Monty'ego. - Zniosła się płaczem. - Kochanego, wspaniałego, pięknego Monty'ego.

Jeśli mogłam jeszcze w sobie znaleźć jakieś wolne miejsce na uczucia - a, co zrozumiałe, byłam w owym czasie przepełniona różnymi emocjami - natychmiast wypełniło się poczuciem winy.

Byłam tak zajęta uzalaniem się nad sobą, bynajmniej nie bez powodu, że nie zadałam sobie trudu, by docenić to, co zostało mi dane, mimo że już tego nie miałam. Poppy mówiła prawdę. Moje życie wprawdzie obróciło się w guano, ale miałam za sobą mnóstwo cudownych lat, kiedy wierzyłam, że jest idealne. I jak dowiódł ostatnio album ze zdjęciami, być może wcale nie byłam aż taka ślepa i niespełniona, jak sądziłam, kiedy Harry mnie opuścił. Byłam szczęśliwa i wiedziałam, że jestem szczęśliwa. Niektórzy ludzie dostają tego nie więcej niż pół godziny, a ja miałam te wszystkie lata. Jak się okazało, byłam jedynie ofiarą zmiany orientacji przez kogoś innego. Zanim to się stało, żyłam sobie szczęśliwie.

No i był kochany, wspaniały, piękny Monty.

- Tak, no cóż, kochany, wspaniały, piękny Monty obecnie się do mnie nie odzywa - wyznałam, myśląc, że może usłyszawszy to, Poppy poczuje się lepiej. - Jesteśmy, że tak powiem, zgodni co do tego, że nie zgadzamy się w kilku ważnych kwestiach. Crystal jest, oczywiście, jedną z nich, ale ja się staram, Poppy, z powodu tego, co powiedziałaś, naprawdę się staram. - To było kłamstwo, jednak w tamtym momencie podjęłam postanowienie, że odtąd będzie prawdą. - Tylko że on zrezygnował ze studiów ekonomicznych i chce być reżyserem filmowym, co my uważamy...

O Boże, te słowa zabrzmiały okropnie, wypowiedziane na głos. Jaką matką się stałam? Taką, która uparcie narzuca swoje zdanie dziecku mającemu marzenia i aspiracje. A kto wie, czy jego plany są nierównie sensowne? Ohyda.

- Jest takim wspaniałym chłopcem, jesteś szczęściarą, że go masz - powiedziała Poppy przez łzy.

Mogłam ją jedynie uścisnąć, bo miała rację. Monty był wspaniałym chłopcem, a ja byłam szczęściarą, że go mam.

- Prawdę mówiąc, nie zależy mi już tak bardzo na życiowym partnerze - chlipała - ...ale chcę mieć dziecko, Effie, bardzo, bardzo chcę mieć dziecko.

Poppy zawsze fantastycznie dogadywała się z dziećmi i wiedziałam, że pewnego dnia jak każda kobieta zapragnie je mieć, ale nie sądziłam, że to dla niej sprawa życia lub śmierci.

- Małą dziewczynkę. Chcę mieć małą dziewczynkę. Wyobrażam ją sobie, Effie, naprawdę ją widzę. Mogę o niej myśleć całymi dniami, śnię o niej po nocach. Jest taka piękna, taka niesamowicie piękna. Idealna. Poczułam gęsią skórkę. Ja też potrafiłam sobie wyobrazić małą rudowłosą dziewczynkę w ramionach mojej siostry.

- A potem każdego ranka budzę się i jej nie ma, jestem sama, nie ma żadnego dziecka. Przez większość dni jestem w stanie oddychać, uśmiechać się, powtarzać sobie „dasz radę”. Wyobrażam sobie, że wstaję i jestem pozytywnie nastawiona do świata, po czym stawiam stopy na podłodze, podnoszę się, robię ćwiczenia pilates, jem świeże musli Birchera na śniadanie i zajmuję się swoimi sprawami. Ale nie każdego dnia, Effie. Nie codziennie. Czasami jest mi za ciężko i nie mogę. I nie mogę sobie wyobrazić, że tak będzie dalej, a dziś był jeden z takich dni.

Znałam to uczucie. Sama ostatnio miałam takie dni, kiedy czułam się samotna i przerażona. Miałam poczucie, że moje życie jest zbyt trudne i łatwiej byłoby się z niego wymknąć, niż trwać w nim nadal.

Nie mogłam jednak znieść, że Poppy czuła tak samo.

Mimo sprawy z rakiem byłam silniejsza od mojej siostry. Chyba zawsze to wiedziałam, ale nigdy nie uświadamiałam sobie tego aż tak wyraźnie jak w tamtym momencie. Owszem, moje życie było w toalecie, dosłownie, ale choć ostatnio miałam bardzo trudny okres, szczególnie po telefonie od Młodego Nicka, tylko przelotnie wydało mi się tak ciężkie, że

nie do zniesienia. Choćby nawet zbliżało się do krawędzi, zawsze jednak mieściło się w granicach tego, z czym potrafiłam sobie radzić, mimo że nie chciałam sobie radzić, bo to, że muszę, uważałam za okrutne i niesprawiedliwe. Ale tak czy inaczej sobie radziłam. Nigdy nie było mi aż tak ciężko jak Poppy.

Zawsze była taka słodka, kochana, uprzejma i troskliwa dla każdego, z kim się zetknęła, ale teraz widziałam, że te same cechy charakteru, które kazały jej być tak oddaną innym, sprawiały, że sama nie potrafiła sobie radzić.

Leżałam, trzymając w ramionach moją biedną siostrę, tak bardzo nieszczęśliwą, że aż próbowała się zabić, i starałam się nie myśleć o chorej okrężnicy. Nie dość, że synchronizacja szwankowała, to według mnie biorytmy były całkiem spieprzone.

W końcu Poppy zasnęła, a ja przeleżałam obok niej jeszcze prawie godzinę, patrząc na jej długie jasne rzęsy na bladych policzkach, wdychając jej maślany oddech, ogarnięta uczuciem tak skomplikowanym, bolesnym i dziwnym, że nie umiałabym go określić słowami.

Wiedziałam tylko tyle, że bez Poppy świat byłby naprawdę ohydny miejscem. Potrzebowałam, żeby w nim była. Zawsze. Niezależnie od tego, jak długo miało to trwać i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Kiedy już zapadła w głęboki sen i posapywała jak szczeniak, wygrzebałam się z łóżka i zeszłam na dół do kuchni, bo wiedziałam, że mama z tatą będą tam na mnie czekać.

- Co z nią? - spytała mama. - Och, Effie, tak się cieszę, że tu jesteś. Oboje z twoim ojcem odchodzimy od zmysłów. Myślałam, że ma się lepiej, a ty, Archie? Jeszcze niedawno myślałam, że ma się lepiej.

Przysunęłam sobie krzesło i poczęstowałam się tym, co pili. Smakowało jak gin, tylko gorzej.

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedziałam, zaskoczona, że nie czuję do nich większej złości. - Co się dzieje? Co masz na myśli, mówiąc, że myślałaś, że ma się lepiej? Co jej jest?

- Nie mogę jej powiedzieć, Archie - jęknęła mama.

- Ty to zrób.

Tata podciągnął sztruksowe spodnie; jak na niego wyglądał dość konserwatywnie. Ale też staro, biedak. Tak mocno marszczył brwi, że okulary podjechały mu na nosie wyżej niż normalnie, przez co wyglądał jakoś obco.

Ręka mu drżała, kiedy podnosił kielich do ust, żeby się napić. Drżała też, kiedy odstawiał go na stół.

- Poppy ma depresję - powiedział z takim niedowierzaniem, że ogarnęła mnie czułość do niego. Tata żył w bańce idealnego szczęścia. - Wiesz, kliniczną depresję. Próbowaliśmy leków ziołowych i reiki, i w znacznym zakresie akupunktury, ale musieliśmy w końcu się zwrócić ku medycynie konwencjonalnej. Pigulek i tego wszystkiego - dodał, wciąż oszołomiony - od ostatniego razu.

- Ostatniego razu? - Byłam wstrząśnięta.

- Tabletki z żeń - szenia - wyjaśnił tata łamiącym się głosem.

- Około setki. W zeszłym roku, tuż po wyjeździe Monty'ego do Australii. Nie wspominaliśmy, bo nie chcieliśmy cię martwić.

- Rzucił mamie nerwowe spojrzenie, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze mówi. - Jest taka cholernie krucha, Effie, próbowaliśmy się nią opiekować, prawda, Beth, ale to nie takie łatwe. Ma taką szlachetną duszę.

- Czemu mi nie powiedziała? - Nie mogłam się otrząsnąć z szoku, a jednocześnie poczułam coś w rodzaju pretensji. - Jestem jej starszą siostrą.

Mama wydmuchała nos tak głośno, aż byłam zdumiona, że nie poodpadały jej uszy.

- Właśnie dlatego - odparła. - Jesteś jej starszą siostrą. Jest w ciebie zapatrzona, skarbie. Czuje, że nie może się z tobą równać. Nigdy nie mogła.

Równać się ze mną?

- Ale ja jestem beznadziejna! - wykrzyknęłam. - Moje małżeństwo się rozpadło, podobnie jak moje relacje z synem i większość ścian w moim domu. A na domiar złego...

Cholera.

Rodzice patrzyli na mnie, oboje tacy skurczeni i przytłoczeni smutkiem; nagle zrozumiałam, że nie mogę im powiedzieć o „odrze”. Krzepcy? Co, u licha, dało mi takie wrażenie? Ci dwoje byli delikatni jak wata cukrowa. To by ich załamało. Nie mogłam zrzucić swojej bomby, kiedy byli najwyraźniej ogłuszeni tym, że moja młodsza siostra leży tam na górze z zabandażowanymi nadgarstkami.

- Na domiar złego co? - zainteresowała się matka.

- No właśnie, kochanie, co jeszcze? - Puchar trząśł się w rękach taty.

Kochałam ich. Naprawdę, szczerze, ogromnie ich kochałam. Wykonywali kawał dobrej roboty, opiekując się Poppy, bo przecież moja siostra potrzebowała ich znacznie bardziej niż ja. Ja, w przeciwieństwie do niej, potrafiłam sobie radzić sama. W końcu udawało mi się to do tej pory, czyż nie? Zamierzałam im powiedzieć, oczywiście, ale postanowiłam z tym poczekać, aż trochę ochłoną po szoku wywołanym samobójczą próbą Poppy. Kiedy to wydarzenie odejdzie już w przeszłość, przestanie być świeżą tragedią, a stanie wspomnieniem przywoływanym szeptem w nocy lub ukradkowym spojrzeniem pomiędzy nimi dwojgiem, wymienionym przy stole podczas śniadania.

- Dom ma zagrzybione fundamenty - odpowiedziałam dość niezdarnie. - Wiem, że to się wydaje głupie w porównaniu z tym, co przeszła Poppy, ale chodzi o to, że legary się rozsypują i wymagają naprawy, bo inaczej całość może się zawalić, a to będzie kosztowało kupę pieniędzy i tyle, naprawdę...

Rodzice spojrzeli na siebie, wyraźnie rozpromienieni; mogłabym przysiąc, że każdemu z nich przybyło po jakieś pięć centymetrów. Można by pomyśleć, że właśnie ode mnie usłyszeli, że przeszłam na hinduizm i mam zamiar zamieszkać w aśramie w Goa.

- Jeśli potrzebujesz pieniędzy, kochanie, to nie ma żadnego problemu - powiedział ojciec, nie kryjąc zachwyty.

- Właśnie, wyciągaj książeczkę czekową, Archie! - podchwyciła radośnie mama.

Nie takiej reakcji się spodziewałam. Oczekiwałam, że odetchną z ulgą, słysząc, że sprawy sprzysięgły się przeciwko temu, bym zamieniła swój dom w miejsce, do którego mogliby gromadnie ściągać różni zboczeńcy, z ich upodobaniem do białego cukru, na swoją i bez wątpienia moją zgubę,

- Która szuflada? - zawołał ojciec z gabinetu.

- Ta, w której zawsze leży książeczka czekowa, Archie! - odkrzyknęła matka, wnosząc oczy ku niebu.

Nigdy wcześniej nie prosiłam rodziców choćby o pensa i robiąc to teraz, czułam się fatalnie. Należało raczej powiedzieć, że powinnam się czuć fatalnie, bo zawsze sobie wyobrażałam, że czułabym się fatalnie, ale tak naprawdę przecież wcale ich nie prosiłam. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby ich poprosić. Widząc, jaką im to sprawia przyjemność, siłą rzeczy musiałam się ucieszyć z ich radości.

Uświadomiłam sobie, że to był problem, który mogli łatwo rozwiązać, tak po prostu.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że starali się, jak tylko mogli, tak po ludzku pomóc Poppy, ograniczyć jej samotność, poprawić życie seksualne, dać jej to rudowłose maleństwo, o którym tak marzyła, ale byli bezsilni wobec postanowień złośliwego losu.

Natomiast wzmocnienie piwnic domu Rose, żebym mogła podawać herbatę Orange Pekoe i cytrynowe ciasteczka, chociaż już nie miałam takiego zamiaru, to była zupełnie inna sprawa.

- Ile to będzie kosztować? - spytał tata, teatralnym gestem zdejmując zatyczkę ze swojego antycznego wiecznego pióra i spoglądając na mnie promiennie znad okularów. - Dwadzieścia? Nie wydaje mi się, żebyś mogła odgrzybić dom za mniej niż dwadzieścia. -

- Cóż, budowlańcy mówią, że dziesięć... - zaczęłam.

- To znaczy, że możesz to pomnożyć razy dwa i dodać jeszcze dziesięć - zakpiła mama.

- W takim razie trzydzieści - zgodził się pospiesznie tata i ponownie wymienili z mamą tak triumfalne spojrzenia, że o mało ich za to nie skarciłam. Przecież nie byłam aż tak upartą starą kozą, żeby nigdy nie pozwolić sobie pomóc?

- Trzydzieści wystarczy aż nadto - oznajmiłam słabym głosem, po czym chwyciłam mój kielich i wypiłam do dna paskudny napój, który tworzył w żołądku coś w rodzaju kałuży. Gdyby wiedzieli... Pozwalałam, by mi pomogli, ale to nie była pomoc, jakiej od nich naprawdę potrzebowałam.

Wzięłam czek, ucałowałam ich oboje, po czym powlokłam się na górę i weszłam z powrotem do łóżka mojej biednej, smutnej, kochanej siostry.

Poppy:

Mogłam znów umrzeć, ale tym razem jak należy, kiedy Effie weszła do łazienki. Pewnie pomyślała, że jestem

strasznie głupia. I miałyby rację. W jej życiu dzieją się takie rzeczy, a ja tu muszę robić zamieszanie o takie głupstwo jak brak chłopaka.

Tylko że dla mnie to wcale nie takie głupstwo. Naprawdę potrzebuję chłopaka, żeby mi zrobił dziecko. Zawsze starałam się dawać światu tyle światła, naprawdę się starałam, tylko że znów nie udało mi się przyciągnąć do siebie odpowiedniego rodzaju światła.

Myślałam, że Gideon, czytający z twarzy, jest owym właściwym mężczyzną, moją przyszłą siłą. Był taki miły i troskliwy, do tego delikatny i świetny w łóżku. Zbierał dla mnie polne bratki, zabierał mnie na pikniki z trzema rodzajami kanapek z kiełkami i robił mi cudowne masaże ekologicznym olejkiem jojoba.

Któregoś popołudnia leżeliśmy na łące, śmiejąc się z chmur, trzymaliśmy się za ręce i rozmawialiśmy o tym, czego chcemy od życia. Było tak pięknie. Miałam wrażenie, że panuje między nami szczerłość i nadzieja. I, cholera jasna, ani razu nie wspomniał o żonie i dwóch córkach.

Jak miły, troskliwy i delikatny mężczyzna może zrobić coś takiego? Wiedział, że szukam życiowego partnera, wiedział, jak bardzo pragnę mieć dziecko, a mimo to leżał ze mną w tej wysokiej trawie i udawał, że wyobraża sobie naszą wspólną przyszłość. Czy coś jest nie tak ze mną, czy była to najokrutniejsza rzecz, jaką sobie można wyobrazić?

Spotkałam jego żonę na warsztatach poświęconych metodzie Feldenkraisa w Sudbury, tak się właśnie o niej dowiedziałam. Należała do tych cudownych wysokich jasnowłosych tryskających energią kobiet o perfekcyjnie utrzymanym ciele i postawie wojowniczkii. Opowiadała mi o swoim mężu, który kolekcjonuje pierwsze wydania komiksów z przygodami Tintina, a ja od razu wiedziałam, że chodzi o Gideona, no i oczywiście tak było.

Przyjechał po nią samochodem, z dwiema małymi dziewczynkami, a kiedy mnie zobaczył, nawet nie sprawiał wrażenia zaskoczonego ani zmartwionego. Przesunął po mnie wzrokiem, jakby w ogóle mnie tam nie było i wtedy zrozumiałam, że to wszystko było jednym wielkim kłamstwem i że jest dokładnie taki sam jak tkacz Bruno, kowal Jimmy i Gerard, który prowadził antykwariat w Bury St Edmonds.

Wszyscy oni mówili jedno, a chodziło im o drugie, czego nie mogę zrozumieć, chociaż nie wiem jak bym się starała. Czy tylko mnie ci pozornie uroczy mężczyźni mówią takie okropne kłamstwa, czy też okłamują wszystkich, jak leci?

Na świecie są dobrzy mężczyźni, wiem. Tata jest dobry. Harry także. Monty jest dobrym mężczyzną. To już trzech w samej mojej rodzinie. Więc gdzie się podziała cała reszta?

Zostałam w Tannington Hall jeszcze kilka dni, ponieważ Poppy, mama i tata, każde z osobna, prosili mnie o to, a w zaistniałych okolicznościach trudno było odmówić. Poza tym bałam się spuścić z oczu moją siostrę. Nie sądziłam, żeby miała podjąć kolejną próbę samobójstwa, raczej już wydawała się zawstydzona tym, co zrobiła, ale była bardzo smutna.

Jednak kiedy rozmawialiśmy we dwie o różnych mało istotnych rzeczach, trochę się ożywiła. Widziałam, jak otaczająca ją mgła samotności i depresji nieco się unosi, a memu zbolątemu sercu dobrze robiła świadomość, że choć trochę mogę być pomocna.

W tej atmosferze utrzymywanie mojej własnej strasznej tajemnicy nie było aż tak trudne, jak mogłoby się wydawać. Słyszałam, że ludzie poharatani w groźnych wypadkach nie czuli od razu wszystkich swoich obrażeń, tylko te najgorsze: rany głowy górowały nad złamanymi nogami, a te z kolei odciągały uwagę od pękniętych nadgarstków; i nawet nie zauważano licznych powierzchownych urazów. Sądzę, że w moim wypadku stało się podobnie.

Byłam przerażona z powodu Poppy, przede wszystkim, a to osłabiało inne moje zmartwienia. Oczywiście nie zniknęły; czekały, aż mój lęk o siostrę nieco zelżeje, o czym dobrze wiedziałam, ale na razie, ilekroć spojrzałam na nią albo na rodziców, moje własne problemy odsuwały się na drugi plan.

Muszę jednak przyznać, że pozwalałam sobie na kilka chwil prywatności. Każdego ranka, zwinięta w kłębek na pojedynczym łóżku z mocno sprężynującym materacem, stertą koców i kołderką z gęsiego puchu, pod którą spałam, odkąd skończyłam trzy latka, miałam trochę czasu, żeby się zastanowić nad swoją sytuacją.

Chyba wtedy fizycznie czułam swoją chorobę, czającą się w trzewiach. Wyobrażałam ją sobie jako dużą, oleistą

przemieszczając się powoli ciemną masę, która wciska się w różne zakamarki mojego ciała niczym jakiś złowieszczy asfalt. Dlaczego ja? - zadawałam sobie wówczas pytanie. Czym sobie na to zasłużyłam? W miarę jak mijały te ponure poranne minuty, nad moją troską o Poppy górę brała potrzeba roztrząsania przeszłości. Oglądałam pod światło każdy fakt ze swojego życia, zastanawiając się, czym też mogłam ściągnąć na siebie raka - jednocześnie zaś miałam poczucie, że zawsze uważałam na swoje maniery, byłam uprzejma dla innych ludzi i ogólnie rzecz biorąc, starałam się robić to, co należy.

Czy to dlatego, że kręciłam nosem na alternatywny styl życia mamy i taty? Z tego, co wiedziałam, cynizm był główną przyczyną raka. A może dlatego, że w duchu byłam zadowolona, kiedy na Susan Steiner, znęcającą się nad młodszymi dziećmi w szkole, najechał autobus, w wyniku czego doznała złamania obu nóg i swego wielkiego, brzydkiego nosa? Nie wiedziałam, jak daleko w przeszłość sięgał rak, szukając powodu, żeby zamienić czyjeś życie w piekło. Czy wybrał mnie dlatego, że udało mi się zostać szczęśliwą mężatką i matką jedynaka w tak młodym wieku? Trafiło mi się łatwe życie i zdawałam sobie z tego sprawę, chociaż tylko z grubsza, nie dogłębnie. Nie musiałam w wielkim świecie szukać męża czy kariery, ale to nie był z mojej strony świadomy wybór, lecz po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności (albo nie taki znów szczęśliwy, jak się okazało). Poza tym, o ile mi wiadomo, brak ambicji i odrobina zadowolenia z życia nie są przestępstwem, a już na pewno nie są karane tak, jak ja zostałam ukarana.

Wydawało się już bardziej prawdopodobne, że odpowiedzialność ponoszą biała mąka i czerwone mięso oraz całkowita niezdolność do medytowania dłużej niż ułamek sekundy bez równoczesnego zastanawiania się, czy nadal można gdzieś kupić grzybki do cerowania skarpetek lub czy

do przekładania tortu kawowego najlepszy jest krem czekoladowy, czy powinien to być raczej krem kawowy czy też zwykły krem bez dodatków.

Cokolwiek to było, nie chciałam zbyt długo pozostawać sama i bezsensownie grzebać w swojej przeszłości. Dlatego wyskakiwałam z łóżka, mimo że pod puchową kołdrą było bardzo przytulnie, i biegłam do lodowato zimnej gościnnej sypialni, w której wprawdzie nigdy nie gościło słońce, ale za to miała świetny prysznic. Moi rodzice nie uznawali centralnego ogrzewania, lecz z całą pewnością cenili sobie porządną hydraulikę.

Szczękając zębami, wciągałam na siebie ubranie i jednocześnie próbowałam usprawiedliwić swą decyzję zachowania tajemnicy. Mówiłam sobie, że rodzice po prostu nie znieśliby więcej złych wiadomości. Poppy także. Poza tym, jeśli byłam bardzo chora, jeśli byłam nieuleczalnie chora, a prawie zdołałam sobie wmówić, że jestem, co dobrego mogło wyniknąć z wyznania im prawdy już teraz? Nie mogli mnie wyleczyć, nie mogli nic zrobić. Dodałabym jedynie stresu najbliższemu, którzy i tak dźwigali już wielki ciężar.

Doszłam do wniosku, że jeśli zachowam wiadomość o chorobie w tajemnicy, to kiedy już się wyda, cios będzie ostry, lecz krótki, jak w wypadku Rose.

Z drugiej strony przypominałam sobie, że ojciec Charlotte odszedł mniej więcej przed rokiem po bardzo długiej walce z rakiem trzustki. Słowo daję, rodzina tak bardzo rozpaczła, jeszcze zanim zmarł, że jego śmierć i następnie pogrzeb stanowiły w pewnym sensie antykulminację. Wszyscy byli już kompletnie wyczerpani, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Siostra Charlotte o mało nie doznała załamania nerwowego, próbując uporać się ze stratą. Jedna z ciotek dała nad grobem pokaz hysterii, jak się okazało z powodu jakiejś zakurzonej pamiątki rodzinnej. Pod wpływem stresu Charlotte

zagłodziła się do tego stopnia, że wyglądała jak anorektyczka, a jej matkę hospitalizowano cztery razy w ciągu jednego tygodnia z powodu, jak stwierdzono, ataków paniki.

Ten stary łobuz omal nie pociągnął za sobą całej rodziny, czego ja z całą pewnością nie chciałam zrobić swoim bliskim. W moim własnym interesie i w interesie tych nielicznych osób, które mnie znały i kochały, lepiej więc było niczego nie mówić, niczego nie robić i nawet nie wiedzieć więcej, niż dotąd wiedziałam.

Uzbrojona w to przekonanie schodziłam na dół, kombinując, jak się wykręcić od jedzenia musli Birchera, które wprawdzie było dość smaczne, ale miało właściwości cementu, trudne do zniesienia dla mojego układu trawiennego.

Tymczasem Poppy wciąż pozostawała delikatna jak płatek róży, a moi rodzice byli wstrząśnięci jej stanem. Ja pozwalałam sobie na moje refleksyjne poranki, ale dla dobra rodziny postanowiłam być przez resztę dnia opoką.

Jednak po prawie tygodniu żywienia się fasolowymi zapiekankami mamy zauważyłam, że zarówno ona, jak i tata wracają do siebie - emisja ich gazów jelitowych wypierała jako temat rozmowy składane na przemian sprawozdania o stanie psychicznym Poppy - i wiedziałam, że należy pomyśleć o powrocie do domu.

Nie lubiłam fasoli już w jej pierwszym wcieleniu, a co dopiero kiedy powracała jako „pieczona”, by następnego dnia objawić się w formie „zapiekanej w cieście”, a już najgorszy był kolejny poranek, gdy stawała na stole jako „podrasowana fasola zapiekana w cieście na głębokim tłuszczu”.

Wolałam sobie nawet nie wyobrażać, czym była podrasowana. Prawdopodobnie setkami milionów zarodników pleśni. Albo haszyszem.

Gdyby mój układ trawienny był w idealnym stanie, i tak miałabym szczęście, uchodząc cało po takiej diecie. A że było tak, jak było, musiałam dodatkowo uważać.

Poza tym czułam potrzebę upieczenia czegoś porządnego. Staralam się jak mogłam w wiejskiej kuchni mamy, ale to nie to samo, kiedy się ma do dyspozycji tylko mąkę ryżową czy orkiszową. Wszystko, co zrobiłam, wyglądało i smakowało jak cegła, i niech inni mówią, co chcą, ale ja po prostu nie wierzę, że chleb świętojański może z powodzeniem zastąpić czekoladę. Nie wierzę, że czekoladę w ogóle można czymkolwiek zastąpić.

Robiłam, co mogłam - ciasto z chlebem świętojańskim i cukinią (hmm), ciasteczka owsiane bez nabiału (niezłe), muffinki z jagodami i pasternakiem (ohydne). Tata zjadał wszystko i prosił o dokładkę. Mama podejrzewała, że przemycam do gospodarstwa masło (a żeby tak) i odmawiała udziału w spożyciu, a Poppy ze smutną miną próbowała wszystkiego, co jej podsunęłam, by po chwili bez słowa odsunąć talerz.

Miałam poczucie, że rodzice są już w lepszej formie i mogą się zająć moją siostrą, nawet jeśli ona sama nie wróciła do siebie na tyle, na ile liczyłam.

- Wiesz, jeszcze nic straconego, Poppy - powiedziałam, kiedy któregoś rześkiego popołudnia siedziałyśmy na werandzie wychodzącej na warzywnik. Poppy owinęła się jasnym kaszmirowym szalem, ja miałam na sobie jeden ze starych swetrów taty. - To że ten facet od czytania z twarzy był dupkiem, nie znaczy, że gdzieś tam nie czeka na ciebie ten właściwy mężczyzna. Nie znaczy, że nie znajdzie się jakiś sposób, żebyś miała swoją małą dziewczynkę.

- Myślałam o dawcy spermy, oczywiście - odpowiedziała Poppy, głaszcząc Sparky'ego, który przez cały czas służył nam za odpowiednio ponure towarzystwo. - Ale nie jestem pewna,

czy mi to odpowiada. Chcę wiedzieć, skąd będzie pochodził mój aniołek. Czy to źle? Chyba jednak muszę się nastawić na szukanie życiowego partnera, chociaż mam już trzydzieści pięć lat, a ludzie ciągle piszą książki i kręcą filmy o tym, jakie to trudne, kiedy się ma trzydziestkę z okładem. Albo o tym, że wszyscy myślą, że to trudne, a wcale nie jest, jeśli się przestrzega kilku prostych zasad, takich jak... och, nie wiem, zgoda na kogoś, kto cię nudzi do bólu i żyje z zabijania szczeniaków, i nie ma włosów, ale za to ma wystające zęby. Zresztą dawca spermy też może być zabójcą szczeniaków, nie? Założę się, że w formularzu nie ma aż tak szczegółowych pytań. Nie, myślę, że trzeba szukać mężczyzny z krwi i kości, oczywiście niezabijającego szczeniaków, chociaż mam większe szanse, że trafi mnie piorun, niż że jakiegoś znajdę w moim wieku. - Nagle zadrżała, z przerażenia otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy. - Och, przepraszam, Effie, nie chciałam.... Nie chciałam.... Och, co się ze mną dzieje?

Potrzebowałam chwili, żeby zrozumieć, co ją tak zdenerwowało. Wreszcie mnie oświeciło, że skoro trudno znaleźć życiowego partnera w wieku trzydziestu pięciu lat, to pewnie jest to w ogóle niemożliwe, kiedy ma się o cztery lata więcej.

- Boże, Poppy, nie martw się o mnie - odrzekłam ze śmiechem. - To ostatnia rzecz, o jakiej myślę. - Ostatnia na całkiem imponującej liście, dodałam w duchu; przed oczyma mignął mi kolaż ze spłowiałego niebieskiego płótna i opalonej skóry.

- Ale gdyby to nie była ostatnia rzecz, o jakiej myślisz - powiedziała Poppy z zadumą - to co byś zrobiła?

Gdyby moje życie było zupełnie inne, gdyby mój świat znów odwrócił się do góry nogami, a raczej wrócił do właściwej pozycji, mówiąc ściślej? Gdyby znalezienie życiowego partnera, och, chrzanić to, chłopaka, męża,

kochanka, kogokolwiek, było pierwszą rzeczą, o jakiej bym myślała? Wiem, co bym zrobiła. Mam pewną opcję. Znalazłabym Willa, gdziekolwiek teraz był, po tym jak go pozbawiłam roboty w moim domu, i spędziłabym z nim cały dzień i całą noc, uprawiając dziki, nieokiełznany, absolutnie niegejowski seks, a potem żyłabym z nim długo i szczęśliwie.

Gdyby...

- Och, Effie, proszę, nie patrz tak - powiedziała Poppy z rozpaczą. - Jak zwykle gadam bzdury, jestem beznadziejna. Czemu miałabyś o tym myśleć, skoro w twoim życiu tyle się dzieje?

- Oczywiście, że o tym myślałam - rzuciłam lekko, widząc na horyzoncie balon z niebieskiego płótna. - Widziałam nawet odcinek Oprah, po tym, jak Harry odszedł. Mówiła, że najlepszym miejscem do szukania męża jest San Jose w Kalifornii. Wszyscy tamtejsi mężczyźni są w świetnej formie, zdrowi i bezpośredni, a co najważniejsze, mieszka ich tam pod dostatkiem.

- San Jose? - Poppy nie wyglądała na przekonaną. - Nie wytrzymałabym pięciu minut w kalifornijskim słońcu. Zresztą ci wszyscy mężczyźni, zdrowi, bezpośredni i w świetnej formie, woleliby ode mnie tamtejsze opalone dziewczyny.

Prawdę mówiąc, ja też jakoś nie mogłam sobie wyobrazić mojej siostry w Kalifornii, ale może Oprah miała trochę racji. Skoro tu, na miejscu potencjalni życiowi partnerzy nie garnęli się zbyt tłumnie do Poppy, może należało pojechać gdzieś indziej.

- Nie sądzisz, że przydało by ci się trochę wyjść do świata, Poppy? Możesz przeprowadzić się do Bury St Edmonds albo do Norwich albo... - Sama tego nie widziałam. Potrzebowała, żeby się nią opiekowano i miała tego świadomość. Pokręciła przecząco głową.

- Jestem domatorką - powiedziała. - Jeśli mój życiowy partner nie znajdzie mnie tutaj, to pewnie w ogóle mnie nie znajdzie. Nie jestem taka jak ty, Effie, nie czuję się dobrze w mieście. Czuję się zagubiona. Ty to co innego, ty tam pasujesz.

Zastanawiałam się, czy aby naprawdę.

- Po prostu kocham ten dom - powiedziałam. - I nigdy nie chciałam mieszkać gdzie indziej, więc chyba istotnie muszę tam pasować.

- I lubisz Tesco, mimo że ich dział ze zdrową żywnością jest beznadziejny.

- To prawda - przyznałam.

- I Formosa Dining Room, mimo że zdzierają skórę.

- Też prawda. A Gordon Ramsay kupił pub Warrington nieopodal.

- Mniejsza z nim, niedługo ty będziesz mieć swoją herbaciarnię!

- Głos Poppy wszedł na wyższe tony, jej policzki nabrały koloru.

- Nie mogę się doczekać. Fantastycznie, ty szczęściaro.

Miło było widzieć, jak z jej twarzy znika smutek; żałowałam tylko, że nie mogę dać Poppy czegoś, co by ją mobilizowało do życia.

- Tata mówił ci o grzybie? - spytałam.

- Tak, ale powiedział też, że połowa Londynu jest zagrzybiona, a druga połowa napromieniowana. A cała reszta politycznie niepoprawna.

- Pożyczył mi pewną sumę na remont - wyznałam, rumieniąc się, ponieważ czułam się winna z powodu tych pieniędzy.

W odpowiedzi Poppy uśmiechnęła się słabo, odchylając głowę na oparcie krzesła; zamknęła oczy, rudozłote rzęsy lśniły perłowo na tle mlecznobiałych policzków.

- Jest taki zadowolony z siebie - mruknęła. - Trudno to opisać.

Była taka spokojna, jak bez życia, nie widziałam nawet, żeby jej pierś się podnosiła przy oddechu i mnie to przerażało.

- Nic ci nie będzie, Poppy, prawda? - zapytałam, pragnąc rozpaczliwie, żeby choć jedno ułożyło się pomyślnie. - Obiecasz mi, że niczego nie będziesz znowu próbować?

Odwróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć, i owinęła się szczelniej szalem, posyłając mi smutny uśmiech.

- Postaram się - obiecała.

- Beth i Archie by tego nie przeżyli - powiedziałam, zastanawiając się, co by się z nimi stało, gdyby stracili obie córki. - A ja bym... - Nie potrafiłam dokończyć. Z miliona powodów.

Poppy sięgnęła po moją dłoń.

- Obiecasz mi, że będziesz serwować u Rose przynajmniej jeden bezglutenowy deser? - spytała, ściskając mnie za rękę. - A jak już będziesz to robić, to proszę, żebyś do mojej porcji nie dodawała żadnego nabiału.

Była taka poważna. Chciałam się roześmiać, ale zamiast tego wydałam z siebie stłumiony gulgoczący odgłos. Przecież nie miało być żadnej herbaciarni u Rose. Zamierzałam raczej wydać te pieniądze na buty i przedłużanie włosów. Ale nie mogłam tego powiedzieć Poppy. Nie wtedy.

- No pewnie, głuptasie - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło, po czym szybko wstałam z krzesła, żeby ją uścisnąć. - Tylko bądź dla siebie dobra - wyszeptałam z ustami w jej włosach. - Proszę cię, Poppy, bądź dla siebie dobra.

Archie:

Dziewczęta śmiały się ze mnie, że jestem zakochany w żeńskiej stronie swojej natury, ale to o moją męską stronę się martwiłem, kiedy Poppy była taka chora.

Czułem się, jakbym ją zawiódł jako ojciec, że nie dość dobrze się nią opiekowałem. Beth nie uznaje takiego sposobu myślenia, upiera się, że jesteśmy równi i w zasadzie jesteśmy, ale to, że umiem wypłatać makramy nie znaczy, że nie chciałbym móc chronić swojej rodziny.

Miałem w życiu szczęście, ale zdecydowanie najlepsze, co mnie spotkało, to zostanie ojcem tych dwóch niezwykłych istot, Florence i Poppy. Są jak ogień i woda, różnią się od siebie pod tyloma względami, zawsze takie były. Florence jest niesłuchanie niezależna, Poppy zaś otwarta dla świata, być może nadmiernie otwarta.

Nie potrafi przyjmować ciosów tak jak jej siostra. Wystarczy spojrzeć, jak Florence przyjęła zmianę orientacji Harry'ego, czy jak tam obecnie to nazywają. Niewiarygodne, ale wcale się nie załamała. Nigdy nie miała w zwyczaju prosić o pomoc, odkąd jako małe dziecko upierała się, by pozwolić jej chodzić samodzielnie. Żadnego trzymania za rączkę, nie, dziękuję bardzo, mimo upadków, guzów i zadrapań. „Ja sama!”, mówiła. „Chcę sama!”.

Dlatego o mało nie spadłem z krzesła, kiedy powiedziała nam o kłopotach z herbaciarnią, a następnie, rzecz zupełnie niesłuchana, zgodziła się na małe wsparcie. Pieniądze to jedyna rzecz, jakiej jest w tej rodzinie pod dostatkiem. To nawet trochę krępujące. Miałem niesamowite szczęście na rynku akcji i możecie mi wierzyć, to tylko szczęście, żadnych umiejętności. Nawet kiedy robię niedorzecznie ryzykowne inwestycje, na które białe kołnierzyki nawet by nie spojrzały, moje posunięcia okazują się opłacalne. Nic na to nie poradzę. Chodzi głównie o ekologiczne uprawy rolne. Kto mógł wiedzieć, że troska o środowisko okaże się taka dochodowa? Nie kierowała nami chęć zysku, możecie mi wierzyć, ale mamy teraz więcej pieniędzy niż potrzebujemy i myśleliśmy

nawet, żeby ufundować system nawadniający w Darfurze i szkołę na Sri Lance, jak tak dalej pójdzie.

Gdybym mógł rozwiązać problem Poppy za pomocą pieniędzy, byłbym szczęśliwym człowiekiem, ale za pieniądze nie można kupić tego, czego wówczas potrzebowała.

Co do Florence, cóż, byłem zadowolony, to jasne, kiedy wzięła czek, ale potem zobaczyłem je, gdy siedziały razem na werandzie i rozmawiały. Florence miała na sobie jeden z moich starych swetrów, o wiele na nią za duży. Wydawała się w nim taka drobna. I blada. Nagle zauważyłem, że sporo schudła. Prawdę mówiąc, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że obie moje dziewczyny wyglądają, jakby cierpiały.

Dopiero kiedy wsiadłam do samochodu, żeby wracać do Londynu, uświadomiłam sobie, ile mnie kosztowało bycie opoką. Płakałam przez całą drogę do Małej Wenecji, a pies był zachwycony, ma się rozumieć. To okropne auto, poobijane i śmierdzące w środku, odkąd Monty przed siedmiu laty rozlał w nim koktajl mleczny, zapewniało dziwnie sprzyjającą atmosferę do płaczu. Gdy tylko zatrzasnęłam drzwi (udało się za trzecim razem) przed Tannington Hall, łzy zaczęły mi spływać po policzkach i natychmiast zrobiłam się cała mokra, sflaczała i w niczym niepodobna do opoki.

Prawdę mówiąc, nawet mi się przez chwilę podobało takie użalanie się nad sobą, ale potem dostałam strasznej czkawki, od której zawsze boli mnie żołądek, co mnie skutecznie skłoniło do wzięcia się w garść. Kiedy dotarłam do domu, było po piątej i na podjeździe nie zobaczyłam już ciężarówki Willa, tylko zielony skuter, który Monty kupił niedawno z drugiej ręki. Nienawidziłam tego pojazdu, ponieważ skutery wydawały mi się bardzo niebezpiecznym środkiem lokomocji w mieście i co by było, gdyby mój syn został zabity? Albo stracił nogę? Albo doznał poważnego urazu głowy i pozostał w śpiączce przez resztę życia?

W domu, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, po prawej stronie drzwi wejściowych, gdzie kiedyś była podłoga mojego gabinetu, zobaczyłam wielką dziurę o nieregularnym kształcie, wielkości mniej więcej stołu, z której dochodził zapach przywodzący na myśl tysiąc zgniłych kapust.

Stałam z otwartymi ustami i gapiłam się, mimo otaczającego mnie smrodu. Widziałam coś w rodzaju skomplikowanego rusztowania podtrzymującego kawałki podłogi wokół dziury. Wydawało się oczywiste, że dziura nie powstała sama i że Will, Stanley i być może fachowiec gaduła

pracowali, kiedy mnie nie było, mimo że prosiłam ich, aby przestali.

Jak oni śmieli? Przecież wiedzieli, że nie stać mnie, by im zapłacić!

Teraz, oczywiście, było mnie stać, żeby im zapłacić potrójnie, więc musiałam wymyślić jakiś inny powód poniechania prac przy zamianie mojego domu w herbaciarnię, której wkrótce nie mogłabym prowadzić z powodu choroby.

Konstrukcja w podłodze była całkiem sprytna, ale nie mogłam tak stać i jej się przyglądać, bo od zapachu zaczynały mi łzawić oczy, a dopiero co skończyłam intensywne wylewanie łez i nie miałam ochoty na następne.

Ciężkim krokiem weszłam po schodach, zostawiając za sobą grzybicze miazmaty, lecz ku swemu niezadowoleniu w kuchni zastałam Crystal, przygotowującą sobie filiżankę miętowej herbaty z cytryną.

- Masz też ochotę? - zaproponowała mi, ale pokręciłam głową odmownie. - Monty poszedł na rozmowę w sprawie pracy na West End - poinformowała mnie - ...więc jestem sama w domu.

Mimo iż wszystkie kości bolały mnie ze zmęczenia, miałam wielką ochotę na uszczypliwość, ale przypomniawszy sobie obietnicę daną Poppy, zdołałam się opanować.

- Nie wziął skutera? - spytałam.

- Nie znoszę tego pojazdu - powiedziała Crystal, po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, robiąc surową minę. Dodała do herbaty łyżeczkę miodu. Od kiedy to cukier stał się wrogiem publicznym numer jeden? - Uważam, że to najszybszy sposób, żeby się nabawić poważnej kontuzji, tylko że nie pytał mnie o zdanie, kiedy kupował tego grata, bo bym go błagała, żeby sobie odpuścił.

Nie oczekuj, że będę się z tobą sprzymierzać przeciwko swojemu synowi, pomyślałam, z pewnością popełniając

grzech uszczypliwości. Ale całkowicie się zgadzałam z tym, co mówiła.

Zrobiłam sobie kawę rozpuszczalną i głośno wlałam do niej mnóstwo pełnotłustego mleka, podczas gdy Crystal zaczęła przygotowywać marynatę do tofu z organicznego sosu sojowego z niską zawartością sodu i jakichś obco wyglądających ziół, które dziwnie przypominały zielone włosy pod pachami.

- Nick March, wasz lekarz, telefonował chyba z sześć razy w ciągu ostatnich kilku dni - oznajmiła obojętnym tonem.
- Powtarzał z naciskiem, że miałś do niego oddzwonić. Chciał, żebym ci to przekazała. Może zechcesz to zrobić teraz?

Byłam wprost zszokowana, że Młody Nick na mnie donosi, i to w dodatku do Crystal, że zabrakło mi słów. Zostawił jedną czy dwie wiadomości, zanim wyjechałam do Tannington Hall, ale nie byłam w odpowiednim nastroju, żeby na nie odpowiadać, ani wówczas, ani teraz.

- Nie wspominałam o niczym Monty'emu - ciągnęła Crystal, nadziewając kostki tofu na bambusowy patyczek. - Nie chcę go martwić, ale mam wrażenie, że Nick nie dzwonił po to, by ci przypomnieć o otwarciu kliniki usuwania kurzajek.

Zamurowało mnie, nadal nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Jeśli coś jest nie tak, możesz mi powiedzieć, Florence - oznajmiła spokojnie. - Może nawet będę w stanie pomóc.

Akurat bym jej powiedziała! Crystal? Jak by mogła mi pomóc! Nagle ogarnęła mnie dzika wściekłość. Wściekłość na Nicka, za to, że z nią rozmawiał, wściekłość na to, że było o czym rozmawiać, wściekłość na dziurę w domu, na Poppy, Harry'ego, na tę dziwną istotę chlapiącą sosem sojowym w

mojej kuchni i kradnącą mi mojego kochanego, wspaniałego, pięknego syna.

- Co, u diabła, każe ci sądzić, że mogłabyś mi pomóc? - warknęłam. - Co, u diabła, każe ci myśleć, że mogłabyś w ogóle mieć cokolwiek ze mną wspólnego w jakikolwiek sposób? Jesteś cholernym intruzem, panoszącym się w moim życiu! W moim domu! Robiącym jakieś głupie rzeczy ze swoim głupim tofu! Kradniesz mi syna!

Miałam świadomość, że mnie poniosło, że Poppy by się za mnie wstydziła, że tak naprawdę to nie na Crystal chciałam nakrzyczeć, ale nie mogłam się już powstrzymać.

- Nic o mnie nie wiesz! - darłam się. - Nie masz pojęcia, najbłędniejszego pojęcia, jak to jest, kiedy się... kiedy...

- Kiedy co, Florence? - spytała Crystal, zupełnie niewzruszona moim histerycznym wybuchem. Odłożyła jednak tofu na bok.

Od czego miałam zacząć? Och, dlaczego moje życie tak wyglądało?

- Kiedy się traci syna! - zawołałam, chwytając pierwszy argument, jaki mi przyszedł do głowy. - Właśnie! Kiedy się traci ukochanego syna! Przez kogoś takiego jak ty!

To nie byłam ja taka, jaka zawsze starałam się być. To było coś wręcz przeciwnego. Tak wyglądało moje dbanie o maniery i robienie tego, co należy. Miałam szczęście, że nie zdzieliła mnie w głowę tłuczkiem do mięsa, pewnie tylko dlatego, że nie знаła tego kuchennego narzędzia.

Jednak przyłbica opadła. Crystal oparła się o kuchenny blat i spojrzała na mnie zimno jak na nią. Czy ją lubiłam, czy nie, nie dało się zaprzeczyć, że była z natury serdeczną kobietą. Dosłownie promieniowała ciepłem.

- Nie przez kogoś takiego jak ja - powiedziała z lodowatym spokojem - ale o reszcie zdecydowanie mam pojęcie.

- Nie bądź śmieszna - rzuciłam jadowicie. - Nie możesz wiedzieć, o czym mówię. Nie masz syna.

Patrzyła na mnie w taki sposób, że nagle mi zaświtało, iż mogłam wkroczyć na śliski grunt. Wytrzymała moje spojrzenie, jakby czekała, że sama się czegoś domyślę. Mój gniew zaczął się ulatniać, ustępując miejsca dziwnemu poczuciu, ni to zmrózenia, ni odrętwienia, które ogarnia człowieka, kiedy sobie uświadomi, że powiedział lub zrobił coś naprawdę strasznego.

- Nie możesz wiedzieć - powtórzyłam mimo to, choć już bez wcześniejszego przekonania. I nie byłam już pewna, czy mówię o utracie syna. Mówiłam o stracie jako takiej. A tak szczerze, to właściwie nie wiedziałam, o czym mówię.

- Cóż, zarzucasz mi, że nic o tobie nie wiem, ale ty też nie wiesz nic o mnie, Florence - odparła Crystal. - Wyciągnęłaś wnioski, nie zadając sobie trudu, by zadać choć jedno pytanie dotyczące mnie i mojego życia. Dla twojej wiadomości: miałam syna, który zmarł.

Poczucie zmrózenia rozprzestrzeniło się z mojej twarzy na klatkę piersiową i dotarło do serca. Nie chciałam słyszeć ani słowa więcej. Chciałam jednak wiedzieć, co się stało. Było mi jej żal. Nienawidziłam jej. Nienawidziłam siebie.

- W jakim był wieku? - wykrztusiłam w końcu, choć to nie było właściwe pytanie.

- Miał siedem i pół miesiąca - odpowiedziała głosem pozbawionym charakterystycznej dźwięczności.

Niemowlę? Och, dlaczego los bywał tak potwornie okrutny?

- Kiedy? - wyszeptałam.

- Sześć lat, dwa miesiące, trzy tygodnie i cztery dni temu - oświadczyła.

Od liczenia tych dni musiało jej pękać serce.

- Bardzo mi przykro - wyjąkałam. - Naprawdę, Crystal.

- Śmierć łóżeczkowa, tak to tutaj nazywacie. Wstałam w nocy, żeby go nakarmić i... no cóż. Wezwaliśmy karetkę, ale nie mogli już nic zrobić.

W kuchni zapadła gęsta cisza, świdrująca w uszach. Zrobiło mi się niedobrze. Naprawdę straciła syna? Niemowlę? „My”, czyli kto? Byłam okropna i zasługiwałam na wszystko, co mnie spotykało. Ale dlaczego nikt mi nie powiedział? Skąd miałam wiedzieć, że ta obca, która odebrała mi Monty'ego, była... Kim? Prawdziwą kobietą z osobistym bagażem smutków, taką jak ja?

Opadłam na krzesło; niezaprzeczalnie zgrabne nogi nie były w stanie utrzymać reszty mojej pożałowania godnej osoby.

- Bardzo mi przykro - powtórzyłam.

Crystal zamrugła, po czym odsunęła krzesło po przeciwnej stronie stołu i usiadła.

Wydawała mi się teraz zupełnie inna. Pogodna gładkość, którą brałam za typowo australijski sposób bycia, okazała się pozorem, czymś narzuconym, jak poncho z alpaki. Może jednak nie była rozpustną i bezczelną złodziejką synów, za jaką początkowo ją uważałam.

To ja byłam zła. I dlatego miałam raka.

- Nie wiem, co powiedzieć... - zaczęłam. - Nie wyobrażam sobie, jak zdołałaś...

Przeżyć. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak zdołała przeżyć taką tragedię. Jak ktokolwiek może przeżyć coś takiego.

- Musiało minąć pół roku, zanim potrafiłam uwierzyć, że to się stało naprawdę - odezwała się w końcu Crystal. Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle, jakby wciąż nie mogła uwierzyć. Wyrzała przez okno na niebo, jakby się spodziewała, że ujrzy małego cherubinka siedzącego na chmurce. - Sprawdzałam jego puste łóżeczko pięćdziesiąt razy dziennie. Nie

pozwoiliam Steve'owi niczego zmienić w pokoju. A czasami, śniąc na jawie, czułam, jak trzymam go w ramionach. Naprawdę czułam ciepło jego skóry.

Ja czułam dotknięcie Monty'ego, kiedy był daleko, Harry'ego, kiedy mnie opuścił. Doświadczałam tego samego, ale nie w tak straszliwych okolicznościach.

- Potem, po jakimś czasie, nie mogłam sobie nawet przypomnieć, jak brzmiał jego płacz - mówiła dalej - ...ani jaki miał zapach. To chyba najsmutniejsze ze wszystkiego. To, że nie pamiętałam.

Nie wiedziałam, co jej powiedzieć.

- Tak, to było najsmutniejsze - powtórzyła z uśmiechem całkowicie pozbawionym wesołości, z uśmiechem, jaki się przywołuje siłą na twarz, żeby nie pokazać po sobie rozpacz.

- Dlatego nie mów mi, że nie wiem, co to znaczy stracić syna, bo ja naprawdę straciłam syna, Florence, podczas gdy twój ma się dobrze z kimś takim jak ja.

Zasługiwałam na jej drwinę. Zasługiwałam na coś znacznie gorszego.

- I wiesz co? - podjęła łamiącym się głosem, sprawiając, że nienawidziłam siebie jeszcze bardziej. - Monty jest ze mną szczęśliwy, ja to wiem. - Pojedyncza łza oderwała się od jej przejrzyście zielonego oka i spłynęła po policzku. - I ja też jestem z nim szczęśliwa, a byłam pewna, że już nigdy z nikim nie będę.

Miałam ochotę powiedzieć, że umieram na raka, by dowieść, że nie jestem zepsutą, zgorzkniałą kurą domową ani przerażającą starą suką, tylko zachowuję się, jakbym nie była sobą. Jednak wyrzucanie tego z siebie w tym momencie byłoby jak licytowanie się w nieszczęściach, więc nie mogłam tego zrobić.

- Przykro mi, Crystal - powtórzyłam jeszcze raz. - Nie wiedziałam. Monty nic mi nie mówił.

- Jeśli nie chcesz mnie bliżej poznać, w porządku - powiedziała. Przyznaję, że byłam pełna podziwu dla jej siły; przeżyła śmierć dziecka i miała odwagę stawić czoło takiej wrednej starej jędzy jak ja. - Naprawdę w porządku, do pewnego stopnia. Ale ja też jestem istotą ludzką, mam uczucia tak samo jak ty, Florence, więc musimy znaleźć jakiś sposób, żeby móc żyć obok siebie we względnej harmonii, bo Monty chce tu zostać.

Poczułam coś na kształt radosnego ożywienia, słysząc, że on chce zostać, jednak szybko przyćmił je żal z powodu strasznej tragedii Crystal i mojego okropnego zachowania.

- Poppy próbowała się zabić. - Czułam się tylko trochę zawstydzona, że wyciągam tę wiadomość jak królika z kapelusza. I tak bym jej powiedziała... zapewne. - Byłam w Tannington Hall u moich rodziców. Zaczyna proces dochodzenia do siebie. - Zakaszlałam, choć mogło to równie dobrze zabrzmieć, jakbym się zakrztusiła.

Nigdy nie używałam tego rodzaju zwrotów. Powiedziałam sobie w duchu, że się nie naginam i chyba rzeczywiście się nie naginałam. Po prostu usiłowałam mówić językiem Crystal. I chyba podziałało. Chyba rozpoznała moją nieporadną gałązkę oliwną i zgodziła się ją przyjąć. Na jej twarzy pojawił się dobrze mi znany wyraz zrozumienia.

- To straszne - odrzekła. - A jak to zrobiła?

Pytanie mnie zaskoczyło, przyznaję. Było niesłychanie rzeczowe.

- Podcięła sobie żyły w wannie - odpowiedziałam. Słyszając te słowa wypowiedziane na głos, w kuchni mojego domu, tuż po tym, jak się dowiedziałam, że kobieta, dla której byłam tak okropna, straciła dziecko, znów poczułam wstrząs.

Świat był odrażającym miejscem i stawał się coraz gorszy. W którąkolwiek stronę bym się zwróciła, odkrywałam coraz to nową tragedię. Kiedy to się wreszcie skończy?

Crystal:

Widziałam, że Florence zmaga się z jakimś potężnym problemem. Widziałam to w jej aurze, już tamtego pierwszego dnia na stacji, choć nie sądzę, żeby ona była już wówczas tego świadoma. Wtedy miała wokół zamazane szarości i brązy, natomiast kiedy wróciła z Tannington Hall kolory zrobiły się wyraźniejsze, ale o wiele ciemniejsze.

Szarość dotyczyła emocjonalnego zamętu z powodu siostry, która próbowała odebrać sobie życie, z powodu rozpadu małżeństwa i chyba z mojego powodu, ale brąz, jak mi się wydaje, był związany z jej zdrowiem. Podejrzywałam to od początku, ale później, kiedy lekarz wciąż dzwonił, sprawa stała się oczywista.

Jednak wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za nasze ciała, a Florence zdecydowanie tej odpowiedzialności unika. Chyba nawet ona by to przyznała. Nie odżywiała się prawidłowo, to oczywiste. Żywiła się białym cukrem, bekonem i ciastem biszkoptowym. A i tego nie jadła w wystarczających ilościach, żeby jej kości trochę obrosły mięsem, przepraszam za wyrażenie. Wyglądała, jakby była wydrążona, tak bym to określiła. Jest piękną kobietą, ale jak gdyby nosiła jedynie cień swojej urody, nie samą urodę, jeśli wiecie, co mam na myśli. Nie wypełniała właściwie swojej skóry.

Oczywiście cierpiała nie tylko fizycznie. Jej niedola, chyba mogę tak to nazwać, nikogo nie obrażając, była dla mnie tak widoczna, jak jej biodra, kości policzkowe, długie smukłe ręce i nogi. Jej niedola była tak oczywista, że niemal mogłam jej dotknąć. Właśnie to próbowałam zrobić, mówiąc jej o Jamiem. Przez większość czasu trzymam go w ukryciu. Wyrażam swoje uczucia z nim związane, oczywiście, a przynajmniej wyrażałam w przeszłości i miałam poczucie, że myślę o nim bezustannie, ale z czasem to się zmieniło, teraz

myślę o nim raczej przelotnie i te myśli mnie nie wykańczają tak jak kiedyś. Jakby był nitką w gobelinie, a nie całym gobelinem, jeśli wiecie, co mam na myśli. Już nie płaczę, gdy o nim myślę, ale kiedy już płaczę, to dbam o to, żeby kilka łez było dla niego. A kiedy się uśmiecham, dbam o to, żeby część tego uśmiechu przeznaczyć dla niego. Jest moim aniołem. Lecz nie sprowadzałam go i nie pokazywałam komuś innemu, gdybym nie sądziła, że to może pomóc.

Nie trzeba mieć dyplomu z terapii intuicyjnej, by zauważyć, że Florence ma kłopoty; byłam prawdopodobnie ostatnią osobą, po której by się spodziewała pomocy, a jednak mogłam pomóc.

Wiem od Monty'ego, że jej życie aż do tej pory upływało w miarę szczęśliwie, nie licząc śmierci babci jeszcze przed jego narodzinami.

Owa beztroska egzystencja pomogła jej być cudowną matką, a taką według niego zawsze była, ale nie przygotowała tej kobiety do radzenia sobie z przeciwnościami losu.

Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy Florence to pojmuje, ale z doświadczenia wiem, że nikomu się nie udaje wieść błogiej egzystencji bez końca. Nikt nie jest w stanie ustrzec się przed problemami związanymi z ludzką naturą. To nas odróżnia od zebr. Taką przynajmniej mam teorię; powstała, kiedy z moim pierwszym mężem Steve'em pojechaliśmy na safari do Tanzanii po śmierci Jamiego, kiedy jeszcze sądziliśmy, że nasz związek przetrwa to, co się stało, i wierzyliśmy, że kosztowna wycieczka tak daleko, jak to tylko możliwe, oderwie nas od „tego wszystkiego”. To był absurdalny pomysł, ale też cały tamten okres był absurdalny.

Chyba już wiedziałam, że to koniec. Mieliśmy dobry związek, stanowiliśmy dobre małżeństwo pod większością względów, ale ja chyba tak naprawdę nie byłam sobą, dopóki mój syn nie umarł i nie odarł mnie ze wszystkiego, co nie było

ważne. Dom na przedmieściu, samochód, poranki przy kawie - nie mogłam sobie przypomnieć, dlaczego chciałam tych wszystkich rzeczy, co mi się w nich podobało.

- To żal, kiedyś w końcu minie - mówili wszyscy, łącznie ze Steve'em. Miałam wątpliwości, ale ufałam wszystkim bardziej niż sobie, więc pojechaliśmy na tę wycieczkę do Afryki. Wyprawa była niesamowita i sprawiła, że wszystko stało się jasne.

Staliśmy na pacy ciężarówki i obserwowaliśmy lwicę, która na sawannie w Serengeti osaczała swoją ofiarę i wtedy sobie uświadomiłam, że moje dawne życie się skończyło. Lwica zaczęła biec śladem samicy zebry i jej nowo narodzonego dziecka, odrywając je od stada. Steve dostawał bzika z podniecenia, aż kierowca musiał go napominać, by przestał krzyczeć, robił też mnóstwo zdjęć, a ja tylko stałam i płakałam.

Wiedzieliście, że kiedy lew napada na cielątko zebry, jego matka w ogóle o nie nie walczy? Nawet nie machnie kopytem, nie zatrzyma się, żeby popatrzeć, tylko biegnie i dołącza do stada, jakby nic się nie stało, wtapia się w morze czarnych i białych pasków i nagle wszystko jest dokładnie takie samo jak wcześniej.

Steve chciał, żebym znowu zaszła w ciążę, od razu, żebym wtopiła się w morze pasków, ale ja nie mogłam. Nie byłam już tą samą osobą. Nie mogło być tak samo jak wcześniej.

Ale już jest w porządku. Mam na myśli to, że skoro wszyscy przeżywamy jakieś tragedie, skoro nikt z nas nie jest w stanie ich uniknąć, to musimy czerpać z nich naukę, musimy przez nie coś zyskiwać.

I korzystać z tego, co zyskaliśmy. Ci z nas, którzy walczyli ze wszystkich sił, żeby się podnieść po tragedii, są dowodem na to, że takie rzeczy można przetrzymać.

Dlatego możemy pomagać innym w przetrwaniu tragedii.

O ile nam na to pozwolą.

Po powrocie z Tannington Hall i rozdzierającym serce wyznaniu Crystal, po tym, jak poczułam, że wyczerpałam wszelkie rozsądne sposoby radzenia sobie z siostrą chorą na depresję, zrujnowanym domem i perspektywą rychłego przeniesienia się do wieczności, rozważałam możliwość zostania autentyczną alkoholiczką.

Pragnęłam błogosławionego zapomnienia, ucieczki od bólu rzeczywistości, ucieczki, jaką obiecują narkotyki i alkohol. Problem polegał na tym, że, jak zawsze mówił Harry, nie byłam stworzona do picia. W wykonaniu inspektor Jane Tennyson z „Głównego podejrzanego” wyglądało to bardzo prosto - tu łyżeczek, tam chłapięcie, kieliszek lub dwa w porze lunchu - tylko słowo daję, do tego trzeba mieć krzepę.

Tamtego wieczoru, kiedy wróciłam do domu, po rozmowie z Crystal próbowałam wlać w siebie kieliszek whisky z butelki, którą znalazłam w spiżarni razem z zestawem likierów pomarańczowych (nie pytajcie mnie, skąd się tam wzięły, bo nawet nie wiem, co to było), ale whisky okazała się ohydna w smaku. Szczypała w oczy, jeszcze zanim podniosłam ją do ust, a smakowała jak stara brudna kałuża, do której sikały osły i w której przez wieki moczyły się zardzewiałe gwoździe.

Wyplułam to paskudztwo na podłogę, po czym zlizał je Sparky i też wypluł. Aż tak ohydna była nasza whisky. Potem spróbowałam wina do potraw, ale okazało się niewiele lepsze. Popijając je tuż po rozpadzie mojego związku z Harrym, nie zauważyłam, że w smaku przypomina ocet. Nie ten wymyślny, wytwarzany przez piękne dziewice na wyspach u wybrzeży Sycylii czy gdzieś tam, tylko ten najtańszy, w dużych opakowaniach, cedzony przez zapoconą skarpetkę nastolatka z burzą hormonalną. Powinnam jednak dodać, że miałam to wino od 1993 roku, więc niewykluczone, że

właśnie tak smakuje sherry do gotowania w tym wieku. Tak czy inaczej, wyrzuciłam je i następnego dnia pojechałam do Tesco, żeby się zaopatrzyć w kosztowne wina z Nowego Świata: chilijskie czerwone, nowozelandzkie sauvignon blanc i australijskie chardonnay.

To była sobota. Tesco przypominało zoo; tłumy zdrowych ludzi, nietkniętych chorobą i żywych, a mimo to poruszających się z prędkością lodowca i do tego otoczonych rozwrzeszczanymi pociechami, które biegały tam i z powrotem alejką między półkami z alkoholem, wprawiły mnie w tak fatalny nastrój, że po powrocie do domu weszłam do łóżka ze Sparkym i ostatnim numerem czasopisma „Hello!”.

Ku mojemu zaskoczeniu wczesnym popołudniem rozległo się delikatne pukanie do drzwi. To był Monty.

- Crystal powiedziała mi o Poppy - oznajmił. Jego piękne oczy napełniły się łzami. - Mamo, tak mi przykro.

Kiedy wyciągnęłam ręce, wsunął się w moje objęcia i przez chwilę znów był moim wspnianym chłopcem, moim idealnym synem. Jak dawniej. Uściskaliśmy się tak samo jak w czasach, kiedy nie miał żony. Mimo okoliczności cudownie było mieć go tylko dla siebie przez tę krótką chwilę.

Oczywiście nie trwała długo.

- Właśnie rozmawiałem z Archiem - powiedział, odsuwając się ode mnie, trochę zmieszany, ocierając łzę z policzka. - Wybieramy się na kilka dni do Tannington Hall. Crystal spróbuje pomóc Poppy masażem refleksologicznym. Uważa, że to może pomóc.

Chciałam porozmawiać z nim o Crystal i jej dziecku, powiedzieć mu, że doszło między nami do rozmowy, że dostałam całkowicie zasłużoną reprimendę i tak mi przykro, że byłam taką jędzą.

- Dawniej nazywałeś go dziadkiem - stwierdziłam zamiast tego z zadumą. - Lubiłam, kiedy go tak nazywałeś.

- Tak, ale on nie lubił - odparł Monty z błyskiem zniechęcenia w oczach, jaki widywałam u jego ojca. - Proszę cię, mamó, dajmy temu spokój. Czemu nie pozwolisz mi po prostu być normalnym mężczyzną?

- Bo nim nie jesteś, jesteś jeszcze chłopcem! - wykrzyknęłam, zanim zdołałam się ugryźć w język.

Wiedziałam, że zepsuję moment bliskości, który dopiero co przeżyliśmy, ale się stało. Co było ze mną nie tak? Jak każdy inny syn na świecie Monty, od czasu gdy skończył dwa lata, powtarzał mi, że jest już duży. Chłopcy nigdy nie chcieli być chłopcami. Zawsze pragnęli być mężczyznami. I każdy, kto rozwiewał ich złudzenia, prosił się o kłopoty.

- Nie, nie, nie to miałam na myśli - powiedziałam szybko, próbując ratować sytuację. - Wiem, że jesteś mężczyzną.

Ale to też zabrzmiało nie tak, jak chciałam. Powiedziałam „mężczyzną”, tak jak wymawiałam imię Charles, jakby to było przekleństwo albo żart. Żałowałam, że to nie mnie Poppy podcięła nadgarstki. Nic mi się nie udawało.

- Tak, jasne, wszystko jedno - mruknął mój syn z miną wyrażającą dezaprobatę. - Zobaczymy się, kiedy się zobaczymy.

- Proszę cię, Monty, wybacz mi. Jestem po prostu zmęczona.

Przez moment mój piękny chłopiec/mężczyzna sprawiał wrażenie pełnego współczucia. Rozluźnił ramiona; złość zniknęła z jego oczu i linii ust.

- Zawsze mówiłaś, że chcesz tylko tego, żebym był szczęśliwy. Pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam - zapewniłam. Ostatnio miałam dużo na głowie.

- Więc teraz jestem szczęśliwy, ale ty nie tego chcesz. O co ci chodzi, mamó?

To było dobre pytanie. O co mi chodziło? Naprawdę chciałam, żeby Monty był szczęśliwy, ale to miał być ten właściwy rodzaj szczęścia, prawdziwy, nie udawany.

- Nie wiem - odrzekłam i była to szczerza prawda. - Martwię się tylko, że... - Tylko że moich zmartwień było tak wiele i tak różnych, że nie wiedziałam, od czego zacząć. - Po prostu się martwię.

- No to się nie martw - poprosił. - Mimo że nie mam pracy, mimo ciebie i taty, nawet mimo Poppy jestem szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu, mamo.

Czyż to nie było to, czego zawsze dla niego pragnęłam? A może chciałam, żeby to mnie uszczęśliwiało?

Dobrałam się do zapasów wina natychmiast, gdy tylko usłyszałam, że Monty i Crystal wyjechali, ale starałam się dobrze je wykorzystać. Prawdopodobnie byłabym w stanie poradzić sobie z całą butelką, gdybym zaczęła rano i popijała aż do pójścia spać, ale początek o późniejszej porze dnia sprawił, że szybko miałam dość. Tak naprawdę wcale mi to nie odpowiadało.

Następnego dnia próbowałam zacząć wcześniej, jednak już po drugim kieliszku zwymiotowałam. Problem w tym, że już wcześniej było mi niedobrze. Nie wiedziałam, czy to ze zmartwienia, czy z powodu „odry”, co jeszcze bardziej mnie martwiło i skłaniało do picia, a jednocześnie pogarszało samopoczucie i uniemożliwiało spożywanie alkoholu.

Gdybym mogła zdobyć trochę cracku, pewnie bym to zrobiła, chociaż z narkotykami też nie szło mi najlepiej. Dwa razy zdarzyło mi się palić trawę na studenckich imprezach i za każdym razem zasypiałam, a Harry musiał mnie nieść do domu. A gdy kilka lat później na jakimś przyjęciu ktoś zaproponował mi kreskę koki, natychmiast sobie wyobraziłam, że całe dzieciństwo Monty'ego spędzam zamknięta w więzieniu Holloway z przemytnikami

narkotyków i prostytutkami. Zalałam się łzami, wprawiając w zakłopotanie wszystkich tam obecnych, łącznie z Harrym, który wtedy także musiał mnie zanieść do domu.

Problem polegał na tym, że nie miałam za sobą szalonej młodości. A teraz, gdy chciałabym zaszaleć, było za późno, moja młodość odeszła i, co gorsza, wszyscy znajomi również.

Cóż, był Will, który doskonale by się nadawał na towarzysza, ale próbowałam go wyrzucić, żeby go więcej nie oglądać i nie czuć, dopóki żyję (nieważne, jak długo miało to potrwać, i tak dalej).

Zatem przeżywanie z nim młodzieńczego szaleństwa byłoby raczej trudne, aczkolwiek, sądząc po dziurze w podłodze, Will nie dał się tak do końca wyrzucić, jak mi się zdawało.

Słyszałam, jak przyjechał następnego ranka, ale zostałam w pokoju, żeby ochłonać, co nie było łatwe, jeśli wziąć pod uwagę wypełniające mnie sprzeczne uczucia.

- Co tu robisz? - spytałam, gdy wreszcie ubrana zesłam na dół, żeby z nim porozmawiać.

Było już dobrze po południu, ale ćwiczenie tego, co mu powiem, zajęło mi długie godziny. I zmienianie ubrań. Nakładałam też makijaż i zmywałam, po czym znowu nakładałam i znowu zmywałam. W końcu zdecydowałam się na czyste dżinsy i starą, ale ładną koszulę zapinaną pod szyję, do tego lekki podkład i odrobina błyszczczyku. Uczesałam się, ale nie użyłam perfum. Miało wyglądać tak, jakbym w ogóle nie starała się dobrze wyglądać, chociaż wcześniej widywał mnie w workowatych portkach od dresu i starych podkoszulkach Monty'ego, więc nie wiem, po co tak kombinowałam. Musiał zauważyć, że się starałam.

- Co to znaczy, co tu robię? Ja tu pracuję - odpowiedział Will. Głowa i ramiona wystawały mu z dziury; na kołnierzu miał przyczepioną pajęczynę. - Miło spędziłaś ten tydzień?

- Niespecjalnie, nie.

Wyskoczył z otworu ze zręcznością lekkoatlety i stanął obok mnie. Wytrzeł ręce o dżinsy i wskazał na cuchnącą otchłań.

- Kumpel Sida pracuje w rusztowaniach, więc dostaliśmy to wszystko za butelczynę. Wygląda na to, że Stan znalazł koło Cambridge pasujące deski z odzysku. Pojechał rzucić na nie okiem.

Nie bardzo się to zgadzało z moimi decyzjami przed wyjazdem do Tannington Hall.

- Ale co z... - zaczęłam.

- Zapachem? - wszedł mi w słowo, choć akurat nie to chciałam powiedzieć. - Wiem, obawiam się, że był tam lis. A raczej coś, co wcześniej było lisem, gwoli ścisłości. Pod twoją nieobecność urządziłem mu świecki pogrzeb, ale ten odór może nie zniknąć tak szybko. Masz jakieś świeczki zapachowe?

Skąd budowlaniec wie o świeczkach zapachowych?

- Wydawało mi się, że ci mówiłam, że porzuciłam pomysł urządzenia herbaciarni. Już tego nie chcę, a tu proszę, mam dziurę w podłodze, całe to rusztowanie i smród, nie wspominając już o pieniądzach. Znaczy o tym, że ich nie ma.

Czek taty wypalał dziurę w górnej szufladzie szafki przy moim łóżku. Niemal czułam swąd dymu; w poczuciu winy nie mogłam przestać się drapać po szyi, co dla ekspertów od języka ciała jest nieomylnym dowodem kłamstwa.

- Florence, zrobimy to - powiedział Will, dość władczo, a jednocześnie łagodnie, jakby chciał mi dodać otuchy. - Musimy.

- Ale co z... - zaczęłam jeszcze raz.

- Zaufaj mi, Florence - przerwał mi. - Nie możesz na tym poprzestać? Nie możesz po prostu mi zaufać?

Rzecz w tym, że bardzo trudno wyrzucić kogoś, z kim ma się wielką ochotę uprawiać seks, pod pretekstem, że nie chce się go więcej widzieć, bo oczywiście w głębi duszy chce się go widywać, choćby nie wiem jak gorliwie się temu zaprzeczało.

- Po prostu nie mogę sobie na to pozwolić - powiedziałam, wpatrując się w stalowe okucie na czubku lewego buta Willa. - Poza wszystkim innym to jest... Przykro mi, ale naprawdę musicie...

- Daj mi tydzień, Florence - nalegał Will. Słowo daję, robił wszystko, żebym nie mogła się od niego uwolnić. - Co ty na to? Dasz mi tylko tydzień?

Wyczerpały mi się pomysły, jak się go pozbyć. Wyczerpały mi się pomysły na wszystko.

- Już ta godzina? - zapytałam, udając przestrah i spoglądając na miejsce na nadgarstku, gdzie znajdowałby się mój zegarek, gdybym go nie zostawiła w łazience. Ani sekundy dłużej nie mogłam znieść obecności Willa. - Muszę pędzić do kuchni - oznajmiłam z udawanym pośpiechem i uciekłam.

Znalazłszy się na górze, natychmiast odkorkowałam butelkę jakiegoś owocowego trunku z Nowej Zelandii. Kiwając głową nad własną głupotą, pociągnęłam pierwszy łyk, kiedy zjawił się Will.

- Powiedz mi, co się dzieje, Florence - zażądał.

- Nie mam więcej pieniędzy - oświadczyłam, ciekawa, czy mój nos wydłuża się jak u Pinokia. - Nie mogę wam zapłacić - dodałam, niemal pewna, że w miejscu ust mam już pokaźny ryjek. - Wszystko wydałam, nic nie mam, koniec. - Pomyślałam, że jak tak dalej pójdzie, to moje nozdrza będą wystawać przez okno po drugiej stronie pokoju.

- Tak, wiem - odpowiedział Will. - Robię to jako przysługę. Stan też wyświadcza ci przysługę. A Sid i tak nie pracuje dla pieniędzy.

Pociągnęłam łyk sauvignon blanc. Niech mnie licho, jeśli wiem, czym się tu zachwycać. Dla mnie było okropnie kwaśne. Jak sok z agrestu doprawiony proszkiem na pchły Sparky'ego.

- Niedobre? - spytał Will, wskazując na butelkę.

- Nie najlepszy wybór - przyznałam, żałując, że zamiast tego paskudztwa nie mogę się po prostu napić herbaty. Jednakże herbata nie pomagała zapomnieć o kłopotach, to było zadanie alkoholu.

- Masz ochotę na kieliszek?

Will zaprzeczył ruchem głowy.

- Przykro mi, ale nie piję.

Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest alkoholikiem i czy bardzo niegrzecznie byłoby o to zapytać.

- Względy zdrowotne - wyjaśnił, jakby czytał mi w myślach.

- Chodzi głównie o zdrowie psychiczne. Florence, czy mogę usiąść?

Przyciągnęłam butelkę bliżej siebie i pokiwałam głową.

- Co się dzieje? Co cię skłoniło do zmiany planów? - spytał, kiedy już usiadł. - W sprawie herbaciarni? Nie może chodzić o pieniądze, bo na razie więcej nie potrzeba. Nie to cię powstrzymuje. Poradzimy sobie, mówiłem ci przecież. Zastanawiam się tylko, Florence...

Przełknęłam kolejny łyk wstrętnego soku z agrestu i pcheł, nie mówiąc ani słowa.

- Zastanawiam się tylko, czy przypadkiem nie chodzi o mnie - ciągnął Will. - O to, co się zdarzyło kilka dni temu. Bo mam wrażenie, że wtedy źle się zrozumieliśmy, a jeśli rezygnujesz z tego powodu, to mogę tylko powtórzyć, że

bardzo mi przykro. Bardzo, ale to bardzo cię przepraszam. Nie mógłbym sobie wybaczyć, gdybyś zrezygnowała ze swojej herbaciarni przeze mnie. Z powodu błędnego zrozumienia tego, co zaszło albo nie zaszło wtedy na górze.

Wypiłam następny łyk i trochę sauvignon blanc spłynęło mi po brodzie. Nie byłam w stanie utrzymać tego paskudztwa w ustach.

- Florence? - Pokiwałam głową, więc wiedział, że go słucham, choć tak naprawdę wcale nie chciałam słuchać. - Jeśli to nie było nieporozumienie, jeśli chodzi o coś innego, to bardzo bym chciał, żebyśmy mogli o tym porozmawiać.

Znów pokiwałam głową. Przełknęłam to paskudztwo. Zlizyłam lepkie resztki z podbródka. Przyłapałam się na tym, że myślę o żebrach Willa pod koszulą, wyobrażam sobie, jak wodzę po nich palcami.

- Teraz ty powinnaś coś powiedzieć - uznał Will, całkiem uprzejmie, zważywszy na okoliczności.

Jednak to, co ewentualnie chciałam powiedzieć, było absolutnie zakazane. Ponownie napełniłam kieliszek aż po brzeg, wychyliłam do dna i właśnie miałam po raz drugi udać zaskoczona późną porą, spoglądając na nieistniejący zegarek, kiedy wybawił mnie dzwonek telefonu.

To był Harry, przerażony wiadomościami o Poppy, które właśnie usłyszał od Monty'ego.

- Jak mogłaś mi o tym nie powiedzieć? - spytał ze złością. Spojrzałam przepaszająco na Willa, wzruszając przy tym ramionami. Will wstał i unosząc dłoń, pokazał na palcach, że daje mi pięć minut. Wyciągnął z kieszeni dzinsów komórkę i wyszedł na schody.

- Ja uwielbiam Poppy, Floss - mówił Harry, chociaż mój umysł nadal pozostawał przy kieszeni Willa. - Przecież wiesz. Jestem załamany, że zrobiła coś takiego, a ty nawet nie pomyślałaś o tym, żeby mi powiedzieć.

- Ja też jestem załamana, Harry, z powodu wielu rzeczy.

- Och, na litość boską! - I proszę, znów była ta nuta rozdrażnienia, którą wyczuwałam o wiele częściej, odkąd zmieniłam stosunek do mojego męża. Ciekawe, czy zawsze dźwięczała w jego głosie? Czy po prostu wcześniej jej nie zauważałam?

- Wiem, że też jesteś załamana - ciągnął mój rozdrażniony były mąż - i przykro mi z tego powodu, ale naprawdę, Floss, to, że mnie tam nie ma, nie oznacza, że nie jesteśmy rodziną. Że ty i Monty, i ja nadal nie jesteśmy rodziną.

- Ależ właśnie to znaczy! - zawołałam, czując, jak i mnie ogarnia rozdrażnienie. - To, że cię tu nie ma, całkowicie odmieniło sytuację i nie jesteśmy już rodziną, Harry. Masz teraz własną rodzinę ze swoim cudownym „Charlesem” i tą głupią chihuahua.

- Z głupim czym? Co masz na myśli?

Zapomniałam, że wymyśliłam miniaturowego pieska Charlesa, snując fantazje na temat własnego pogrzebu.

- Nie muszę ci już nigdy o niczym mówić, Harry, ty cholerny, gówniany draniu. Należy ci się to, bo zrujnowałeś moje cholerne gówniane życie.

- Jesteś pijana?

Pomyślałam, że „pijana” to za mocne określenie. Bez wątpienia odczuwałam nienaturalną pewność siebie, jaką daje popijanie wczesnym popołudniem, ale już zaczynała mnie boleć głowa, choć nie opróżniłam jeszcze do końca trzeciego kieliszka.

- A jeśli nawet, to co? - rzuciłam wyzywająco.

- Och, Floss, proszę cię, na litość boską. Nie mogłabyś po prostu...

- Dziękuję, owszem, mogę - powiedziałam radośnie. - Przekażę. Miłego dnia. - Trzasnęłam słuchawką.

Może on nadal był rodziną, ale ja nie. Ja byłam po prostu sobą. Sięgnęłam po kieliszek i już miałam go wypić do dna, kiedy wszedł Will. Zatrzymał się w progu i patrzył na mnie. Gdybym była inną osobą, w innym życiu, bez mojego straszego ukrytego bagażu, rzuciłabym się na niego i błagała go, żeby się mną zaopiekował i robił ze mną te wszystkie nieprzyzwoite, spocone, sprośne rzeczy.

Jasnoniebieski to był naprawdę jego kolor. I ta twarz! Przystojna raz, opalona dwa, męska trzy (podkreślone i dużymi literami), do tego wyrażająca całkowite zrozumienie, mimo mojego oczywistego wariactwa, cztery. Widziałam to w zmarszczce pomiędzy jego trzydziestjednoletnimi brwiami i lekkiej chmurności jego trzydziestjednoletnich oczu.

Przeszedł przez kuchnię i zbliżył się do mnie; przez ułamek sekundy wierzyłam, że zaraz nastąpi scena z harlekina. Rozważałam nawet omdlenie, ale takie bez utraty przytomności. Tymczasem Will tylko odebrał mi kieliszek, wylał zawartość do zlewu i wziął mnie za rękę.

- Chodź - powiedział. - Włóż jakieś buty i kurtkę i zejdź szybko. Mam dla ciebie niespodziankę.

Widać nadal pozostawałam w omdlewającym nastroju, bo nie zaprotestowałam. Zrobiłam, co mi kazał, przy okazji poprawiłam makijaż i użyłam perfum, a potem przemknęłam koło dziury, którą starałam się omijać wzrokiem, jednocześnie bardzo uważając, żeby do niej nie wpaść. Wyszliśmy na zewnątrz; Will otworzył drzwi od strony pasażera w swojej furgonetce i skinął ręką, zachęcając mnie, bym zajęła miejsce w środku.

Furgonetka była żółta, przynajmniej pierwotnie, zanim rdza rozpanoszyła się w miejscach stuknięć i zadrapań, a także pomiędzy nimi. Jednak narzędzia ułożone były porządnie w dwóch skrzyniach na otwartej pace, a kabina wydawała się znacznie czystszej szej niż wewnątrz mojego golfa.

Miał nawet podkładkę z klipsem do spinania papierów. A po podłodze nie turlał się ani jeden kubek po kawie na wynos. Nie było też tysiąca paragonów zatkniętych za osłonę przeciwsłoneczną. Ani rozmazanej szminki na desce rozdzielczej.

I pachniało przyjemnie. Jakby pomarańczami.

- Dokąd jedziemy? - spytałam, kiedy Will skręcił z Blomfield Road na Warwick Avenue.

- Zobaczysz - odpowiedział z uśmiechem. Przyglądałam się jego dłoniom, kiedy poruszał kierownicą, zmieniał biegi, włączał kierunkowskaz. Zmierzaliśmy w stronę Edgware Road. Zaczynałam się odprężyć. Dzień był piękny, chociaż chłodny; miało się wrażenie, że miasto eksploduje zielenią. Niech sobie mówią, co chcą, o brudzie panującym w Londynie, ale przez kilka cudownych miesięcy w środku roku lśni jak szmaragd. Nagle przestało mnie obchodzić, dokąd zmierzamy, cudownie było tak po prostu gdzieś z kimś jechać, zwłaszcza z Willem.

Kiedy minęliśmy Marble Arch, poczułam leciutkie łaskotanie niepokoju, a gdy zjechaliśmy z Park Lane w stronę Grosvenor Square, motyle w moim brzuchu w pełni rozwinęły skrzydła. Will zabierał mnie do Claridge'a! Oniemiałam z zaskoczenia.

Podjechał do wejścia od strony Brook Street i wręczył kluczyki portierowi, który odpowiedział uprzejmym skłonieniem głowy, jakby parkowanie takich pojazdów było jego chlebem powszednim.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, kompletnie zaskoczona faktem, że znalazłam się w wyłożonym czarnymi i białymi kafelkami holu restauracji, którą lubiłam najbardziej na świecie.

- Jak ci się udało zdobyć rezerwację? - wykrztusiłam z siebie w końcu. Zwykle trzeba było zamawiać stolik parę tygodni naprzód.

- Zawsze warto próbować. - Will wzruszył ramionami. - Dodzwoniłem się tuż po tym, jak ktoś zrezygnował i się udało. Widocznie to mój szczęśliwy dzień.

Wskazano nam stolik w Czytelni, w kącie obszernej sali, naprzeciwko pianisty i muzyka, który brzdąkał melodyjnie na kontrabasie, kiedy mijaliśmy wytworne kobiety i biznesmenów spożywających lunch.

W zapełnionej gośćmi sali rozlegał się szmer rozmów, ale jedną z cudownych właściwości Claridge'a było to, że nawet przy dużym ruchu panowała tu atmosfera elegancji, na którą składały się dobry styl i troska o zadowolenie klientów.

- Domyślam się, że zechcesz zamówić szampańską popołudniową herbatę - powiedział Will, otwierając menu. - Jak znalazł dla kogoś tak spragnionego jak ty.

Pogłaskałam bladozielone paski na mojej filiżance Bernardaud. Nie wyglądała na tę samą, z której piłam herbatę w czasach Rose, przede wszystkim była to francuska porcelana, tak się składało, że z Limoges, ale idealnie pasowała do wystroju wnętrza utrzymanego w stylu art deco, więc siłą rzeczy musiała mi się podobać.

- Prawdę mówiąc nie jestem mocna w picciu - wyznałam. - Myślałam, że spróbuję przez jakiś czas, ale mnie nie wciągnęło. Jeszcze dobrze się nie napiję, a już mam potwornego kaca i myślę tylko o tym, żeby się położyć w ciemnym pokoju z filiżanką herbaty i mokrym kompresem na głowie.

- W takim razie chyba powinnaś dać sobie z tym spokój - stwierdził Will. - Picie nie zawsze popłaca, nawet jeśli jest się w tym naprawdę dobrym.

Śliczna jasnowłosa kelnerka podeszła, żeby przyjąć od nas zamówienie, a ja złapałam się na tym, że wołałabym, by zastąpił ją starszy, lekko ospowaty kelner obsługujący stoliki po drugiej stronie sali. Personel Claridge'a słynął z dyskretnego uroku i sprawności, ale jakoś nie mogłam uwierzyć, że ta blondynka nie flirtuje z Willem w jakiś niewidoczny sposób.

- Ja wezmę królewską mieszankę Claridge'a - oznajmił uprzejmym tonem Will.

- Ja poproszę o Rose Congou - powiedziałam szybko. Ten gatunek herbaty nie bardzo pasował do kanapek, ale nie wypadało zamawiać czegokolwiek innego, biorąc pod uwagę, że to właśnie tu spędziłyśmy z Rose tyle szczęśliwych popołudni.

- Tak było z tobą? - spytałam Willa, kiedy śliczna blondynka odeszła. - Picie się nie opłaciło?

- Między innymi - odpowiedział Will, spoglądając w drugi koniec sali na wyjątkowo pulchną matronę po sześćdziesiątce. Zauważyłam ją zaraz, jak tylko weszliśmy. Byłam pewna, że wszystko, co miała na sobie, było od Chanel. - Rozumiem, dlaczego ci się tu podoba. - Jest na co popatrzeć.

- I to przy dobrym świetle - powiedziałam. Istnieje bardzo niewiele miejsc na świecie, gdzie wszystko wygląda, jak trzeba, a Claridge jest jednym z nich. - Spencer Tracy podobno powiedział, że kiedy umrze, co nie znaczy, by miał taki zamiar, nie chce iść do nieba, tylko woli do Claridge'a.

Zastanawiałam się, czy był tam z nami wtedy. Bez wątplenia to miejsce mógłby nawiedzać duch eleganckiego mężczyzny, choć osobiście uważałam, że bardziej pasowałby tutaj duch Cary'ego Granta. Przyniesiono nasze kanapki; ze zdumieniem odkryłam, że one także zostały zmodernizowane od czasu, gdy ostatnio tu byłam. Teraz zawierały kawałki

naturalnie hodowanego kurczaka i szkockiego łososa, a ogórkowi towarzyszyła rokiетка, której nie pamiętałam z czasów Rose.

Śliczna kelnerka naląła nam herbaty do filiżanek, pozostawiając ją czarną. Wtedy Will, ku mojemu zaskoczeniu, pochylił się i wlał do mojej filiżanki mniej więcej cztery krople mleka, tak jak lubiłam.

Wiecie, że przez dwadzieścia lat małżeństwa Harry'emu nie udało się zapamiętać, jaką herbatę piję? Wtedy mi to szczególnie nie przeszkadzało, przede wszystkim dlatego, że mój mąż rzadko robił nam herbatę, ale powinien był wiedzieć.

Poczułam nagle, jakby mi coś uciekało. Will nie mógł być aż tak idealny, a może mógł? A ja nie mogłam przecież umyślnie rezygnować z romansu z idealnym mężczyzną.

- Jaką herbatę piła twoja żona? - spytałam, chcąc koniecznie znaleźć w nim jakąś wadę.

- Każdą, ale najbardziej lubiła zbyt długo parzoną z dużą ilością mleka.

- Aha. A dlaczego nie jest już twoją żoną?

- Traktowałam ją paskudnie i nie może mi tego wybaczyć - odpowiedział z taką bezpośredniością, że omal się nie zakrztusiłam moją herbatą o smaku różanym. - Próbowałam naprawić nasze stosunki, ale to nie było łatwe i obawiam się, że tylko ja ponoszę winę za wszystko. Co więcej, to było strasznie trudne dla naszych córek.

- Masz córki?

Próbowałam ukryć zaskoczenie, jeśli tak można określić to, co poczułam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Will może mieć dzieci. Małe dziewczynki. Podniosłam do ust filiżankę, starając się nie zwracać uwagi na dziwne ukłucie w sercu.

- Owszem. Lucy właśnie skończyła osiem lat, a Ella w przyszłym miesiącu będzie miała sześć. Nie widuję ich zbyt

często, ale staram się być w kontakcie, na ile mogę, żeby wiedziały, jak dużo o nich myślę.

- Twoja żona musi być na ciebie bardzo, ale to bardzo zła. Co jej zrobiłeś? - spytałam wprost. - Zdradziłeś ją?

- Tak - padła odpowiedź. - Niejeden raz. Więcej niż kilka razy. To było kompletne dno, mówiąc szczerze. Pracowałem wtedy w agencji reklamowej i spędzałem w firmie większość czasu. Piłem za dużo, brałem narkotyki, nie wracałem do domu, czasami po kilka dni z rzędu, a w końcu uderzyłem autem w drzewo, wioząc na tylnym siedzeniu nasze córki.

Odłożyłam kanapkę z szynką z Dorrington i angielską musztardą na bladozielony talerz w paski. Może jednak nie chciałam znać jego wad. Może lepiej było sobie wyobrazić, że jest idealny.

- Dlaczego mi to mówisz? - spytałam.

- Wiesz, dlaczego - odparł, patrząc mi prosto w oczy.

Rzecz w tym, że zwykle zatrzymywałam dla siebie to, co naprawdę myślałam, a mówiłam o czymś zupełnie innym. Odnosiłam wrażenie, że większość ludzi tak robi, odkąd osiągną wiek mniej więcej czterech lat. Jednak kiedy Will coś mówił, było tak, jakby jego ukryte myśli unosiły się i wskakiwały do aktualnie prowadzonej rozmowy, ponieważ wszystko, co powiedział, brzmiało szczerze aż do bólu. Nie bardzo umiałam sobie z tym radzić. Budziło we mnie lęk. W końcu sama ukrywałam wiele tajemnic pod warstwą milczenia. Gdybym założyła, że moje sekrety mogą mimochodem zacząć stamtąd wyciekać, nie miałabym pojęcia, od czego zacząć naprawianie zniszczeń.

- Dziewczynkom nic się nie stało? - spytałam, wracając do mniej niebezpiecznego tematu, jeżeli można tak określić picie, narkotyki i rozbijanie się na drzewach.

- Na szczęście nie. Ale mogłem je zabić. Mam na myśli nie to, że mogłem zrobić to znowu, ale to, że gdyby wówczas

była gorsza pogoda albo gdybym tamtego dnia wypił więcej tequili; wtedy mógłbym je zabić.

- Przykro mi - powiedziałam.

- Mnie też. Nie chcę ci zepsuć popołudniowej herbaty... - Rozejrzał się po sali pełnej ludzi gwarzących miło ze sobą, popijających herbatę i zjadających mikroskopijne przysmaki na jeden kęs - ...ale chciałbym, żebyś wiedziała o mnie wszystko, Florence, o każdej mojej wadzie.

- Cóż, całkiem nie byle jakie wady - przyznałam, choć nie było to najgorsze wyznanie, jakiego ostatnio wysłuchałam. Poza tym miło było dowiedzieć się czegoś takiego na samym wstępie, a nie po, na przykład, dwudziestu latach małżeństwa.

- Żona wyrzuciła cię po tym wypadku z drzewem? - spytałam.

- Tak, powinna była mnie wyrzucić wcześniej, ale bardzo jej to utrudniałem. Ponownie wyszła za mąż za bardzo miłego, sensownego człowieka, którego moje dziewczynki kochają. Mają razem jeszcze jedną córeczkę.

Zacząłam sobie wyobrażać, jak bardzo to musiało boleć, kiedy przyniesiono nam deser. Z wręcz nieprzyzwoitym pośpiechem przełknęłam bułeczkę z rodzynkami i dżemem Marco Polo, po czym zabrałam się do czekoladowego makaronika z kremowym nadzieniem o smaku herbaty.

Okazał się wprost boski.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że byłeś taki szalony i nieodpowiedzialny - powiedziałam, kiedy już zdołałam się skupić na czymś innym niż moje ciasteczka. - To po prostu do ciebie nie pasuje.

- Nie pasuje do mnie takiego, jaki jestem teraz - sprostował Will. - Ale okazuje się, że byłem jednym z tych idiotów, którzy muszą wszystko stracić, żeby docenić to, co mieli. Znasz ten typ, Nick Hornby wciąż pisze o nas nowe książki. Smutna banda głupców.

- Ale co sprawiło, że byłeś taki? - spytałam. - To, że dorastałeś w dzikiej Afryce, a może zbyt długi pobyt w szkole z internatem w Anglii?

- Chciałbym znać odpowiedź, a raczej chciałbym, żeby istniała jakaś odpowiedź, ale prawda jest taka, że byłem po prostu zepsutym gówniarzem. Któremu stanowczo zbyt długo udawało się unikać odpowiedzialności za morderstwo z premedytacją na samym sobie. Nie ma na to usprawiedliwienia. Miałem świetnych rodziców, wspaniałą żonę, fantastyczną pracę, dobrych przyjaciół - chociaż nie do końca, bo bardzo mądrze się ode mnie odcięli, przynajmniej większość z nich - i miałem wiele cudownych możliwości w życiu, ale wszystkie spieprzyłem, ponieważ byłem samolubnym idiotą.

- Cóż, rozumiem.

- Nie patrz tak, Florence, proszę. Próbuję wyjaśnić, dlaczego teraz jestem taki, jaki jestem. Zmarnowałem tyle czasu, kiedy byłem młodszy. Skrzywdziłem przyzwoitą kobietę i dwoje pięknych dzieci i gdybym mógł cofnąć czas i to naprawić, to bym tak zrobił, ale nie mogę. Mogę tylko jedno: już nigdy nie być tak cholernie głupi.

Patrzyłam na mały kawałek pysznej owocowej tarty leżący przede mną na talerzyku i nagle przygniotło mnie poczucie najgorszej z możliwych beznadziei.

- Staram się już więcej nie marnować czasu, Florence - ciągnął Will - tylko to próbuję ci powiedzieć. Czas jest zbyt cenny, każda minuta, tego się nauczyłem, o to mi chodzi, więc... o Boże, znowu cię zdenerwowałem, przepraszam. Może jeszcze herbaty? Zawołam kelnerkę.

Skinął ręką, przywołując śliczną blondynkę, ale ja nie chciałam już więcej herbaty. Mojej tarty owocowej też nie chciałam. Pragnęłam tylko wrócić do domu.

Życie było dla Willa zbyt cenne, żeby marnować czas na mnie. A właśnie to by robił.

Will:

Wkopałem się w taki kanał w Claridge'u, że nie mogłem sobie wyobrazić, jak się z niego kiedykolwiek wydostanę.

To dlatego, że chciałem, by wiedziała o mnie wszystko. Prawdę mówiąc, nie mogłem się doczekać, kiedy to wszystko przed nią wywalę. Zdecydowałem się wywalić to przed nią na ogromny stos, żeby zobaczyła wszystko od razu i żebyśmy mogli przejść do tego... hmm, do tego, co będzie.

Chyba zachowywałem się jak narwaniec, bo naprawdę myślałem to, co mówiłem, kiedy jej powiedziałem, że nie chcę marnować czasu, nawet jednej minuty, a zaczynałem tracić cierpliwość, nie do niej, tylko do sytuacji. Nigdy nie byłoby między nami w porządku, gdybym się posunął za daleko, ale też w ogóle nic by między nami nie było, gdyby nadał się mnie bała albo była zbyt zamknięta, żeby mi zaufać.

Dużo o tym myślałem, kiedy ją odwoziłem do domu. Wydawała się taka zagubiona, cały czas patrzyła przez okno na ulicę. Cokolwiek się z nią działo, cała się od tego trzęsła, aż do szpiku kości, jakby powiedział Stan.

Jednak pomimo tak wielu przeszkód nadal czułem to, co zawsze: że jest między nami coś nieokreślonego, ale wielkiego; unosi się w powietrzu, łączy nas i przyciąga tak blisko, jak tylko się da, bez wybuchnięcia nam prosto w twarz. To nadal tam było. Nie tak do końca niebezpieczne, ale prawie.

Gdybym się mylił co do nas, wtedy owo prawie niebezpieczne coś by zniknęło; tymczasem mogłem je wyczuć jeszcze mocniej. To mi dawało odwagę (z braku lepszego słowa), żeby się nie wycofać. Widywałem wcześniej takie momenty, kiedy potencjał zostaje wyspany z powietrza, kiedy

cudowna dziewczyna, którą poznałeś późnym wieczorem w barze i myślałeś, że może się z nią ożenisz, okazuje się następnego dnia wielbicielek Celine Dion i na śniadanie pali marlboro bez filtra, a wszelkie nadzieje na wspólną przyszłość rozwiewają się jak kłęb dymu.

Jestem pewien, że większość z nas doświadczyła takiej chwili, kiedy znika coś, czego nawet nie można było zobaczyć. Myślę, że to obietnica zmieszana z pożądaniem, ale w wypadku mnie i Florence, albo tylko mnie na obecnym etapie, to pewność. I to nie znikło. A jeśli ona jeszcze nic nie widziała albo starała się tego nie poczuć, to wcale nie znaczy, że tego nie było.

Jadąc tamtego popołudnia do mojego mieszkania, już bez niej, kiedy zapach jej perfum nadal unosił się w kabinie furgonetki, wiedziałem, że będę musiał mieć dość pewności za nas oboje, dopóki... dopóki co?

Wtedy przyszło mi do głowy, że cokolwiek powstrzymuje ją przed dostrzeżeniem tego, co jest między nami, może to nie mieć nic wspólnego ze mną.

Dwa dni później siedziałam w Rembrandt Garden przy Warwick Avenue, ciesząc się słońcem, wdychając aromat róż, unikając mojego budowlańca, mojego syna, synowej i w ogóle mojego życia, kiedy przejechał koło mnie podwójny sportowy wózek z dwójką tłusciutkich różowych niemowląt w środku, jednym śpiącym i jednym wyraźnie marudzącym.

Marudzące dziecko - z buzią wykrzywioną niezadowolaniem i małymi ciemnymi oczkami - zwróciło moją szczególną uwagę, ponieważ wydało mi się podobne do mojej babki, tej od naftaliny. Podobnie jak moja babka mogłoby mieć całkiem ładną twarz, gdyby zdobyło się na bardziej myślący wyraz, trochę się odprężyło i starało otworzyć, ale tego nie zrobiło. Wybrało marudzenie.

- Florence? - odezwała się kobieta pchająca wózek. Oderwałam wzrok od dzieci i zobaczyłam Marguerite, młodą kobietę czytającą z herbacianych fusów. - Co za urocza niespodzianka. Mogę usiąść? - Nim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, ustawiła wózek w cieniu londyńskiego płatanu i opadła na ławkę obok mnie. - Myślałam o tobie nie dalej jak wczoraj - oznajmiła. - Przechodziłam z dziewczynkami obok twojego dawnego sklepu i przypomniało mi się, jakie to było cudowne miejsce i jak lubiłam je odwiedzać. Teraz, kiedy ciebie nie ma, prawie tam nie wchodzę. Po pierwsze, nie podają już herbaty, a poza tym za dużo francuskich gratów, cały sklep jest nimi zapchany. Nie sposób się obrócić, żeby nie zaczepić o jakiś sprzęt Ludwika XV. Ja tam wolę raczej styl skandynawski, jeśli chodzi o meble. Szczególnie duński. - Urwała, jakby zawstydzona, że tyle mówi, i spojrzała na dzieci.

Dopiero wtedy zauważyłam, że Marguerite wygląda na bardzo zmęczoną. Jej piękna cera była prawie szara, białe rybaczki i kaszmirowy sweterek wygniecione, a różowy

plaszczyk, poplamiony czymś pomarańczowym, miał trochę nierówne klapy.

- W jakim są teraz wieku? - Spytałam, kiedy to marudne zaczęło bez przekonania kwilić.

- We czwartek skończą jedenaście miesięcy - odpowiedziała bez entuzjazmu, jakim zwykle tryskają młode matki. - Przepraszam - dodała, zorientowawszy się, jak musiał zabrzmieć jej głos.

- Po prostu mam kiepski dzień.

- Przez dziewczynki? - spytałam, dobrze znając odpowiedź. Lubiłam dzieci, ale nawet te najgrzeczniejsze potrafiły umęczyć.

- Mnóstwo przy nich roboty, prawda? I nikt o tym nie uprzedza. A jeśli nawet tak, to mu się nie wierzy, bo każdy myśli, że jego będą inne. A ty masz dwójkę naraz. To musi być wyczerpujące.

- Owszem, jest - przyznała Marguerite, nie bez pewnej ulgi, że może to powiedzieć. - Przez jakiś czas mieliśmy nianię, ale odeszła i z początku wydawało mi się, że sama wszystkiemu podołam, ale w takie dni jak dziś naprawdę tęsknię za swoją pracą. Brakuje mi dorosłego towarzystwa. Myślę, że to największy problem. Mówię różne dziecinne głupoty do dziewczynek przez cały dzień i potem, kiedy Tim wraca z pracy, jestem zbyt zmęczona, żeby powiedzieć coś sensownego. Dawniej miałam swoje zdanie na różne ważne tematy, jak wybory w innych krajach, skomplikowany system podatkowy, prawa człowieka w Chinach. A teraz... mam szczęście, jeśli uda mi się zdecydować, czy wolę rozgniecionej banana czy mus jabłkowy.

Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek miałam własne zdanie na temat skomplikowanego systemu podatkowego, ale dobrze pamiętałam frustrację spowodowaną niemożnością dokonania wyboru pomiędzy rozgniecionymi bananami a

musem jabłkowym. To miało wymiar symboliczny, pokazywało, że po wydaniu na świat dziecka mózg matki zamienia się w papkę. Nie wiedziałam, dlaczego tak się działo. Nie wiedziałam, dlaczego cokolwiek się działo. Byłam nieodpowiednią partnerką do rozmowy dla osoby, która miała zły dzień. Sama też miałam zły dzień. Zły miesiąc. Złe życie.

- Zaczęłam przerabiać mój dom na herbaciarnię - powiedziałam do Marguerite, tak a propos niczego, kiedy kwilenie jej dziecka przybrało na sile.

- Naprawdę? To cudownie! - Twarz jej pojaśniała, zmęczenie na moment znikło, ustępując miejsca delikatnej urodzie, którą pamiętałam. - Myślałam, żeby się z tobą zobaczyć, ale chyba nie należę do osób, które tak po prostu do kogoś wpadają. Trudno nabrać takiego zwyczaju, jeśli się go nie wypracowało w przeszłości. To chyba tak jak z paleniem. Kiedy będzie otwarcie? Herbaciarni? Wtedy będę mieć powód, żeby przyjść z wizytą.

- Och, zaczęłam przerabiać dom na herbaciarnię - wyjaśniłam, żałując, że w ogóle otworzyłam usta. Odzywianie się a propos niczego było po prostu głupie. - Ale nie skończyłam. Wyczerpały się... cóż, dzieje się tyle innych rzeczy, no i był ten grzyb w piwnicy i nie mogłam... Tak czy inaczej, odprawiłam budowlańca i hydraulika, chociaż to nie odniosło takiego skutku, jakiego by się można spodziewać.

Kwilenie zmieniło się w potężny ryk, a Marguerite znów zaczęła wyglądać o sto lat starzej, więc widząc, jak siedzi na ławce ledwo żywa, wyjęłam rozwrzeszczaną istotę z wózka i przełożyłam sobie przez ramię, poklepując ją po słodkim małym tyłeczku okrytym spodenkami od Tommy'ego Hilfigera. Ryk na moment jeszcze zwiększył moc, po czym znów przeszedł w kwilenie, by ostatecznie zakończyć się pojedynczym chlipnięciem.

Marguerite uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Dzięki - powiedziała. - Potrzebowałam tego. Kołysałam jej córeczkę i przytulałam do szyi.

- Ja też - przyznałam.

Przez głowę przebiegło mi pewne wspomnienie z wczesnego dzieciństwa Monty'ego. Siedziałam w Holland Park, kołysząc go w wózku i płacząc tak wytrwale, że w końcu z zarośli wyłonił się policjant w cywilu i spytał, czy wszystko w porządku. Tak mnie wtedy zawstydził, że poszłam do domu.

Może samotność nie była dla mnie czymś aż tak nowym, jak mi się zdawało.

- Przypomniałam sobie właśnie swój zły dzień z czasów, kiedy Monty był mniej więcej w tym wieku - powiedziałam. - To zabawne, bo gdyby mnie ktoś kiedyś spytał, czy miewałam wówczas złe dni, odpowiedziałabym, że nie.

- Szczerze mówiąc, czułabym się znacznie lepiej, gdyby inni ludzie pamiętali swoje - Marguerite westchnęła. - Bo mam wrażenie, że zdarzają się one tylko mnie.

- Tak, ale czyż to nie jest pocieszająca świadomość, że po latach o nich zapomnisz? - spytałam. - Rozmyją się i znikną, a ty będziesz pamiętać tylko te dobre.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Przypuszczam, że dlatego ludzie mają więcej niż jedno dziecko. Zastanawiałam się nad tym, ale osobiście bym się nie spieszyła. Poza tym mam już dwójkę.

- Ja mogłam mieć tylko jedno - wyznałam. - A i tak mi się udało, że mam Monty'ego.

- Och, tak mi przykro, Florence. - Marguerite nie kryła skrępowania. - To, co powiedziałam, musiało zabrzmieć okropnie. Nie chcę narzekać i nie myśl, że jestem niewrażliwa, tylko że... właściwie nie wiem, co.

Przełożyłam usypiającą dziewczuszkę na drugie ramię.

- Nie przepraszaj - poprosiłam stanowczo. - Nie jestem pewna, czy poradziłabym sobie z więcej niż jednym dzieckiem, jeśli mam być szczerą. - Nigdy się nikomu do tego nie przyznałam, ale w okresie niemowlęctwa Monty'ego Harry był zajęty swoją praktyką prawniczą i chociaż miałam to, czego chciałam, mnóstwo czasu spędzałam sama i było to dla mnie trudne. - Poza tym kochałam Monty'ego tak bardzo, że nie wyobrażałam sobie, bym mogła znaleźć w sobie jeszcze miłość dla jego brata albo siostry.

- Ja też się o to martwiłam - wyznała Marguerite - mając bliźniaczki. Zastanawiałam się, czy każda z nich dostanie tylko połowę tej miłości, jaką by miała, będąc jedynym dzieckiem, ale teraz myślę, że miłość się rozciąga i wystarczyłoby jej dla całej gromadki, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Albo się kurczy - zasugerowałam odwrotną, smutną możliwość.

- Nie wydaje mi się - zaproponowała łagodnie Marguerite (a jednak nadal miała własne zdanie na różne sprawy) - ...bo przecież nie przestaje się kochać osób, które odeszły, prawda? Miłość, jaką się do nich żywi, pozostaje ta sama, tyle że nie ma ich na miejscu, by ją poczuły. A jeśli zjawia się ktoś nowy, miłość do osoby, która odeszła, nie zostaje przeniesiona na niego, tylko jest to zupełnie nowa miłość. Cholera, co ja gadam? Sama widzisz, jak to jest, kiedy się nie wychodzi z domu!

A ja uważałam, że to bardzo miłe siedzieć tak sobie w słońcu i rozmawiać jak przyjaciółka z przyjaciółką. Powiedziałam jej to.

- Byłoby jeszcze przyjemniej, gdybyśmy się mogły napić herbaty i spróbować twoich domowych rurek z kremem, skoro już o tym mowa - powiedziała Marguerite. - Wielka szkoda z tą twoją herbaciarnią, Florence. Naprawdę myślałam, że ci się

uda, ale... Umknęło mi, co mówiłaś. Zaczęłaś przebudowę, a potem ją wstrzymałaś, ale to nie odniosło skutku, czy tak?

Pokiwałam głową i pocałowałam ciepłe wgłębienie w karczku dziewczynki.

- Żadnego skutku, jak się okazuje. Odprawiłam Willa, tego budowlańca, kiedy mi się skończyły pieniądze, ale cóż, widać mu się to spodobało, bo mnie nie posłuchał i jakby dalej nad tym pracuje.

- Niesłychane - zdumiała się Marguerite. Zgadzałam się z nią całkowicie. - Tak więc chociaż zdecydowałaś, że rezygnujesz, coś się nadal dzieje?

- Owszem, na to wygląda. - Nie patrzyłam na tę sprawę od takiej strony, ale Marguerite miała rację.

- Skoro tak, to kiedy twoim zdaniem mogłabyś otworzyć lokal?

- Nie będę go otwierać - oznajmiłam z naciskiem. - Ponieważ zrezygnowałam.

- Ale gdybyś nie zrezygnowała? - Marguerite nie dawała się zbyć.

- Przypuszczam, że za jakiś miesiąc.

Tak naprawdę nie miałam pojęcia. Musiałabym kupić kuchnię i stoliki, i krzesła, a nie wiedziałam, ile to potrwa i gdzie się takie rzeczy kupuje, no i nie zamierzałam tego robić. Will by wiedział, ale przecież nie mogłam go spytać, bo go odprawiłam, gdyż nie zamierzam otwierać herbaciarni, a on nie chce marnować ani chwili cennego życia i w ogóle.

- Mam nadzieję, że pozwolisz nam, smutnym młodym matkom, przyprowadzać dzieci do twojej herbaciarni? - bardziej stwierdziła, niż spytała Marguerite. - Właściwie nie znam żadnej innej smutnej młodej matki, ale jeśli pozwolisz im przychodzić, to może przynajmniej jakieś poznam.

- Cóż, nie pozwolę, bo nie będzie herbaciarni - powtórzyłam.

- Nie będzie herbaciarni, do której mogłyby przychodzić smutne młode matki.

- A gdyby była?

- Nie będzie.

- Och, wiem, ale gdyby była? Musiałam przyznać, że jest uparta.

- Gdyby w moim domu była herbaciarnia, ale nie będzie, bo zmieniłam zamiar, wtedy owszem, bardzo bym chciała, żeby smutne młode matki przychodziły z dziećmi i mogły ze sobą pogawędzić - przyznałam w końcu. Kiedy myślałam o tej rozmowie później, wydała mi się dość dziwna.

Potem przez chwilę gwarzyłyśmy o innych sprawach, o jej córeczkach, o moim synu, o Harrym - o którego odejściu już skądś wiedziała - o tym, że mogą zamknąć pocztę na Formosa Street, o pogodzie; normalne babskie pogaduszki nad kanałem.

- Florence, nie masz pojęcia, jak bardzo poprawiłaś mi nastrój - powiedziała Marguerite, kiedy już zbierałyśmy się do odejścia. Wzięła śpiące dziecko z mojego ramienia, i dobrze, bo ręka już mi zdrętwiała, i ułożyła je w wózku. - Dziś rano miałam niesamowicie czarne myśli, a ty je rozproszyłaś. Nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie bądź niemądra - odrzekłam. - Nic nie zrobiłam. A tak na marginesie - dodałam po namyśle - bardzo bym chciała, żebyś wpadła do mnie do domu następnym razem, jak o tym pomyślisz.

- Byłam pewna, że też nie należę do osób, które tak po prostu do kogoś wpadają, ale należałam do osób takich jak ona.

- Kto wie? - Marguerite się uśmiechnęła. - Może tyle ludzi zacznie wpadać do twojego domu, aby zjeść kawałek ciasta w miłym towarzystwie, że ani się obejrzysz, jak będziesz prowadziła herbaciarnię, chociaż tego nie planujesz.

Prawda była taka, że ona również poprawiła mi nastrój. Mimo tego wszystkiego, o czym nie rozmawialiśmy, czego ona nie wiedziała, a ja zatrzymałam dla siebie, po raz pierwszy od bardzo dawna ciężar moich problemów wydał mi się nieco mniejszy.

Po rozmowie z nią byłam w tak dobrym humorze, że poszłam do Tesco i kupiłam mnóstwo drogiej czekolady i duńskie kakao na moje ulubione ciasto murzynek, ale skończyło się na tym, że połowę oddałam Whiffy'emu O'Farrellowi, kiedy wracając do domu, spotkałam go grzebiącego w śmietniku na Formosa Street.

- Tęsknię za naszymi herbatkami - powiedziałam. - I przykro mi z powodu tego, co powiedziałam kilka dni temu. Nie powinnam była wspominać o... no wiesz, o raku.

Obdarzył mnie najmiłym, pełnym zrozumienia uśmiechem, który odebrałam jako zapewnienie, że nie powinnam się martwić, bo moja tajemnica jest bezpieczna. Następnie odgryzł kawałek jednej z czekolad, nie zdejmując opakowania, co trochę zachwiało moim zaufaniem do jego sprawności umysłowej.

Pożegnał mnie jednak uprzejmym skinieniem głowy i poszłam dalej.

W domu Will i Stan najwidoczniej poczynili postępy w zwalczaniu grzyba, bo wyciągnęli z dziury rusztowanie i składali je przed domem. Wypracowałam bardzo sprytną linię postępowania, polegającą na tym, że nie rozmawiałam z nimi o całym tym budowlanym przedsięwzięciu. Jakby pracowali w domu sąsiada, nie u mnie. Zwykle, przechodząc, unosiłam lekko brwi w wyrazie umiarkowanego zainteresowania, ale na tym się kończyło moje zaangażowanie.

- Do przyszłego tygodnia możemy przybić deski podłogowe i podłączyć kuchnię - oznajmił Will, kiedy

przemknęłam przez otwartą przestrzeń będącą do niedawna holem.

Popołudniowe słońce wpadało przez wysokie okna i musiałam przyznać, że byłoby całkiem miło siedzieć w tym miejscu i przeglądać czasopisma przy filiżance dobrej herbaty i rurce z kremem.

Uśmiechnęłam się do Willa, nawet nie zwalniając kroku. Myślałam, że będzie nieco urażony po tym, jak się zachowałam w Claridge'u, ale był taki jak zawsze, jakby nic między nami nie zaszło. Ciągle przyłapywałam jego spojrzenie; patrzył na mnie w szczególny sposób, jakby wszystko wiedział, a nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by odwrócić głowę i udawać, że jest zajęty. Uśmiechał się tylko, jakby z lekkim poczuciem winy, nie przerywając pracy. To spojrzenie trochę mnie jednak wkurzało, bo na tamtym etapie życia niewiele rzeczy mogłam być pewna, poza tą jedną, że Will mnie nie zna. W ogóle. Mogło mu się wydawać, że mnie zna, ale się mylił. Nikt mnie nie znał.

Kiedy weszłam do kuchni, oblizując się w duchu na myśl o murzynku, była tam Crystal; mówiła coś niewyraźnie do telefonu, a kiedy ją mijałam, odezwała się głośniej:

- Właśnie przyszła, już ją daję. - Nim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, wepchnęła mi do ręki słuchawkę.

To był Młody Nick, ma się rozumieć.

- Florence, jest tam pani? - zapytał. - Dlaczego nie odpowiedziała pani na moje telefony? I listy? Bezskutecznie próbuję się z panią skontaktować. Musimy porozmawiać o leczeniu, o tym, co należy zrobić. Nie może pani tego zamiatać pod dywan, niestety. Bardzo się o panią martwię.

- Przepraszam. - Staralam się utrzymać lekki, przyjazny ton, choć w rzeczywistości miałam ochotę wrzasnąć, żeby się ode mnie odpieprzył, a potem dusić Crystal sznurem od telefonu, dopóki oczy jej nie wyjdą z orbit i nos nie

eksploduje. Stała na wyciągnięcie ręki ode mnie, nos miała mały i zgrabny, oczy we właściwym miejscu i nawet nie udawała, że nie podsłuchuje. - Miałam tyle pracy, że nie mogłam się wyrobić - mówiłam wesoło - i moja siostra była bardzo chora.

- Pracy? - zdziwił się Nick. - Wróciła pani do sklepu z antykami? Doszła pani do porozumienia ze swoją współniczką?

A niech to! Zupełnie zapomniałam, że powiedziałam mu o wszystkim.

- Nie, nie, innej pracy. Z innymi ludźmi - dodałam trochę niezdarnie, rumieniąc się pod uważnym spojrzeniem Crystal.

- No to proszę im powiedzieć, że będą musieli trochę poczekać - powiedział Nick do kogoś tam u siebie. - Nie obchodzi mnie to. Proszę wziąć wiadro! - Poczulałam wyrzuty sumienia, że sprawiam mu kłopot. Ale rozwiały się natychmiast, gdy znów skupił uwagę na mnie. - Nie może pani tego ignorować. To poważna sprawa, Florence. Mówimy o całym pani życiu.

- Jestem tego świadoma - powiedziałam, otwierając drzwi spiżarni i wchodząc do środka, żeby uniknąć wzroku Crystal.

- A jest pani świadoma, że może chodzić o zabieg tak prosty, jak usunięcie kurzajki? Niebezpieczeństwo kryje się w niewiedzy, Florence. Musi pani zrobić sobie tomografię i pójść do chirurga. To absolutnie konieczne. Nie da się tego ominąć. Musi pani stawić temu czoło.

- Cóż, bardzo dziękuję - powiedziałam o tyle swobodnym tonem, o ile byłam w stanie, patrząc na zapas azjatyckich ziół w spiżarni, których z całą pewnością ja tam nie schowałam. - Wezmę to pod uwagę i odezwę się do pana, dobrze?

Miałam nadzieję, że to uspokoi moją wścibską synową. Jednak kiedy zerknęłam na nią przez ramię, nadal mnie czujnie obserwowała. I wcale nie wyglądała na uspokojoną.

- Powiedziała pani komuś? - Nick nie dawał się zbyć. - Ma pani jakieś wsparcie? Nie może pani być z tym sama, Florence. Nikt nie może.

- Och, to nie będzie konieczne - powiedziałam chyba trochę za szybko, więc zaśmiałam się, by poprawić wrażenie. - Dobrze jest, jak jest, dziękuję.

- Jednego może pani być pewna - powiedział Nick, ścisząc głos, tak że zabrzmiał jeszcze groźniej - że nie jest dobrze, jak jest. Niezależnie od tego, w jakim stadium rozwoju jest choroba, Florence, nie przyjmując jej do wiadomości, naraża się pani na niebezpieczeństwo. Monty'ego także. Rozumie pani? Moim zawodowym obowiązkiem jest powiedzieć to pani jasno i wyraźnie. Mówiąc o narażaniu Monty'ego, mam na myśli nie tylko to, że jeśli stan jest poważny, to może stracić matkę. Mam na myśli to, że możecie mieć predyspozycje genetyczne do raka okrężnicy. Jest pani młoda i ogólnie zdrowa, ale coś jest nie tak, więc może to być wada w pani genach. A jeśli tak, może dotyczyć również genów Monty'ego. On też może mieć predyspozycje, Florence. Czy to coś dla pani zmienia? Monty także musi się przebadać. Rozumie pani?

Serce biło mi gdzieś nienaturalnie nisko w głębi ciała. Jakbym je miała w żołądku.

- Dziękuję za telefon - powiedziałam, siląc się na swobodny ton, chociaż z mojej wcześniejszej brawury niewiele zostało, jakby ktoś mnie przepuścił przez młynek w kuchennym zlewie. - Muszę kończyć. Wkrótce się do pana odezwę. Do usłyszenia.

Wyszłam ze spiżarni i starannie odłożyłam słuchawkę na widelki. Stałam, gapiąc się na kalendarz; dopiero teraz zauważyłam, że data jest nieaktualna, od trzech miesięcy nie przekładałam w nim kartek. Staralam się nie trząść. Monty? Rak? W ogóle o tym nie pomyślałam. Gdyby Monty miał

raka, to by mnie wykończyło, o ile jeszcze nie byłam wykończona. Mógłby umrzeć. Czy to Młody Nick miał na myśli? Albo mógł to przekazać swoim dzieciom i one mogłyby umrzeć, a Crystal już straciła dziecko i byłoby wprost potworne, gdyby jej się to przydarzyło ponownie. To byłoby najgorsze. Gdyby coś się stało Monty'emu albo gdyby jego dziecko umarło, to byłoby ponad moje siły. Nie zniosłabym tego. A tak wiele już musiałam znieść.

Poczułam na ramieniu ciepło drobnej, opalonej dłoni mojej synowej. Chciałam ją odtrącić, odsunąć się od niej, ale nie potrafiłam. Jakbym skamieniała w miejscu.

- Florence? - odezwała się Crystal. - Co jest? Co się dzieje?

- W moim kredensie jest asafetyda - powiedziałam. - I pasta z tamaryszka.

- Florence, jesteś blada jak duch! I cała drżysz. Proszę cię, usiądź.

- I syrop z granatów. Po co mi syrop z granatów?

- Florence, chyba powinnaś...

- Jak śmiesz! - Nagle ogarnęła mnie niepowstrzymana złość, nie byłam w stanie się powstrzymać przed wybuchem. Biedna Crystal. Biedna, zagna Crystal o złamanym sercu. Zawsze pod ręką, kiedy musiałam na kimś wyładować wściekłość. Odwróciłam się do niej gwałtownie, zrzucając jej dłoń z ramienia i cofając się przed nią, jakby była toksycznym odpadem. - Jak śmiesz wkładać te dziwne, śmierdzące rzeczy do mojej spiżarni, nie uprzedzając mnie o niczym! - krzyczałam. - Jak śmiesz wchodzić tu z tymi wszystkimi zagranicznymi śmieciami i rozrzucać je wszędzie dokoła, zostawiać wszędzie, na półkach, w spiżarni, w kuchni, w moim domu. W MOIM DOMU! Bez pozwolenia, bez ostrzeżenia, bez wcześniejszego uzgodnienia ze mną, bez czekania, aż to zaproponuję, nawet bez cholernego spytania,

czy można! To niedopuszczalne! To cholerne przestępstwo! To takie niesprawiedliwe, więc jak śmiesz? Jak, jak, jak... - Nie wiem, kiedy zaczęłam płakać, ale łzy pojawiły się nagle nie wiadomo skąd; szarpiący trzewia szloch połączony z niekontrolowaną złością na chwilę odebrał mi zdolność oddychania.

Powinna mnie była uderzyć albo wypchnąć przez okno, albo posiekać na kawałki i nakarmić nimi psa, kiedy tak stałam, trzęsąc się i rozpaczliwie chwytając powietrze. Ale tego nie zrobiła.

Podprowadziła mnie do krzesła, popychając łagodnie, zmusiła, żebym usiadła, potem podała mi szklankę wody i w końcu powiedziała:

- Nie wydaje mi się, żeby chodziło o syrop z granatów. - Usiadła obok mnie, tak blisko, że niemal czułam jej miarowy oddech na rozpalonym policzku. - Co się dzieje, Florence?

Nakazywałam sobie w duchu milczenie, zachowanie mojej strasznej tajemnicy, ale to było silniejsze ode mnie. Nagle myśli kłębiące się w mojej głowie i strach, jaki odczuwałam przed tym czymś, co zżerało mnie od środka, znalazły ujście.

- Mam raka okrężnicy - wyrzucałam z siebie kolejne słowa z głośnym łkaniem. - Cholernego, pieprzonego raka okrężnicy. I jeśli umrę, nikogo to nie obejdzie. Nikt nawet nie zauważy. To może mnie zabić, może nawet w tej chwili mnie zabija, kiedy to mówię, i może też zabić Monty'ego, jeśli mamy wadliwe geny. Powinnam coś z tym zrobić już kilka tygodni temu, kiedy lekarz mi powiedział, ale tak się bałam, a potem była Poppy, i Will, i grzyb w piwnicy, i nie chciałam się zamienić w jedną z tych chorych osób, z wielkimi łysymi głowami, smutnymi oczyma i chudymi kończynami, które się widzi w telewizji, kiedy próbują zebrać pieniądze na wyjazd do jakiegoś odległego zakątka ziemi, żeby się poddać terapii dożylniej kielkami pszenicy...

Szlochałam tak gwałtownie, że zaczęły mnie boleć mięśnie brzucha; oparłam się o stół, ułożyłam głowę na rękach i całkowicie poddałam się łzom.

Nagle poczułam, że Crystal głaszcze mnie po głowie. Kobieta, którą ledwie znałam i dla której byłam wredna, odkąd tylko się spotkałyśmy, siedziała obok mnie, kiedy płakałam, i gładziła mnie po włosach.

Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się jeszcze smutniej. Chociaż nie, przemyślałam to i już wiem. Przyjęcie współczucia oznacza, że rezygnujemy z udawania, że go nie potrzebujemy, a to z kolei znaczy, że całkowicie się odsłaniamy. Dlatego wzmagają się łzy. Czujemy się bezbronni. Ja zrozumiałam wówczas, że nie ma odwrotu. Wszystko się wydało. I nawet gdybym przez jakiś czas zdołała wszystko utrzymać w formie niewielkiego przecieku, w końcu musiał się zmienić w rwący strumień zagarniający tych niewielu ludzi, których znałam i kochałam, tak jak zagarnął mnie.

Muszę przyznać, że głaskanie po głowie pomagało. Wiem z doświadczenia z Montym, że dość trudno jest kontynuować tę czynność po pierwszych kilku minutach - nadgarstek odmawia posłuszeństwa - ale Crystal nawet na moment nie przestała.

W końcu udało mi się opanować szloch, a potem i łzy. Dopiero wówczas Crystal wstała, żeby mi zrobić filiżankę herbaty o smaku werbeny z cytryną. Umiała milczeć. I czekać. Naprawdę to w niej mi się podobało, muszę przyznać.

- Opowiedz mi wszystko od początku - poprosiła. - Może będę w stanie ci pomóc podjąć decyzję co do dalszych kroków.

Była ostatnią osobą na świecie, którą bym sobie wybrała na powierniczkę, ale skoro tajemnica już się wydała, zdałam sobie sprawę, że Crystal w pewien sposób idealnie się do tego

nadaje. Po pierwsze, nie musiałam się przejmować naszymi wzajemnymi stosunkami, bo i tak dotąd były fatalne. W każdym razie nie łączyło nas nic głębokiego. Nie kochałam jej, nie byłam jej matką, nie ożeniła się ze mną, a potem mnie nie zdradziła z innym facetem, nie urodziła mnie i nie próbowała popełnić samobójstwa. Prawdopodobnie była osobą, której najmniej na świecie zależało na moim istnieniu, poza tym, że nie chciała, by Monty niepotrzebnie cierpiał z mojego powodu. I to jedyne, co nas łączyło.

Ponadto okazało się, że mimo zainteresowania zdrowym stylem życia Crystal wcale nie jest nawiedzoną ekolożką i nie bawi się w żadne pseudopsychologiczne bzdury, czego można by oczekiwać. Zaczęła od tego, że spisała listę zadań. Powiedziała, że zrobienie listy pomaga jej odzyskać spokój, kiedy się czymś denerwuje, ponieważ nadaje działaniom hierarchię. Można spojrzeć na listę problemów i zastanowić się, jak sobie poradzić z każdym po kolei, nie wpadając w panikę. Natomiast kiedy wszystkie kłębią się człowiekowi w głowie, splątane w wielką kulę, nie sposób rozpatrywać ich pojedynczo.

Mówiła zupełnie sensownie, jak na kogoś z pierścionkami na palcach nóg i chińskim tatuażem.

No i okazała się niesamowicie sprawna, jeśli chodzi o podejmowanie decyzji, co, jak przyznała, brało się stąd, że w poprzednim życiu była dyrektorem banku! Dyrektorem banku? W ciągu godziny umówiła mnie na wizytę u jednego z najlepszych londyńskich chirurgów, na którą miałam się stawić następnego dnia w klinice przy Harley Street. Jak to możliwe, że niektórym ludziom udawało się tak szybko załatwić różne rzeczy? Jestem pewna, że mnie by się nie udało, gdybym próbowała... bo z reguły nie próbowałam.

Zaproponowała, że ze mną pójdzie, a ja się zgodziłam, częściowo dlatego, że byłam w szoku, dowiedziawszy się o jej

karierze bankowej, a częściowo dlatego, że oczekiwałam z jej strony propozycji alternatywnych metod leczenia nieznanymi mi ziołami w szwajcarskich klinikach o dziwnych nazwach, a nie konsultacji u chirurga z Harley Street, i częściowo także dlatego, że chciałam ją mieć przy sobie, żeby nie powiedziała nic Monty'emu.

- W końcu będziesz musiała mu powiedzieć - stwierdziła.
- A skoro już, to Archie, Beth, Poppy i Harry także powinni się dowiedzieć. Mogą ci pomóc, Florence. Wszyscy możemy ci pomóc.

- Ale w tej chwili oni wszyscy mają własne kłopoty - próbowałam oponować. - A ja nie chcę pogarszać sytuacji.

- Ale mogłabyś też ją poprawić, nie pomyślałaś o tym? Żyjesz w wielkim napięciu, próbując uszczęśliwić wszystkich innych, a to niekoniecznie najlepsze podejście. Spróbuj obdarzyć swoją rodzinę odrobiną zaufania.

- Nie mogłybyśmy po prostu starać się jakoś przeżyć najbliższych dni? - poprosiłam. - Nick mówi, że to może być prosty zabieg, jak usunięcie kurzajki. A wtedy niepotrzebnie bym ich martwiła.

Zgodziła się, tak jak oczekiwałam. Nie byłam jeszcze całkiem gotowa ujawnić tego, co kłębiło mi się w głowie splątane w wielką kulę.

Crystal:

Nikt się nie spodziewa, że mogę być praktyczna - może dlatego, że jestem drobnej budowy i do tego blondynką - ale ja taka jestem i zawsze byłam.

Kiedy Florence powiedziała o swojej chorobie, najlepszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, było sporządzenie listy niezbędnych działań i uszeregowanie ich pod względem ważności.

Potrzebowałam dwóch minut w Google'u i dwóch telefonów, żeby umówić Florence na wizytę do jednego z najbardziej wziętych londyńskich chirurgów specjalizujących się w operacjach jelita grubego. Nie sposób nie kochać Internetu, prawda? Jego sekretarka najpierw powiedziała, że nie ma szans, ale w końcu poszła z nim porozmawiać i jak wróciła, okazało się, że jednak znajdzie się dla nas wolny termin. Przypuszczam, że uznano przypadek Florence za bardzo pilny.

Potem zadzwoniłam do Nicka Marcha, prosząc, by przefaksował dokumentację do gabinetu chirurga. Następnie załatwiłam na następny dzień tomografię i zmieniłam porę swojej rozmowy o pracę, żeby móc pójść z Florence. Na koniec wybrałam się po kwiaty.

Wszystko to było na liście.

Można się śmiać z list - i ludzi, którzy je sporządzają - ale powiem wam jedno: czasami, kiedy wszystko wydaje się całkowicie wymykać spod kontroli, możliwość postawienia kilku ptaszków na papierze jest nieoceniona.

Następnego dnia obudziłam się ze świadomością, że moje życie ulegnie zmianie. Znowu. Ostatecznie, kiedy wygadałam się przed Crystal, moja przeszłość starła się z przyszłością, więc reakcja łańcuchowa była nieunikniona. A miała się zacząć od wizyty u doktora Worthingtona na Harley Street o jedenastej rano.

Odpychając od siebie nieprzyjemną perspektywę kolejnego „wewnętrznego” badania, skuliłam się pod kołdrą i skierowałam myśli, a właściwie one same się skierowały, bez mojego udziału, na osobę Willa. Zadałam sobie pytanie, dlaczego o nim myślę, skoro mam tyle innych spraw na głowie? I nagle do mnie dotarło, że dopiero co spojrzałam na budzik przy łóżku, wskazujący godzinę 7.30, a nie słyszałam, by Will otwierał drzwi.

Dobrze, pomyślałam, może wreszcie zrozumiał to, co mu powiedziałam, i dał sobie spokój. Obróciłam się na drugi bok i zwinęłam w kłębek. Po prostu byłam przyzwyczajona do dźwięku otwieranych przez niego drzwi. I czułam się dziwnie, bo była już 7.35, a wciąż go nie słyszałam.

Nie usłyszałam również o 7.45 ani 7.47, ani 7.48. Nim zeszłam na dół, żeby sobie zrobić śniadanie, minęła ósma i czułam irytację, taką jak się czuje, kiedy skarpetki nie chcą się połączyć w pary albo gumka w majtkach uwiera. Niby niewielkie problemy, a mogą zepsuć człowiekowi dzień.

Rozsmarowując miód i dżem morelowy na muffince, zadawałam sobie pytanie, od kiedy to Will stał się kimś, kogo spodziewałam się zastać w określonym miejscu w określonym czasie. Zazwyczaj oczekiwałam, że go tu nie będzie, ale był. Dziwne, to mnie nie irytowało tak, jak jego nieobecność, niby zgodna z moim życzeniem. Nie bardzo rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi.

Po śniadaniu zaczęłam porządkować spiżarnię, układając zawartość w porządku alfabetycznym, ale zabrakło mi pary już przy B, ponieważ kształty opakowań nie pasowały do siebie. Zastanawiałam się, czy zastosowanie kolorowych oznaczeń ułatwiłoby sprawę, gdy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

Nie mógł to być Will, bo on miał swój klucz. Crystal wyszła i miałyśmy się spotkać na Harley Street, więc ona także nie. Zresztą też miała klucz. Podobnie jak Monty, który był gdzieś poza domem, zajmował się swoimi sprawami i nic mi o nich nie mówił.

Nieśmiałe pukanie zabrzmiało powtórnie, więc odłożyłam ananasy, anchois i aronię na poprzednie miejsca i zeszłam na dół zobaczyć, kto przyszedł.

Na progu stała Poppy, w czerwonym berecie na rudych włosach i z walizką w ręce.

Byłam tak zaskoczona jej widokiem, że prawie nie znalazłam czasu, by rozejrzeć się po ulicy, czy aby nie nadjeżdża furgonetka Willa. Nie nadjeżdżała.

- Och, Effie! - zawołała Poppy, rzucając mi się na szyję. - Dasz wiarę? To ja! Jestem tutaj! Tak dobrze cię widzieć, wręcz bosko! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że przyjechałam.

Oczywiście, że nie miałam, ale byłam zdumiona. Moja siostra nienawidziła Londynu i już nie pamiętałam, kiedy ostatnio do mnie przyjechała. Poza tym moment nie był najlepszy. Miałam wizytę u doktora Worthingtona, a że nie czułam się jeszcze gotowa udzielać wyjaśnień Poppy, musiałam ją zostawić samą w domu i kłamać, dokąd idę, bo inaczej chciałaby mi towarzyszyć.

Musiała dostrzec na mojej twarzy zakłopotanie.

- Och, wiem, powinnam była zadzwonić - westchnęła. - Wsiadłam do pierwszego pociągu. Beth mówiła, że powinnam

najpierw zadzwonić, ale ja chciałam, żeby to była niespodzianka.

Wciągnęłam ją do środka i zamknęłam drzwi.

- Nie bądź niemądra, wszystko w porządku. Cudownie, uwielbiam niespodzianki. Tylko nie spodziewałam się, że to ty. Świetnie wyglądasz, Poppy. - Rzeczywiście dobrze wyglądała. Jak inna kobieta, nie ta, którą zostawiłam owiniętą kaszmirowym szalem w ogrodzie Tannington Hall.

- Wpadłam na fantastyczny pomysł i chciałam ci o nim powiedzieć osobiście - oznajmiła, ściągając z głowy beret i potrząsając rudymi lokami. Miała na sobie bluzkę z długim rękawem, żeby zakryć blizny na nadgarstkach, ale poza tym wyglądała jak okaz zdrowia. - Och. Ile tu teraz przestrzeni! - wykrzyknęła, rozglądając się po opuszczonym placu budowy, którym stał się parter mojego domu. Nawet nie zauważyła ziejącej w podłodze dziury, rusztowań i braku zarówno budowlanca, jak i hydraulika. - I to piękne światło! Och, coś wspaniałego! Teraz jest idealnie!

Tanecznym krokiem przeszła z dawnego gabinetu do pokoju telewizyjnego; tak przyjemnie było znowu ujrzeć dawną radosną małą Poppy, że mdłości, które czułam z powodu osobistego braku Willa w moim życiu, natychmiast ustąpiły.

- Ty też jesteś wspaniała, Poppy - powiedziałam, złoścąc się w duchu na siebie, że nie mam w domu ani grama bezglutenowych słodczy. - Znow widać po tobie, że cieszysz się życiem.

Podbiegła do mnie, rozpromieniona, i wzięła mnie za rękę.

- Dobrze się czuję. Czuję się, cóż, może nie wspaniale, ale o wiele lepiej i to z twojego powodu - oznajmiła.

- Z mojego powodu? - Rozmawiałam z nią przez telefon co parę dni i wysłałam kilka zabawnych kartek, ale poza tym

sądziłam, że byłam zbyt zajęta sobą, by okazać jakąś szczególną pomoc.

- Tak! - Dosłownie trzęsa się z przejęcia. - Zapamiętałam, co mi powiedziałaś w ogrodzie, o tym, że powinnam wyjść do świata, a nie chować się w domu. Pomyślałam o twoim grzybie i o czeku taty i o tym, że znalazłaś coś, do czego zmierzasz i zrozumiałam, że właśnie tego mi w życiu brakuje. Celu, do którego bym dążyła. Ponieważ to, czego najbardziej pragnęłam, się nie spełniło i ta świadomość mnie przytłaczała. Dlatego doszłam do wniosku, że potrzebuję nowego celu, takiego, który mam szansę osiągnąć, i nagle mnie olśniło. To było takie oczywiste, że nie mogłam zrozumieć, dlaczego żadne z nas wcześniej na to nie wpadło!

Nie miałam pojęcia, o czym mówi Poppy, ale wystarczyło popatrzeć na jej błyszczące oczy, żywo gestykulujące dłonie i promienną twarz, by serdecznie jej tego życzyć.

- Powiesz mi, co masz na myśli?

- To samo, co ty - powiedziała z radosnym uśmiechem, pokazując szerokim gestem na otwartą przestrzeń stworzoną z myślą o moim niedoszłym przedsięwzięciu.

- Herbaciarnię! Chcę przyjechać i pomóc ci prowadzić herbaciarnię.

Na zewnątrz rozległ się ryk silnika; wykorzystałam to jako pretekst, by wyrzeć przez okno i sprawdzić, czy to Will, a także przygotować się na przeżycie następnych chwil. Byłam w szoku. To katastrofa.

- Pomysł tak naprawdę wyszedł od Archiego - ciągnęła Poppy, nie zwracając uwagi na moje zachowanie. - Odbyliśmy jedną z tych popołudniowych burz mózgów, podczas której pomagał mi określić moje umiejętności, i szczerze mówiąc, zrobiło się trochę smutno, dopóki sobie nie przypomniałszy zeszłorocznego festynu we wsi.

- Festynu we wsi? - powtórzyłam jak echo. W głowie mi wirowało; podniosłam walizkę siostry i ruszyłam schodami na górę.

- Tak, w zeszłym roku pomagałam na stoisku z bibelotami - szczebiotała za moimi plecami Poppy - wydawałam resztę i doradzałam klientom przy zakupach. Nawet pani Parsons, wiesz, ta z dużym biustem, która gra na organach w kościele, powiedziała, że doskonale się spisałam, a ona jest z tych, co wszystko uważnie sprawdzają. Więc Archie powiedział: „A herbaciarnia Effie? Może mogłabyś wydawać resztę i doradzać klientom w herbaciarni Effie?”. Z początku uważałam, że to zupełnie niedorzeczny pomysł, ponieważ nie wiedziałabym, co mam robić. Byłabym tylko zawadą. Wchodziłabym ludziom w drogę, doprowadzała ich do szału, no i nie mam pojęcia o mące, cukrze używanym do robienia polewy i tego rodzaju rzeczach.

- Herbata z werbeny z cytryną? - spytałam tonem zachęty, mając nadzieję, że nie wyglądam na tak zgnębioną, jak się czuję. - Crystal ją uwielbia.

Oczy Poppy, już dotąd błyszczące, zwilgotniały jeszcze bardziej.

- Rozumiesz mnie? Och, to cudownie! Jestem z ciebie taka dumna, Effie. W każdym razie potem pomyślałam, że ty mogłabyś być w kuchni, piec i robić to wszystko z mąki i cukru, a ja prowadziłabym ludzi do stolików, podawałabym im karty i przyjmowała pieniądze. Nie zepsułabym niczego. Obiecuję.

- Oczywiście, że niczego byś nie zepsuła! - Skąd jej to przyszło do głowy? Och, do diabła! Czy nie mogłam mieć choć jednego dnia bez jakichś zwariowanych komplikacji? Jak miałam jej powiedzieć, że nie będzie żadnej herbaciarni? Jak miałam jej powiedzieć, że cel, który sobie wybrała, jest w tej chwili równie nieosiągalny, jak jej rudowłose maleństwo?

Następny samochód przejechał pod domem, więc podeszłam do kuchennego okna, żeby wyjrzeć na ulicę.

- Czekasz na kogoś? Przeszkadzam ci?

- Oczywiście, że nie! Cieszę się, że tu jesteś. Ale muszę wyskoczyć na chwilę do... - próbowałam wymyślić coś, w czym Poppy na pewno nie chciałaby mi asystować. - Na degustację serów, niestety. Dwanaście różnych rodzajów, krowie, kozie i owcze. Ale głównie krowie - dodałam z naciskiem, na wypadek gdyby kozie i owcze nie zaliczały się do nabiału. - Przepraszam, ale nie wiedziałam, że przyjedziesz, kiedy się umawiałam.

Poppy się skrzywiła.

- No cóż, nie na wiele się przydam, jeśli chodzi o sery. Ale pod twoją nieobecność mogę popracować w ogrodzie przed domem - zaproponowała. - Trzeba go ogarnąć, zanim otworzymy, jeśli zamierzamy wystawić tam stoliki. Pomyślałam, że mogłybyśmy urządzić parę ogrodowych „pokoi”, żeby goście mogli się trochę odizolować. Jak sądzisz? Przepierzenia z różanych krzewów, oczywiście, ale mogłyby też być wysokie kosmosy, żywopłot z bukszpanu i coś pachnącego, jak jaśmin czy wawrzynek.

- Cudownie - odparłam. - Pracuj sobie w ogrodzie, ile chcesz. Nie zamierzałam mówić jej od razu. Miałam się spotkać z Crystal w gabinecie doktora Worthingtona. Po załatwieniu tej sprawy przyjdzie czas, by złamać serce Poppy.

Poszłam piechotą na Harley Street wzdłuż Regent's Canal, potem przez park, obok ogrodów różanych w pełni rozkwitu. Zapach był wręcz odurzający. Przez moment pomyślałam, czy by nie usiąść wśród kwiatów, rezygnując z wizyty, ale wiedziałam, że obecnie, odkąd Crystal zna sytuację, metoda uników nie ma szans.

- Bardzo mnie boli głowa - oznajmiłam mimo to, kiedy się spotkałyśmy przed gabinetem doktora Worthingtona. - Może powinniśmy tu przyjść kiedy indziej?

- Nie ma mowy o kiedy indziej, mamy szczęście, że udało nam się załapać na ten termin - powiedziała Crystal, szukając czegoś w torbie. - Miałam tu gdzieś balsam tygrysi. Może ci pomoże? Wetrzyj w skronie, to pozwoli ci się uspokoić.

Nie wyobrażałam sobie, co mogłoby mnie uspokoić w takiej sytuacji. Will nie przyjechał, by kontynuować remont, którego nie chciałam, Poppy zjawiała się, by mi pomóc prowadzić herbaciarnię, której nie zamierzałam otworzyć, nic więc dziwnego, że byłam kłębkim nerwów. A ten kłębek bardzo chciał uciec, schować się w jakiejś mysiej dziurze i nigdy z niej nie wychodzić. Musiałam sobie powtarzać, że mogłabym narazić Monty'ego na poważne niebezpieczeństwo.

W poczekalni doktora Worthingtona było miło i spokojnie, ale ja i tak nie mogłam opanować nerwowego drżenia nóg i rąk. Po trzykrotnym zastosowaniu tygrysiego balsamu oczy mi łzawiły, natomiast o żadnym rozluźnieniu nie było mowy.

Kiedy recepcjonistka w końcu wywołała moje nazwisko, niemal podskoczyłam do góry. Crystal wstała razem ze mną i trzymając mnie za łokieć, podprowadziła do gabinetu chirurga.

- Nie, nie! - zawołałam w przypiływie paniki. Nie chciałam, by ktoś przy niej mówił o moich wnętrznościach. - Poradzę sobie! Ty tu zaczekaj. Potem ci wszystko opowiem.

- Właściwie - wtrąciła się recepcjonistka - zalecamy, żeby zabierać ze sobą zaprzyjaźnioną osobę. Czasem dobrze, żeby ktoś inny posłuchał, co ma do powiedzenia doktor Worthington, na wypadek, gdyby pacjent miał problem ze zrozumieniem.

- To on nie mówi po angielsku? - zdziwiłam się głupio. Nazwisko brzmiało bardzo swojsko.

- Nie, kochana, chodzi raczej o szok. Czasami niełatwo wszystko zapamiętać, kiedy jest się w szoku.

Trudno mi było uwierzyć, że mogę być jeszcze bardziej zszokowana, niż byłam przez ostatnie parę miesięcy, jednak kiedy się zastanawiałam nad dalszą formą protestu, Crystal wprowadziła mnie do gabinetu, który do tego stopnia przypominał bibliotekę w ziemiańskiej posiadłości, że niemal się spodziewałam, iż zaraz skrzypną boczne drzwi, wejdzie przez nie sędziwy lokaj i zaproponuje nam sherry.

- Jak w „Powrocie do Brideshead”, nie uważasz? - szepnęłam do Crystal, gdy boczne drzwi rzeczywiście się otworzyły. Jednak zamiast sędziwego lokaja ukazał się w nich doktor Worthington. Nie był stary ani przygarbiony i nie miał srebrnej tacy z pobrzękującymi kryształami. Był wysoki, sztywno wyprostowany, na oko po czterdziestce, z siwiejącymi włosami i kwadratową szczęką, ubrany w elegancki ciemnoszary garnitur.

Crystal na jego widok wydała stłumiony pisk; domyśliłam się, że również spodziewała się kogoś innego, ale nie zastanawiałam się nad tym dłużej. Skupiłam się na nim samym. Był naprawdę bardzo przystojny i miał błyszczące oczy o ciepłym wyrazie.

- Florence - odezwał się, wyciągając dużą, mocną dłoń w moim kierunku.

Uścisnęłam ją. Również była ciepła, co u chirurga nie jest chyba specjalnie wskazane, bo trudno trzymać narzędzia w spoconych rękach, ale robiło miłe wrażenie. Zaczyna stara matka Stanleya Morrisa z pewnością byłaby zadowolona.

- Według tego, co piszą w Google'u, jest pan najlepszym specjalistą od jelit - powiedziałam. Mój zachwyt nad jego

wyglądem osłabł, gdy tylko sobie przypomniałam, po co przyszedłam. Bałam się, że zaraz zacznę szczekać zębami.

Oto nadeszła moja chwila prawdy. Znalazłam się w gabinecie na Harley Street i rozmawiałam z chirurgiem o mojej chorobie. To się działo naprawdę i zostałam z tym sama. Crystal oczywiście też tam była, ale kimże ona jest dla mnie? I dlaczego siedziała za moimi plecami i nic nie mówiła?

- Sądzę, że Nick March przysłał panu moje wyniki badań - powiedziałam drżącym głosem. - Twierdzi, że to ważne, by wiedzieć, w jakim stadium jest choroba - chodzi nie tyle o mnie, ile o mojego syna... - Na myśl o Montym straciłam resztki opanowania.

- Oczywiście - odparł doktor Worthington.

Wydawało mi się, że posłał Crystal dziwne spojrzenie, ale za bardzo się starałam powstrzymać narastającą histerię, żeby je głębiej analizować.

- Florence, chciałbym dać pani pewną radę, której być może udzielił już pani Nick, ale to bardzo pani pomoże w przyszłości - powiedział spokojnym, pewnym głosem - niezależnie od tego, co się okaże.

Okaże? Co? Rada?

Podał mi chusteczkę, którą przyjąłam i wykorzystałam do porządnego wydmuchania nosa. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Crystal i ku swemu zdumieniu zobaczyłam, że jest zupełnie roztrzęsiona. Jakby właśnie przekazano jej jakąś straszną wiadomość.

- Proszę się przejmować wyłącznie tym, co na pewno wiadomo.

- Doktor Worthington na powrót przyciągnął moją uwagę. - To jest klucz. Martwienie się o cokolwiek innego jest zwykłą stratą czasu i energii. Wiem, że to się wydaje oczywiste, ale zapewniam, że im więcej człowiek wie, tym mniej daje się ponieść wyobraźni, dlatego trzeba jak najwięcej wiedzieć o

swojej chorobie - gdzie umiejscowiony jest guz i jak można go leczyć - a sama się pani zdziwi, jak to ułatwia życie. Nie warto się martwić tymi wszystkimi „a gdyby”.

- Ale gdyby... - zaczęłam.

- Właśnie - powiedział. - Poznaje pani to, co teraz czuje? Tę niemożliwą do opanowania panikę, strach i przerażenie, że życie już nigdy nie będzie wyglądało tak, jak dotąd, ponieważ może się zdarzyć to czy tamto albo jeszcze coś innego?

Pokiwałam głową. Trafił w samo sedno. Ta niemożliwa do opanowania panika, strach i przerażenie stały się nieodłączną częścią funkcjonowania mojego organizmu, jak oddychanie.

- Będziemy próbowali wyeliminować to uczucie - mówił doktor Worthington - określając dokładnie, z czym mamy do czynienia, i stosując leczenie.

Podobało mi się, że używa liczby mnogiej. Jakby nie chodziło tylko o mnie.

- Jak to zrobimy? - spytałam; miałam świadomość, że w moim głosie wciąż słychać lęk, niemniej jednak mniejszy, niż czułam jeszcze przed chwilą.

- Muszę być z panią szczery - powiedział. - Badanie histologiczne pokazuje, że ma pani bardzo agresywną odmianę raka.

To było jak cios. Zabrakło mi powietrza w płucach. Podejrzywałam, że jest źle. Wiedziałam, że jest źle. I miałam rację.

- Pani guz jest duży i płaski - ciągnął doktor Worthington - nietypowy jak na raka okrężnicy, a przez to trochę nieprzewidywalny. Jednak po stronie plusów, a to duży plus, został wykryty stosunkowo wcześnie. Żebyśmy mieli jasność, musimy go zoperować, Florence, nie ma co do tego wątpliwości. Musimy zrobić resekcję, co oznacza wycięcie fragmentu jelita z guzem i połączenie z powrotem rozciętych części. Operacja jest stosunkowo prosta, okres

rekonwalescencji całkiem znośny, a skuteczność bardzo wysoka.

Informacji było tyle, że nie zdołałam ich sobie przyswoić. Recepcjonistka miała rację, szok przeszkadzał w zapamiętaniu słów.

- Operacja? - zapytałam zdziwiona, że moje struny głosowe wciąż działają, że jestem w stanie nad nimi panować.
- Nie mogłabym mieć jedynie chemioterapii? - Nie chciałam stracić włosów, oczywiście, że nie chciałam, ale nie chciałam też, żeby ktoś robił sushi z części mojego ciała.

- Przykro mi, Florence, ale nie ma absolutnie żadnych wątpliwości, że konieczna jest operacja. Jedyne naprawdę skuteczny sposób pozbycia się raka okrężnicy to jego wycięcie. Wszystko inne nie daje tego samego rezultatu. To pierwszy i być może wystarczający krok. Wszystko zależy od tego, co wykażą dalsze badania. Ja wykonam operację, która potrwa około trzech godzin, pani pobyt w szpitalu potrwa tydzień, a późniejsza rekonwalescencja w domu około miesiąca - dla kogoś tak młodego i sprawnego jak pani może się to okazać bułką z masłem.

Tydzień w szpitalu? Miesiąc rekonwalescencji? Bułka z masłem? Miałam trudności z uwierzeniem, że rozmawiamy o mnie.

- A po operacji... - Nienawidziłam tych słów, tych chorych, starczych słów - ...po rekonwalescencji wszystko będzie w porządku? Ja będę w porządku?

- Jeśli zmiany nowotworowe ograniczają się wyłącznie do okrężnicy, pani szanse na całkowite wyleczenie są ogromne.

Jeśli zmiany rakowe ograniczają się wyłącznie do okrężnicy, moje szanse na całkowite wyleczenie są ogromne. Czy to odpowiedź twierdząca?

- A jeśli nie są ograniczone? - To pytanie zadała Crystal. Jej głos brzmiał głucho; najwyraźniej była równie oszołomiona jak ja.

- Jeśli rak przeszedł przez ścianę jelita i się rozprzestrzenił, będą na to wskazywały ślady w węzłach chłonnych Florence, z których pobierzemy wycinki do zbadania podczas operacji - wyjaśnił doktor Worthington. - Zazwyczaj jeśli są przerzuty, to do wątroby, jest najbliżej, i czasami do płuc. W obu tych wypadkach zalecałbym dalsze operacje i dodatkowo chemio - , a być może radioterapię. Rezultat w takich przypadkach nie zawsze jest równie pozytywny jak przy wczesnym wykryciu, gdy zmiany są ograniczone do jednego organu, ale całkowite wyleczenie nadal jest możliwe.

Zatem może zrobić sushi z moich wnętrzności, a mimo to jeszcze wyłysięję?

- Dlaczego to się przytrafiło właśnie mnie? - zapytałam. - Prawie nigdy nie choruję. Zdrowo się odżywiam, na ogół. I zazwyczaj utrzymuję dobrą formę. W czym popełniłam błąd?

- Prawdopodobnie nie było żadnego błędu - odpowiedział. - I ma pani pełne prawo czuć rozżalenie. Nie mieści się pani w statystykach pod prawie żadnym względem, więc nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego to się pani przytrafiło. Może istnieć genetyczna predyspozycja, z powodu której jest pani bardziej podatna na pewne rodzaje raka, i możemy to sprawdzić po wykonaniu operacji, co będzie miało znaczenie także dla Monty'ego, rzecz jasna, choćby takie, że zostanie wciągnięty do systemu badań kontrolnych lub...

- Monty'ego? - Czy naprawdę wymienił imię Monty'ego? - Jeśli badanie genetyczne wykaże jakieś nieprawidłowości pani DNA, okaże się to korzystne dla Monty'ego, Florence, ponieważ odtąd będzie regularnie badany, a wczesne wykrycie jest jedynym skutecznym sposobem...

- Pan go nazwał po imieniu, doktorze - przerwałam.
- Oczywiście. - Worthington się uśmiechnął. - A jeśli zamierzają z Crystal mieć dzieci, to...

- Jeśli Monty i Crystal będą mieć dzieci?

Doktor Worthington spojrzał na Crystal pytająco.

- No tak, wiem, że to dla pani trudne, ale...

- Co niby jest dla mnie trudne? - Odwróciłam się do Crystal, całkiem ogłupiała. Przygryzała wargę z taką miną, jakby była jeszcze bardziej chora ode mnie. - Co tu się dzieje? Rozmawiałś z doktorem, zanim tu przyszliśmy?

Worthington parsknął śmiechem.

- No oczywiście, że ze mną rozmawiała.

Odwróciłam się z powrotem do niego i zobaczyłam, że jego twarz przybiera dziwny wyraz, jakby nagle sobie coś uświadomił.

- O, cholera - jęknął, odchylając się na oparcie krzesła i jednocześnie zamykając oczy. - O, cholera, cholera, cholera!

Nie znałam się na przebiegu konsultacji medycznych, ale tego rodzaju wypowiedź do pacjenta wpytującego o zagrażającą życiu chorobę i metody jej leczenia wydała mi się w najwyższym stopniu nieestosowna.

Moment później Crystal całkowicie mnie dobiła, mówiąc:

- Nie miałam pojęcia, że to pan. Nie znałam pańskiego nazwiska. Nie wiedziałam dokładnie, czym pan się zajmuje. I nie wiedziałam, że przyjmuje pan akurat tutaj.

- Czym się pan zajmuje? - powtórzyłam bezradnie. - Czym się zajmuje tutaj?

- Założyłem, że przyszły panie do mnie specjalnie - powiedział doktor Worthington do Crystal. - Ponieważ wiedziałyście, że to moja dziedzina. Nawet przez moment nie pomyślałem, że mogłoby być inaczej. To jakiś koszmar. Cholera...

- Czy ktoś mi może łaskawie wyjaśnić, o co tu, u diabła, chodzi? - zażądałam. - Co z tą „cholera”?

Zapadła gęsta od napięcia cisza; ci dwoje patrzyli na siebie ze źle ukrywanym przerażeniem.

- Bardzo mi przykro, Florence - odezwała się w końcu Crystal - ale to jest Charles.

- Charles? - powtórzyłam tępo. To mi miało coś wyjaśnić? Znałam tylko jednego Charlesa, czy też „Charlesa”, jak go określałam. Był kimś tam w Whittington i nigdy go nie poznałam ani też nie chciałam poznać. - O, nie, tylko nie to...

- Ten Charles? - Teraz dopiero byłam w szoku. Charles Harry'ego? Nie! A gdzie pies, zielony garnitur, szkaradne rude włosy? To po prostu nie mógł być Charles Harry'ego. Po prostu nie mógł. Z wielu powodów. Zbyt wielu. - Proszę mi powiedzieć - zaczęłam błagalnie. - Proszę, niech mi pan powie, że nie siedziałam tu i nie rozmawiałam o chorym jelicie z nowym chłopakiem mojego męża, który okazał się gejem.

Zapadła kolejna chwila ciężkiej ciszy, w której wykiełkowała pewność, że było właśnie tak, jak się obawiałam.

- O cholera - powiedziałam. Kiedy człowiekowi już się wydaje, że nie może być gorzej, jest gorzej. Znacznie gorzej.

Nie byłam pewna, jak wygląda standardowa procedura radzenia sobie z tego typu nieporozumieniami, ale kiedy mnie kręciło się w głowie od przewidywanych skutków tego, co zaszło, Charles pochylił się nad biurkiem, nacisnął jakiś guzik w blacie i powiedział do niewidocznego urządzenia:

- Przepraszam, że cię trudzę, Evelyn, ale czy moglibyśmy dostać herbatę dla trzech osób? Lady Grey, jeśli można, oczywiście liściastą. I trochę tych cytrynowych ciasteczek od Fortnuma, chodzi mi nie o Księżstwo Kornwalii, tylko te drugie. Dziękuję, Evelyn.

Wiedziałam z tych wszystkich filmów pokazywanych w telewizji, że alkoholicy zwykle muszą spaść na samo dno, żeby się odbić, zrezygnować z picia i zacząć nowe życie. Jednak często się zastanawiałam, skąd wiedzą, gdzie jest owo dno, skoro wszystko przedtem także mogło nim być, a przynajmniej tak się im wydawało.

I chociaż nie udało mi się zostać alkoholiczką, nie umiałam się nawet porządnie napić, jak by powiedziała Rose, siedząc w gabinecie Charlesa, poczułam rozbijające czaszkę uderzenie o dno.

Kiedy się człowiek tam znajdzie, nie ma wątpliwości.

Mogłam się pogрузić jeszcze bardziej. Prawdopodobnie było to w zasięgu ludzkich możliwości. Mogłam uderzyć człowieka, który ukradł mi męża, a potem wybiec z gabinetu. Mogłam wrócić do domu, spakować swoje rzeczy i uciec do jakiegoś wynajętego mieszkania w Brighton. Mogłam dożyć swoich dni całkiem sama, jedząc tłuste ryby z frytkami, oglądając telewizję i nie rozmawiając z nikim.

Był jednak pewien problem. Wybiegając z gabinetu, zaalarmowałabym Crystal i Charlesa. Wracając do domu i pakując bagaże, zaalarmowałabym Poppy, która powiedziałaby o wszystkim rodzicom. Poza tym istniało ryzyko, że wpadnę na Monty'ego, który i tak by się dowiedział od Crystal, tak jak Harry od któregoś z nich trojga.

No i jest jeszcze Will.

Z pewnością by zauważył, gdybym się nie pokazała, żeby mu przypomnieć, że jego usługi są niepotrzebne. A nawet gdyby miał nigdy nie wrócić do mojego domu, to Stanley pewnie się pokaże i dowie się od Crystal albo Monty'ego, albo Poppy i powie Willowi, że uciekłam do Brighton, a wtedy Will może po mnie przyjechać i tyle. Moje szanse na życie w samotności, żywienie się tłustymi rybami z frytkami i oglądanie telewizji już na wstępie wydawały się żadne.

Miałam agresywną odmianę raka, który wymagał natychmiastowego leczenia. Miałam siostrę ze skłonnościami samobójczymi, przekonaną, że jej jedyną szansą na szczęście jest praca w herbaciarni, której wcale nie zamierzałam otworzyć. I właśnie wywaliłam flaki - dosłownie - przed facetem, który bzykał mojego męża.

Powinłam wyskoczyć z najbliższego okna, a nie miałam na to ochoty. Coś mnie trzymało, nie pozwalało mi opadać poniżej dna. Coś się ze mną działo. Coś się zmieniło. Coś popychało mnie w przeciwnym kierunku.

Może świadomość, nagle głębokie przekonania, że Crystal, Monty, Harry, Poppy, mama, tata, Stanley i Will, wszyscy oni będą walczyć, żeby mnie wyrwać z mojego samotnego mieszkania w Brighton.

Może chodziło o to, że Charles, dawniej znany jako „Charles”, poradził sobie z tą niesamowicie kłopotliwą sytuacją, prosząc o dzbanek herbaty Lady Grey, oczywiście liściastej, i, wyobraźcie sobie, ciasteczka cytrynowe.

Prawda była taka, że jeszcze nigdy w życiu nie miałam takiej ochoty na filiżankę herbaty i ciasteczko.

A druga prawda była taka, że już nie byłam sama.

Charles:

Z początku chciałem, żeby podłoga się rozstała i mnie pochłonięła, a następnie wypluła gdzieś w Meksyku albo w Chinach, albo gdzieś bardzo, bardzo daleko, gdzie nikt by mnie nie znalazł, choćby nie wiem jak zawzięcie szukał.

Doprawdy trudno byłoby wymyślić tak koszmarny zbieg okoliczności. Ale jak zauważyła później sama Florence po namyśle, tak naprawdę to nie był zbieg okoliczności. Ona mieszkała w Londynie i potrzebowała chirurga o tej specjalizacji, a ja byłem takim specjalistą w Londynie. Zakładałem, że Crystal wie, iż mam gabinet na Harley Street,

oprócz tego, że jestem konsultantem w Whittington, ale właściwie skąd mogłaby to wiedzieć? Nigdy o tym nie mówiłem.

Gdyby choć jedno z nas było trochę lepiej poinformowane, moglibyśmy uniknąć tej pożałowania godnej katastrofy.

Jakkolwiek zakończenie już nie przypominało katastrofy. Był taki moment, kiedy Florence zrozumiała już, kim jestem, że gdyby miała pistolet, pewnie by go wyjęła i mnie zastrzeliła. I kto mógłby ją za to winić? Na szczęście nie była uzbrojona, choć sprawiała wrażenie, jakby żałowała, że nie jest. A mnie nie przyszło do głowy nic innego, tylko poprosić Evelyn, żeby nam przyniosła herbatę.

Nie ma problemu, którego by nie można rozwiązać przy filiżance herbaty, jak zawsze mawiała moja babcia. Kiedy zwracałem się do Evelyn, nie myślałem o tym, ale później przyszło mi to do głowy, ponieważ ledwie zdjąłem palec z przycisku interkomu, Florence zaczęła się śmiać.

Należy do bardzo atrakcyjnych kobiet, ale kiedy się śmieje, jest po prostu piękna. Wtedy zrozumiałem, co Harry w niej widział, dlaczego było mu tak trudno ją opuścić, mimo wiadomych okoliczności. Zanim zobaczyłem ją na żywo, nie do końca potrafiłem się wczuć w jego sytuację... Myślałem: jeśli nie masz do tego serca, to odejdź i już. Ale kiedy siedziała naprzeciw mnie i śmiała się tuż po tym, gdy zdarzyło się coś tak okropnego, sam się w niej trochę zakochałem. Naprawdę urzekająca kobieta.

A potem Crystal, biedna Crystal, której przerażenie powinienem był zauważyć już wcześniej, również wybuchnęła śmiechem. Australijski śmiech nie jest aż tak zaraźliwy jak angielski, oczywiście, ale jej śmiech sprowokowałby każdego. Dlatego im zawtórowałem, chociaż zakłopotanie nadał ścisłało mi wnętrzości.

Śmiałem się, dopóki Florence nie zaczęła płakać, potem dołączyła do niej Crystal, a jeszcze później Evelyn wniosła herbatę. Widziała wcześniej mnóstwo łez, więc nie była zaskoczona.

- Nie może być wciąż gorzej i gorzej - powiedziała Florence, kiedy napełniałem jej filiżankę. - Nie może i już. Nie wszystko. Coś musi zacząć się poprawiać.

- I zacznij - zapewniłem ją, a nie była to pusta obietnica. Na tym etapie nie miałem dostatecznej wiedzy o jej chorobie, ale wiedziałem co nieco o jej życiu. To, że Crystal stawiała się z nią w moim gabinecie, żeby porozmawiać o leczeniu, było początkiem drogi ku lepszemu. - Mogę pani pomóc - oświadczyłem.

A ona mi podziękowała. Bardzo miło mi podziękowała. Na koniec oznajmiła, że jej własne cytrynowe ciasteczka są lepsze niż wszystkie Księżstwa Kornwalii i cała reszta razem wzięta.

Kiedy taksówka zajechała przed dom, na podjeździe stała furgonetka Willa i po raz pierwszy, odkąd go poznałam, pozwoliłam, by to, co buzowało we mnie w środku, wydostało się na powierzchnię.

W tym szczególnym wypadku wisienką na moim ciastku było oczekiwanie.

Oczekiwanie. Uczucie, którego ostatnio brakowało w moim życiu. Pozwalając, by mną zawładnęło, czułam się, jakbym była owinięta czekoladą i posypana płatkami Cadbury.

Wbiegłam po schodach, otworzyłam drzwi i zobaczyłam Willa pogrążonego w rozmowie z Poppy, która wciąż jeszcze miała na dłoniach rękawice ogrodnicze. Spojrzałam jej w twarz, by sprawdzić, czy już wie od Willa, że zrezygnowałam z herbaciarni, i w tym samym momencie zauważyłam elementy czegoś, co musiało być kuchnią używaną w gastronomii, ustawione w odległym kącie przy tylnym wejściu.

- Nie gniewaj się - powiedział Will - ale dostałem ją za pół darmo. Kolega Sida właśnie zamknął pub na Mile End i dosłownie rozdawał wyposażenie, tyle że musiałem to odebrać dziś rano, więc...

- Doskonale się nada, nie sądzisz? - przerwała mu Poppy, klaszcząc w dłonie z podniecenia. - Właśnie opowiadałam Willowi o planie, to znaczy o tym, że będę ci pomagać.

Popatrzyliśmy z Willem na siebie. Widziałam, że prosi mnie wzrokiem, bym się nie poddawała, a ja bez słowa prosiłam go o to samo.

- Coś nie tak? - zaniepokoiła się Poppy.

- Nie - odpowiedzieliśmy z Willem jednocześnie.

Znowu zapadła cisza. Nie ta ciężka, typu „naprawdę - jesteś - chłopakiem - mojego - męża”, jaką dopiero co przeżyłam, tylko naelektryzowana oczekiwaniem, typu

„naprawdę - mógłbyś - być - moim - chłopakiem", która w istocie wcale nie jest ciszą, bo wprawdzie niczego nie słyhać, jednak wszystko się czuje.

- O mój Boże - westchnęła Poppy, spoglądając z otwartymi ustami to na mnie, to na Willa. - Wy dwoje!

Miałam tyle do powiedzenia, ale wszystko utkwiło mi w gardle. Nie mogłam sobie przypomnieć, co zwykle robiłam z rękami. Byłam tak blisko czegoś cudownego, że nie wiedziałam, jak się zachować.

Will też sprawiał wrażenie, jakby nie był w stanie nic powiedzieć ani się poruszyć. Po prostu stał i patrzył mi w oczy.

- Pójdę do ogrodu poprzycinać te... no, znajdę coś do przycięcia - powiedziała Poppy, kierując się ku drzwiom. - O mój Boże - szepnęła do mnie zza pleców Willa, bezgłośnie poruszając ustami.

- O mój Boże!

Staliśmy w przeciwnych rogach holu nie wiem jak długo, pewnie wcale nie długo, choć wydawało się, że to wieczność. Prawie bałam się oddychać. Prawie bałam się zrobić cokolwiek. Prawie.

- Cokolwiek masz mi do powiedzenia, jest okey - odezwał się w końcu Will. - Naprawdę jest okey.

I przestałam się bać. Tak po prostu.

- Chyba będzie - powiedziałam.

A potem podeszliśmy do siebie i Will wziął mnie w ramiona. To wszystko. Po prostu wziął mnie w ramiona. Wtuliłam się w niego, w jego pierś, wdychałam jego zapach, słyszałam bicie jego serca przy sobie i gdybym wtedy umarła, dokładnie w tamtym miejscu i czasie, naprawdę wierzę, że umarłabym szczęśliwa.

O to właśnie chodzi, myślałam. Na tym polega życie. Mogło się skończyć za minutę, następnego dnia albo za

tydzień, albo za rok, ale jeszcze się nie skończyło i ten jego mały fragment był tak cudowny, że wart całej reszty.

- Mam raka - oznajmiłam, niemal dotykając ustami miękkiej koszuli Willa. Przygarnął mnie mocniej i zakołysał mną lekko na boki. - Jest umiejscowiony w jelicie czy w okrężnicy, czy jak tam się nazywa to coś bardzo nieseksownego, ale może też być w innych miejscach, choć tego jeszcze nie wiadomo. Zapewne wkrótce umrę i dlatego nie chciałam otwierać herbaciarni i nie chciałam, żeby między nami coś się zaczęło, bo jeśli rak mnie zabije, to zostaniesz sam, a tego nie mogłabym znieść.

Will objął mnie jeszcze ciaśniej.

- Wiedziałem, że coś jest na rzeczy - powiedział. - Ale myślałem, że może jest ktoś inny.

- A czy to nie gorsze? - spytałam, zaciskając mocno powieki.

- Czy to nie jest znacznie, znacznie gorsze? Mogę umrzeć, Will.

Odsunął się, ale jednak na tyle, by wziąć mnie za ramiona i popatrzeć mi w oczy.

- Ale nie musisz - powiedział.

- Ale mogę - upierałam się.

- Florence, ale nie musisz - powtórzył Will, tym razem z większą mocą. - Poza tym, jeśli nawet mamy dla siebie tylko godzinę, to i tak będzie to najlepsza godzina w całym moim życiu.

- Chcesz powiedzieć, że masz dla mnie tylko godzinę? - spytałam. Ostatecznie nie przechodzi się od szklanki w połowie pustej do szklanki w połowie pełnej w jednym momencie.

- Chcę powiedzieć, że mam całą wieczność - odpowiedział Will.

- Oboje mamy. Odtąd zawsze będę się tobą opiekował, Florence, nieważne, jak długo to potrwa. W chorobie i w zdrowiu, będę się tobą opiekował. Nie dbam o to, czy pożyjesz do końca przyszłego tygodnia, czy do setki.

- Teraz jestem bliska setki - przyznałam. - Ale doszłam do wniosku, że to nie ma znaczenia.

Przypomniałam sobie swój sen, ten w którym Will wyznawał mi miłość, mówił, że zawsze będzie przy mnie, że z nim u boku już nigdy nie będę miała się czego bać.

W tamtym momencie pogodziłam się ze wszystkim, co mi przyniesie życie. Przetrwałam, stojąc na własnych nogach, bez pracy, bez męża, bez syna, bez sprawnego systemu trawiennego. Wiedziałam, że jestem do tego zdolna, że potrafię przetrwać, ale wiedziałam też, że w życiu liczy się coś więcej niż tylko przetrwanie.

Może złe rzeczy pojawiają się trójkami. A może zdarzają się szóstkami. A może nawet, jak często próbował mnie przekonać Harry, wcale nie przychodzą całą serią. Wiecie, co sobie uświadomiłam? Że to nie ma znaczenia, bo przecież nie trzeba ich liczyć.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ta konstatacja odcięła balast mojej gorzkiej przeszłości i pozwoliła mi ruszyć do przodu, w przyszłość wolną od ciężaru nieszczęść.

Will wprowadził się w zasadzie jeszcze tego samego dnia. Ostatecznie czas był bezcenny. A w zaistniałych okolicznościach, odkąd już było wiadomo, jakie one są, wszyscy, którzy mnie znali i kochali, zgodzili się, że tak będzie najlepiej.

Miałam operację - przeprowadził ją oczywiście Charles - i udała się doskonale. Doszłam do siebie po niecałych czterech tygodniach. Żyłam chwilą i nie martwiłam się na zapas.

Kupowanie stolików, krzeseł, widelczyków i serwetek do herbaciarni trwało nieco dłużej, niż planowałam.

Potrzebowałam trochę czasu, żeby w pełni odzyskać siły, ale wszyscy stawali na głowie, żeby mi pomóc. Nawet Marguerite, która zaczęła regularnie do nas zaglądać na długo przedtem, nim otworzyliśmy herbaciarnię, okazała się niezastąpiona w dobieraniu zestawów chińskiej porcelany z różnych kompletów. Poza tym przypadkiem wpadła na Sinead, Irlandkę z mojego dawnego sklepu, płaczącą przed stacją metra, gdyż została porzucona przez lesbijską partnerkę, więc przy okazji zyskaliśmy sprzątaczkę. (Okazało się, że Sinead była już trzykrotnie zostawiana przez kochanki, które odeszły do mężczyzn).

Kiedy w końcu miałam wyposażenie, obrusy i komputerową kasę fiskalną, pozostawało już tylko, żebym ja piekła ciasta, a Poppy doradzała klientom i przyjmowała pieniądze.

Otwarcie herbaciarni „U Rose” odbyło się z wielką pompą i paradą, zaprosiliśmy na tę uroczystość wszystkich bliskich i znajomych.

Poczęstunek, mimo że sama to mówię, okazał się wielkim sukcesem. Były bułeczki zwykłe, z daktylami, z serem, robione z mąki orkiszowej (dla entuzjastów diety bezglutenowej), a mimo to całkiem smaczne. Były rurki wafłowe z likierowym nadzieniem, tartinki z truskawkami, czekoladowe babeczki, a także jagodowe, cytrynowe i czekoladowo - jagodowo - cytrynowe. Były ekierki oraz wytrawne nadziewane krążki wielkości pojedynczego kęsa, kanapki z ogórkiem, tiramisu podawane w szklaneczkach do whisky (pomysł Monty'ego) i bezcukrowe kulki z chleba świętojańskiego wypełnione orzechami makadamii (pomysł Crystal). Były trufle z ciemnej czekolady z wiśniami i pinot noir, zrobione przez mojego cudownego mężczyznę i zdobiące górny poziom trypoziomowej patery na każdym ze stolików ustawionych w naszym pięknym ogrodzie. Był każdy gatunek

herbaty sprzedawany przez firmę Twinninga, do tego kilka mieszanek od Mariage Freres z Paryża, a nawet jedna biała herbata, rzekomo rolowana na swoich udach przez gruzińskie wdowy z gór nad Morzem Czarnym.

Mama i tata dosłownie pękali z dumy; cioteczna babka Violet przyniosła własne imbirowe ciasteczka; Stanley Morris przyszedł z córką, Marguerite z mężem i bliźniaczkami; pojawili się nawet Charlotte i Martin z córkami (przynosząc ospowatą francuską żardynierę, oczywiście). Odnowiliśmy naszą przyjaźń, Charlotte i ja, bo życie jest za krótkie, żeby przechowywać urazy, a Abigail okazała się świetna jako pomywaczka. I tania.

Crystal zaprosiła tłum swoich znajomych z Earl's Court - okazało się, że ich znajomość sięga czasów, gdy pracowała w banku, prezentowali się więc doskonale, a ponadto stanowili ideał klienta, lubiącego regularnie wpadać do ulubionego lokaliku nad kanałem na filiżankę popołudniowej herbaty.

Rosalie, kobieta od kotów, która zaglądała do sklepu, żeby oglądać ramki na zdjęcia, przyprowadziła Julie z agencji nieruchomości. Razem założyły klub filmowy i nawiązały pogawędkę z Rupertem, nauczycielem, który wyraził chęć przyłączenia się do nich, po czym we trójkę zasiedli przy narożnym stoliku i jedząc maleńkie przekładane ciasteczka, dyskutowali o „Pięciu łatwych utworach”.

Moja stara przyjaciółka Caroline nie zdążyła przyjechać z Walii, ale znów byłyśmy w kontakcie - nawet ją odwiedziłam - a ponadto udało mi się zdobyć adresy Laury i Treacle, choć tylko Laura przyjechała na uroczystość otwarcia. Treacle, biedaczka, przebywała akurat na kuracji odwykowej. Kuzynka Harry'ego, Emily (ta od pledu w granatowo - zieloną kratę), przysłała kartkę z przeprosinami i obiecała, że wstąpi na herbatę podczas następnego pobytu w Londynie.

Nawet Whiffy się pokazał.

Wręczyłam mu zaproszenie przy śmietniku na Formosa Street; wprawdzie nie zgodził się wejść do środka ani usiąść przy którymś ze stolików na zewnątrz, ale wypił filiżankę Lapsang Souchong, siedząc na krawężniku, i zjadł trzy kanapki z dziczyzną, jedna po drugiej, po czym bardzo uprzejmie podziękował i z mostu, przez pręty balustrady, wysikał się do kanału.

Zjawiała się też znacznie ciekawsza i o niebo lepiej pachnąca była żona Willa, Natasha. Kiedy ją zapraszała, dała mu wszelkie podstawy, by sądzić, że prędzej sobie oczy wykluje niż przyjdzie, więc tym milej było widzieć, jak wysiada z samochodu w towarzystwie swojego męża Terry'ego i trzech dziewczynek. Obie córki Willa były śliczne, podobnie jak ich matka. I bardzo grzeczne, zwłaszcza w stosunku do niego; sądząc po tym, jak się zachowywały w stosunku do innych ludzi, należy przypuszczać, że odziedziczyły po ojcu dobroć i wrażliwość. A on miał do nich niesamowite podejście. Domyślałam się, że chętnie by wszystkich odprawił, by móc poświęcić córkom całą uwagę, nie tracąc ani jednej cennej chwili, jednak nie dawał tego odczuć; subtelnie zachęcał dziewczynki do pomocy, by mieć je cały czas przy sobie, ale też nie robił z tego powodu zamieszania, które by krępowało którąś z nich lub Natashę.

- Są do pani podobne - powiedziałam, kiedy obserwowaliśmy Willa napełniającego filiżankę Edith, tej od złych poranków, którą spotkałam przypadkiem w Tesco i zaprosiłam, ku jej wielkiej radości. Zaprzyjaźniła się z pewnym dżentelmenem o imieniu Ted, poznanym w bibliotece! Było jeszcze za wcześnie, by snuć jakiegokolwiek plany, jak mi powiedziała, ale kto wie...

- Jest teraz zupełnie inny - powiedziała Natasha, patrząc na Willa; wydawało mi się, że słyszę w jej głosie nutę żalu. - Szkoda, że wcześniej nie mógł być taki...

Wiedziałam, co ma na myśli. Tyle razy sama żałowałam, że pewne sprawy wyglądają tak, a nie inaczej. Jakby na dowód jałowości tego rodzaju rozważań pojawili się Charles i Harry.

- Mój były mąż - powiedziałam, wskazując na nich. - Ze swoim chłopakiem.

Natasha otworzyła usta ze zdumienia, miała jednak dość przytomności umysłu, by je zamknąć, kiedy obaj podeszli, żeby mnie ucałować na powitanie. Pozbycie się gorzkiego balastu przeszłości umożliwiło mi nawiązanie zupełnie nowych stosunków z Harrym i choć z początku czułam się trochę niezręcznie, z czasem ułożyło się między nami naprawdę cudownie. Któregoś wieczoru pokazałam mu zdjęcie z plaży w Norfolk, na którym pokładaliśmy się ze śmiechu. Oboje się wtedy popłakaliśmy, a potem doszliśmy do wniosku, że nikt nam nie odbierze szczęścia, jakie wówczas było naszym udziałem. I nic też nie powinno nas powstrzymywać przed szukaniem innego szczęścia z innymi partnerami. To było tak niesamowicie cudowne, że nie odważyłam się powiedzieć mamie i tacie, z obawy, że tybetańskie kadzidełka dziękczynne spowodują wielki pożar, który strawi całą Wschodnią Anglię.

Harry powrócił do praktyki adwokackiej, więc mogłam zatrzymać dom. W toku rozgrywającego się dramatu jakoś mi umknęło, jak wielkim musiało to być dla niego poświęceniem. Uświadomiwszy to sobie, dostrzegłam, że robił naprawdę wiele, by mnie chronić, zatrzymać, by zachować szczęście, którego sam już nie czuł, odkąd pojął, kim jest naprawdę.

Kiedy mi wyznał, że jest gejem, myślałam, że to najgorsze słowa, jakie można usłyszeć od męża, ale się myliłam. Nigdy nie powiedział, że mnie nie kochał, a ja wiedziałam, że rzeczywiście mnie kochał. Szczerze mówiąc, jeśli już zachodzi sytuacja, że mąż zostawia żonę dla innego

mężczyzny, to Harry Dowling zrobił to chyba najprzyzwoiciej, jak tylko się dało.

Teraz, kiedy emocje opadły, nadal był moim najlepszym i najstarszym przyjacielem.

- Pozostaje pani z nim w tak dobrych stosunkach - dziwiła się Natasha, kiedy Harry i Charles odeszli w stronę otoczonej dziećmi Poppy. - Jak się to pani udaje?

- Cóż, kiedy już przestałam ciskać w niego bananami, nienawidzić go, żywić do niego urazę i... czy wspomniałam o bananach? Muszę przyznać, że poczuł się lepiej, a kiedy wszystko się poukładało, ja uspokoiłam się również.

Natasha spojrzała na swojego męża Terry'ego, który ścierał dżem malinowy z rączek i buzi ich najmłodszej córeczki, i uśmiechnęła się pod nosem.

- Coś w tym musi być - powiedziała, robiąc minę, którą tak dobrze znałam. - A pani dobrze się miewa? - Przechyliła głowę na bok. - Will mówił, że była pani chora.

- Teraz czuję się dobrze - odpowiedziałam. - I to się liczy. Nie mogłam jej powiedzieć, że dopóki Will jest ze mną, mówi mi, że mnie kocha i że jestem piękna mimo wewnętrznych i zewnętrznych blizn, czuję się dobrze. Liczył się tylko on i każda nasz wspólna chwila. Cała reszta jest tylko dodatkiem.

Życie nie było idealne, oczywiście, że nie. Miewałam humory, czasami się bałam, czasami wpadałam w złość. Will bardzo się starał trzymać równy kurs, ale wiedziałam, że chwilami doprowadzam go do szału. Mówił mi o tym. Kłóciliśmy się, a potem godziliśmy. Wyrażaliśmy swoje uczucia!

Patrzyłyśmy obie, jak teraz podniósł swoją młodszą córeczkę Ellę i posadził ją na stole, żeby jej zapiąć bucik.

- Żyję teraz trochę według zasady carpe diem - powiedziałam nagle do Natashy - więc proszę mi wybaczyć, jeśli się wyrywam przed szereg, ale Will bardzo by chciał

częściej widywać dziewczynki i ja także. Może co drugi weekend albo kilka dni podczas ferii szkolnych, jeśli to pani będzie odpowiadać? Kiedy pani uzna za stosowne. My się całkowicie dostosujemy.

Wiedziałam, jak to jest wyzbyć się złości, urazy, poczucia krzywdy. Wiedziałam, jakie to trudne.

- Zawsze miał w sobie zadatki na dobrego ojca - powiedziała miękkim tonem Natasha. - Przypuszczam, że po prostu czas był nieodpowiedni. Porozmawiam z Terryem. - Uśmiechnęłyśmy się do siebie i to był miły moment, pełen nadziei.

Usiadłam ogarnięta dobrze znanym poczuciem przyjemnego zmęczenia i patrzyłam, jak Poppy bawi się z jedną z bliźniaczek Marguerite, tą mniej podobną do babci od naftaliny.

Will wykorzystał okazję, by porwać Ellę w ramiona i tanecznym krokiem podszedł do mojej siostry. Następnie we czwórkę wykonali coś w rodzaju improwizowanego rodzinnego walca wokół kępy kosmosów, które Poppy zasadziła, a on nawoził.

Przyłapałam wzrok Monty'ego. Siedział na schodach oświetlonych słońcem; kiedy na niego spojrzałam, uśmiechnął się do mnie, a wtedy poczułam się tak kochana i rozumiana, że miałam ochotę zapłakać z wdzięczności.

Oto cała moja rodzina piła herbatę i jadła słodkie wypieki w ogrodzie babci Rose. Razem mogliśmy stawić czoło każdej złej rzeczy, jaką los postawi nam na drodze. Bo jeśli się czegoś nauczyłam podczas ostatnich miesięcy, to tego, że czy liczysz nieszczęścia, czy nie, nie sposób przed nimi uciec. Życie potrafi być strasznie niesprawiedliwe.

Dawniej chyba dlatego łączyłam swoje nieszczęścia w trójki, bo dawało mi to poczucie, że do pewnego stopnia nad nimi panuję, że mnie nie zaskoczą. Wierzyłam, że los,

podsuwając człowiekowi tyle gówna, w końcu się zorientuje, że przesadził, i dokona korekty.

To, rzecz jasna, okazało się bzdurą.

Prawda jest taka, że czasami z jednego gówna wchodzi się w drugie i to jest takie niesprawiedliwe, ale przecież to nigdy nie jest to samo gówno. Jeśli człowiek może się obudzić rano, odetchnąć i zobaczyć, że świeci słońce, to znaczy, że już idzie ku lepszemu. Jeśli nawet jeszcze się całkiem nie otrząsnął, to jest na najlepszej drodze, żeby to zrobić, najgorsze ma za sobą.

A kto wie, co przyniesie przyszłość?

Wystarczy spojrzeć na mnie. Unosiła mnie największa fala nieszczęść, znana ludzkości, kiedy spotkałam miłość swego życia. Miłość mojego życia! Gdyby współniczka mnie nie wyrzuciła, mąż nie opuścił, syn nie złamał mi serca i nie dopadła mnie choroba, czy Will i ja odnaleźlibyśmy się nawzajem? A gdybyśmy nawet się odnaleźli, czy bylibyśmy razem?

Nie wiem i właściwie mnie to nie obchodzi. Will ma rację, każda chwila jest cenna, zbyt cenna na pytania bez odpowiedzi. Naprawdę lepiej patrzeć na to, co się ma (jakkolwiek się do tego doszło), próbując ignorować złe rzeczy i cieszyć się z tych dobrych.

Jak mam znieść jeszcze i to, na domiar złego? - zadawałam sobie to pytanie w gorszych dniach.

Kiedy się patrzy z dna, świat wydaje się raczej ponurym miejscem.

Ale kiedy się patrzy z siódmego nieba?

Tam właśnie byłam tamtego popołudnia w ogrodzie Rose.

Will i Poppy, wciąż trzymając dzieci w ramionach, tańczyli wokół nowej żardyniery - małego kawałka Prowansji w naszym wyjątkowym kawałku Londynu, no cóż... - promyki słońca przedzierającego się przez liście bożodrzewu lśniły na

miedzianych włosach Poppy, ślizgały się po szerokich ramionach Willa wirującego z córką.

Sparky z grobową miną lizał mnie po stopach. Moja matka pocałowała mojego ojca. Crystal podeszła do Monty'ego i przysiadła mu na kolanie. A mnie ogarnęło ciepłe uczucie, cudowne jak gorący mus czekoladowy, które promieniowało od palców nóg w górę ku sercu.

Patrzyłam na Willa, tak bardzo pragnącego być dobrym ojcem, i na Poppy, tak bardzo pragnącą zostać matką. Tańczyli obok siebie, roześmiani w promieniach słońca. I wtedy wpadłam na fantastyczny pomysł.

Jeśli istniał mężczyzna, który mógł sprowadzić na świat anioła, był nim Will. Nie mógł tego zrobić ze mną, z wielu powodów było to dla mnie niedostępne, ale może z moim błogosławieństwem, gdyby był chętny, a jej jajniki spisywały się nienagannie, mógł to zrobić z Poppy. Ostatecznie był idealnym, niezabijającym szczeniaków mężczyzną z krwi i kości.

Znów oboje się roześmiali, a potem spojrzeli na mnie. Takie momenty ceniłam sobie ponad wszystko.

Monty:

W szkole filmowej dużo się mówi o wpływach, motywacji i inspiracji, ale ilekroć myślę o ludziach, których uważam za mistrzów reżyserii, o braciach Coen, Scorsesem, Tarantino, przychodzi refleksja: Jasne, fantastycznie, ale to tylko robienie filmu, kręcenie wymyślonej historii. Tak naprawdę liczy się życie. I to, że możemy je przeżywać.

Moja matka, Florence Petal Rainbow Bowling, umiała żyć lepiej niż jakakolwiek inna znana mi osoba, dlatego moja praca dyplomowa jest poświęcona właśnie jej. Przyznaję, to trochę obciachowe robić film o własnej mamie, ale to ona przede wszystkim nauczyła mnie, jak iść za głosem serca, a

czyż mogłem pragnąć lepszej inspiracji jako reżyser, syn, człowiek?

W istocie moja matka twierdziła, że tak naprawdę zaczęła żyć pełnią życia, kiedy się dowiedziała, że zostało jej niewiele czasu, co jej zdaniem dowodzi, że nigdy nie jest za późno.

Była świetną żoną - zapewniali mnie o tym obaj jej mężowie - i cudowną matką, dobrą córką, oddaną siostrą i bardzo miłą osobą, co może nie brzmi zbyt imponująco, ale to jedna z jej ambicji, być miłą, i chyba jej się to udało. Zawsze znalazła się tam, gdzie jej potrzebowano. Albo przynajmniej w pobliżu.

Oczywiście przez pierwsze trzydzieści dziewięć lat zanadto się martwiła i wyczekiwała złych rzeczy, które miały jej się zdarzyć. A kiedy się rzeczywiście zdarzały, a niektóre z nich były doprawdy fatalne, zrozumiała, że będzie jej znacznie lepiej i weselej żyć, jeśli nie będzie na nie czekała.

I wiecie, co zrobiła? Przestała czekać.

Jej kariera zawodowa i małżeństwo skończyły się właściwie tego samego dnia, a wtedy zamieniła swój stary, trochę podupadły dom w jedną z najlepszych herbaciarni w Londynie. Nie dość tego, zakochała się w budowlańcu, który jej w tym pomagał. Wyszła za niego za męża. I, jak lubiła mawiać, przeżyła z nim swoje najlepsze chwile.

Z upływem czasu, mimo okoliczności, jej apetyt na ciastka, torty, herbatniki i wszelkie inne słodkości oblane czekoladą, ale także na życie rósł i rósł, i rósł.

Pojechała na safari do Afryki, bo chciała zobaczyć zebry, pojechała do Australii, bo pragnęła poznać moich teściów, pojechała do Paryża, bo postanowiła spróbować makaroników z cukierni Laduree. Pojechała nawet na wakacje do Grecji, żeby nic nie robić, chociaż Will, ten budowlaniec, twierdzi, że to najbardziej wyczerpujące wakacje, na jakich kiedykolwiek był.

Mimo że fizycznie słabła i marniała dosłownie na naszych oczach, jej zdolność przeżywania radości górowała nad wszystkim innym i to chyba pomagało tym, którzy ją kochali, pogodzić się z nieuniknionym: że nas opuści.

- Ależ jestem szczęściarą - powtarzała mi, nawet w takie dni, kiedy ledwie mogła otworzyć oczy, nie mówiąc już o wstaniu z łóżka.

Szczęściarą? Ta kobieta umierała!

- Tak, jednak jeszcze nie dzisiaj - mówiła, sięgając po wiśniową trufkę, rurkę z kremem albo obejmując Willa.

Nie chciała być bohaterką tego filmu, jak twierdziła, po części z powodu włosów, ale też po części dlatego, że była zbyt zajęta robieniem wypieków do herbaciarni, pakowaniem koszy piknikowych, pływaniem w jeziorze w parku Hampstead Heath, pomaganiem Poppy na stoisku z łapaczami snów w Camden, nauką refleksologii czy cerowaniem dziurawych kaftanów.

- Nie pytaj mnie! - odpowiedziała, kiedy spytałem, jak to było, gdy Stanley Morris pojawił się tuż po tym, kiedy spirala następujących po sobie nieszczęść zmieniła jej życie. - Zapytaj Stanleya Morrisa!

Zrobiłem to więc i tak powstał ten projekt. Oto jak my, jej rodzina i przyjaciele, postrzegaliśmy ją w tym kluczowym momencie, kiedy wybrała radość życia zamiast lęku przed śmiercią.

Nawiasem mówiąc, widziała wstępny materiał, zanim jeszcze choroba poczyniła postępy, i rozśmieszył ją tak bardzo, że bałem się, iż będę musiał wzywać karetkę.

- Jestem takim głuptasem - powiedziała. - Ale miłym głuptasem, prawda?

To jest film o mojej mamie. Brakuje nam jej. Boże, jak bardzo nam jej brakuje. Ale o niej pamiętamy. Niedawno sam zostałem ojcem - mam bliźniaki, dwóch chłopców, miałyby

bzika na ich punkcie - i teraz jeszcze mocniej czuję, że chciałbym być taki jak ona, chwycić dzień, „wybierać życie”, jak radził napisem na koszulce jej ulubieniec George Michael.

Albo, już niezupełnie w stylu boysbandów z lat osiemdziesiątych, „wybierać możliwość doświadczania życia we wszystkich jego przejawach”.

Florence:

Och, Monty, przestań kierować to coś na mnie i zwróć to na Sparky'ego. Popatrz, on się uśmiecha!

Will!

Nie wiesz, gdzie jest Will? Musi to zobaczyć.

Sparky, ty stary diable! Gdzie dotąd ukrywałeś ten przewrotny uśmiech?

Will!

Och, Monty, czy Poppy jest gdzieś w pobliżu, jak sądzisz? Możesz pójść jej poszukać? Padnie, widząc, że Sparky wygląda na szczęśliwego. A tak na marginesie, mówiła ci już? O dziecku? Dasz wiarę? Jeśli to dziewczynka, dostanie na imię Florence! A jeśli chłopiec... ale nie, to nie będzie chłopiec.

Sparky, to dlatego się uśmiechasz? Bo Poppy wreszcie dostanie swojego małego aniołka?

O, Will, jesteś, spójrz na to! Wreszcie iskierka radości w Sparkym. Po tylu latach. Uśmiecha się!

Boże, ależ ty cudownie smakujesz. Czy to czekolada? Masz na sobie czekoladę? Trufle z wiśniami. Och, ty cudowna istoto!

Czyż nie jestem szczęściarą?

PODZIĘKOWANIA

Mam wrażenie, że materiały do tej książki zbierałam przez całe życie, dlatego powinnam była robić lepsze notatki, ponieważ teraz nie pamiętam, komu dziękować.

Zacznę od mojej zmarłej babci Lil, bo wspomnienia o niej najbardziej mi się kojarzą z zapachem i smakiem domowych wypieków. Ilekroć odwiedzaliśmy ją w małym domku w Alexandra w Central Otago, wyjmowała z pieca coś pysznego, jak afgańskie ciasteczka, babeczki z dżemem, placek karmelowy, ciasto korzenno - jabłkowe, herbatniki z kiwi, tort Louisa czy belgijskie ciasteczka (zupełnie takie same, jak te kupne!), że wymienię tylko kilka przykładów.

Jak przypominała mi moja matka (też nieźła, jeśli chodzi o wypieki), babcia nie miała nawet porządnego pieca, w którym mogłaby robić swoje specjały. To, co stało u niej w kuchni, wyglądało jak minipiekarnik z dwiema półkami i palnikiem do gotowania.

Ów brak nie przeszkadzał jej w regularnym napełnianiu puszek na słodycze i co za tym idzie swoich wnucząt.

Wygląda na to, że istnieje jakiś naturalny związek pomiędzy babciami i popołudniową herbatą. Może dlatego, że już sama wizyta u babci jest zwykle przyjemna jak słodki poczęstunek? A może dlatego, że babcia woli nie bywać w pobliżu podczas głównych posiłków, kiedy w powietrzu latają histeryczne krzyki i puree z pasternaku.

Tak czy inaczej, popołudniowa herbata przeżywa coś w rodzaju renesansu, podobnie jak domowe wypieki. Piekłam całkiem sporo, kiedy byłam młodsza, ale potem na następne trzydzieści lat przeszłam na dietę i przestało mnie to interesować. Jednak po zebraniu materiałów do powieści „Nie samym chlebem”, nabrałam ochoty na pieczenie chleba; wkrótce poszły za tym torty, placki i ciasteczka i wciąż pojawiają się nowe.

Muszę się wam pochwalić, że moje ciasto bananowo - czekoladowe ze świeżymi malinami (przepis na stronie 169) zdobyło nawet główną nagrodę w kategorii wypieków na festynie Lake Heyes A & P w 2008 roku. Jeszcze nigdy pierś mi tak nie napęczniała z dumy. Ani talia od ciągłego testowania przepisu.

Raczenie się popołudniową herbatą jest według mnie jedną z największych życiowych przyjemności, a zatem doskonałym tematem badań. Jestem dozgonnie wdzięczna ludziom, którzy pomogli mi zgłębić sekrety tej rozkosznej okazji do tasowania.

George Peacock z Ely nieopodal Cambridge rzeczywiście przerobił sypialnie swoich córek na herbaciarnię, a jego tłumnie odwiedzany lokal nad rzeką posłużył mi za inspirację przy opisywaniu wymyślonej herbaciarni „U Rose”. Claridge pozostało moim ulubionym herbacianym miejscem w Londynie, chociaż Wolseley nie jest zły, a trudno pobić Patisserie Valerie na Old Compton Street ze względu na niesamowitą wystawę prezentującą torty i ciasta.

Cukiernię Laduree w Paryżu koniecznie należy odwiedzić z powodu makaroników, ale nie przegapcie też gorącej czekolady u Angeliny i cokolwiek tam robicie, idźcie do Mariage Freres i dajcie się namówić uroczemu chłopcu w lnianej marynarce na zakup herbaty Darjeeling z pierwszego zbioru za siedemdziesiąt pięć dolarów. Wystarcza jej wprawdzie na dwie filiżanki, ale poznanie go sprawi wam ogromną przyjemność.

Stephen Twinning z Twinning's Tea wielce się zasłużył, fundując mi w głównej angielskiej kwaterze firmy sesję dobierania jedzenia do herbaty oraz dwa lunche. To stawia go na czele listy osób, z którymi warto przeprowadzać wywiady.

Z Jane Pettigrew i Timem Cliftonem z UK Tea Council spędziłam kilka bardzo pouczających godzin, testując różne

gatunki herbaty w Londynie, a Bonnie Kwok zapewniła mi cudowne towarzystwo podczas jednego z moich najmielszych posiedzeń przy herbacie w hotelu Penninsula w Hongkongu.

Na koniec rzecz bynajmniej nie mniej ważna: ta książka jest dla wszystkich, którym zdarzyło się mieć zły dzień, a każdy z nas wie, że takie istnieją, ale dedykowana jest także wszystkim prawdziwym Willom, co do istnienia których możecie mieć pewne wątpliwości.

Moja szwagierka Nicki Robins zmarła na raka okrężnicy w czerwcu 2007 roku, jednak wcześniej zakochała się w jednym takim Willu. Z tego, co wiem, nigdy nie robił truflie, ale według słów Nicki, kiedy mu się w końcu przyznała, że jest śmiertelnie chora, rzekł po prostu: „Ach, te dziewczyny, z nimi zawsze jest coś nie tak” i nadal, jakby nigdy nic, był jej chłopakiem.

W moim odczuciu oznacza to, że w kategorii bohaterów bije na głowę Indianę Jonesa.

Tak, jeśli jakaś dziewczyna potrafiła się śmiać w obliczu niesprawiedliwości losu, to właśnie Nicki. I choć niesprawiedliwość, niech ją diabli, w jej wypadku ostatecznie zwyciężyła, Nicki udowodniła - przynajmniej mnie - że nie liczy się, ile mamy czasu, tylko jak ten czas wykorzystamy!